

Mało brakowało, a zamiast
aktorką zostałąbym prawnikiem.
Czasami żałuję. Zwłaszcza
po lekturze *Zaginięcia!*

ANNA MUCHA



ZAGINIĘCIE

REMIGIUSZ MRÓZ

ZAGINIĘCIE

REMIGIUSZ MRÓZ
ZAGINIĘCIE

Qui accusare volunt, probationes habere debent
– „Kto chce oskarżać, powinien mieć dowód”.

Paremia prawnicza

*Ani i Mai,
jeśli kiedyś postanowicie zostać prawniczkami,
przebijecie Chyłkę.*

(Ale pamiętajcie, że wujek poleca Wam karierę pisarską).

Rozdział 1

1

Chyłka usłyszała gitarowe solo Iron Maiden i przez moment nie wiedziała, co się dzieje. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że dzwoni jej komórka. Prawniczka z trudem otworzyła oczy i powiodła wzrokiem po pokoju.

– Ja pierniczę... – mruknęła, dostrzegając wyświetlacz rozbłyskujący nad komodą. Podniosła się i natychmiast pożałowała, że zrobiła to tak szybko. Zatoczyła się w kierunku szafki, oparła o mebel i spojrzała na wyświetlacz.

Druga trzydzieści siedem w nocy.

Nieznany numer.

Westchnęła, nie spodziewając się niczego dobrego. Był piątek, ona ostatniego drinka wypiała raptem godzinę temu i wszyscy, którzy mogliby czegokolwiek od niej chcieć, doskonale o tym wiedzieli. Nie prowadziła obecnie żadnej sprawy, nie musiała być pod telefonem. Najpewniej jednak dzwonił właśnie jeden z klientów kancelarii Żelazny & McVay.

Szybko przeanalizowała swoje możliwości. Praktykowała prawo wystarczająco długo, by wiedzieć, że w wydychanym powietrzu ma niecałe pół promila. Formalnie nie był to jeszcze stan nietrzeźwości, a jedynie wskazujący na nietrzeźwość... w praktyce jednak tyle wystarczyło, by dobrze się bawiła, a potem zasnęła jak dziecko. W jej głosie z pewnością będzie pobrzmiwać echo tequili sunrise, ale z dwojga złego lepiej odebrać niż zignorować połączenie.

Odchrząknęła, a potem przesunęła palcem po wyświetlaczu.

– Tak? – zapytała.

– Aśka? – rozległ się kobiecy głos.

Zupełnie zdębiała. Każdy, z którym utrzymywała jakiegokolwiek relacje, wiedział, by tak się do niej nie zwracać. Nawet listonosz niegdyś boleśnie się o tym przekonał. Do znużenia podkreślała, że nie nazywa się Asianna ani Aškanna.

– Kto mówi? – zapytała nieco bełkotliwie, ściągając brwi.

– Przepraszam, że dzwonię o tej porze... – rzuciła rozmówczyni łamiącym się głosem, jakby nie usłyszała pytania.

Chyłka nadal nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Z pewnością jednak nie była to żadna z klientek firmy. Kury znoszące złote jaja poznawała w okamgnieniu.

– Obawiałam się, że zmieniłaś numer – dodała kobieta.

– Mhm – mruknęła Joanna, wodząc wzrokiem za paczką marlboro. Dopiero po chwili zreflektowała

się, że nigdzie jej znajdzie. Zakłęła w duchu i sięgnęła po elektronicznego papierosa.

– Nie poznajesz? – spytała rozmówczyni.

– Nie bardzo.

– Chodziłyśmy razem do liceum, grałyśmy w jednej drużynie u trenera Gracki...

Kiedy kobieta zawiesiła głos, Joanna zrozumiała, z kim rozmawia. Usiadła na łóżku, lekko zgarbiona.

– Angelika.

– Tak – odparła z ulgą stara znajoma.

Chyłka zaciągnęła się imitacją marlboro, niedowierzając. Nie spodziewała się, że ta wywłoka kiedykolwiek do niej zadzwoni. A już z całą pewnością nie w środku nocy, po tylu latach.

– Dobrze cię słyszeć – powiedziała Angelika.

– Ciebie też.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

– Skądże. Jeszcze nie ma trzeciej.

– To dobrze.

Joanna wywróciła oczami. Najwyraźniej pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Nigdy bym cię nie nękała, gdyby nie to, że...

– Potrzebujesz pomocy.

– To takie oczywiste?

– Inaczej byś do mnie nie dzwoniła, prawda?

– No tak... – potwierdziła kobieta i zamilkła.

Chyłka postanowiła wykorzystać niewygodną ciszę i wywinąć się z tej sprawy, zanim rozmówczyni się rozkręci na dobre.

– Słuchaj – podjęła. – Jestem teraz zawałona pozwami, ale znam kilku dobrych prawników. Zadzwon rano, opowiesz mi, o co chodzi, a ja skontaktuję cię z...

– Nie chcę angażować nikogo innego.

Joanna zmarszczyła czoło.

– Bo? – bąknęła.

– Widziałam, jak prowadziłaś sprawę Langera. Ty i ten młody daliście wtedy wszystkim popalić.

Chyłka tak by tego nie określiła, ale nie miała zamiaru dyskutować. Być może w telewizji wszystko wyglądało inaczej.

– Mamy z Awitem problem i...

– Z czym?

Rozmówczyni przez moment milczała.

– Z Awitem. Moim mężem.

– Jest takie imię?

– Jezu, Chyłka... nic się nie zmieniałaś, prawda?

– Chyba nie.

– A ja, jak największa frajerka, dzwonię do ciebie w akcie pieprzonej desperacji i staram się kulturalnie do tego podejść.

– Przynajmniej się starałaś.

– Co?

– Nic, nieważne. Zadzwon rano.

– Jeśli mnie spławisz, zapewniam cię, że twoi szefowie nie będą zadowoleni.

– Nigdy nie są.

Angelika znów zamilkła, a Chyłka odstawiła telefon od ucha i spojrzała na wyświetlacz. Właściwie

powinna odłożyć. Nie było powodu, by pomagać starej znajomej.

A mimo to z jakiegoś powodu nie mogła zmusić się do tego, by zakończyć rozmowę. Nabrała tchu i wyprostowała się.

– Mów – powiedziała. – Jesteś o coś podejrzana?

– Nie... przynajmniej jeszcze nie. Ale śledczy zadają takie pytania, że już czuję się jak oskarżona.

Prawniczka podniosła się i ruszyła do kuchni. Jeśli miała wysłuchać, co ta flądra ma do powiedzenia, nie będzie tego robić o suchym pysku.

– Opowiadaj – ponagliła ją, otwierając butelkę tequili z czerwonym sombrero zamiast tradycyjnej nakrętki. – Wszystko, od początku do końca.

– Najpierw muszę cię zapewnić, że nie stracisz czasu... ani pieniędzy. Mamy ich więcej, niż moglibyśmy wydać.

– Okej – odparła dla porządku Chyłka. Prawdę powiedziawszy, nie spodziewała się, by Angelika i jej mąż byli w stanie pokryć przeciętny rachunek pierwszego lepszego senior associate z Żelaznego & McVaya.

– Awit prowadzi firmę, która jest jednym z liderów branży TSL. Nie musisz obawiać się o finanse.

– TSL?

– Transport–spedycja–logistyka – wyjaśniła słabym głosem tamta. – Zapewnia szereg usług, od finansowania...

– I w czym tkwi problem? – ucięła Joanna.

– Nasza... nasza córka zaginęła przedwczoraj w nocy.

Chyłka dołała grenadyny do drinka i zamarła.

– Co? – zapytała.

– Nasza córka...

– Tak, słyszałam – rzuciła Joanna. – Chcesz mi powiedzieć, że twoje dziecko zniknęło, a ty pierniczysz mi o spedycji i logistyce?

– Ja... ja tylko...

– Mów, jak to się stało.

Chyłka usłyszała, z jakim trudem przychodziło rozmówczyni przełknięcie śliny. Zmitygowała się, że żadne osobliwe zachowania nie powinny jej dziwić. Może Angelika była jeszcze w szoku, może niedowierzała temu, co się wydarzyło... a może policja podejrzewała ją nie bez przyczyny.

– My... – zaczęła kobieta. – Położyliśmy ją spać przed dwudziestą... Aśka, ona ma dopiero trzy lata... jak ktokolwiek mógłby chcieć...

– Położyliście ją spać – weszła jej w słowo prawniczka. – Co dalej?

– Zamknęliśmy drzwi, potem wypiliśmy trochę wina, oglądaliśmy film... Przed snem włączyliśmy alarm. Rano już jej nie było.

Adwokat dołała soku pomarańczowego do szklanki, a potem pociągnęła łyk.

– Żadnych śladów włamania? – zapytała, choć już wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

– Nie... i niczego nie słyszeliśmy. Obudziliśmy się rano, weszliśmy do pokoju i... nie było jej tam. – Na moment urwała, by się uspokoić. – Chyłka, oni postawią nam zarzuty.

Prawniczka skinęła głową.

– Nie wątpię – powiedziała. – Na ich miejscu zrobiłabym to z marszu.

– Weźmiesz to? Weźmiesz naszą sprawę?

– Potrzebuję szczegółów.

– Ale...

– Ale dawno bym się rozłączyła, gdybym nie zamierzała ci pomóc – ucięła.

Po tym, jak skończyły rozmawiać, Joanna odstawiła pustą szklaneczkę i poszła do sypialni. Wyciągnęła torbę podróżną, załadowała trochę ciuchów i kosmetyków, po czym stwierdziła, że jest gotowa. Gdyby robiła to na trzeźwo, pewnie zdążyłaby przed wyjściem pomyśleć o wielu innych rzeczach, które należało zabrać.

Ale gdyby była trzeźwa, w ogóle nie wzięłaby z góry przegranej sprawy.

2

Kordian Oryński obudził się, gdy tylko zadzwonił telefon. Jego kawalerka przy Emilii Plater była świetnie zlokalizowana – od siedziby kancelarii w Skylight dzieliło ją kilka kroków. Niestety, miała też koszmarną akustykę, przez co każdy najmniejszy dźwięk odbijał się w niej echem.

Kordian podniósł telefon i zobaczył, że dzwoni patronka. Pora była nietypowa, nawet jak na nią.

– Żelazny w końcu nas wywalił? – zapytał na powitanie.

– Jesteś trzeźwy?

– Co to za pytanie o trzeciej w nocy?

– Pytanie, na które muszę znać odpowiedź już.

– Jestem.

– Więc wsiadaj w taksówkę i przyjedź do mnie.

Kordian otworzył usta, ale nie zdobył się na żadną odpowiedź.

– I weź jakieś rzeczy na zmianę – dodała Chyłka.

– Ale... czy ty właśnie zaproponowałaś... no wiesz?

– Nie rób sobie żadnych nadziei, Zordon. Ruszamy w trasę koncertową.

– Co takiego?

– Słyszeli o naszych wyczynach nawet na dalekich północnych rubieżach. Wyjeżdżamy natychmiast, a ja potrzebuję kierowcy, bo chlapnęłam sobie jednego sunrise'a. Albo dwa.

– Ale...

– Albo trzy. Nie pamiętam.

– Tylko że...

– Pojedziesz iks piątką. Zawsze chciałeś to zrobić, nie? – wyterkotała. – Masz prawo jazdy?

– Znamy się od roku, a ty nie wiesz, czy mam prawo jazdy?

– Nie wiem też, jaki masz rozmiar bokserek. I daj Bóg, nigdy się nie dowiem. Zbierasz się, czy nie?

– T-tak, ale...

– Bierz rzeczy na tydzień, potem wrócimy po zapasy.

Oryński nabrał tchu i machinalnie powiódł wzrokiem za paczką papierosów. W zasięgu wzroku żadnej nie było, bo od tygodnia wraz z patronką trwali w mocnym postanowieniu, by wyrwać się ze szponów nałogu. Była to druga próba – pierwszą podjęli po sprawie Langer'a i wytrwali tylko parę miesięcy. Teraz byli dobrej myśli, bo miała im pomóc namiastka nikotynowej rozkoszy.

Na razie jednak nie sprawdzała się najlepiej. Oboje chodzili źli jak osy.

– Chyłka, mam teraz sprawę – powiedział. – Przesłuchanie z przerobieniem dokumentu, na pewno słyszałaś, że...

– To nie przestępstwo, tylko marny występki. Szkoda twojego czasu.

– Szkoda czy nie szkoda, nie mogę ot tak...

– Rozmawiałam już z McVayem. Przydzielił sprawę komuś innemu.

Kordian uśmiechnął się do siebie, kręcąc głową. Mógł się tego spodziewać – kiedy patronka czegoś chciała, zazwyczaj to dostawała. Zasada ta sprawdzała się zarówno w kancelaryjnym świecie, jak i na salach sądowych. Oryński wiedział, że trudno było o lepszą nauczycielkę – przynajmniej jeśli ktoś

zamierzał podszkolić się z wyrachowania i bezwzględności.

– Pakuj mandżur i wiśta wio! – dodała, a potem się rozłączyła.

Nie było sensu oddzwaniać i dyskutować. Kordian szybko uwinął się z pakowaniem, a kwadrans później jechał już do mieszkania Joanny. Jeśli w ich osobliwej relacji istniało coś, czego nigdy się nie spodziewał, było to prowadzenie należącego do Chyłki BMW X5. Najwyraźniej sprawa naprawdę była nagląca.

Joanna czekała na niego przed samochodem. Skinął jej głową, wrzucił torbę do przesadnie wielkiego bagażnika, a potem zasiadł za kierownicą. Energicznie zatarł ręce i poczuł na sobie ciężki wzrok Joanny.

– Słuchaj, Zordon – zaczęła. – Oboje wiemy, że to sytuacja niebezpieczna zarówno dla iks piątki, jak i dla ciebie. Dlatego zachowaj najwyższą ostrożność.

– W porządku.

Nacisnął guzik startu i rozległo się przyjemne mruczenie.

– Dokąd? – zapytał.

W odpowiedzi prawniczka wskazała na nawigację. Na wyświetlaczu widniał niepozorny cel podróży: „Droga gruntowa, Sajenek”. Nie zadając pytań, Kordian wbił wsteczny, a potem zaczął kierować się zgodnie z podpowiedziami wygłaszanymi przez robotyczny męski bas.

– Gosztyła to to nie jest – zauważył.

– Hm?

– Mogłabyś zmienić głos tego dziadostwa – wyjaśnił.

Spojrzała na niego, jakby ją uraził. Kordian najchętniej dowiedziała by się, w jaką sprawę został wciągnięty, ale przypuszczał, że patronka o wszystkim mu opowie, gdy uzna, że moment jest stosowny.

– To Zygmunt – odparła, jakby nic więcej nie musiała dodawać.

– Nie wiedziałem.

– Nie śledzisz moich wpisów na fejsie? Na bieżąco informuję tam o kolejnych mężczyznach w moim życiu. Zygmunt towarzyszy mi od dobrych dwóch miesięcy.

Może rzeczywiście wiedziała by o tym, gdyby nie to, że po głośnej sprawie Langerera współpracowali ze sobą coraz rzadziej. Wprawdzie Chyłka nadal była jego patronką – i będzie nią jeszcze przez dwa lata – ale szefowie przydzielali go do innych prawników z działu procesowego. Czy z *litigation*, jak sami woleli to określać. Po prawdzie, Oryński przypuszczał, że sytuacja raczej się nie zmieni – tym bardziej zdziwił go telefon od patronki i wyjazd poza Warszawę na wspólną sprawę.

– Nie chcesz wiedzieć, dokąd jedziemy? – zapytała, moszcząc się na siedzeniu pasażera.

– Łudzę się jeszcze, że wszystko mi wytłumaczysz z własnej woli.

– Łudź się, a będzie ci dane – powiedziała, poprawiając pas. – Cholernie niewygodnie jest po tej stronie. Czuję się jak ksiądz w minarecie.

– Obawiam się, że ich tam nie wpuszczają.

– Tak jak mnie nie powinno być na tym siedzeniu – odparła pod nosem i machnęła ręką. – Jedziemy do domku letniskowego Szlezyngierów.

– Kogo?

– Nigdy nie słyzałeś o Awicie Szlezyngierze? Czytasz przecież te „Forbesy” i inne „Managery”.

Kordian znał to nazwisko, choć imienia chyba nigdy nie słyzał. Przez moment starał się przypisać je do konkretnego człowieka. W końcu jakaś zapadka w umyśle znalazła się na swoim miejscu i Oryński wyłowił z pamięci informacje na temat przedsiębiorcy.

– Masz na myśli tego magnata logistycznego?

– Brawo, Zordon – pochwaliła go. – Wiedziałam, że orientujesz się co nieco w biznesie.

Raz w miesiącu rzeczywiście kupował „Forbesa”, a czasem po drodze do Skylight zaopatrywał się też

w „Dziennik Gazetę Prawną”. Zazwyczaj to drugie tylko kartkował przy kawie, ale nieraz rzucało mu się w oczy nazwisko, o którym wspomniała Chyłka. Szlezyngier w istocie był magnatem w swojej branży – z tego, co Oryński pamiętał, w tamtym roku obroty jego firmy przekroczyły milion złotych przychodu.

– Gdzie jest ten ich domek? – odezwał się po chwili.

– O to chcesz mnie zapytać?

– Na inne rzeczy przyjdzie pora. Na razie interesuje mnie, dokąd jedziemy.

– Tam, gdzie Zygmunt ci poleci.

– A konkretnie?

– Na Podlasie – odparła, wyciągając elektronicznego papierosa. Kordian zrobił to samo. – Kawalek na wschód od Augustowa.

– To chyba Mazury.

– Formalnie województwo podlaskie. Dla prawnika liczy się to, co w ustawie.

– No tak – mruknął, zaciągając się tak głęboko, że czerwona dioda na końcu papierosa poinformowała, iż na moment urządzenie się zablokowało.

– Domek Szlezyngierów leży przy jakimś niewielkim jeziorze. Sajenko.

– Zaczyna się upiornie.

– I tak też najwyraźniej się kończy – powiedziała Chyłka, ruchem ręki sugerując mu, by wyprzedził jadące przed nimi auto. – Ich dziecko zniknęło w środku nocy.

– Porwanie?

– Tylko jeśli weźmiesz pod uwagę, że mógł to zrobić ktoś ze zdolnością do teleportacji.

– Hę?

– Chata była zamknięta na cztery spusty, a alarm włączony.

Oryński obrócił się do patronki i posłał jej długie spojrzenie.

– Co się gapisz? – zapytała. – Uważaj na drogę.

– Wyciągasz mnie na drugi koniec Polski, żeby bronić winnych ludzi?

– Nie wyjeżdżaj mi z winą. Jakie to ma znaczenie?

Nie odpowiedział, lepiej było rzeczywiście skupić się na jeździe. Joanna miała rację, mówiąc, że to dla niego sytuacja zagrożenia – jeden niewłaściwy ruch kierownicą mógł sprawić, że załatwi sobie wielogodzinne kazanie. To samo stałoby się, gdyby zaczął dyskutować o winie klienta.

– Ten alarm można łatwo sprawdzić – oznajmił.

– Wiem. Z samego rana wybierzemy się do agencji ochrony, z której korzystają Szlezyngierowie.

– Znasz ich?

– A bo co? – odburknęła. – Nie mogę wziąć sprawy z dobroci serca? Albo ze względów finansowych?

– Kasy masz wystarczająco, w przeciwieństwie do tego pierwszego.

Posłała mu wymuszony uśmiech, a potem znów poprawiła się na fotelu. Tym razem szarpnęła pas na tyle mocno, że się zablokował.

– Znam żonę – powiedziała po chwili. – Chodziłam z nią do liceum. Wyjątkowa kokota.

– Kto?

– Fleciara, Zordon. Muszę ci kiedyś dać jakiś słownik.

Potrząsnął głową.

– Podebrała ci chłopaka na studiach?

– Mnie? Proszę cię! – prychnęła Chyłka, w końcu odpinając pas i krzyżując nogi na siedzisku. – Ja podebrałam jej, ale bynajmniej nie przyjęła tego z godnością. I były to czasy licealne. Miałyśmy kilka zatargów, nic, o czym warto wspominać.

– Więc dlaczego wzięłaś tę sprawę?

- Jej dziecko zniknęło. Co miałam zrobić?
- Na przykład odmówić. Będzie z tego niezły syf.
- Niezły syf to też niezły rozgłos.

Kordian uśmiechnął się i pokręcił głową.

- I tym sposobem dotarliśmy do *clou* problemu – skwitował.

Przez moment dopuszczał możliwość, że patronka zdecydowała się pomóc przez wzgląd na stare czasy, ale powinien od razu się zorientować, w czym rzecz. Sprawa najwyraźniej nie zdążyła jeszcze trafić do mediów, jednak kiedy tylko tak się stanie, będzie miała zasięg ogólnopolski. Wszyscy z zaciekawieniem będą obserwować upadek znanego biznesmena, który najprawdopodobniej jest odpowiedzialny za zniknięcie dziecka.

Oryński zjechał z Armii Krajowej na ósemkę prowadzącą do Marek, a potem dodał gazu.

– Powoli – rzuciła pasażerka. – Za chwilę jest fotoradar, a ja nie będę miała problemu ze wskazaniem organom ściągania danych kierowcy. Sprawa będzie oczywista, krótka i bolesna dla ciebie.

- Tak jak ta ze Szlezyngierami.

– Na razie nic nie wiemy – zaproponowała Joanna, chowając e-papierosa do kieszeni żakietu.

– Wiemy, że pozbyli się własnego dziecka.

– Jak? – zapytała spokojnie. – Zdematerializowali je?

Spojrzał na nią i uniósł brwi. To było dobre pytanie. Poszukiwanie odpowiedzi mogło sprawić, że ta podróż nie okaże się całkowitą stratą czasu.

– Obok jest jezioro, tak? – podsunął Kordian.

– Zapewne już dokładnie przeszukane przez nurków.

– I mazurskie lasy?

– Podlaskie.

– Ustalmy może, że to Suwalszczyzna?

– Niech będzie – zgodziła się Joanna. – W każdym razie okolicę przez dwie doby przetrzepano wzdłuż i wszerz.

– I nie znaleźli kompletnie niczego?

– *Null, zero, nada*, próżnia absolutna. Ktokolwiek zabrał tę dziewczynkę lub jej ciało z domu, wiedział doskonale, co robi.

3

Chyłka nawet nie zorientowała się, kiedy zasnęła. Zawieszenie iks piątki pozwoliło jej przespać całą, niemal czterogodzinną podróż – nie obudziła się nawet, gdy Oryński poprowadził BMW wertepami przez obrzeża Augustowa.

Kilka kilometrów od miasta, nieopodal pięciu czy sześciu jezior, znajdował się cały szereg gospodarstw agroturystycznych. Nie przeszkadzały sobie – miejsca było tutaj w bród. Większość terenów wokół wciąż stanowiły dziewicze nieprzeniknione bory i otoczone torfowiskami jeziora. Nad jednym z nich Szlezyngierowie kupili kawałek ziemi, a potem postawili na nim domek letniskowy. Chyłka powiedziała, że stał na uboczu, ale byłoby to gigantyczne niedomówienie. Wszystko tutaj było na uboczu.

Wyszła z samochodu i przeciągnęła się, patrząc na niezbyt okazały budynek. Jak na magnata branży TSL, Awit przesadnie się nie postarał. Jednokondygnacyjny dom z poddaszem użytkowym był pomalowany na biało, a z werandy biegła ścieżka ku małemu drewnianemu molu nad jeziorem.

Minęła siódma rano, słońce wstało półtorej godziny temu. Mieszkańcy domku letniskowego czekali na schodach. Angelika uniosła rękę, uśmiechając się blado, Szlezyngier skinął prawnikom głową. Wyglądali jak dwa chodzące nieszczęścia.

– Dobrze cię widzieć, Aśka – odezwała się blondynka o sztucznych ustach i nie mniej sztucznym biuście, po czym uściskała Chyłkę.

Prawniczka skrzywiła się, ale poklepała starą znajomą po plecach.

– Ciebie też.

– Jak minęła wam podróż? – zapytał Awit, wyciągając rękę do Oryńskiego.

– Dobrze, choć dotrzeć tu niełatwo – odparł aplikant.

Szlezyngier potwierdził powolnym ruchem głowy. Nie przypominał rekina biznesu, którego Kordian widywał w gazetach. Miał przygaszony wzrok, rozwichrzone włosy i wymiętą koszulę.

– Zależało nam na tym, by mieć swoje sanktuarium na odludziu – wyjaśnił gospodarz. – Panuje tu absolutna cisza i spokój, nikt przypadkowy nigdy się do nas nie przypałęta.

– Więc po co ten alarm? – wtrąciła Chyłka, wskazując na logo firmy ochroniarskiej na szybie.

– Dla komfortu psychicznego... Nigdy nie sądziliśmy, że... – Awit zawiesił głos i spojrzał na żonę. Natychmiast znalazła się przy nim i pozwoliła, by otoczył ją ramieniem. Wyglądało to raczej na teatralny gest, choć Joanna widziała jak na dłoni, że oboje nie przespali nocy. Mieli mocno podkrążone i przekrwione oczy, a cerę bladą jak trupy.

– Wejźmy do środka – zaproponował Szlezyngier.

Chyłka i Oryński wzięli swoje torby i przekroczyli próg. Budynek z zewnątrz być może nie wyglądał okazale, ale wewnątrz nie pozostawiało wątpliwości, że mieszkają tu bogacze. Podłoga była pokryta jasnym drewnem, kino domowe robiło wrażenie kina bynajmniej nie domowego, a kuchnia przywodziła na myśl kokpit samolotu. Było tu wszystko, czego kulinarna dusza mogłaby zapragnąć.

– Przygotowaliśmy dla was pokój na poddaszu – powiedziała Angelika. – Wybaczcie, ale nie mamy więcej miejsca... nigdy nie spodziewaliśmy się, że będzie tu nas więcej niż trójka. A pokój Nikolci nadal jest otaśmowany przez policję...

– W porządku – odparła Chyłka. – Zordon pośpi na schodach. I tak wygląda jak Quasimodo.

Nikt się nie uśmiechnął. Aplikant rzucił jej nieprzychylnie spojrzenie, ale Joanna zignorowała je i szybko ruszyła w górę ze swoją torbą.

Złożyli bagaże w niewielkiej klitce na strychu i rozejrzeli się po swoim terenowym centrum dowodzenia. Poddasze było nader doświetlone – trzy okna dachowe w każdym pomieszczeniu sprawiały, że nawet pod wieczór musiało tu być widno. Normalnie oznaczałoby to iście piekielne temperatury podczas dnia, ale dom Szlezyngierów najwyraźniej był klimatyzowany.

– Co sądzisz? – zapytał Oryński.

– Że wyglądają na porządnie przybitych.

Obrócił się do niej.

– I co w związku z tym?

– Nic. Po prostu będą robić dobre wrażenie przed kamerami.

– Więc naprawdę zamierzasz ściągnąć tu media?

Nie odpowiedziała, uznając, że nie będzie mówić rzeczy oczywistych.

– Może nie widziałas tych samych ludzi, których ja właśnie zobaczyłem? – drążył Kordian. – Pierwsza lepsza lokalna gazeta zje ich żywcem.

– Szlezyngier jest zaprawiony w medialnych bojach – bąknęła. – Poza tym dziennikarze i tak szybko zwęszą sensację. Jeśli to my pierwsi pójdziemy do nich, być może nie odgryzą ręki, która ich karmi.

– No nie wiem.

– Zdaj się na mnie – powiedziała, a potem ruszyła schodami w dół.

Zeszli do salonu, gdzie Angelika czekała na nich z dwoma kubkami kawy. Półlitrowymi, co niebywale Chyłkę ucieszyło. Wzięła jeden dla siebie, po czym usiadła na kanapie i dobytek elektronicznego papierosa. Reszta towarzystwa również zajęła miejsca.

– Dobra – podjęła Joanna. – Na początek potrzebuję jednej informacji. Okna dachowe.

– Co z nimi? – zapytał Oryński.

– Nie ma tam alarmu, prawda?

Szlezyngier spojrzał uważnie na adwokata i powoli skinął głową.

– Nie ma – potwierdził. – Czujniki są tylko w tych na dole. Górne i tak zasłaniamy roletami zewnętrznymi, żeby dom się nie nagrzewał.

Standardowa sytuacja. Tylko nieliczni zakładali alarm także na poddaszach – w końcu trudno wynieść przez okno dachowe pięćdziesięciocalowy telewizor. Podobnie problematyczne byłoby porwanie dziecka tym sposobem. Choć nie niemożliwe.

– Więc teoretycznie ktoś mógł wejść i wyjść, nie włączając alarmu? – zapytał Kordian.

– Tak. Na zewnątrz są tylko czujniki ruchu od oświetlenia. Żadnego monitoringu, żadnych alarmów.

– Policja o tym wie? – spytał Oryński.

Małżeństwo zgodnie potaknęło.

– Wokół domu nie znaleziono jednak żadnych śladów – dodała Angelika. – Gdyby Nikołcię porwano, drabina zostawiłaby odcisk w ziemi... nie mówiąc już o śladach opon czy stóp...

– Odnaleziono tylko wasze?

– Tak – potwierdził Awit. – A agencja ochrony potwierdza, że nikt nie wyłączał alarmu, był aktywny przez całą noc.

Przez moment panowało milczenie. Słyszeć było tylko syk elektronicznego papierosa.

– Zdajemy sobie sprawę, jak to wszystko wygląda... – podjęła Angelika.

Chyłka pokręciła głową z obojętnością.

– Nie ma znaczenia, jak wygląda – powiedziała. – Liczy się to, jak będzie wyglądało w oczach sądu.

– Nie obchodzi cię...

– Czy odpowiadacie za zniknięcie własnej córki? Nie, mam to w dupie.

Spojrzała na nich badawczo, a potem schowała papierosa do kieszeni żakietu. Miała dość tego elektronicznego szajsu, ale postanowienie to postanowienie. Być może byłoby łatwiej je złamać, gdyby nie to, że wiązało się z pewnym wyzwaniem. Tydzień temu założyła się z Zordonem o to, kto dłużej wytrzyma. Jeśli przegra, będzie musiała zmienić dzwonek w telefonie – gitarowa solówka z *Afraid To Shoot Strangers* ustąpi miejsca jakimś bzdurnym rytmom Willa Smitha.

Szlezyngierowie patrzyli na nią jak na dziką, czekając, aż rozwinie myśl. Joanna jednak uznała, że powiedziała im wszystko, co powinni wiedzieć.

– Ogłady ci nie brakuje – odezwał się po chwili Awit. – Ale żona mnie uprzedzała.

– Nie wątpię.

Biznesmen podniósł się z kanapy i spojrzał na Joannę.

– Chcę cię jednak zapewnić, że prędzej poderżnę sobie gardło, niż pozwolę, żeby broniła nas osoba, która wątpi w naszą niewinność.

Chyłka zakłęta w duchu. Każdy klient – nawet ten winny jak ocet – odczuwał przymus, by przekonać obrońcę o swojej niewinności. Było to bzdurne podejście, ale z jakiegoś powodu kultywowane na całym świecie. Dopiero doświadczeni recydywiści podchodzili do sprawy szczerze. Zdarzali się też oczywiście tacy jak Awit. Stawiali ultimatum, licząc na to, że jeśli ich prawnik uzna ich za niewinnych, zostaną rozgrzeszeni.

Przez moment Szlezyngier i Chyłka krzyżowali spojrzenia. Potem adwokat powoli wstała.

– Nie pracuję w taki sposób – powiedziała. – Skupiam się na obronie, a nie na tym, co zaszło naprawdę.

Awit spojrzał bezradnie na żonę. Ta odpowiedziała mu wzruszeniem ramion.

– Jeśli chcesz sensacji, idziesz do dziennikarzy – dodała Joanna. – Chcesz skazania, idziesz do prokuratora. Chcesz obrony, idziesz do mnie.

– A do kogo mam się zgłosić po prawdę?

– Nie wiem.

Szlezyngier przeczesał ręką włosy.

– W takim razie nie widzę naszej dalszej współpracy – oznajmił.

– Awit...

– Nie – zaoponował, gromiąc wzrokiem małżonkę. – Nie pozwolę, żeby opluwał nas własny obrońca.

– Lepiej się do tego przyzwyczaj – poradziła Chyłka, zbliżając się o krok. – Od teraz każdy będzie na was pluł. Od mieszkańców okolicznych wsi, przez dziennikarzy, aż po oskarżycieli. Kwestią czasu jest, nim dla rodziny też staniecie się *personae non gratae*. Wszyscy po kolei się was wyrzekną, bo dowody nie obciążają nikogo innego, jak właśnie was.

– Jakie dowody? – zaprotestował Szlezyngier. – Nie ma tu żadnych śladów, niczego, co mogłoby wskazywać na przestępstwo. Do cholery, w ogóle nie ma śladu po naszej córce!

– Otóż to.

– Nie można nikogo oskarżyć bez dowodu – dodał Awit.

Chyłka obróciła się do aplikanta.

– Zordon, kolokwium.

– Słucham? – zapytał skonsternowany.

– Jak to idzie po łacinie?

– Musimy to teraz...

– Tak.

– *Qui accusare volunt, probationes habere debent* – odbąknął.

– Piękna sentencja, która ma tyle wspólnego z prawdą, ile stwierdzenie, że Kim Dzong Un naprawdę jest słońcem narodu – podsumowała Joanna. – A teraz opuszczamy ten lokal.

Kordian spojrział na niedopitą kawę. Szlezyngierowie wyglądali tak, jakby nie do końca rozumieli, co się dzieje. Cóż, przyzwyczajają się, uznała w duchu Chyłka.

– *Schneller*, aplikancie – dodała, ruszając w kierunku drzwi.

– Myślałem, że...

– Odpoczynek ci chodził po głowie? – zadrwiła. – A co ty jesteś, Dalajlama, żeby medytować? Prawnik jest od działania, a imitacja prawnika od pomagania mu w tym. Więc wstawaj i pomagaj.

Oryński niechętnie podniósł się z miejsca.

– Myślałem, że zażyjemy trochę snu – odburknął. – Prowadziłem pół nocy.

– Sen? Co to takiego?

– Chyłka...

– Masz na myśli ten moment, kiedy mrugam? – zapytała, a potem ponagliła go ruchem ręki i przeszła przez próg. Na odchodnym rzuciła jeszcze gospodarzom, by nie rozmawiali z policją pod jej nieobecność.

4

W drodze do Augustowa Kordian przysłuchiwał się rozmowom, które patronka prowadziła przez telefon. Zawsze zastanawiało go, jak udaje jej się przeforsować swoją wolę na innych – tym bardziej, że opryskliwość niespecjalnie zachęca ludzi do współdziałania.

Mimo to już pół godziny po wyjeździe Chyłce udało się ustalić, który funkcjonariusz prowadzi sprawę, i spowodować, by pewien wysoki stopniem oficer z Komendy Głównej zadzwonił do policjanta i poinformował go, że współpraca z kancelarią Żelazny & McVay jest co najmniej wskazana.

Oryński zaparkował pod budynkiem Komendy Powiatowej na Brzostowskiego, a potem wysiadł z auta.

– Będziemy musieli zapłacić za tę przysługę? – zapytał.

– Nie – odparła Joanna, zamykając za sobą drzwi. – Formalnie nie reprezentujemy podejrzanego, bo nikomu nie postawiono żadnych zarzutów. Żelazny uruchomił kontakt w Warszawie, który miał zaległy dług do spłacenia.

– Nie jest to moralna nieskazitelnosc.

– Co?

– Nic.

– Szukamy dzieciaka, Zordon. W tej chwili sprawę traktują jako zaginięcie, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by z nami współpracowali. Musimy tylko znaleźć starszego sierżanta Satanowskiego z Zespołu do spraw Poszukiwań i Identyfikacji Osób.

– Nazwisko nie nastraja optymistycznie.

– Odezwał się, Oryjski.

Spojrzał na nią spode łba, ale Chyłka tego nie zauważyła, kierując się już w stronę wejścia. Weszli do dwupiętrowego budynku o jasnej elewacji, a potem szybko dowiedzieli się, gdzie szukać Satanowskiego. Przełożony najwyraźniej dał mu znać, że ma się spodziewać dwójki prawników, bo sierżant bez zdziwienia otworzył im drzwi i zaprosił do swojego biura.

O ile można było to miejsce nazwać biurem, skwitował w duchu Oryński. Nie miało wiele wspólnego z gabinetami na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight – była to niewielka kłitka, a żeliwny kaloryfer przywodził na myśl czasy, kiedy guma Donald robiła furorę.

– Proszę, niech się państwo rozgoszczą.

Spojrzelili po sobie, a potem usiedli na skrzypiących krzesłach przed biurkiem. Odchodziła z nich farba i nie były specjalnie stabilne. Błat, za którym siedział funkcjonariusz, przypominał Kordianowi jego szkolną ławkę z podstawówki.

Satanowski odchrząknął i skrzyżował ręce na piersi, patrząc wyczekująco na prawników.

– Jak rozumiem, przyszli państwo w sprawie Nikoli Szlezyngier.

Chyłka wywróciła oczami. Oryński uznał, że najlepiej będzie, jeśli to on przejmie inicjatywę.

– Tak – odezwał się. – Reprezentujemy rodziców.

– Państwo Szlezyngierowie będą się teraz kontaktować przez prawników?

– Nie, po prostu...

– Wszyscy chcemy ją znaleźć, sierżancie, aspirancie, czy jaki pan tam ma stopień – wtrąciła Joanna. – Im więcej zasobów, tym lepiej. A zapewniam, że my stanowimy porządną zasób ludzki. Przynajmniej

w pięćdziesięciu procentach. – Spojrzała pobłaźliwie na Kordiana, a potem uśmiechnęła się sztucznie do policjanta. – I bylibyśmy wdzięczni za kilka informacji. Zacznijmy od tego, co znaleźliście na miejscu zdarzenia.

Satanowski odgiął się na krześle.

– Nasi klienci twierdzą, że nie było żadnych śladów po drabinie – dodała. – A wprowadzić dziecko można byłoby jedynie przez okno dachowe.

Policjant skinął głową.

– Umiesz mówić czy tylko szorować krawężniki? – ofuknęła go.

Kordian uniósł rękę w geście rozpaczy.

– Pani mecenas... – podjął sierżant, ale nie dane mu było dokończyć.

– Nie bawmy się w formalizm – zestrofowała go Chyłka. – Szukamy tej dziewczynki? Czy nie?

Funkcjonariusz nie patrzył na nią jak na wariatkę, choć właśnie tego Oryński się spodziewał. Nie, Satanowski spoglądał na nią jak na wroga.

– Pani mecenas – zaczął jeszcze raz. – Zgodziłem się na to spotkanie, bo sądziłem, że mają mi państwo coś do zaoferowania.

– Co? Chcesz w łapę?

Satanowski otworzył usta, ale się nie odezwał. Zamiast tego podniósł się z krzesła, a potem wskazał swoim gościom drzwi.

– Byłem przekonany, że mają państwo jakieś informacje w sprawie, ale widzę, że się pomyliłem.

Joanna również wstała.

– Bardzo się pomyliłeś – odparła. – Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale twój przełożony ci to wytłumaczy.

Na Satanowskim nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Nadal tkwił w bezruchu, z ręką wyciągniętą w kierunku korytarza. Chyłka spojrzała na swojego podopiecznego, zaklęła pod nosem, a potem wyszła z pokoju.

Gdy znaleźli się przed jasnym budynkiem, wyciągnęła elektronicznego papierosa z kieszeni żakietu.

– Zadrwili sobie z Żelaznego – syknęła.

Oryński stanął obok niej i też wyjął nikotynowy oręż.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– Policja sobie zadworowała, Zordon.

– Nie sądzę, żeby...

– Po tym, co wywinęliśmy pod rezydencją Siwowłosego, kancelaria miała z nimi na pieńku.

Kordian wrócił myślami do tamtych zdarzeń i musiał przyznać patronce rację. Spalili wtedy za sobą wszystkie mosty, jakie łączyły ich ze służbami. Naiwnością było myśleć, że ktokolwiek udzieli im teraz pomocy.

– Poza tym wiedzą, że Szlezyngierowie są winni – dodała.

– Nie mają żadnych dowodów.

– Nie? – zapytała, obracając się do niego. – To może wytłumaczysz mi, jak ktoś otworzył okno dachowe od zewnątrz, wszedł do środka, zabrał dziecko, a potem wyszedł i zamknął to okno za sobą? I nie zostawił żadnych śladów?

– Nie wiemy, czy nie ma śladów.

– Wiemy doskonale – zaoponowała, próbując zaciągnąć się papierosem. Odsunęła go i z wściekłością spojrzała na migające czerwone światelko. – Gdyby w domu były jakiegokolwiek ślady, dochodzeniowcy nie braliby Szlezyngierów na celownik.

– Porywacz mógł mieć rękawiczki.

– Brawo, Zordon – odparła. – Mógł też mieć czepek, maskę i kombinezon, żeby nie zostawiać śladów osmologicznych czy biologicznych. A brak śladów traseologicznych wskazuje na to, że unosił się na deskolotce.

Oryński rozejrzał się i podrapał po głowie.

– Z czymś musimy pójść do sądu – zauważył.

– Z czymś tak. Ale na razie nie wiem, co by to mogło być. Każdy sędzia natychmiast wlepi Szlezyngierom najwyższą karę.

– Bez dowodów?

– Dowód się znajdzie. W postaci ciała.

– Tryskasz optymizmem, jak zawsze.

– Mówię tylko, jak jest. Zwłoki mają to do siebie, że się odnajdują.

Wsiedli do icks piątki, Kordian znów zajął miejsce za kierownicą. Przypuszczał, że to już ostatnia okazja do poprowadzenia tej bestii – Joanna niechybnie uzna, że nie ma przeciwwskazań, by zasiadła za sterami.

Westchnął głęboko, żałując, że dał się w to wciągnąć. Wprawdzie miło było znów pracować z Chyłką nad wspólną sprawą, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieli bronić dwójki wyjątkowych zwyrodnialców.

– Jedno trzeba im przyznać – powiedział, wbijając wsteczny. – Kłamać to oni potrafią.

Joanna milczała, bacznie obserwując obraz z tylnej kamery.

– Uważaj – bąknęła.

– Uważam przecież – odparł, dopiero teraz dostrzegając rowerzystę. Zahamował trochę zbyt gwałtownie. Chyłka spojrzała na niego z wyrzutem i pokręciła głową.

– Masz rację – odezwała się po chwili. – Z łgarstwem radzą sobie zawodowo. Gdyby nie zdrowy rozsądek, powiedziałabym, że tego nie zrobili.

Zerknęli na siebie, ale nie kontynuowali tematu. Chyłka wyciągnęła smartfona, a potem wybrała numer jednej ze swoich znajomych w redakcji NSI. Kamery tej stacji pojawiały się tam, gdzie się coś działo, dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc istniało spore prawdopodobieństwo, że reakcja będzie błyskawiczna.

Oryński miał jednak nadzieję, że tak się nie stanie. Szlezyngier być może miał obycie w tych sprawach, ale jego żona z pewnością nie. Jeden niefortunny komentarz, a nawet gest mógł sprawić, że pogrąży ich w oczach opinii publicznej.

Chyłka najwyraźniej była jednak innego zdania. Po chwili jej znajoma dziennikarka ochocho zapewniła, że przyjedzie jeszcze dziś wieczorem.

– Nie wiem, czy aby się nie pospieszyłaś – zauważył Kordian, gdy patronka obróciła telefon w ręce i schowała go do kieszeni żakietu niczym rewolwerowiec broń. Wjechali na krajową szesnastkę w kierunku Przewięzi i Oryński pozwolił sobie nieco przyspieszyć.

– Nie mamy wiele czasu – zaproponowała. – Widziałeś ślipia tamtego krwiożercy?

– Hę?

– Tego Satanowskiego? Kołatał się już w nich zew krwi. Policyjne ogary namierzyły ofiarę i nie minie pół dnia, a rozszarpią ją na kawałki.

– Myślisz, że chcą już postawić zarzuty?

– A na co mają czekać?

Kordian pokiwał głową. Rzeczywiście trudno było spodziewać się czegokolwiek innego. Prokuratura mogła już zacierać ręce.

– Nie strzelimy sobie w stopę z tą dziennikarką? – zapytał.

– My? Tuż judykatury z kancelarii Żelazny & McVay?

– Pytam poważnie – zazaczył z uśmiechem. – Jeśli urządzimy medialną szopkę, jak przy sprawie Madzi z Sosnowca, a potem znajdzie się ciało, wszystkie gazety, stacje i rozgłośnie zjedzą Szlezyngierów na surowo.

– Damy sobie radę. Potrzebuję dobrego startu, a bez kamer tego nie osiągniemy.

Oryński nie był przekonany, ale wiedział, że dyskusja na nic się nie zda. Przy dźwiękach Iron Maiden w milczeniu przejechali niecałe dziesięć kilometrów, a potem Kordian zaparkował pod domkiem letniskowym.

Chyłka natychmiast przystąpiła do pracy. Poinstruowała Angelikę, co i jak ma mówić, Awitowi kazała milczeć, twierdząc, że będzie lepiej, jeśli historię opowie wyłącznie zrozpaczona matka. Potem zrobiła próbę generalną, wprowadziła kilka poprawek i znów zablokowała e-papierosa, zbyt mocno i zbyt często się zaciągając. Po kolejnej próbie uznała, że Szlezyngierowie są gotowi.

Oryński przyglądał się temu ze zgrozą. Nie wyglądało to najlepiej i gdyby to od niego zależało, zamknąłby małżeństwo w domu i nie pozwolił kontaktować się z mediami. To nie on jednak decydował. I to nie on miał za sobą cały szereg spraw, w których oskarżeni odchodzili wolni, mimo że przemawiały przeciwko nim mocne dowody.

Chyłka rzadko tonęła. Rzadko też chwytala się brzytwy. W tym przypadku sytuacja była jednak na tyle beznadziejna, że złapałaby nawet za najostrzejszą.

– Jesteś pewna? – zapytał Kordian, kiedy skończyli.

– Nie.

– Więc może...

– Musimy działać, Zordon. Bez uderzenia wyprzedzającego padniemy jeszcze przed pierwszą rundą.

Miał nadzieję, że patronka się nie myli.

5

Po nagraniu wywiadu Chyłka najchętniej poszłaby do pierwszego lepszego kiosku po paczkę papierosów. Mógłby być spożywcza, stacja benzynowa, cokolwiek. Niestety w okolicy Sajenka takich przybytków nie było. Najbliżej znajdowała się budka z lodami i zapiekankami, ale otwierano ją wyłącznie w sezonie. Teraz była zamknięta na cztery spusty.

Wywiad okazał się kompletną katastrofą. Nie dość, że Angelika wypadła blado, z niewielkim zaangażowaniem opowiadając o córce, to jeszcze włączał się Awit, który miał robić za paprotkę. Jego ton wobec żony był wyniosły i protekcyjny – najwyraźniej liczne występy w roli eksperta w telewizji biznesowej odbiły się na zachowaniu przed kamerą.

Kiedy operator spakował sprzęt, Joanna wraz z dziennikarką wyszły na zewnątrz.

– Dzięki, Chyłka – rzuciła z zadowoleniem Olga Szrebska. – Będę miała materiał na cudowną tragedię.

– Daj spokój.

– Macie cokolwiek, żeby ich z tego wyciągnąć?

– Zobaczysz na sali sądowej.

– Nie będzie mnie. Muszę wracać.

– W takim razie obejrzysz mój upadek na ekranie.

Szrebska poklepała ją po plecach, puściła do niej oko, a potem wraz z operatorem wsiadła do samochodu z logiem NSI. Joanna machnęła ręką na pożegnanie. Odprowadziwszy auto wzrokiem, stała przez chwilę na ganku. Starła się o niczym nie myśleć. W szczególności o papierosach.

Potem ruszyła w kierunku jeziora. Przeszła przez molo i usiadła na końcu, zwieszając nogi nad wodą. Jej ołówkowa spódnica nie zniesie tego najlepiej, ale Chyłkę niespecjalnie to teraz zajmowało.

Jeśli Szrebska odpuściła sprawę i przekazała materiał innemu reporterowi, mogło to oznaczać tylko jedno – nie będzie tu żadnej wielopoziomowej sensacji, na którą polowała ta dziennikarka. Wina będzie oczywista, Szlezyngierowie szybko staną się szumowinami, a jak tylko ciało się odnajdzie, prokuratora wsadzi ich na długie lata do więzienia.

Joanna wbiła wzrok w spokojną taflę jeziora. Tę część nurkowie już przeszukali, ale kawałek dalej prace nadal trwały. Sprawca mógł wyrzucić ciało dziewczynki gdziekolwiek – do molo przycumowana była niewielka łódka. Zabezpieczono ją, lecz Chyłka wątpiła, by znaleziono tam jakiegokolwiek ślady poza tymi, które zostawili Szlezyngierowie.

Sajenko zajmowało prawie trzydzieści sześć hektarów, więc nurkowie mieli roboty jeszcze na dzień, może dwa. Chyba że wcześniej odnajdą ciało.

Z drugiej strony, dziewczynka mogła znajdować się gdzieś w lasach. Puszcza Augustowska była nieprzenikniona, a jej polska część rozciągała się na ponad sto hektarów. Jeśli zabójca się postarał, poszukiwania mogły trwać jeszcze długie miesiące.

Joanna siedziała w milczeniu, wbijając wzrok w gęstwinę drzew na niewielkim cyplu po lewej stronie. Rozłożyste korony nachodziły na siebie, tworząc mur zieleni. Po chwili prawniczka dostrzegła, że zza cypla wyłania się łódka. Starszy mężczyzna siedział odwrócony do niej plecami, z wolna wiosłując.

Chyłka przez moment zastanawiała się, a potem wstała.

– Hej! – krzyknęła.

Wioślarz obrócił się i posłał jej zaciekawione spojrzenie.

– Nie można tu teraz pływać – powiedziała, przykładając ręce do ust i robiąc z nich tubę.

Starzec wzruszył ramionami. Ostatnie siwe włosy okalały łysy placek na jego głowie, a zmarszczki

Chyłka mogła dostrzec nawet z oddali.

– Podpłyn pan tu! – poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Mężczyzna zawahał się, ale ostatecznie wykonał polecenie. Zatrzymał się przy pomoście, po czym podał Joannie wiosło, by go przyciągnęła.

– Co z pana za jeden? – powitała go.

– A z pani?

– Joanna Chyłka, kancelaria Żelazny & McVay.

W Warszawie taka deklaracja robiła swoje. Tutaj prawniczka równie dobrze mogła powiedzieć, że jest pracownikiem McDonalda.

– I czego pani ode mnie chce?

– Zapytać, dlaczego pan pływa po jeziorze, skoro widać jak na dłoni, że wciąż trwają tu poszukiwania?

Mężczyzna chrapliwie nabrał tchu.

– Nikt nie zabronił – powiedział.

Adwokat przytrzymała przez chwilę jego wzrok, a potem podała mu rękę. Wygramolił się z łódki i podziękował ruchem głowy. Potem usiadł na pomoście. Zdziwiło ją, że tak chętnie się przysiadł, ale nie odezwała się słowem. Może rzadko kiedy miał okazję do rozmowy.

– Jezioro jest zamknięte – zaznaczyła, siadając obok.

– To jest staw.

– Jeden grzyb. Nie można pływać.

– Pytałem i pozwolili – zaproponował starzec. – Tę część dna już przeczesali.

Joanna przez moment milczała, starając się zignorować rybny zapach, jaki dobywał się z ubrania mężczyzny. Zordon byłby w niebie, uwielbiał łososie i wszelkie inne pływające barachło.

– Mimo wszystko przeszkadza pan w poszukiwaniach – odezwała się po chwili.

– I tak jej tu nie znajdą.

Obróciła się do niego.

– Dlaczego nie? – spytała.

Starzec potarł kildudniową siwą szczecinę, po czym sięgnął do kieszeni kraciatej koszuli. Wyjął paczkę viceroyów i zapalił jednego. Śmierdziały okrutnie, a mimo to Chyłka poczuła, jak serce zabiło jej szybciej.

– Tego dziecka nie ma w wodzie – odezwał się wioślarz.

– Po czym pan wnosi?

– W tym roku lato było wyjątkowo upalne. Na dobrą sprawę nadal jest.

– I co z tego?

– Niech pani zanurzy rękę w wodzie.

Chyłka spojrzała na niego z powątpiewaniem, ale zmąciła taflę stawu obok pomostu. Woda rzeczywiście była ciepła, nawet bardzo. Wprawdzie zbiornik był niewielki i słońce operowało nieustannie, ale o tej porze dnia woda powinna być chłodniejsza.

– Stawy i jeziora nie mają stałej temperatury – odezwał się rozmówca.

– I?

– Na jednym brzegu bywa ciepłej, na drugim zimniej.

Zerknęła na niego spość łba.

– Długo będzie pan tak pierniczył od rzeczy?

– Tu, gdzie jesteśmy, woda zawsze jest znacznie chłodniejsza – oznajmił niezrażony.

Starzec najwyraźniej miał trochę nierówno pod kopułą, ale nie było to dla Joanny nic nowego.

Współpracownicy z kancelarii też nie należeli do zrównoważonych.

– Dąży pan do czegoś?

– Tak – odparł, a potem głęboko się zaciągnął. Chyba szybko tego pożałował, bo zaniósł się skrzekliwym kaszlem. – Wie pani, dlaczego ciała w ogóle wypływają?

– Niespecjalnie.

– Jest pani prawnikiem, powinna...

– Prawniczką. Nie należę do feministek językowych, ale bez przesady.

Starzec spojrział na nią jak na wariatkę. Potem znów zakaszłał, tym razem cicho, choć chrobot z płuc był wyraźnie słyszalny. Po raz pierwszy Chyłka pomyślała, że rzucenie palenia to była dobra decyzja. Zaraz potem odepchnęła od siebie tę myśl.

– Im cieplej, tym szybciej wypływają na powierzchnię. Niech pani zapyta tych techników.

– A pan skąd to wie?

– Z kryminałów, to najlepsze źródło informacji. W *Wigilii Wszystkich Świętych* Christie pojawia się topielica, ale czytam też Chandlera i Conan Doyle’a. Czasem sięgnę po Poego.

– Rozumiem. Wszystko, byleby nie J.K. Rowling.

– Słucham?

– *Harry’ego Pottera* mogę czytać bez końca, ale każda inna pozycja to mordęga.

– O czym pani mówi?

Chyłka zbyła pytanie machnięciem ręki.

– Więc z książek wnosi pan, że ciało powinno już wypłynąć?

– Ja nie wnoszę, tylko pani mówię – sprostował starzec, gasząc niedopałek na molo. Dopalił do samego filtra. – Jeśli ktoś utopiłby to dziecko w tamtej części jeziora, ciało już by wypłynęło. Jest tam znacznie cieplej.

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął rękę do Chyłki i ruszył w kierunku łódki. Prawniczka podniosła się i pomogła mu zejść z pomostu.

– Gdzie pan mieszka?

– Niedaleko – odparł, a potem podniósł wiosło i podał jej drugi koniec. – Niech mnie pani odepchnie.

– Jak tylko się dowiem, z kim mam przyjemność.

– Antoni Ekiel. Mieszkam przy Gwiazdnej. A teraz niechże się pani na coś przyda.

Odepchnęła go, posyłając mu jeszcze zdawkowy uśmiech.

– Odwiedzimy pana – rzuciła.

Odpowiedział, zanurzając wiosła w wodzie. W milczeniu obrócił łódkę, a potem skierował się z powrotem w stronę cypla, ani razu na nią nie patrząc. Joannie nie pozostało nic innego, jak sprawdzić, czy w jego słowach tkwiło choć ziarno prawdy.

Udała się na drugą stronę jeziora, a potem wypytała techników o wszystko, co ją interesowało. Pracowali w niewielkiej jednostce policji, nie mieli żadnego doświadczenia w kontaktach z korporacyjnymi prawnikami. Bez trudu owinęła ich sobie wokół palca.

Zdołała ustalić, że Ekiel miał rację. Jeden z nurków twierdził, że w normalnych okolicznościach zwłoki w Sajenku wypłynęłyby po mniej więcej dwóch tygodniach.

– Kiedy osoba się topi, woda zajmuje miejsce tlenu w płucach, więc ciało idzie na dno – perorował, jakby odkrył jakąś tajemnicę. – Ale po tym, jak osiadzie na dnie, rozpoczynają się procesy rozkładu bakterii, które uwalniają gazy. Tempo zmian zależy od tego, jak głęboki jest zbiornik wodny, ile słońca dociera do ciała i gdzie ono leży. Zazwyczaj temperatura jest inna po północnej, a inna po południowej

stronie.

– Bakterie uwalniają gazy? – bąknęła niepewnie Chyłka.

– Żywią się proteinami z tkanek i... cóż, ogólnie rzecz biorąc, rozkładającym się organizmem. Normalnie żyją w jelicie grubym, ale mogą też pochodzić z zainfekowanej rany. Po tym, jak zaczynają zżerać ciało, wydzielają dwutlenek węgla i siarki. Zazwyczaj te związki napęniają twarz, brzuch, a w przypadku mężczyzn również genitalia. Ciało się unosi i wypływa na powierzchnię.

Joanna dowiedziała się też, że kobiety wypływają twarzą w górę, podobnie jak osoby otyłe. Tyle wiedzy jej absolutnie wystarczyło.

Wróciła do Zordona, a potem zrelacjonowała mu swoje odkrycia.

Przez kilka chwil patrzył na nią zdegustowany, a następnie pociągnął łyk kawy i skrzywił się. Siedzieli na strychu i Chyłka miała nadzieję, że rozmowy nie było słyhać na dole. Do szczęścia brakowało jej tylko tego, by Szlezyngierowie zaczęli sobie wyobrażać rozkładające się ciało małej.

– Dziwny facet – ocenił Kordian.

– Z ciebie jest dziwny facet. Tamten to wyłysiała osobliwość.

– Mniejsza z tytułurą. Myślisz, że coś może być na rzeczy?

– Niby co? Że porwał małą przez okno dachowe? Ledwo wygramolił się z łodzi.

– Więc po co w ogóle do ciebie podpływał?

– Nie wiem, może szukał sensacji – odparła Joanna, ale wcale nie była przekonana. Instynktownie czuła, że ze starcem coś było nie w porządku, ale trudno było powiedzieć co. Zresztą intuicja mogła ją mylić, nie byłby to pierwszy raz.

– Niech Kormak go sprawdzi – zaproponował Oryński. – O ile nie siedzi w Jaskini Mccarthyńskiej i nie czyta *Drogi* po raz sto pięćdziesiąty.

Zapewne tak właśnie było. Chudzielec, którego kancelaria zatrudniała oficjalnie jako „starszego specjalistę ds. informacji”, zawdzięczał swój pseudonim temu, że od rana do nocy czytywał McCarthy’ego. Oprócz tego zajmował się szpiegowaniem tych, którzy znaleźli się na celowniku firmy – z Facebooka, Instagrama, Twittera, Snapchata i Endomondo potrafił wyczarować prawdziwe cuda, w dodatku całkiem legalnie.

– Nic na niego nie znajdzie – odparła Joanna. – Dziad pewnie nie ma nawet dostępu do Internetu.

– Warto sprawdzić.

Pokiwała niechętnie głową, a potem napisała Kormakowi SMS-a.

Godzinę później pożałowała, że zwątpiła w umiejętności chudzielca.

6

Kordian stał obok patronki, gdy ta otrzymywała komplet informacji od Kormaczyska. Mimo sugestywnych gestów aplikanta, nie włączyła głośnika, musiał więc cierpliwie czekać, aż szczypior skończy swoją relację. Trwało to dobry kwadrans. Potem Joanna odłożyła telefon i zawiesiła wzrok na Oryńskim.

- Mamy coś – wydedukował, dostrzegając znajomy błysk w jej oczach.
- Żebyś wiedział.
- Powiesz mi, czy mam się domyślać?
- Antoni Ekiel został prawomocnie skazany z artykułu dwieście siódmego Kodeksu karnego.
- Czyli?
- Powinieneś to wiedzieć, aplikancie.
- Nie ryję tego przecież na pamięć.
- Jak wykryję więcej takich braków, zapewniam cię, że zaczniesz.

Kordian bezradnie rozłożył ręce.

- Więc co to za przestępstwo? – spytał.
- Znęcanie się nad członkiem rodziny.
- Nad dzieckiem?
- Aha – potwierdziła z uśmiechem. – Ekiel dostał rok za kratkami.

Oryński usiadł na łóżku i ponaglił patronkę ruchem ręki.

- Wiemy coś więcej? – zapytał.
- Pewnie. Kormak przegrzebał już wszystko, co było do przegrzebania. – Joanna usiadła obok niego. – Nasz rybak złapał swoją czteroletnią córkę na gorącym uczynku, gdy ta cięła nożyczkami jego nogawki na pół. Zaczął tłuc ją po rękach, a skończył dopiero, gdy dziewczynka miała zmiażdżone cztery palce.

- I dostał aż rok więzienia? Ile za coś takiego grozi?
- Od trzech miesięcy do pięciu lat – wyjaśniła Chyłka. – Najwyraźniej nie okazywał przesadnej skruchy.

- Kiedy to było?
- W dziewięćdziesiątym dziewiątym.
- I gdzie teraz jest córka?
- Chudzielec do tego nie dotarł. Odkrył za to, że sądowno pozbawiono Antoniego praw rodzicielskich.

Właściwy miejscowo był sąd w Białymstoku.

- Wyniósł się tu, by smród się za nim nie ciągnął.
- Brawo, Zordon.
- I co z tym zrobimy?

Skinęła głową w kierunku drzwi i nie musiała dodawać nic więcej. Oryński zdawał sobie sprawę, że to lichesy trop – ale zawsze jakiś. Gdyby byli dwójką śledczych, najpewniej sprawdziliby go tylko dla pewności. Jako obrońcy mogli jednak skorzystać na tej sytuacji – wyciśnięty jak cytryna Antoni Ekiel mógł na sali sądowej chlapać coś, co poda winę ich klientów w wątpliwość. A tyle wystarczy, by sprawa stała się skomplikowana.

Tym razem prowadziła Chyłka, przez co szybko dotarli na Gwiazdną. Zapytali kobietę pracującą

w ogródku o Ekiela, a ta bez wahania wskazała im właściwy budynek. Chwilę później stali na ganku i dzwonili do domu.

Mężczyzna z plackiem łysiny na głowie uchylił drzwi i spojrzał podejrzliwie na chłopaka. Dopiero gdy dostrzegł prawniczkę, zaprosił ich do środka.

– Nie rozgaszczajcie się zbyt, bo przypuszczam, że nie zabawicie długo – powiedział, idąc do kuchni. – Wodę na herbatę nastawiam dla siebie.

Stał zgarbiony nad starą kuchenką gazową, a dwoje prawników spojrzało po sobie i ruszyło w jego kierunku.

– Przypuszczałem, że najpierw przyjdzie do mnie policja – wyrzeźił.

Kordian spojrzał na popielniczkę leżącą na blacie. Niedopałki wyglądały jak świece na torcie urodzinowym stulatka.

– Więc wie pan, dlaczego tu jesteśmy – skwitowała Joanna.

– Oczywiście. Przecież figuruję w tym całym Centralnym Rejestrze Skazanych.

– W dwutysięcznym zmienili nazwę na Krajowy Rejestr Karny – sprostowała Chyłka. – I to, że pan figuruje, nie znaczy, że tacy jak my mogą to sprawdzić.

– Nie? Sądziłem, że każdy ma dostęp.

Oryński obawiał się, że patronka zaraz wyznaczy go do odpowiedzi, ale szczęśliwie nawet na niego nie spojrzała. Wiedział, że od dwa tysiące trzynastego ewidencja ta była połączona z Krajowym Rejestrem Sądowym – jeśli miało się tam znajomego, można było łatwo sprawdzić delikwenta. I zapewne właśnie tak Kormak zdobył informacje. Jeśliby ktokolwiek odkrył taki proceder, w praktyce chłopakowi groziłaby kara grzywny, którą Chyłka chętnie zapłaci.

Antoni patrzył na nich skonsternowany. Zapewne zastanawiał się, czy nie powiedział za dużo.

– Dotarliśmy do informacji prasowych – zełgała Joanna.

– Ach tak?

Wyraźnie odetchnął.

– I co o mnie pisali?

– Nic dobrego.

Zalał sobie herbatę, a potem usiadł przy stole. Krzesło skrzypiało mniej więcej tak, jak jego stawy.

– Policja prędzej czy później się zjawi – dodała Chyłka. – Nie zignorują faktu, że kilkaset metrów od miejsca zdarzenia mieszka człowiek skazany za znęcanie się nad dziećmi.

– Nad dzieckiem.

Prawniczka zbliżyła się do niego i spojrzała nań z góry.

– Czego pan chce? – zapytała.

– Słucham? – zachnął się, kręcąc torebką w kubku. – To wy nachodzicie mnie w moim domu, przypominacie o sprawach dawno zapomnianych, a w dodatku...

– Zauważył mnie pan z tego cypla – ucięła. – Podpłynął pan do mnie i z premedytacją wspominał o wypływaniu ciał.

– Doprawdy?

– Oczywiście. Chciał pan zwrócić moją uwagę. I udało się, oto jestem.

Usiadła naprzeciwko niego, a Oryński przycupnął obok. Niespecjalnie podobała mu się ta rozmowa i sądził, że do niczego dobrego nie doprowadzi.

– Ściągnąłem twoją uwagę, dziecko, ponieważ wątpisz w niewinność swoich klientów.

Chyłka przez moment trwała w absolutnym bezruchu. Potem obróciła się do Kordiana i uniosła brwi.

– Ten matuzalem na nic nam się nie zda – oceniła, podnosząc się z krzesła. – Najwyraźniej znalazł sobie alternatywę dla rozrywki przy krzyżówce.

Ekiel popatrzył na nią wrogo, a Kordian wstał z miejsca. Wiedział, że nie opuszczą tego domu bez odpowiedzi, choć na dobrą sprawę sam nie był pewien, jakie pytania zostały zadane. Nie było to dla niego nic nowego, Chyłka nieraz informowała go o istotnych sprawach w ostatnim momencie.

Ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się przed progiem.

– Ostatnia szansa – powiedziała.

Starzec pociągnął łyk gorącej herbaty, siorbiąc przy tym głośno.

– Ci ludzie tego nie zrobili – oznajmił.

– Skąd pan wie? – włączył się Kordian.

– Widziałem.

– Co? – zapytała Joanna, odwracając się do niego. Oparła się o futrynę drzwi i skrzyżowała ręce na piersi. – Co pan widział?

Ekiel świszcząco nabrał tchu, a potem poszukał wzrokiem paczki papierosów. By przyspieszyć wymianę informacji, Oryński szybko zlokalizował viceroye i podał mu je. Przez moment kusiło go, by wziąć jednego, ale szybko skarcił się w duchu.

Mężczyzna sobie podpalił, a potem wykaszał wszystkie samogłoski.

– Wybaczcie – powiedział. – Lata już nie te.

– Czekamy – upomniała go Chyłka. – Ale w nieskończoność nie będziemy.

Powoli skinął głową.

– Nie śpiam dobrze – zaczął. – Czasem sen zmorzy mnie podczas dnia, ale potem w nocy ciężko oko zmrużyć. Czasem po zmroku pływam łodzią, uspokaja mnie to. Łowią, mam porządne spławiki i mnóstwo świetlików... za czterdzieści złotych sąsiad zamówił mi przez Internet. Pięćdziesiąt zestawów, co daje mi sto świetlików. Każdy świeci do dwunastu godzin.

– Panie Antoni... – podjął błagalnie Kordian.

Starzec odłożył papierosa do popielniczki.

– Tamtej nocy też łowiłem. Choć trudno nazwać to łowieniem, zazwyczaj po prostu siedzę. Ryby boją się świecącego spławika.

– Widział pan coś?

– Widziałem to dziecko...

– Nikołę Szlezyngier?

Pokiwał głową i spuścił wzrok.

– Widziałem, jak szła z kimś wzdłuż jeziora.

– Z kim? – zapytała Joanna, rozplatając ręce.

– Nie dostrzegłem – odparł ciężko. – Zauważyłem tylko dwie postacie, jedną niską, drugą wysoką.

Prawnicy wymienili się zdezorientowanymi spojrzeniami.

– Zastanawia was, dlaczego nie poszedłem na policję... – ciągnął dalej Ekiel. – Nie chcę zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Nikt tutaj nie wie o mojej przeszłości. Gdyby taka rzecz wyszła na jaw... to mała społeczność, byłbym skończony.

– Więc dlaczego nam pan o tym mówi? – chciał wiedzieć Oryński.

Mężczyzna westchnął z charkotem.

– Oglądałem konferencję prasową – oznajmił, tłumiąc kaszel. – Widziałem, jak patrzyliście na tych ludzi... i zrozumiałem, że to oni są podejrzani. Ale to nieprawda. Ktoś porwał ich dziecko.

– Mężczyzna? Kobieta? – zapytała Chyłka. – Musiał pan widzieć sylwetkę.

– Było zbyt ciemno...

– Więc może uda się panu określić orientacyjnie wzrost? – podsunął aplikant.

– Nie – odparł starzec i podniósł papierosa z popielniczki.

– Wystarczyłoby nam cokolwiek, co pomogłoby zawęzić krąg podejrzanych.

Ekiel wzruszył ramionami, zaległo milczenie. Goście czekali, aż gospodarz podejmie temat, ale ten najwyraźniej nie miał nic więcej do powiedzenia. Chyłka próbowała wypytać go jeszcze o szczegóły, lecz niczego więcej się nie dowiedzieli.

– Wezwiecie mnie na świadka, tak?

– Oczywiście – odparła.

– Więc moja przeszłość zostanie ujawniona?

– Nie. To nie są informacje publiczne.

Spojrzał na nich bez przekonania, a potem dopił herbatę. Jego milczenie przyjęli za sugestię, by opuścić dom. I tak dowiedzieli się więcej, niż mogli się spodziewać. Podziękowali Antoniemu, po czym wrócili do iks piątki. Kordian opadł ciężko na siedzenie pasażera i westchnął.

– Ten facet popełnił przestępstwo w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

– Ano.

– A po dziesięciu latach następuje zatarcie skazania.

– No tak.

– Więc matuzalem, jak mówisz, nie figuruje w żadnym rejestrze.

– Błąd – orzekła Chyłka, uruchamiając silnik. – Nie figuruje w karnym ani sądowym, ale jego dane zostają w Krajowym Systemie Informacji Policji.

– Bzdury opowiadasz – odparł Kordian. – Zatarcie skazania spełnia funkcję resocjalizacyjną. Usuwa wszystkie ślady po popełnionym przestępstwie. Cały sens tej instytucji polega na tym, by nie piętnować ludzi za dawne przewinienia.

– Zordon – zestrofowała go, a potem dołożyła jeszcze piorunujące spojrzenie, jakby ton głosu był niewystarczającym kalibrem. – Policja to obeszła. A w dwa tysiące piątym roku Trybunał Konstytucyjny klepnął przepis, dzięki któremu to robią.

Oryński przez moment się zastanawiał, po czym skinął głową. Właściwie powinien się spodziewać, że organy ścigania dysponowały jakąś furtką – tudzież że Kormakowi udało się ją uchylić.

– Tak czy owak, informacje Ekiela na niewiele nam się zdadzą – zauważył aplikant.

– Pomogą nam w sądzie.

– Niby jak? Prokurator będzie argumentował, że to Awit prowadził córkę nad jeziorem.

– Niech sobie argumentuje, co chce. I tak obrócimy to na swoją korzyść.

Kordian nie był co do tego przekonany.

– Poza tym może to nie był Szlezyngier – dodała Chyłka, a potem ruszyła w kierunku przeciwnym do domku letniskowego. Oryński nie musiał pytać, dokąd zmierza. Doskonale wiedział, że wracają prosto do paszczy lwa, gdzie z biurek odpada farba, a krzesła niebezpiecznie się kolebią.

7

– I w jaki sposób dotarliście do tych informacji? – zapytał Satanowski.

Odpowiedź na to pytanie była kluczowa, więc Chyłka przybrała swój najbardziej przyjazny uśmiech. Działał na takich, jak ów sierżant, więc nie spodziewała się problemów. Przez moment milczała, zawieszając na nim wzrok. Twarz Satanowskiego szybko złagodniała, choć on sam zapewne nie miał o tym pojęcia.

– Media, archiwa, Internet... wiesz, jak jest – powiedziała. – Wszystko to zbiera do kupy specjalista w Skylight, nie mam wglądu do jego biura.

– Gdzie?

– W biurowcu na placu Defilad.

Funkcjonariusz spojrział bezradnie na Kordiana, a ten wzruszył ramionami.

– W Warszawie. Samo centrum, pod Pałacem Kultury. Duży oszklony biurowiec obok Złotych Tarasów.

Nie oglądasz telewizji?

– Nie zwracam uwagi na topografię stolicy.

– Mniejsza z tym – zbyła temat Joanna. – Wzywajcie tego nietoperza, niech wam wycharczy wszystko od A do Z, a potem zejdźcie z moich klientów.

– Nie postawiliśmy im żadnych...

– Jeszcze nie, ale zamierzacie to zrobić – ucięła. – A teraz do roboty. Choć raz przydajcie się na coś, zanim wciągniecie w to prokuratora.

Wstała, a potem bez słowa skierowała się do wyjścia. Oryński się nie ościagał.

Zastanawiała się, od której strony ugryźć zeznanie Antoniego Ekiela, i ostatecznie doszła do wniosku, że najlepiej będzie grać na czas. Każda godzina przeznaczona przez policję na badanie tego tropu będzie znaczyła godzinę więcej na wolności dla Szlezyngierów.

Wcześniej powiedziała Zordonowi, że być może nie był to Awit, ale trudno było w to uwierzyć. Jeśli rzeczywiście doszło do porwania, do tej pory pojawiłoby się żądanie okupu. Za dzieciaka porywacz mógł dostać od tych ludzi krocie. Byłby ustawiony w każdym państwie na globie, łącznie z Bahamami.

A jednak nikt nie zażądał pieniędzy. I niespecjalnie to Chyłkę dziwiło, bo w Polsce była to praktyka raczej rzadka. Sprawdziła statystyki – w dwa tysiące trzynastym zgłoszono siedem i pół tysiąca zaginięć dzieci. Zdecydowana większość z nich wracała do domu po dwóch tygodniach, a dziewięćdziesiąt pięć procent już po tygodniu. Dzieci gubiły się z powodu niewłaściwej opieki, rzadko kiedy zostawały uprowadzone.

Chyba że przez rodziców. Te porwania nadal pozostawały najczęstszymi przypadkami. Patrząc na Szlezyngierów, trudno było jednak się tego spodziewać. Żadne z nich nie miało powodu, by uprowadzić córkę – do takich rzeczy dochodziło po rozwodach, w trakcie separacji czy w innych kryzysowych momentach związku.

– O czym myślisz? – odezwał się Kordian, gdy przejeżdżali przez niewielki most na Necie.

– O klientach.

Oryński poluzował pas i obrócił się do niej.

– I co z tego twojego myślenia wynika?

– Absolutnie nic.

– Czyli wszystko po staremu.

Zgromiła go wzrokiem.

– Rzadko mi się to zdarza, Zordon. Powinieneś o tym wiedzieć.

Ostatnim razem, gdy miała taki mętlik w głowie, pracowała nad sprawą Langerera. Nadal pamiętała ten mrozący krew w żyłach wzrok i „tik nerwowy” Piotra. Szybko odsunęła te myśli.

– Policja sprawdzi trop, może się czegoś dowiemy – powiedział Kordian.

– Najpewniej tego, że to Awit szedł z córką w nocy wokół jeziora. Potem pozostanie tylko przyciśnięcie go, by zdradził, gdzie zakopał ciało.

Oryński wrócił do poprzedniej pozycji.

– A jednak brzmisz, jakbyś wątpiła w ich winę.

– Nie wątpię. Chyba.

– Więc o co chodzi?

– Zastanawiam się, po co mieliby to robić – odparła, wyprzedzając samochód dostawczy na wąskiej ulicy bez pobocza. – Mieli takie możliwości, że nie musieliby się uciekać do metod, które ich stawiają w świetle podejrzeń.

Kordian wzruszył ramionami.

– Rozumiem tego typu ryzyko, gdy jest się w takiej sytuacji, jak ta dzieciobójczyni z Sosnowca – dodała Joanna. – Miała tylko chwilę, by zabić córkę, a potem ukryć jej ciało w jakimś rozpadającym się budynku nieopodal. Szlezyngierowie mogliby to zorganizować znacznie lepiej.

– Jednak tkwi w tobie dobro – skwitował aplikant.

– Że co?

– I starasz się je dostrzec u innych.

– Nie obrażaj mnie – odparła z uśmiechem, a potem dodała gazu. Przez moment pruli po wojewódzkiej 664 w milczeniu. Kordian bębnił palcami o drzwi, obserwując mijane drzewa. Po chwili, ignorując podwójną ciągłą, Joanna sprawnie przeskoczyła na lewy, a potem prawy pas, zostawiając w tyle całkiem przyzwoitego forda.

– Sam nie wiem – odezwał się Oryński.

– Czego tym razem nie wiesz?

– Nic w tej sprawie się nie zgadza – ocenił. – Od braku śladów przy domu, przez zachowanie Szlezyngierów, aż po pracę policji i zaangażowanie mediów.

– Policja obawia się powtórki wtopy z Sosnowca. Media jeszcze bardziej. Pamiętasz, jak wszyscy zaangażowali się w poszukiwania tamtej dziewczynki? Przez dwa tygodnie żyła tym cała Polska, a potem okazało się, że kobieta z zimną krwią przed zabójstwem szukała w Internecie najtańszych trumienek i sprawdzała, jaki jest zasiłek pogrzebowy dla niemowlaków. Wszyscy się wtedy zbłąźnili.

– Mimo wszystko...

– Nikt nie chce drugi raz dać się tak okpić.

– W porządku – powiedział. – A brak śladów?

– Nie baw się w śledczego.

– Trochę muszę, skoro mamy bronić tych ludzi. Wypadałoby mieć jakieś dowody mogące świadczyć o ich niewinności.

– Wystarczą dobre argumenty – odparła z uśmiechem, a potem dostrzegła wóz transmisyjny TVN24, który jechał niemal tak szybko jak iks piątka. Wskazała go Oryńskiemu i ściągnęła brwi. – Pędzą.

– Widzę.

Chyłka zredukowała bieg, a potem wcisnęła gaz do dechy. BMW wydało z siebie basowy pomruk

i pomknęło lewym pasem. Dopiero teraz oboje dostrzegli, że przed wyprzedzonym samochodem jadą również ekipy innych stacji.

Joanna wbiła kierunkowskaz, a potem sięgnęła po telefon. Wybrała numer Angeliki, ale ta nie odbierała.

– Trzymaj – powiedziała Chyłka, podając Kordianowi smartfona. – I próbuj się do niej dodzwonić.

Przyspieszyła jeszcze bardziej, starając się wyprzedzić pozostałe samochody z logami stacji informacyjnych. Ku domkowi letniskowemu zmierzał cały korowód.

– Wciąż nic? – zapytała.

Oryński pokręcił głową.

– Nie mamy numeru do Awita? – zapytał.

– Nie – odparła Joanna, wyłączając płytę Iron Maiden. – Ale czuję, że i bez tego dowiemy się, co jest grane. – Przełączyła na RMF FM, a potem oboje nerwowo czekali, aż skończy się jeden ze starych poprockowych hitów.

Zaczęła zmieniać stacje, ale trafili w półgodzinną lukę informacyjną – wszędzie albo nadawano reklamy, albo puszczano muzykę. Chyłka oddała sterowanie radiem aplikantowi, skupiając się na mijaniu kolejnych pojazdów.

Cały przejazd z mostu na Netcie do Stawu Sajenek zabrał im niewiele ponad pięć minut. A kiedy tylko wyjechali zza ściany drzew w pobliżu domku letniskowego, przekonali się, co spowodowało cały ten raban.

Na drodze dojazdowej stały cztery samochody policyjne, a umundurowani funkcjonariusze właśnie wyprowadzali z domu dwójkę podejrzanych. Chyłka wdusiła pedał hamulca, a zablokowane koła iks piątki jeszcze przez chwilę rozgarniały ziemię.

Równno z Oryńskim wypadli z samochodu.

– Hej! – krzyknęła Joanna. – Co to ma być?

Kilkoro policjantów, którzy obserwowali prowadzonych Szlezyngierów z oddali, natychmiast się uaktywniło. Jak na sygnał unieśli ręce i zwrócili się ku prawnikom.

– Proszę pozostać... – zaczęła jedna z funkcjonariuszek.

– Sama sobie pozostań – odparła Chyłka, nie zwalniając kroku. – Jestem ich obrońcą. Won mi z drogi!

Policjantka nie odsunęła się, więc Joanna szybko sięgnęła po smartfona i uniosła go, jakby chciała zrobić jej zdjęcie.

– Uśmiechnij się – powiedziała. – Jesteś w niezbyt ukrytej kamerze.

– Proszę to wy...

Chyłka sprawnie wyminęła policjantkę i ten sam zabieg powtórzyła z pozostałymi zebranymi. Kordianowi udało się przebić z nieco mniejszą gracją, ale koniec końców oboje znaleźli się po tej stronie barykady, po której być powinni. Tymczasem pierwsze wozy transmisyjne już zatrzymywały się kawałek dalej.

– Co to ma znaczyć? – odezwała się Joanna, stając przed samochodem policyjnym.

– Proszę nie utrudniać...

– Zatrzymujecie moich klientów? Jakim, kurwa, prawem?

Szlezyngierowie szli otoczeni przez funkcjonariuszy, zupełnie skołowani.

– Sąd przychylił się do wniosku prokuratora o tymczasowe aresztowanie – wyjaśnił jeden z policjantów.

– Jakiego wniosku? To jakaś kompletna hucpa!

– Podejrzanym przysługuje prawo do zażalenia.

Prawniczka zgromiła policjanta wzrokiem.

– Wiem doskonale, co im przysługuje. I gdzie jest postanowienie o zastosowaniu środka zapobiegawczego?

– Jeden z funkcjonariuszy odczytał je podejrzanym.

– Prokuratora nie ma?

Policjant pokręcił głową.

– I kiedy niby postawiono im zarzuty?

– Dziś.

– Na jakiej podstawie?

– Proszę pytać prokuratora, który prowadzi...

– Zapytałabym go, gdyby się tu pojawił. – Chyłka rozłożyła ręce i rozejrzała się. – I dodałabym do tego krótki, ale treściwy komunikat o tym, że porządnie się zagalopował.

Funkcjonariusz skinął głową w milczeniu, podczas gdy jego towarzysze wprowadzali Szlezyngierów do wozu policyjnego. Joanna wiedziała, że nie ma sensu protestować. Jeśli uda jej się cokolwiek załatwić, to wyłącznie na drodze urzędowej.

– Wyciągnę was – rzuciła bez namysłu, zanim drzwi się zamknęły.

Potem, gdy emocje opadły, pożałowała tego zapewnienia. Prokuratura często wnioskowała o tymczasowe aresztowanie, ale sąd przychylił się do tej prośby tylko wówczas, gdy naprawdę istniała obawa, że podejrzanym będzie utrudniał śledztwo. I tylko wówczas, gdy istniały mocne, obciążające go dowody.

8

W milczeniu weszli do pustego domku. Oryński zatrzasnął za nimi drzwi i przyłgął do nich plecami. Na zewnątrz zostawili kłębiący się tłum reporterów.

– Szrebska będzie żałowała, że oddała tę sprawę – burknęła Joanna, przechodząc do salonu.

Kordian ruszył za nią.

– Mamy przesrane – zauważył.

– Uspokój się, Zordon.

– Jestem spokojny, stwierdzam po prostu fakt.

Patronka otworzyła barek i pochyliła się nad jego asortymentem. Kordian uznał, że nie ma zamiaru przytępieć umysłu niczym mocniejszym, więc poszedł do lodówki po piwo.

Po chwili oboje ciężko opadli na kanapę.

– Mają coś konkretnego – zaznaczył aplikant.

– Najwyraźniej.

– Ale co?

– Może ktoś oprócz matuzalema widział Awita nocą. Może go poznał. – Chyłka pociągnęła łyk drinka, którego sobie przyrządziła.

Oryński otworzył piwo, ale zamarł z butelką w połowie drogi do ust, czując na sobie ciężkie spojrzenie towarzyszki. Ostrożnie skierował na nią wzrok.

– Nie ma mowy – powiedziała Joanna.

– Hę?

– Nie pijesz dzisiaj.

– Bo?

– Bo niebawem będziesz prowadzić.

– Nie wiedziałem, że gdzieś się wybieram.

– To już wiesz. Potrzebujemy tego wniosku – odparła ze spokojem. – Będziemy mieć prokuratorskie pismo, będziemy wszystko wiedzieć. Potem złożymy zażalenie i upokorzymy tę nędzną kreaturę, która ów wniosek wystosowała.

Kordian skinął głową bez przekonania. Nawet największy żółtodziób z prokuratury nie porywałby się w takiej sprawie z motyką na słońce. Musiały pojawić się nowe okoliczności.

Kilka godzin później ten scenariusz się potwierdził. Prawnicy złożyli odpowiednie dokumenty, które formalnie ustanawiały ich jako obrońców podejrzanych, a potem otrzymali wgląd w pismo oskarżyciela.

By to załatwić, musieli udać się do oddalonych o czterdzieści kilometrów Suwałk. Sprawa o zabójstwo przekraczała właściwość rzeczową sądów rejonowych i miała toczyć się w sądzie okręgowym przy Waryńskiego, w dawnej stolicy województwa.

Gdy tylko dostali dokumenty, zasiedli w pizzerii znajdującej się kilkaset metrów od budynku sądu. Czerwony wystrój wewnątrz nie nastrojał Oryńskiego optymistycznie, ale Chyłce najwyraźniej odpowiadał. Może przywodził jej na myśl Hard Rock Cafe.

Zamówiła sobie mexicanę – co nie było żadną niespodzianką – on zaś zdecydował się na vegetarianę.

– Spójrzmy... – powiedziała Joanna, rozkładając na stole papiery.

Było ich znacznie mniej, niż Kordian się spodziewał. Wydawało mu się, że sąd przekaże całe tomiszczce wyjaśniające, dlaczego ich klienci zostali zatrzymani. Tymczasem ich dwie pizze zapewne zajmą więcej miejsca niż te dokumenty.

– Tylko tyle tego jest? – zapytał.

– Na razie.

– Przecież aresztowali dwoje ludzi. Powinniśmy mieć dokładny wgląd w to, dlaczego tak się stało.

Joanna podniosła wzrok znad kartki.

– Niedługo zażądamy podania podstaw zarzutów i uzasadnienia ich na piśmie.

– Więc nie ma tego w tej dokumentacji?

– Nie, podejrzany na tym etapie postępowania nie ma pełnego dostępu do akt. A więc my również nie.

– Aha.

– Otrzymuje je dopiero przed zamknięciem postępowania przygotowawczego i wówczas obrońca może brać udział w przeglądaniu całej dokumentacji.

– Dobra, dobra... nauczę się tego w praktyce.

Spojrzała na niego powątpiewająco i wskazała na rozłożone papiery.

– To jest praktyka.

– Mniejsza z tym – uciął. – Mów, co na nich mają.

Chyłka pobieżnie przejrzała treść decyzji.

– W celu zapewnienia prawidłowego toku postępowania, ecle-pecle, ecle-pecle... – wymruczała. –

Zachodzi uzasadniona obawa matactwa...

– Co? – przerwał jej Oryński. – Kogo mieliby niby przekupić, nastraszyć albo namawiać do fałszywych zeznań?

– Najwyraźniej jakiegoś świadka.

– Jest coś na ten temat?

– Nie – powiedziała Joanna, podnosząc wzrok. – Tylko informacja, że prokuratura uznała, iż zachodzi duże prawdopodobieństwo, że podejrzani popełnili zarzucany im czyn.

– To znaczy?

– Przestępstwo ze sto czterdzieści osiem.

– Zabójstwo? Nie ma żadnego ciała, nie ma nawet strzępka dowodu, że ta dziewczynka w istocie zmarła.

– Proces będzie miał charakter poszlakowy – odparła zamyślona adwokat.

– Przecież to jakaś bzdura.

– Nie jest potrzebne ani odnalezienie ciała, ani dostarczenie jakichkolwiek bezpośrednich dowodów, Zordon.

Powiódł wzrokiem za kelnerem z pizzami, jakby to miało go uratować. Po prawdzie nigdy nie słyszał, by oskarżono kogoś bez choćby pośredniego dowodu wskazującego, że ofiara zmarła.

– Przecież to dziecko mogło po prostu zniknąć...

– Nie opowiadaj bzdur. Oboje wiemy, że tak się nie stało, i sąd też to wie.

– Więc osądzą ich bez dowodów?

Chyłka wyciągnęła smartfona, włączyła sieć komórkową, a potem wpisała w Google, co trzeba. Obróciła urządzenie do Kordiana, a ten szybko przeczytał treść wpisu na portalu Nasygnale.pl. Sprawa nie była na tyle głośna, by zawędrować na Wikipedię, ale sprawnie ją streszczono. Oryński szybko przekonał się, że oskarżony został skazany na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności, mimo że ciała ofiary ani bezpośrednich dowodów nigdy nie odnaleziono.

– Nie uczyli was na studiach o procesie poszlakowym?

– Może uczyli, ale...

– Byłeś zajęty planowaniem utraty własnej cnoty.

Oryński spojrział na nią bykiem.

– Teraz to się dzieje trochę szybciej niż za twoich czasów – odparł. – Rewolucja seksualna lat sześćdziesiątych zrobiła swoje.

Joanna mruknęła coś pod nosem, a zaraz potem pojawił się kelner z dwoma gorącymi daniami.

– Vegetariana dla kogo? – zapytał z uśmiechem, patrząc na Chyłkę.

– Dla ciamajdy – odparła, wskazując na chłopaka. – Ja nałogowo przyjmuję mięcho.

– Prawdziwy z niej drapieżnik – dodał Kordian.

– Kultuwuję tradycje przodków – zaoponowała. – Pierwsi homo sapiens żywili się dużą zwierzyną łowną.

– Gówno prawda. Próbki odchodów sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat z Alicante udowodniły, że jadali bulwy, orzechy, jagody i mnóstwo innych rzeczy.

Kelner sprawiał wrażenie skołowanego, gdy stawiał drugą pizzę na stole.

– Smacznego – rzucił tylko i czym prędzej się oddalił.

Chyłka odkroiła kawałek meksykańskiej, kręcąc głową.

– Nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich wegetariańskich bredni.

– To ustalenia naukowców z MIT.

– Jestem w stanie przyznać, że dorzucali jagody do upolowanego geparda. To wszystko.

Kordian wziął do ręki ćwiartkę pizzy i odgryzł końcówkę. Chyłka z dezaprobatą spojrzała na ilość warzywnych składników.

– Nie będziesz miał po tym siły, żeby sklecić pismo.

– Ja?

– A kto? Może twoja patronka ma pisać zażalenie? – zapytała z pełnymi ustami. – Wespiesz się na wyżyny erudycji, a jak zobaczę, że czegoś brakuje, poprowadzę cię za rękę do celu. Przy okazji się czegoś nauczysz.

Szybko przekonał się, że walorów edukacyjnych było w tym tyle, co kot napłakał. Kiedy tylko zjedli, poszedł do samochodu po laptopa, a potem zabrał się do roboty. Zaskarżył postanowienie sądu, w uzasadnieniu podnosząc, że według Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Polsce karygodnie nadużywa się tymczasowego aresztowania. Potem podkreślił, że klient nigdy nie był karany i cieszy się nieposzlakowaną opinią, więc nie ma podstaw do oskarżania go o możliwe matactwo. Zakończył, akcentując, że w istocie nie ma dowodów, by jednoznacznie stwierdzić, iż klient jakiegokolwiek przestępstwo popełnił.

Po postawieniu ostatniej kropki z zadowoleniem obrócił laptopa do Joanny. Prawniczka siedziała z nosem w komórce.

– *Ground control to major Jo* – upomniał ją.

– Co? – spytała, nie podnosząc wzroku.

– To parafraza Davida Bowiego, myślałem, że lubisz takie...

– Wejdz na stronę NSI, Zordon.

Szybko odwrócił komputer do siebie i włączył przeglądarkę. Na portalu informacyjnym nie musiał długo szukać interesującej go wiadomości. Headline na stronie głównej zawierał wszystko, co Kordian chciał wiedzieć:

NARZĘDZIE ZBRODNI ZNALEZIONE W LESIE

OJCIEC ZAMORDOWAŁ SWOJE DZIECKO.

9

Nie było nad czym się zastanawiać. Chyłka i Oryński natychmiast pojechali na Wojska Polskiego, gdzie mieścił się areszt śledczy. Widzenie nie było problemem – wprawdzie podejrzanemu nie przysługiwały te same prawa, co oskarżonemu czy skazanemu, ale z obrońcą mógł widywać się bez ograniczeń. Każda inna sytuacja wymagała wystosowania wniosku o widzenie.

Weszli do przestronnego pomieszczenia, w którym znajdowały się rzędy białych boksów. Każdy oddzielony był pleksiglasem od miejsca, gdzie miał siedzieć zatrzymany – i każdy miał biały telefon tuż obok szyby.

Usiedli w jednej z budek, a potem czekali na Awita. Pojawił się po kilku minutach. Twarz miał umęczoną, choć na dobrą sprawę niedawno trafił za kratki. Opadł ciężko na drewniane krzesło, a potem sięgnął po słuchawkę. Chyłka zrobiła to samo.

– Powiedz, że coś masz – odezwał się.

Ton głosu był błagalny, zupełnie nie przystawał do twardego biznesmena, za którego Szlezyngier uchodził już od czasów transformacji ustrojowej.

– Pracujemy nad tym.

Awit spuścił wzrok. Na trupiobladej twarzy wyraźnie odznaczały się siatki naczyń krwionośnych. Przez moment przedsiębiorca się nie odzywał.

– Kazali mi przedstawić białko... – powiedział cicho.

– Co takiego? – zapytała Joanna, patrząc na Oryńskiego. Ten wzruszył ramionami, nie słysząc, co mówi klient. Ruchem ręki zasugerowała aplikantowi, by przystawił ucho do słuchawki.

– Po wejściu do celi... zażądali białka.

– Że niby czego?

– Chodzi o pismo... postawienie zarzutów z uzasadnieniem... muszą to poznać, żeby wiedzieć, z kim mają do czynienia.

Chyłka nagle zapragnęła zawczasu odłożyć słuchawkę. Doskonale wiedziała, co teraz usłyszy. W zakładach karnych izolowano pedofili, gwałcicieli, homoseksualistów, byłych przedstawicieli organów ścigania czy w końcu dzieciobójców. Za murami członkowie tych grup mieli ten sam status i kilkanaście minut w niewłaściwym miejscu mogło być dla nich zabójcze. W aresztach śledczych także umieszczano ich w oddzielnych skrzydłach – zanim jednak do tego doszło, czasem delikwent trafiał do zwykłej celi.

Jeśli nie miał ze sobą postanowienia o przedstawieniu zarzutów, mogło to znaczyć tylko jedno.

– Co im powiedziałaś? – zapytała.

– Że klawisze zabrali mi to pismo, bo się szarpałem...

Jego pusty wzrok kazał Chyłce sądzić, że to nie przekonało współwięźniów.

– Siedzi ich tam czterech... wszyscy za poważne sprawy... Powiedzieli, że... – urwał, a potem potrząsnął głową. Joannie trudno było uwierzyć, że po drugiej stronie pleksiglasowej bariery siedzi ten sam człowiek, który według Zordona jeszcze kilka tygodni temu był na okładce „Forbesa”.

– Możecie mnie przenieść? – spytał, w końcu patrząc rozmówczyni w oczy.

– Jeszcze dziś trafisz na właściwy pawilon.

– Jesteś pewna?

Chyłka skinęła głową. Formalności zazwyczaj nie trwały długo, a nieszczęśnicy tacy jak Szlezyngier szybko byli umieszczani tam, gdzie ich miejsce.

– Dziękuję.

– Podziękujesz, jak zrobimy jakieś postępy – odparła. – A w tej chwili jesteśmy do tyłu względem wszystkich innych uczestników tej gry.

– Co takiego?

– Przeszukali las na wschód od Sajenka.

– I? – ponaglił ją Szlezyngier, patrząc błagalnie na prawników. – Mój Boże, czy oni...

– Niecałe piętnaście kilometrów od granicy z Białorusią znaleźli zakrwawiony pręt, jeśli wierzyć doniesieniom mediów – wyjaśniła Joanna, bacznie obserwując twarz biznesmena. – Są na nim twoje odciski palców.

Awit otworzył usta, ale się nie odezwał. Siatka czerwonych naczyń rozlała się w duże purpurowe plamy na policzkach.

– Słyszysz?

Pytanie nie było retoryczne. Jakość połączenia przez ten więzienny telefon pozostawiała wiele do życzenia. Głos był zniekształcony, w dodatku Szlezyngier mówił cicho. Teraz trwał w bezruchu, patrząc na Joannę.

Prawniczka nachyliła się do szyby.

– Musisz z nami współpracować – powiedziała. – Jeśli jeszcze raz obudzimy się z ręką w nocniku, będziesz...

– Co z Angeliką? – wpadł jej w słowo Awit.

Chyłka westchnęła, z powrotem odchylając się na krzesło.

– Postawili jej zarzut o współudział.

– Gdzie jest?

– W żeńskim skrzydle, nie przejmuj się. Ma tam trochę lepiej niż ty.

Szlezyngier oparł łokcie o blat, a potem zasłonił ręką oczy. Znów przez moment milczał.

– Jak to możliwe? – zapytał słabo. – Jaki pręt... jakie odciski... jaka krew?

Wiedziała, że nie musi odpowiadać na to pytanie. Krew należała do Nikoli, ale do tej pory Joannie nie udało się ustalić, jak wiele jej było. Jedna stacja podawała, że na narzędziu zbrodni znalazła się tylko kropla lub dwie, inna, że pręt był cały w posoce.

– Mów, póki pora – ponagliła go Chyłka. – Zaraz widzenie się skończy i zostaniemy z niczym.

– Ale ja nic nie wiem o żadnym... nie rozumiem, jak to możliwe?

– Co to za pręt, Awit?

Zastanawiał się nerwowo, a Joanna słyszała w słuchawce jego przyspieszony, nierówny oddech. Sprawiał wrażenie głęboko zszokowanego, ale taki rekin biznesu z pewnością miał grę aktorską opanowaną do perfekcji.

– Zastanów się, co to za pręt? – powtórzyła. – Skąd na nim krew twojej córki i twoje odciski palców?

– Jezus Maria, nie wiem... nie wiem...

Joanna zaklęła pod nosem i spojrzała na Oryńskiego. Ten bezradnie wzruszył ramionami.

– Ja... jakiś czas temu kupowałem pręty, chciałem zrobić balustradę, ale... – znów przerwał, podniósł wzrok, a prawniczka dostrzegła w jego oczach błysk nadziei. – Nikolcia musiała się skaleczyć...

– Jak? Kiedy?

– Cały czas powtarzaliśmy jej, że nie może bawić się w szopie – ciągnął Szlezyngier, jakby nie usłyszał pytania. – Stąd musiała się wziąć krew...

– Potrzebuję prawdy, Awit.

Potrząsnął głową i przycisnął słuchawkę mocniej do ucha.

– Wcześniej twierdziłaś, że prawda cię nie obchodzi – odparł.

– Teraz jesteśmy w innej sytuacji. Powiedz mi, co się stało? Zdarzył się jakiś wypadek?

– Nigdy nie podniósłbym na nią ręki! – krzyknął.

Natychmiast tuż obok pojawił się strażnik w niebieskiej koszuli służbowej. Spojrzał kontrolnie na aresztanta, a potem na prawników. Joanna skinęła mu głową na znak, że wszystko jest w porządku.

– Musisz przedstawić nam całą historię – odezwała się po chwili.

– Na Boga, przedstawiliśmy wam ją. Kiedy szliśmy spać, nasze dziecko było w swoim pokoiku. Kiedy wstaliśmy, już go tam nie było! Nie rozumiesz?

– Uspokój się.

– Nigdy nie skrzywdziłbym własnej córki, do cholery...

– Spokojnie, bo cię wyprowadzą.

Awit spojrzał na nią ze wściekłością. Wiedziała, że nic już z tej rozmowy nie będzie – i jakby na potwierdzenie tej myśli Szlezyngier z impetem odłożył słuchawkę, a następnie się podniósł. Odchodząc, nawet nie spojrzał na obrońców.

Chyłka potarła skronie, jeszcze przez chwilę trzymając słuchawkę.

– Idziemy? – zapytał Kordian.

– Tak.

Opuścili areszt śledczy i w ciszy wsiedli do samochodu. Potem przez moment trwali w bezruchu. W końcu Joanna nacisnęła przycisk „start”.

– Wierzę mu – odezwał się aplikant.

– Co?

– Uważam, że tego nie zrobił.

– Bo był roztrzęsiony? Na jego miejscu też bym była.

– To nie on zabił to dziecko, Chyłka – dodał Oryński. – Na dobrą sprawę być może nikt go nie zabił.

– Nie? Więc podziel się ze mną swoimi przypuszczeniami, mistrzu spekulacji.

– Mam przynajmniej kilka teorii.

– Któraś obroni się w sądzie? – zapytała, wyjeżdżając na Waryńskiego.

– Nie sądzę.

– Więc nie kłopotz się przedstawianiem ich. – Zaczerpnęła tchu. – Po pierwsze: mogła to zrobić Angelika. Po drugie, może to być porwanie dla okupu. Po trzecie: uprowadzenie; po czwarte, dziecko samo się zabłąkało, a po piąte... Możemy wymyślać tak bez końca. Nic z tego nie obroni się w sądzie.

– Dobra, dobra...

– I nic nie tłumaczy, w jaki sposób to dziecko zaginęło, skoro nie ma żadnych śladów – perorowała dalej Chyłka. – Ktoś podstawił drabinę na wysięgniku, żeby nie zostawiła śladów? Zrobił podkop? Wywalił dziurę w ścianie, a potem wszystko zaszpachlował? Te teorie są sobie podobne. Dla sądu równie dobrze mógłbyś pieprzyć o tym, że lądowanie na Księżycu to mistyfikacja.

Aplikant przez moment milczał.

– Mimo wszystko uważam, że Szlezyngierowie są niewinni – powtórzył w końcu.

10

Złożone przez prawników zażalenie zostało uwzględnione tylko częściowo. Sąd zmienił środek zapobiegawczy Angelice, przyzwalając, by opuściła mury aresztu śledczego. Nadal miała mieć policyjny dozór, co Chyłka i tak potraktowała jako poważne nadużycie.

Obrońcy odebrali ją spod aresztu, po czym pojechali do domku letniskowego. Drogę dojazdową nadal tarasowały samochody stacji telewizyjnych. Od kiedy odnaleziono w lesie zakrwawione narzędzie zbrodni, sprawa nabrała ogólnokrajowego rozgłosu. W całym Augustowie rozklejono plakaty z podobizną dziewczynki, a media dzień w dzień apelowały o pomoc w odnalezieniu dziecka.

Minął tydzień od zaginięcia. Kordian przeczytał w życiu wystarczająco dużo kryminałów, by wiedzieć, że pierwsze siedemdziesiąt dwie godziny to kluczowy okres. Potem prawdopodobieństwo znalezienia Nikoli drastycznie malało.

Przez całą drogę do Sajenka matka zaginionej milczała. Dopiero gdy zamknęli za nią drzwi i krzyki reporterów nieco zelżały, Angelika odezwała się.

– Ktoś się na nas wziął.

Podeszła do barku i złapała za gwint pierwszej lepszej butelki.

– Nie... to mało powiedziane – poprawiła się. – Ktoś chce nas zniszczyć.

Oryński wierzył jej, tak jak wierzył Awitowi. Patronka była odmiennego zdania, co specjalnie go nie dziwiło – nie należała do ludzi, którzy szafują kredytem zaufania.

– Kto mógłby chcieć to zrobić? – zapytał.

– Jeśli chcesz pełną listę, uzbrój się w cierpliwość – odparła Szlezyngierowa, siadając na kanapie.

Obróciła się, wyciągnęła nogi na siedzisku, a potem odchyliła głowę. – Awit przez te wszystkie lata zdążył narobić sobie wielu wrogów.

– Ty z pewnością też – zauważyła Joanna, zajmując miejsce na fotelu.

– Może. Ale nie na tyle, by ktoś porwał mi dziecko i obciążył nas winą.

– Skąd wziął się ten pręt? – zapytała prawniczka.

– Awit kupił je jakiś czas temu, chciał zrobić balustradę.

– Sam? Ma odpowiednio dużo pieniędzy, by zlecić komuś taką robotę.

– W PRL-u pracował jako ślusarz. Zawsze twierdzi, że sam robi takie rzeczy lepiej... i teraz ma.

Angelika zamknęła oczy i odstawiła szklanekę. Kordian przypuszczał, że podobnie jak mąż, nie miała łatwo w celi. Być może na bloku kobiecym nie było tak źle, jak na męskim, ale potencjalna dzieciobójczyni również musiała swoje odcierpieć.

– Nikolcia skaleczyła się o jeden z tych prętów – dodała cicho Szlezyngierowa. – To było niewielkie rozcięcie, Awitowi nawet o tym nie mówiłam. Cały czas powtarzał jej, żeby nie wchodziła do jego szopy, ale można do niej mówić i mówić...

– Trzylatka sama weszła do szopy? – zapytała Joanna.

Angelika westchnęła.

– Chyba nie masz wiele do czynienia z dziećmi, co? – odezwała się.

– Niespecjalnie.

– Nikolcia zaczęła chodzić, jak miała półtora roczku. Teraz ma trzy latka i dziesięć miesięcy, i gdyby

mogła, przełaziłaby świat wzdłuż i wszerz. – Angelika otworzyła oczy, a potem sięgnęła po szklanę. Dopiero teraz Oryński zauważył, że kobieta nie zamierza certolić się ze swoją wątrobą – piła czystą.

Joanna podeszła do niej i odebrała jej szkło.

– Kiedy się zraniła? – zapytała.

Szlezyngierowa zmarszczyła czoło.

– Dwa dni przed zniknięciem.

– Przykleiłaś jej plaster?

– Oczywiście.

– I gdzie go wyrzuciłaś?

Cała trójka spojrzała w kierunku kuchni. W oczach Chyłki natychmiast pojawił się błysk. Zaraz potem adwokat wpadła do drugiego pomieszczenia i otworzyła kosz pod zlewozmywakiem. Nie zastanawiając się, wyrzuciła całą zawartość na podłogę.

Kordian z niesmakiem patrzył na resztki jedzenia, zużytą prezerwatywę, trochę obierków, kapsli od piwa i innych odpadków.

Angelika odsunęła jedną z szafek i wyjęła trzy pary rękawiczek. Po chwili wszyscy zaczęli rozbierać śmieci. Nie trwało długo, nim znaleźli plaster z zakrzepniętą krwią.

– Alleluja – oceniła Joanna. – Właśnie przechyliliśmy szalę w tym nierównym pojedynku. Dawaj jakiś woreczek.

Chyłka zapakowała do niego dowód i podała go Oryńskiemu.

– Odłóż w bezpieczne miejsce, Zordon.

– To znaczy?

– Do schowka w iks piątce.

– Nie lepiej go gdzieś...

– Nie – ucięła. – Zważając na okoliczności, bardziej ufam alarmowi w BMW niż temu tutaj. Nie zapomnij tylko zamknąć samochodu.

Aplikant zrobił, jak mu poleciła – i dwukrotnie upewnił się, że drzwi są zamknięte. Jeśli ktoś rzeczywiście wrobił Szlezyngierów w porwanie córki, plaster mógł stanowić dowód ich niewinności. Zanim Kordian wrócił do środka, upewnił się jeszcze raz, że włączył alarm w samochodzie.

W salonie zastał obie kobiety raczące się już drinkami. Tym razem to Joanna podała rozmówczyni szklanę.

– Wiem, że trudno wam uwierzyć w naszą niewinność – odezwała się Angelika. – Ale zapewniam was, że Awit tego nie zrobił. Obudziłabym się, gdyby w nocy wstawał. Mam bardzo płytki sen.

Oryński spojrział na patronkę, a ta kiwnęła głową. Widział, że nie przykłada do słów rozmówczyni wielkiej wagi. Każda żona broni męża, nic nowego. W sądzie ich zeznania były tak pomocne, jak tasak przy obieraniu pomarańczy.

– Poza tym dlaczego miałby to robić? – zapytała, rozkładając ręce. – Nie żyjemy na marginesie, nie walczymy o byt każdego dnia... Stać nas na to, by utrzymać nawet gromadkę dzieci.

Joanna odchrząknęła.

– Prokurator będzie argumentował, że być może chcieliście wrócić do tego, co było między wami wcześniej.

– Co?

– Dziecko często zmienia wszystko w związku. Wyjaławia go i...

– O matko, ty naprawdę nie masz pojęcia o dzieciach.

– I obym nigdy nie miała. – Chyłka pociągnęła łyk drinka. – Mogą też pójść drogą wypadku. Będą twierdzić, że dziecko zginęło przez wasze niedbalstwo, a potem chcieliście zatuszować ślady.

– Jak, do cholery? Wynosząc Nikolcię przez komin?

– Nie wiem. Z pewnością mają dobrą teorię, skoro was podejrzewają. Żaden prokurator celowo nie strzela sobie w stopę, mimo że niektórzy wyglądają na takich, co lubią się kaleczyć.

– Ale... mamy plaster.

– Mamy – odparła z zadowoleniem Joanna. – I jeśli umiejętnie urobimy sędziego, może uda się z tego coś zrobić. Pamiętaj tylko, że to nie żelazny dowód. Wszystko zależy od argumentacji i tego, na kogo trafimy.

– Kiedy będzie proces?

– Najpierw muszą skierować przeciwko wam akt oskarżenia.

– Jeszcze tego nie zrobili?

– Nie, w tej chwili jesteście podejrzany, toczy się przeciwko wam śledztwo. Skończy się sporządzeniem aktu oskarżenia.

– Ile to będzie trwało?

Patronka spojrzała na swojego aplikanta.

– Nie ma ustawowej granicy – wyjaśnił Kordian. – Niekiedy jest się podejrzany przez lata. W areszcie śledczym teoretycznie powinno się siedzieć maksymalnie trzy miesiące, ale można przedłużać ten okres do dwunastu miesięcy. Potem prokurator może wnioskować do sądu wyższej instancji o kolejne wydłużenia. Nie ma limitu. Dlatego nazywamy to aresztem wydobywczym. Trzyma się pechowca, aż przyzna się do winy.

Chyłka skinęła głową, zadowolona z odpowiedzi.

– Do kogo należy rekord? – dopytała.

– Kowalczyk. Dwanaście i pół roku. Dopiero wyrok Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości sprawił, że wyszedł z aresztu.

– I warto dodać, że go uniewinniono – dorzuciła Chyłka z uśmiechem. – Sama więc widzisz, że łatwo nie będzie. Jeden plaster wiosny nie czyni.

Angelika spuściła wzrok.

– To nie może tyle trwać... Jest firma, którą trzeba prowadzić.

Kordian sądził, że pierwszym argumentem będzie ból związany ze zbyt długą rozłąką, ale najwyraźniej w tej rodzinie piramida wartości była ustawiona inaczej.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – zapewniła ją Chyłka.

– Ale przecież tu wszystko jest jasne jak słońce...

Oryński powiedziałby raczej, że nic w tej sprawie takie nie jest, jednak strategicznie zachował milczenie.

– Ktoś podrzucił ten pręt – dodała Szlezyngierowa. – Wystarczy ustalić, kto to zrobił. Muszą przecież być odciski butów, muszą być jeszcze jacyś świadkowie, oprócz tego... – urwała i w poszukiwaniu pomocy spojrzała na Chyłkę.

– Antoniego Ekiela.

– Otóż to. Zresztą może nawet nikogo nie widział, to chyba mało wiarygodny świadek, z tego, co mówicie.

– W tej sprawie dość wiarygodny – odparła Joanna.

– Cóż... na pewno nie widział mojego męża w środku nocy, bo Awit leżał wtedy obok mnie.

Angelika powtórzyła to samo jeszcze na kilka różnych sposobów, ani przez chwilę nie sprawiając wrażenia, jakby kłamała. Była absolutnie przekonana co do tego, że Szlezyngier nie miał z tym nic wspólnego.

Oryński podzielał zresztą jej domysły. Przestał więc słuchać kolejnych zapewnień i wzięwszy wydruki

z systemu firmy ochroniarskiej, pożegnał się i poszedł na górę. Usiadł na podłodze i rozłożył wszystkie papiery. Godziny włączenia i wyłączenia alarmu zostały skrupulatnie odnotowane przez komputer. Przedstawiciele firmy zapewniali, że nie ma możliwości, by te dane sfalszować.

Wydawało się to Kordianowi bzdurą. Nie istnieje w świecie elektronicznym nic, czego nie można by zmanipulować. Już nie takie sprawy lądowały na pierwszych stronach gazet.

Wyjął smartfona i wybrał numer Kormaka. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa szczypior o tej porze siedzi w swojej jamie i udaje, że pracuje, przerzucając kolejne strony książki, którą zna na pamięć. Rodziło to obawę, że nie odbierze, ale Kordianowi udało się połączyć już po kilku sygnałach.

– Czego znowu chcecie? – rozległ się głos chudzielca.

– Pogadać.

– Mam w tej chwili lepsze rzeczy do roboty.

– Masz też u mnie kredyt przysług – przypomniał Oryński. – Nie spłaciłeś jeszcze połowy.

– I za co niby ten kredyt?

– W zasadzie to bardziej zastaw. Za to, że popchnąłeś mi gandalfa białego.

– Nie kazałem ci tego wciągać.

– Tak jak ja teraz nie każę ci pomagać, tylko delikatnie sugeruję.

Kormak burknął coś pod nosem. Kordian przyjął to za aprobatę.

– Powiedz mi, na ile pewne są wyciągi z systemu alarmowego w domu?

– Wyciągi?

– No wiesz, zapisane aktywacje i...

– Logi, stary, logi.

– Zwał jak zwał. Można to sfalszować?

– Równie łatwo, jak wprowadzić fałszywą promocję na stronie Lidla – odparł Kormak, po czym zaczerpnął tchu. – Śledzę waszą sprawę non stop w necie i wygląda to nieciekawie. Chyłka wreszcie dostanie po dupie, co?

Kordian obrócił się i położył na papierach. Słyszał, jak Angelika łka na dole i przypuszczał, że jego patronka odchodzi już tam od zmysłów.

– Mamy coś nowego – powiedział Oryński. – Ale to jeszcze nic pewnego. Co z tymi logami?

– Prokurator powoła biegłego, który zapewne już sprawdził system i ustalił, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Gdyby były ślady włamania, pewnie nie zamykaliby tego Szlezyngiera. Swoją drogą, moja rakietka do squasha tak się nazywa.

– Szlenger, nie Szlezyngier.

– Moglibyśmy kiedyś zagrać.

– Nie mam ostatnio czasu, Kormak.

– Na bieg znajdujesz. Z tego, co widzę na Endomondo, dosyć często.

Kordian zamknął oczy i westchnął. Sięgnął po namiastkę papierosa na ukojenie nerwów. Smak niby miał przypominać marlboro, ale przywodził na myśl raczej palenie mokrej gąbki. Oryński pociągnął e-papierosa raz, a potem odłożył.

– Jak dobry będzie ten biegły? – zapytał.

– Jak z koziej dupy trąbka.

– Wszyscy informatycy tak o sobie wzajemnie mówią.

– Temu, z którym rozmawiasz, możesz wierzyć, bo nie jest informatykiem.

– Dostrzegam w tym pewną sprzeczność – mruknął Oryński, pocierając czoło. – Zostałyby po takim włamaniu jakieś ślady?

– Pewnie. Dzisiejszy Internet to śmietnik wszelkich logów. Załóż małą stronkę, na którą nikt nie

wchodzi, a gwarantuję ci, że po kilku tygodniach będziesz miał próby logowań z całej hordy botnetów.

– Ale można potem wyczyścić ślady włamania.

– Ano można.

– Więc jaki werdykt, Kormaczysko?

– Wiesz, że nienawidzę, jak w ten sposób się do mnie zwracacie.

– Wiem.

Kordian usłyszał głośne westchnięcie w słuchawce.

– Werdykt jest taki, że wszystko zależy od tego, co zostało zrobione i w jaki sposób. Przez porty dwadzieścia jeden i osiemdziesiąt nikt nie wszedł, bo nawet w takiej firmie ochroniarskiej są zabezpieczone. Jeśli pozostałe TCP i UDP były ustawione odpowiednio, mógł zostać ślad. Trzeba oczywiście sprawdzić otwarty port dwadzieścia dwa, czyli SSH, bo tam ktoś mógł próbować *brute force*. Więcej ci nie powiem, ale możesz z pełną stanowczością przemaglować biegłego, który to badał.

– Jasne. Powtórzę mu to wszystko.

– Powiedz po prostu, że potencjalnych śladów mogło być od groma. Jeśli algorytm łamania haseł był słaby, mógł zostawić milion odprysków w pomniejszych logach albo zostać wykryty przez system monitorujący połączenia.

– Okej.

– Nic z tego nie zapamiętałeś.

– Niespecjalnie, ale przekażę Chyłce, żeby zadzwoniła do ciebie przed rozprawą. Najwyżej powołamy swojego biegłego.

– Na mnie nie liczcie. Nie pracuję za psie pieniądze. Trzy dychy za godzinę? Dziękuję.

Nie on jeden nieprzychylnie zapatrywał się na te stawki. Najlepsi specjaliści nie chcieli uczestniczyć w procesach sądowych właśnie dlatego, że zwyczajnie im się nie opłacało. I nie zanosilo się na to, by sytuacja miała się zmienić – choć to właśnie na salach sądowych powinni znajdować się ludzie najlepsi w swoich dziedzinach.

– Przyciśnijcie tego dziada – zakończył Kormak, a potem pożegnał się i rozłączył szybko.

Kordian wrócił do studiowania wyciągów... logów z systemu firmy ochroniarskiej. Sądził, że jeśli ma trafić na jakikolwiek trop, to właśnie tam. Postać Antoniego Ekiela była niczym ślepy zaułek.

Godzinę później przekonał się, że miał rację.

11

– Wiem, co ma prokuratura – powiedział, schodząc na dół.

Chyłka oderwała wzrok od laptopa, którego trzymała na kolanach. Umościła się całkiem wygodnie na fotelu, wyciągając nogi na podnózek. W zasięgu ręki miała drinka i imitację papierosa. Do szczęścia brakowało jej tylko Zordona z dobrymi wiadomościami.

– Co? – zapytała.

Usiadł na kanapie naprzeciwko i powiódł wzrokiem wokół.

– Angelika tnie komara – wyjaśniła prawniczka. – A ty mów, co znalazłeś?

– Log z aktywacji alarmu.

– A w nim? – ponagliła.

– Szlezyngierowie aktywowali go o dziewiętnastej.

Chyłka odłożyła laptopa na stolik.

– I co z tego? – zapytała.

– Nikt o tej porze nie włącza alarmu.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Może zimą, kiedy na dworze robi się ciemno o szesnastej. Ale we wrześniu? Nie sędzę.

– Masz jakieś statystyki na poparcie tej tezy?

– Nie, tylko zdrowy rozsądek – powiedział, nachylając się do Joanny. – Wyobraź sobie tamten dzień. Jest upalny wieczór, pewnie trochę siedzą na tarasie, trochę nad jeziorem, bynajmniej nie spędzają czasu w czterech ścianach. Po co mieliby więc włączać alarm o tak wczesnej porze?

– Może mieli taki kaprys.

– A może wcześniej zabili dziecko, zakopali je gdzieś w lesie, a potem wrócili tu i z premedytacją włączyli alarm, by mieć alibi?

Chyłka z uznaniem pokiwała głową.

– Myślałam, że wierzysz w ich rzekomą niewinność.

– Wierzę – zapewnił. – Mówię tylko to, co powie prokurator.

– Jednak masz jakieś zadatki na lotnego prawnika. Może nie genialnego, ale lotnego.

– Lotniejszego od ciebie, jeśli wziąć pod uwagę, że o tym nie pomyślałaś.

– Pomyślałam.

– Jasne – skwitował, starając się wypatrzyć to, co widniało na ekranie jej laptopa. Joanna uśmiechnęła się, a potem obróciła go ku niemu. Potem z zadowoleniem obserwowała, jak Kordianowi rzedła mina.

– I co, Zordon?

– Nic.

– Twoja patronka jednak zawstydziła cię swoim intelektem.

– Robi to nieustannie – odburknął, podnosząc się. Podszedł do Joanny i zaczął przeglądać bardziej szczegółową, elektroniczną wersję tego, co rozłożył na podłodze na górze. – I co wydedukowałaś z tych danych?

– Że normalnie włączali alarm dopiero przed północą.

Oryński zaklął pod nosem.

– Sprawdziłam cały ostatni rok – dodała. – Tylko raz zdarzyło się, by uruchomili go tak wcześnie.

Obawiam się więc, że musisz spojrzeć na nich w nowym świetle.

Kordian przez moment milczał.

– Przynajmniej wiemy, od czego zacznie prokurator – dodała Chyłka.

– Nadal uważam, że tego nie zrobili.

– Świetnie! Mamy już więc jednego człowieka po naszej stronie, teraz wystarczy przekonać całą resztę świata.

– Te logi można spreparować.

– Założmy, że tak – przyznała Chyłka. – Ale nadal musisz mieć kandydata na porywacza. Żeby sąd choćby przyjął możliwość, że Szlezyngierowie są niewinni, trzeba rzucić cień podejrzeń na kogoś innego. Na kogo? Ekiel odpada.

– Wielu ludzi w okolicy wiedziało, kto tu mieszka i ile ma kasy.

– I ilu z nich mogłoby się porwać na coś takiego?

– Jakiś desperat zawsze się znajdzie.

Joanna spojrzała na aplikanta badawczo. Na tym etapie nie była już pewna, czy tylko się przekomarza, czy rzeczywiście wierzy w niewinność klientów. Dla niej sprawa była oczywista.

Zamknęła laptopa, a potem wstała z fotela.

– Chcesz, to idź i przepytuj sąsiadów. Może znajdziesz jakieś powiązania z białoruskimi gangsterami, którzy czają się tuż za miedzą.

– To nie tak absurdalne, jak sądzisz.

– Nie? – zapytała i ziewnęła.

– Do granicy jest stąd ile? Trzydzieści kilometrów?

– Mniej więcej.

– Te bory są idealne do przerzucania dzieciaków... i nie tylko ich. Widziałas kiedyś, jak wygląda granica?

– Masz na myśli słupki, które groźnie ostrzegają, że nie można ot tak przechodzić na drugą stronę?

Pokiwał głową z entuzjazmem.

– Właśnie – dodał. – Gdyby ktoś ze wschodu chciał uprowadzić dziewczynkę, miałby idealne warunki.

– Po co Białorusini mieliby uprowadzać małą?

– Dla okupu, rzecz jasna.

– Świetna teoria, Zordon – zakpiła Chyłka, stając przy barku. – Istnieje w niej jednak jedna poważna wyrwa: nikt nie zgłosił się po okup.

– Może zgłosił się, a my o tym nie wiemy?

– Mhm – mruknęła, dolewając sobie jeszcze trochę wódki do drinka. Obróciła się do Oryńskiego, posłała mu zdawkowy uśmiech, a potem skierowała się w stronę schodów.

– Idź, nękać ludzi, ja idę spać.

– Żebyś wiedziała, że pójdę.

Zamaszystym ruchem wskazała mu drzwi, a potem ruszyła na poddasze. Położyła się na łóżku, czując, że sen zmorzy ją błyskawicznie. Nie miała łudzeń, że Kordianowi uda się cokolwiek wyciągnąć od mieszkańców – Szlezyngierowie zapewne utrzymywali z nimi minimalny kontakt. Zresztą takie miejsca jak to były zamkniętymi, hermetycznymi światami. Równie dobrze można byłoby badać zniknięcie dziewczynki na odludnej wyspie.

Zamknęła oczy i przewróciła się na plecy. Sen powinien już migotać gdzieś na horyzoncie, ale zamiast tego Chyłka zaczynała zmagać się z gonitwą myśli. Echem w głowie odbijały jej się słowa Oryńskiego.

Pewnie, teoria z białoruskimi porywaczami była pierwszym, o czym pomyślała. Samo miejsce

przywodziło na myśl tego typu podejrzenia – Bóg wiedział, że po wschodniej stronie granicy wielu było gotowych zaryzykować wszystko dla tak dużego zarobku. Wystarczyłoby, żeby któryś z nich zwiedził się, kto pomieszkuje w domku letniskowym trzydzieści kilometrów dalej.

Joanna przewróciła się na drugi bok.

Bez żądania okupu nie było jednak cienia szansy na to, by zainteresować sąd tą teorią.

Chyłka leżała jeszcze przez chwilę, bijąc się z myślami. Ostatecznie usiadła na łóżku, rezygnując ze snu. Powiodła wzrokiem po pokoju i przez moment się zastanawiała. W końcu sięgnęła po telefon i po krótkiej rozmowie z Kormakiem wiedziała już, co musi zrobić.

Zeszła cicho na dół, po czym przemknęła do sypialni Angeliki. Porządnie zaprawiona kobieta spała jak suseł. Joanna rozejrzała się, szukając komórki. Zlokalizowała ją na szafce nocnej i po chwili wyszła z sypialni, cicho zamykając za sobą drzwi.

Przeszła przez kuchnię, zabierając ładowarkę, a potem usiadła w salonie i włączyła komputer. Odłączyła końcówkę ładowarki i wetknęła wejście do portu USB. Potem znów wybrała numer Kormaka.

– Podłączyłam jej telefon do komputera – powiedziała. – Masz zdalny dostęp?

– Zawsze. Muszę przecież jakoś...

– Wszelkie żarty o podglądaniu będą niemile widziane. Źle mi się później korzysta z laptopa, nawet jeśli nie ma w tym cienia prawdy. Czuję, jakbyś łypał na mnie z tego małego obiektywu nad ekranem.

– Rozumiem – odparł skonsternowany szcypior. – I widzę telefon. Nowy samsung galaxy, cudnie.

– Będziesz w stanie go przeszperać?

– Pewnie. Z androidem da się zrobić wszystko – odparł Kormak. – Przeglądałaś skrzynkę? Może nie trzeba nic kasować.

– Przeglądałam. Nic tam nie ma.

– W takim razie biorę się do roboty.

Joanna obserwowała czarny terminal, który pojawił się na ekranie jej laptopa. Ciągi cyfr i znaków przewijały się w zawrotnym tempie, a ona niewiele z tego rozumiała. Rozmówca milczał – z głośnika dochodziło tylko miarowe stukanie w klawiaturę.

– Masz dobry sprzęt – ocenił.

– Firmowy.

– Chwilę zajmie odzyskanie tych danych, ale gdybym to robił u Zordona, mogłabyś w tym czasie przyjechać do Warszawy, zjeść coś w Hard Rock Cafe i wrócić na Mazury – ciągnął chudzielec. – Szukamy czegoś konkretnego?

– Dobrze wiesz, że tak.

Każda chwila zdawała się przeciągać w nieskończoność. Chyłka nie nadążała już za informacjami pojawiającymi się na ekranie, zresztą coraz mniej z tego wszystkiego rozumiała.

Za to kiedy Kormak skończył, dobrze wiedziała, na co patrzy. Chudzielcowi udało się przywrócić wszystkie skasowane SMS-y.

12

Kordian snuł się zrezygnowany po Sajenku. Obszedł kilkanaście domostw, które znajdowały się od siebie w odległości wystarczającej, by znużyć nawet piechura entuzjastę. W dodatku jakiś czas temu zapadł mrok – w pełnym tego słowa znaczeniu. Lampy uliczne stanowiły rzadkość, a jedyne źródło światła pochodziło z okien budynków. Pech chciał, że Oryński zapomniał zabrać komórki, która mogłaby posłużyć mu za latarkę.

Poszukiwania okazały się zupełnie płonne. Mieszkańcy zgodnie twierdzili, że Szlezyngierowie zasadniczo nie utrzymywali z nimi kontaktu. Po zakupy jeździli do centrum Augustowa, czasem widać ich było, gdy pływali łódką po stawie.

Jedynym plusem tej wyprawy było to, że poznał trochę mieszkańców. Okazali się uprzejmi i gościnni, chętnie odpowiadali na pytania dotyczące wsi, Szlezyngierów, agroturystyki i okolic Sajenka. Gdy jednak Kordian chciał dowiedzieć się czegoś o Antonim Ekielu, nie byli już tak wylewni. Najwyraźniej nad starcem zbierały się chmury – któraś z lokalnych gazet musiała już podłapać temat dawnego skazania.

Była jeszcze jedna osoba, o której niechętnie mówiono. Mieszkający na uboczu dziewiętnastolatek, którego oboje rodziców zginęło. Rok temu wracali z rodzinnego pogrzebu w Białymstoku i na krajowej ósemce zderzyli się z ciężarówką. Śmierć na miejscu, piętnaście kilometrów od celu. Młody został sam i od tamtej pory rzekomo było z nim coraz gorzej. Rzekomo, bo wszystkie informacje pochodziły ze spekulacji mieszkańców. Aleksander Soboń rzadko kiedy wychodził z domu.

Oryński miał wątpliwości, czy nachodzić go o tej porze, ale gdy zobaczył światło w dwóch pokojach, uznał, że nie ma co przesadzać. To dziewiętnastolatek, wieczorem dopiero zaczyna właściwą egzystencję.

Stanął przed drzwiami, ale zamiast dzwonka dostrzegł tylko puste miejsce na elewacji. Odróżniało się od reszty kwadratem jasnej farby.

Zapukał, a potem cierpliwie wyczekiwał odgłosu kroków. Kiedy ich nie usłyszał, ponowił próbę raz, a potem drugi i trzeci. Dopiero po kilku minutach drzwi się otworzyły.

– Czego? – mruknął gruby chłopak z tłustymi włosami. Oczy mu się szklily, ale i bez tego Kordian mógłby stwierdzić, że popił. Woń taniego piwka była aż nadto wyczuwalna.

– Aleksander?

– Alek – odparł młody. – Czego chcesz?

– Pogadać. Jestem jednym z obrońców...

– Szlezyngierów, wiem – uciął Soboń. – Widziałem cię w telewizji.

Oprócz alkoholowego zapachu Oryński poczuł też zatęchły pot. Najwyraźniej chłopak nie był wielkim entuzjastą higieny.

– Mogę wejść? – zapytał aplikant.

– Po kiego chuja?

– Staram się dowiedzieć czegoś o...

– O kim? O mnie?

– Nie – powiedział spokojnie Kordian. – Zbieram informacje na temat Szlezyngierów, tego, co tu robili, z kim się kontaktowali i...

– Ze mną nie.

Prawnik skinął głową. Trudno było utrzymać nerwy na wodzy, gdy młody cały czas wchodził mu w słowo, ale na razie Oryński radził sobie śpiewająco.

– Wszystkie informacje, nawet najmniejsze pierdoły, mogą okazać się przydatne – odezwał się, zbliżając o pół kroku. Alek natychmiast przymknął drzwi i aplikant się wycofał. – Ci ludzie są niewinni. Nie zabili swojego dziecka.

– Mnie tam wyglądają na winnych.

– Dlaczego?

Soboń wydał usta i wzruszył ramionami.

– Mają tyle kasy, wydaje im się, że mogą wszystko.

– Nie są tu zbyt lubiani, prawda?

– A bo ja wiem?

– Wywyższali się? – ciągnął Kordian. – Może zdarzało im się z kimś zetrzeć?

– Czego mnie wypytujesz o takie rzeczy, człowieku?

Oryński zacisnął usta i stwierdził, że musi przyjąć inną taktykę. Przesmyk między futryną a drzwiami robił się coraz mniejszy i prawnik nie miał złudzeń, że niebawem w ogóle zniknie.

– A co, masz coś lepszego do roboty? – zapytał. – Musisz wracać do piwnicy i w przeupoconych ciuchach dwunastą godzinę z rzędu ciąć w Minecrafta?

– Wäl się.

– Cała ich przyszłość wisi na włosku.

Drzwi zamknęły się z impetem.

– Ale pewnie, idź postaw następny rozpixselowany budynek. Niech ci ludzie gniją w więzieniu.

Tamten nie odpowiedział, ale zasadniczo trudno było się tego spodziewać. Kordian wiedział, że teraz niczego się od niego nie dowie, ale miał nadzieję, że za dzień, może dwa, gdy Aleksander zobaczy nagłówek w gazecie albo kolejny news w telewizji, poczuje przyływ empatii.

Odwrócił się i zaczął oddalać. Po chwili usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Zatrzymał się i obrócił przez ramię.

– Pogadaj z Ekiem – odezwał się Alek.

– Rozmawialiśmy z nim i nic...

Chłopak zniknął z powrotem w domu, zatraskując za sobą drzwi. Oryński stał jeszcze przez chwilę przed budynkiem, a potem ruszył w kierunku domku letniskowego Szlezyngierów.

13

– Gdzieś ty był? – powitała go Chyłka już w progu.

– Poszedłem...

– Mamy przełom w sprawie – przerwała, a potem zawiesiła na nim wzrok. Jego skołowany wyraz twarzy świadczył o tym, że on także ma jakąś wiadomość do przekazania. – Co jest? – zapytała.

– Nie wiem... może nic takiego, może coś – odparł i potrząsnął głową. – Mów pierwsza.

Wzięła go pod rękę, a potem wyprowadziła z powrotem na werandę.

– Kormak odgrzebał skasowane SMS-y Angeliki – szepnęła.

– SMS-y? Skasowane?

– Właśnie to powiedziałam.

– Ale skąd...

– Pożyczyłam sobie jej telefon, podpięłam do laptopa, a szczypior zrobił to, co umie robić najlepiej – wyjaśniła na jednym wdechu. – Ale mniejsza z tym. Nie uwierzysz, co tam znalazłam.

– Żądanie okupu.

– Bynajmniej – odparła z uśmiechem. – Choć właśnie dlatego w ogóle dobrałam się do telefonu.

Zeszli schodkami i ruszyli w kierunku mola. Fotokomórka na ganku oświetlała jedynie kilkaset metrów, reszta okolicy ginęła w mroku. Najbliższym punktem świetlnym był dom po drugiej stronie jeziora.

– Cały czas chodziło mi po głowie to, o czym mówiłeś – powiedziała.

– Wow.

– Głównie dlatego, że było naiwne i bezdennie głupie. Takie rzeczy trudno się zapomina.

– A mimo to posłuchałaś mojego instynktu.

– Po prostu sprawdziłam tę teorię na wszelki wypadek – powiedziała, wchodząc na pomost. – I dzięki temu odkryłam nowe fakty.

– Jakie?

– Angela namiętnie SMS-owała z osobnikiem imieniem Sakrat.

– Sakrat? Dziwna ksywa.

– To imię, sprawdziłam. Białoruskie.

Oryński szeroko otworzył oczy.

– Żartujesz sobie? – spytał. – Miałem rację? Białorusini są zamieszani?

– Tego nie wiem – odparła, siadając na końcu mola. Zwiesiła nogi nad wodę, a Kordian szybko do niej dołączył. – Mogę ci jednak zdradzić, że SMS-y były dość pikantne. Sakrat pisał, że jak tylko Szlezyngier wyjedzie, zedrze z niej ciuchy i weźmie ją na kuchennym blacie.

– A ona?

– Ją fantazja ponosiła jeszcze bardziej, dam ci później poczytać, bo to prawdziwe *Pięćdziesiąt twarzy Angeliki*.

Oryński wbił wzrok w światła naprzeciwko.

– I nie zająknęła się o tym słowem – skwitował. – Biorąc wszystko pod uwagę, to trochę dziwne. Awit jest za kratkami, ona też może tam trafić, a ten Sakrat może być tym, który porwał dziecko. Na jej miejscu przyznałbym się do romansu już pierwszego dnia.

– Ja też.

– Co z tym zrobimy?

– Przemagłujemy ją jak CIA członków Al-Kaidy.

– *Waterboarding*? Jedenaście dni bez snu? Deprywacja sensoryczna?

– Wszystko po kolei. Ale wcześniej sami spróbujemy dowiedzieć się, kim jest ten Białorusin.

Przez moment milczeli, a Chyłka sięgnęła po e-papierosa. Obiecała sobie w duchu, że jeśli znajdą cokolwiek, co pomoże obronić się w sądzie, kupi sobie paczkę prawdziwych marlboro. Będzie paliła jednego za drugim.

– Obyśmy tylko nie wpadli w jeszcze głębsze gówno – odezwał się po chwili Kordian. – Może Angelika ukrywa tego faceta nie bez powodu.

– A może jest zakochana i nie dopuszcza możliwości, że gość ma coś wspólnego z porwaniem – odparła Joanna. – Możemy tak gdybać w nieskończoność.

– Chyba nie po to tu mnie wyciągnęłaś? Żeby pogdybać?

Obróciła się i wypuściła parę w jego kierunku.

– Nie, zebrało mi się na romantyczne posiedzenie nad jeziorem.

– Czekiałem na to.

– Wiem.

– Od dawna nie mieliśmy okazji do takiej schadzki.

Chyłka pokręciła głową, a potem się podniosła.

– Chodź, Zordon – poleciała. – Kimniemy się trzy, cztery godziny, a potem zaczniemy właściwą robotę.

I jak tylko coś będziemy mieć, spotkamy się z prokuratorem.

Kordian również wstał.

– Żeby mógł napluć nam w twarz faktami, podczas gdy my będziemy ciskać w niego spekulacjami?

– Czasem spekulacje są mocniejsze od faktów.

– Czasem tak, ale nie wiem, czy w tym przypadku.

Schowwała elektronicznego papierosa do kieszeni żakietu i ruszyła w kierunku domku.

– Tyle że nasze spekulacje nie będą stały w sprzeczności z faktami – odezwała się. – Wręcz przeciwnie. Przedstawimy je tak, by prokurator był pewien, że to on ma wszystkie karty.

– Hę?

– Zrobimy wszystko, żeby przyspieszyć ten proces, Zordon.

– W jakim ludzko pojętym celu?

– Bo zaczynamy zbierać asy do rękawów, o których te prokuratorskie ogary nie mają bladego pojęcia.

I zamierzam wyciągnąć je dopiero na sali sądowej.

Wiedziała, że mógł to być zbyt daleko idący entuzjazm, ale z drugiej strony element zaskoczenia był podstawą. Oni go mieli, dzięki usuniętym SMS-om. Oskarżyciel z pewnością był przekonany, że on również posiada atut w postaci włączenia alarmu o dziewiętnastej – ale Chyłka będzie na ten argument przygotowana.

– Co chciałeś mi powiedzieć? – zapytała, gdy zeszli z pomostu.

– W porównaniu z twoim newsem to blotka.

– Mów – pospieszyła go. – Dowiedziałeś się czegoś jako domokrażca?

– Z początku niespecjalnie. Ludzie byli uprzejmi, ale nic na temat Szlezyngierów nie wiedzieli. Zapraszali mnie za to na herbatę, ciastko i...

– I przejdź do rzeczy. Teraz, już.

Pokiwał głową i nabrał tchu.

– W końcu dotarłem do chłopaka mieszkającego na końcu Sajenka. Sierota, rok temu stracił rodziców.

Nie zniósł tego najlepiej.

– A ktokolwiek znosi?

– Jest otyły i zapijaczony, a standardy higieniczne ma rodem z dziewiętnastowiecznej Francji.

– To wtedy lubowali się w lekkim smrodku?

– Mhm – potwierdził Oryński. – Napoleon, wracając do Paryża po zwycięskiej bitwie, kazał posłać list do Józefiny. Pisał: „nie myj się, już jadę”.

– Miał równie romantyczną duszę jak ty, Zordon.

Spojrzał na nią z ukosa i zbył zaczepkę milczeniem.

– Chłopak nie chciał rozmawiać, ale po krótkim namyśle rzucił mi tylko, żebym pogadał z Ekiem.

– Dlaczego?

– Nie wiem, ale zabrzmiało to poważnie. Jakby Antoni mógł coś wiedzieć.

– Coś tam wie. Widział Awita z córką w nocy.

– Myślę, że chodziło o coś więcej.

Joanna nie zamierzała snuć dalszych przypuszczeń. Mogli rozmówić się ze starcem następnego dnia, najpewniej nigdzie nie będzie się wybierał, obawiając ostracyzmu.

Wchodząc po schodach, Chyłka była przekonana, że drugie podejście do snu będzie równie udane, jak pierwsze. Teraz miała w głowie jeszcze większy mętlik niż wcześniej, a w całej sprawie powoli zaczynało pojawiać się drugie dno. Spodziewała się tego. Takie rzeczy nigdy nie są jednowymiarowe – a ona jako prawniczka musiała dogrzebać się jak najgłębiej. Im więcej wątpliwości zasieje w umysłach sędziów, tym lepiej.

– Zostań na korytarzu – powiedziała przed wejściem do pokoju.

– Bo?

– Bo będziesz tu spał – wyjaśniła, zamykając drzwi. Odczekała chwilę, a potem dodała: – Żartuję, Zordon. Muszę się przebrać.

Oczywiście, nacisnął kłamkę, ale Chyłka mocno ją trzymała.

– Jak dziecko – skwitowała przez drzwi.

– Warto było spróbować.

Kwadrans później już spała. Ledwo się położyła, a nadszedł sen – niespokojny, pełen niejasnych powiązań i postaci z dwiema twarzami.

Wstali bladym świtem, wcześniej zażywając tylko tyle snu, ile było absolutnie niezbędne, by przyzwoicie funkcjonować. Resztę załatwił szybki prysznic i dwie mocne kawy. Kiedy wychodzili z domu, Angelika właśnie wstała, zupełnie nieświadoma tego, co odkryli.

Chyłka zastanawiała się nad możliwością konfrontacji, ale ostatecznie uznała, że kiedy klient może, klient kłamie. Jeśli sami nie dotrą do podstawowych faktów, kobieta nadal będzie wodziła ich za nos.

Wyszli na zewnątrz i Oryński się przeciągnął.

– Kolejny dzień, kolejna porcja gówna – powiedział.

– Optymizm od samego świtu, co?

– Długotrwałe przebywanie z tobą tak mnie nastraja. Zaczynam naprawdę kochać życie.

– Pokochasz je jeszcze bardziej po naszej porannej rundce.

– Biegamy?

– Tak, po sąsiadach – wyjaśniła. – Dzięki temu, że nawiązałeś z nimi przyzwoity kontakt, może uda nam się czegoś dowiedzieć.

– O Sakracie?

– Nie, Zordon, o bandzie Drombo.

Spojrzał na nią bykiem, a ona wskazała mu najbliższy dom. Ruszyli w jego kierunku. W oddali słychać było pianie kogutów, poranna mgła dopiero schodziła znad tafli pobliskiego stawu. W promieniach wschodzącego słońca na trawie perliły się jeszcze krople rosy. Chyłka przyglądała się temu z rezerwą. Chętnie pomknęłaby Wybrzeżem Gdańskim w porannym ciągu samochodów, a nawet postąpiła chwilę w kierunku Marszałkowskiej. Brakowało jej miejskiego gwaru, czuła się tu nieswojo.

– Nie za wcześnie na nachodzenie ludzi? – Kordian spojrzał na zegarek.

– To wioska. Tu ludzie wstają, jak zapieje pierwszy kur.

– To część miasta.

– Poważnie?

– Tak, od siedemdziesiątego trzeciego weszli w skład Augustowa. Powiedział mi o tym wczoraj jeden z mieszkańców. I dodał, że miasto to w większości lasy i jeziora, nie budynki.

– Ależ ty mnie potrafisz zainteresować, Zordon.

Stanęli przed drzwiami i Joanna szybko wduśliła przycisk po prawej stronie. Rozległo się mechaniczne dzwonienie, a zaraz potem w progu pojawiła się babinka opatulona kolorową chustą. Miasto jak nic, skwitowała w duchu Chyłka, a potem powiedziała:

– Niech będzie pochwalony.

Kobieta niepewnie skinęła głową.

– Zna pani mojego protegowanego, Zordona? – Prawniczka wskazała na aplikanta.

– Dzień dobry, pani Kazimiero – odezwał się Oryński, kłaniając kobiecie.

Spojrzała na niego, ściągnęła brwi, zmrużyła oczy, a potem na jej twarzy zarysował się wyraźny uśmiech.

– Ach – powiedziała. – To tyś tu był wczoraj.

– Tak.

– Chodźże, nie stój na ganku. Pani też.

Joanna i Kordian poczekali, aż staruszka wycofa się do środka, a potem weszli za nią. Chyłka szturchnęła chłopaka i szepnęła mu, że nie mają całego dnia.

– Nastawię wody – oznajmiła gospodyni.

– Pani Kazimiero – podjął, gdy ruszyła do kuchni. – Szukamy informacji o...

– Cóż tam pod nosem mówisz?

– Szukamy informacji o pewnym Białorusinie – powtórzył dobitniej. – Ma na imię Sakrat, nazwiska niestety...

– Tatarnikow – powiedziała. – Sakrat Tatarnikow.

Chyłka poczuła, jak serce jej przyspiesza.

– Oczywiście, znam ja ci go – dodała gospodyni.

Goście spojrzeli po sobie, a staruszka zatrzymała się w progu. Oparła się o komodę, a potem obróciła do nich.

– Dlaczego go szukacie?

– Chcemy tylko się czegoś dowiedzieć.

Pani Kazimiera powoli pokręciła głową.

– On nie lubi nieznajomych.

Joanna pociągnęłaby ją za język, ale nie zamierzała się odzywać. Kobieta nawiązała kontakt z Zordonem, najlepiej było nie przypominać o swojej obecności. Spojrzała za to ponaglająco na Oryńskiego.

– Jak tylko pojawiły się wszystkie te kamery, Sakrat wyjechał – dodała staruszka. – I co mu się dziwić? Od razu by go zaszczuli.

– Dlaczego mieliby to zrobić?

– Och, bo tyś taki nieświadomy... to przecież oczywiste.

– Bo był Białorusinem?

– No, a jakże.

– Co tu robił? – zapytał Kordian.

Gospodyni spuściła wzrok, a potem znów ruszyła w stronę kuchni. Goście poszli za nią.

– Mówiło się, że uciekał z Białorusi przed prześladowaniami – podjęła po chwili. – Ale kto to wie?

Nikt ze sobą nie taszczy całej prawdy o swoim życiu.

Chyłka uznała, że to dość trafne stwierdzenie.

– Co tutaj robił? – drażył Oryński.

– Imał się różnych prac, ale przede wszystkim dbał o ogrody. Jeździł do miasta, tam zawsze miał co robić. U nas czasem coś zreperował, zespawał czy trawnik komuś przyciął... radził sobie, jak mógł.

Jedyny trawnik, który opłacałoby się przycinać, Joanna widziała u Angeliki. Spojrzała wymownie na aplikanta, a ten skinął jej głową.

– Zajmował się ogrodem Szlezyngierów?

– Tak, na pewno. Czasem mnie także pomagał, jak zlew przeciekał czy żarówkę trzeba było wymienić.

Dobry chłopak.

– Gdzie mieszkał?

– Na początku gdzie się dało. To tu, to tam, kilka razy leżał pokotem ze zwierzętami u kogoś.

– Aż tak źle było?

– A coś ty myślał? – zapytała pani Kazimiera, odsuwając sobie krzesło przy stole. Zajęta rozmową, zupełnie zapomniała o gotującej się wodzie. – Przyjechał tutaj bez grosza przy duszy.

– Coś musiał mieć.

– Nic a nic – zaprzeczyła. – Przyszedł tu do mnie w łachmanach, prosząc o kawałek chleba. Nie o pieniądze, o chleb. Tak się poznaje dobrych ludzi – dodała, przytrzymując się stołu i siadając powoli.

– Mieszkał u pani?

– Na początku tak. Potem powiedział mi, że nie chce być obciążeniem.

– I gdzie się przeniósł?

– Nie wiem, mówił, ale ja nie pamiętam... – powiedziała staruszka i zmarszczyła czoło. – Nie ruszam się już z domu, nigdy go nie odwiedziłam... on czasem przychodził do mnie, jak mówiłam.

Prawnicy spojrzeli po sobie.

– Kiedy był ostatnim razem?

– A zaraz przed tym, jak to biedne dziecko zniknęło. Może dzień, dwa. – Dopiero teraz babinka spojrzała na Chyłkę. – Ale dlaczego tak wypytujecie? Zrobił coś?

– Nie, po prostu zbieramy informacje – odezwała się Joanna.

– To dobry chłopak, nigdy nikomu nie wadził. Wszyscy mówią, że Białorusin to problem, ale żeby więcej takich Polaków było, jak on, toby ten kraj stał uczciwością.

Gospodyni jeszcze przez kilka chwil perorowała na temat swojego pomocnika, a Kordian umiejętnie zachęcał ją, by mówiła dalej. Nie naciskał, choć w kilku przypadkach mógłby to zrobić. W końcu Chyłka uznała, że usłyszała wszystko, co ją interesowało. Mogli zostawić Kazimierę i skupić się na pozostałych rzeczach, które czekały w kolejce.

– Ma pani może jakieś zdjęcie? – zapytała na odchodnym, bez wielkiej nadziei.

– Sakrata? Tak, gdzieś powinno być... raz był u mnie na wieczery wigilijnej...

Poszukiwania zajęły staruszce dobry kwadrans, ale ostatecznie prawnicy dostali zdjęcie człowieka, który przy odrobinie szczęścia mógł okazać się głównym kandydatem do zamiany miejsc ze Szlezyngierem.

Podziękowali jej, a potem opuścili dom. Sajenek powoli budził się do życia – psy zaczynały ujadać gdzieś w oddali, po obejściach snuły się koty, a pierwsi mieszkańcy wychodzili na ganki.

– Wygląda jak pieprzony Brad Pitt – powiedziała Joanna, podając zdjęcie Oryńskiemu.

– Wersja lekko wschodnia.

– Tak czy inaczej przystojny.

– Wystarczająco, by ryzykować romans, gdy ma się w zanadrzu spokojną starość z krezusem? – zapytał.

– Najwyraźniej.

Chyłka wyciągnęła e-papierosa i wciągnęła dym głęboko do płuc.

– Będziemy coś z tego mieć? – zapytał aplikant.

Joanna spojrzała na papierosa.

– Bo ja wiem? Raka?

– Miałem na myśli Tatarnikowa.

– Coś na pewno – potwierdziła Chyłka. – Umiejętnie wprowadzimy ten dowód i może w połączeniu z plastrem uda nam się coś ugrać.

– Nie trzeba tego zrobić wcześniej?

– Hm? – mruknęła Joanna, wodząc wzrokiem wokół. Mieszkańcy byli żywo zainteresowani tym, co robi dwójka prawników. Mężczyzna w oddali odsłonił firankę w pokoju i łypał na nich przez moment. Kobieta kręcąca się przed jednym z domów też co rusz na nich zerkała.

– Nie trzeba wcześniej przedstawić dowodów, żeby można było je rozpatrywać na rozprawie?

– W jakim świecie ty żyjesz, Zordon?

– W świecie ustaw.

– To wychyń z niego od czasu do czasu – powiedziała pod nosem. – I KZP 54/99.

– Nie rozumiem, co to znaczy.

– Sygnatura wyroku Sądu Najwyższego. Wszystko, co świadek zezna na rozprawie, jest traktowane jako „dowód wymieniony w akcie oskarżenia”.

– Plaster jakoś do tego nie pasuje.

– Wystarczy, że Angelika wspomni o tym, że zakleiła córce ranę. Resztę załatwimy wnioskiem o uzupełnienie materiału dowodowego – wyjaśniła adwokat, a potem obróciła się do Kordiana. – Zresztą zostaw te sprawy mnie. Teraz musimy działać dalej.

– Więc Ekiel?

– Jeśli twierdzisz, że ten chłopak, samotnik, rzeczywiście dał ci poufny cynk, to tak, chodźmy zobaczyć się z Antonim.

Aplikant nie zaproponował, więc skierowali się ku Gwiazdnej. Joanna nie wiązała z tą wizytą większych nadziei. Wprawdzie Oryński był przekonany, że młody Aleksander Soboń rzeczywiście nie bez powodu wspomniał o Ekielu, ale Joanna sama miała okazję przekonać się, kim jest ten człowiek. Owszem, podejrzane było to pływanie łódką, gdy nurkowie badali jezioro, a potem przysięgnięcie się do niej, ale nie wyczuła niczego, co mogłoby ją zaniepokoić. Staruszek po prostu szukał czegoś do roboty.

Mimo to, gdy dotarli do jego domu, okazało się, że nie miał zamiaru im otwierać. Spojrzeli po sobie skonsternowani, a potem Joanna zapukała ponownie. Była to trzecia próba.

– Może jeszcze śpi – podsunął Kordian.

Chyłka zapukała po raz czwarty.

– Albo zemdlał w międzyczasie – dodał.

– Nie było z nim tak źle – zauważyła, a potem ruszyła wokół budynku. Zajrzała do pierwszego z okien, ale gospodarza nigdzie nie dostrzegła. Zapukała w nie trochę mocniej, niż powinna.

Obeszli cały dom, ale Ekiela najwyraźniej w nim nie było. Usiedli na schodach przed drzwiami, wypatrując go.

– Może poszedł...

– No gdzie, Zordon? – wpadła mu w słowo. – Po gazety do nieistniejącego kiosku?

– Może doi krowy albo coś w tym guście.

Dla Chyłki szybko stało się jasne, że mogą się starca nie doczekać. Siedzieli przez kwadrans przed domem, zastanawiając się, co dalej robić. W końcu Joanna podniosła się i stanęła przed Oryńskim.

– Zbieramy się – oznajmiła.

– Dokąd?

– Do tego chłopaka, który rzucił niejasny cień podejrzeń na Ekiela. Prowadź.

Kordian niechętnie wstał, a potem poprowadził ją do budynku stojącego na samym końcu miejscowości, tuż przed ścianą nieprzeniknionego boru. Podobnie jak w przypadku domu Antoniego, tak i tutaj pocałowali kłamkę.

– Pięknie – skwitowała Chyłka. – Jeśli złączym nam nagle zniknąć potencjalni świadkowie, możemy już wnioskować o przywrócenie kary śmierci do polskiego porządku prawnego. Zaoszczędzimy Szlezyngierowi cierpień.

– Dopisuje ci dzisiaj humor.

Obróciła się do niego i rozłożyła ręce.

– Dziwisz się?

– Poprawię ci go trochę – zaproponował.

– Będziesz próbował swoich legendarnych zalotów?

– Nie wiedziałem, że są legendarne.

– Z pewnością dla kogoś są. Na przykład dla tych, którzy wciąż oglądają *Beverly Hills 90210*.

– To był dobry serial.

– Jak jasna cholera.

– Ale nie o zaloty mi chodziło – powiedział Oryński, wskazując w kierunku lasu. Chyłka zwróciła tam wzrok i dostrzegła snującego się między drzewami chłopaka.

Nagle oboje zorientowali się, że ma zakrwawioną twarz.

– Ożeż... – zdążył jęknąć Kordian, zanim ruszyli w kierunku Aleksandra.

Dopadli do niego i złapali go pod ręce. W pierwszej chwili zachowywał się, jakby w ogóle ich nie dostrzegł. Był wyraźnie w szoku i nie potrafił utrzymać prosto głowy. Opadała ciężko, a broda z impetem uderzała o klatkę piersiową.

– Do środka z nim! – krzyknęła Joanna.

Podprowadzili go pod drzwi i dopiero wtedy Soboń zrozumiał, że jest przez kogoś prowadzony. Spojrzał z przerażeniem na kobietę, a potem przeniósł wzrok na Kordiana. W jego oczach pojawiła się ulga.

– Ty... ty byłeś u mnie... – zdołał powiedzieć.

Chyłka szarpnęła za klamkę. Drzwi były otwarte, co niespecjalnie ją dziwiło. Tego chłopaka ktoś wywlókł z domu i skatował, nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Oryński przypuszczał, że Alek nieprędko do siebie dojdzie, ale już po półgodzinie chłopak zdołał okiełznać szok. Podali mu środki przeciwbólowe i dokładnie go obejrżeli. Niewiele więcej mogli zrobić, szczególnie że Soboń nie pozwalał zawieźć się do szpitala. O wezwaniu lekarza również nie było mowy.

Patrząc na to, z jakim trudem wymawiał kolejne słowa, Kordian doszedł do wniosku, że bez wizyty u dentysty się nie obejdzie. Ran na twarzy było całe mnóstwo, ale zostanie po nich góra kilka ledwo widocznych blizn. Ze szczęką mogło być gorzej.

– Wyście to na mnie ściągnęli... – powiedział cicho Alek.

– W jaki sposób? – zapytała Chyłka. – Kto ci to zrobił?

Dotychczas nie zaczęła przesłuchania, dając chłopakowi czas, by trochę się uspokoił – Oryński musiał przyznać, że wytrzymała całkiem długo.

– Ja... nie widziałem... ale wiem doskonale, kto za to odpowiada.

Kordian przypuszczał, że teraz padnie jego imię.

– Ekiel – powiedział chłopak. – Antoni, zasrany, Ekiel, stary dziadyga.

Joanna ściągnęła brwi i pochyliła się nad Soboniem. Wzrok grubasa natychmiast powędrował w okolice dekoltu prawniczki. Oryński specjalnie się nie dziwił, sam skorzystałby z takiej okazji.

– Dlaczego miałby na ciebie kogoś nasyłać? – zapytała Chyłka.

– Bo wspomniałem o nim – odparł, patrząc na Kordiana. – Powiedziałem, że powinniście się nim zainteresować.

– Poradziłeś tylko, żebyśmy z nim pogadali – zaproponował aplikant. – Nikt nawet tego nie słyszał.

– Najwyraźniej słyszał.

– W dodatku teraz Antoni przepadł jak kamień w wodę – dodała Chyłka.

Oryński odsunął się o krok i pokręcił głową.

– To jakiś kompletny bezsens – powiedział, czując, jak w głowie narasta mu mętlik. Sprawa robiła się zbyt zagmatwana, by wciąż podejrzewać Szlezyngierów o to, że mieli cokolwiek wspólnego ze zniknięciem córki. Cokolwiek trawiło organizm tej niewielkiej społeczności, było znacznie poważniejsze, niż Kordian początkowo sądził.

Spojrzał na leżącego na kanapie chłopaka, a potem obrócił się i przeszedł do kuchni. Po chwili wrócił z zimną butelką żywca. Otworzył ją i podał Alkowi.

– Mów, chłopie – powiedział. – Mów, póki nie jest jeszcze za późno. Soboń z chęcią napił się piwa, a potem przez moment milczał, patrząc to na Joannę, to na Oryńskiego. W końcu odłożył butelkę i zrobił głęboki wdech.

– Wychodzę czasem rano pochodzić po lesie – zaczął chłopak. – Wierzcie lub nie, ale chcę zrzucić trochę tego... – Spojrzał z niesmakiem na swój brzuch. – I wprawdzie nie widziałem, kto mnie zaatakował, ale mogę być pewien, że to Tatar.

Ta ksywka mogła należeć tylko do jednego człowieka.

– Sakrat Tatarnikow? – odezwał się Kordian.

– Tak.

– Dlaczego on? – zapytała Chyłka.

– Byli z Ekiem blisko. Dlatego zasugerowałem wam, żebyście porozmawiali z Antonim... Wydaje mi się, że jeśli ktokolwiek wie coś o zaginięciu dziewczynki, to właśnie Tatar.

– Dlaczego? – dopytała prawniczka.

– Nazwij to intuicją. Dziecko znika, a w tym samym dniu ten facet rozpływa się w powietrzu.

Joanna przysiadła na skraju kanapy.

– Mówisz, że byli ze sobą blisko?

– Sakrat mieszkał u Antoniego od jakiegoś czasu. W zamian sprzątał mu dom, zajmował się ogrodem, łądką i tak dalej. Obaj właściwie nie wychodzili, jeśli nie liczyć łowienia na jeziorze. Stopniowo coraz mniej kontaktowali się z resztą mieszkańców i zaczynały chodzić różne słuchy.

– Całkiem podobnie jak w twoim przypadku.

Alek spuścił wzrok.

– Ja po prostu inaczej nie umiałem – odezwał się. – Wszystko przypominało mi o rodzicach. Każda twarz, każdy głos, każde spojrzenie... a ci dwaj po prostu stali się samowystarczalni.

– Prawie – zauważyła Chyłka. – Bo Tatarnikow chodził też do domku letniskowego Szlezyngierów.

– Do krezusów? – spytał Soboń, i trudno było nie wychwycić dezaprobaty w jego głosie. Z pewnością nie on jeden w taki sposób się o nich wypowiadał – ale on jeden zdawał się być z prawnikami szczerzy.

Kordian uznał, że do tej pory byli wyjątkowo naiwni. Przyjechali z wielkiej kancelarii w wielkim mieście, sądząc, że ot tak odnajdą się w sprawach małej społeczności. Tymczasem mogło drzemać w niej tyle demonów, że najlepsze obycie na salach sądowych okazywało się niewystarczające.

– Sakrat zajmował się ich ogrodem – dodała adwokat.

– Możliwe, nie śledziłem go, więc nie wiem.

– Skąd w ogóle cokolwiek wiesz? – zapytała. – Pozostali mieszkańcy zgodnie twierdzą, że nie opuszczasz murów domu.

– Utrzymuję przecież kontakt ze znajomymi – odparł. – Nie skasowałem konta na Facebooku.

Prawnicy zostali z nim jeszcze godzinę, upewniając się, że wszystko jest w porządku. Przez ten czas zrelacjonował im wszystko, co wiedział o Sakracie i Antonim. Białorusin nie mógł poszczycić się dobrą opinią w społeczności – mimo że cieszył się wyglądem hollywoodzkiej gwiazdy, mieszkańcy dostrzegali w Tatarnikowie coś niepokojącego. Kiedyś jeden z nich zgłosił się na policję, twierdząc, że usłyszał od przyjeźdnego groźby karalne. Zarzutów nigdy nie postawiono, ale niesmak pozostał.

Później kilkoro mieszkańców skrzyknęło się, by sprawdzić przeszłość Sakrata. Stąd do granicy był rzut kamieniem, a im dalej na wschód, tym większe prawdopodobieństwo, że przy jednej drodze mieszkały rodziny polskie i białoruskie. Próbowano zaczerpnąć informacji o Tatarze, ale według Aleksandra niczego się nie dowiedziano. Przynajmniej nie na pewno – spekulowano za to, że zbiegł z kraju nie z powodu prześladowań, a po to, by uciec od odpowiedzialności za jakieś przestępstwo. Jakie – nikt nie wiedział.

Pracownicy kancelarii Żelazny & McVay wreszcie dostali to, czego potrzebowali.

– Jesteś na wagę złota, Alek – powiedziała Chyłka, klepiąc go po ramieniu. – Ale skoro my to wiemy, to zdają sobie z tego sprawę także Sakrat i Antoni. Całe to pobicie miało związać ci język.

– No tak.

– Następne będzie miało na celu pokazać ci, że nie warto z nami rozmawiać.

– Następne? – jęknął chłopak.

– O ile zostawisz to tak, jak jest.

Soboń zmarszczył czoło, wbijając wzrok w twarz prawniczki.

– Co mam zrobić?

– Najpierw przejedziemy się na komisariat. Złożysz oświadczenie, a potem zapewnimy ci ochronę.

– Jaką ochronę?

– Policyjno-medialną.

– Sądzicie, że ktoś tak po prostu będzie miał na mnie oko?

– A ile mieliście pobić w ostatnich, dajmy na to, dwudziestu latach? – zapytała Joanna. – Nawet ślepiec zobaczy tu związek z zaginięciem tego dziecka. Tyle wystarczy.

Długo świdrował ją wzrokiem, ale w końcu pokiwał głową.

Chwilę później Kordian podprowadził samochód. Pojechali do komendy powiatowej przy Brzostowskiego, gdzie wcześniej zostali spławieni przez sierżanta o niezbyt zachęcającym nazwisku. Satanowskiego nigdzie nie dojrzeli, jednak sprawą pobitego chłopaka szybko się zainteresowano. Prawnicy oddali go w dobre ręce, po czym uznali, że najwyższa pora rozmówić się z prokuratorem. W tej sytuacji czas zaczynał działać na ich niekorzyść. Nie wspominając o zaginionej.

Wsiedli do iks piątki i Joanna skierowała samochód ku siedzibie prokuratury rejonowej na Młyńskiej. Kordian spodziewał się zastać tam siermiężne, napawające grozą gmaszysko, jednak gdy dotarli na miejsce, zobaczył budynek, który przywodził na myśl raczej nowoczesny niewielki hotel.

– Dlaczego oni prowadzą sprawę? – zapytał, kiedy wysiedli z samochodu. – Nie powinno to pójść do okręgowej?

– Powinno, gdyby to Joanna Chyłka projektowała ustawy – odparła prawniczka. – Ale ponieważ zajmują się tym sejmowi bumelanci, jest jak jest. Nawet sprawy takie jak Amber Gold mogą trafić do rejonu, co jest zupełnym absurdem.

– Z naszego punktu widzenia to chyba nie najgorzej.

– To znaczy?

– W rejonówce są prokuratorzy mniejszego kalibru, nie?

– Zależy.

– Wszystko, kuźwa, zależy.

Chyłka wzruszyła ramionami.

– Ten prowadzący sprawę w każdym razie nie jest orłem – dodała. – Zamiast szukać dziecka, zamyka nam klienta.

– To mnie martwi.

– Tak, to nas wszystkich martwi, Zordon.

– Nie, nie – zaoponował. – Martwi mnie Nikola. W zasadzie nikt już jej nie szuka.

– Co ty pieprzysz?

– Prowadzą poszukiwania ciała, nie osoby.

– Nie przesadzaj.

– Ale tak jest – uparł się, ruszając do budynku. – Dziecko gdzieś tam jest, porwane, Bóg jeden wie w jakim celu. Służby gonią w piętę, a my siedzimy beczynnie i...

– Bynajmniej nie siedzimy beczynnie – zaprotestowała, otwierając bramkę.

– Mam na myśli to, że jej nie szukamy.

– To nie nasza rola – zauważyła Joanna, łapiąc go za ramię. Zatrzymali się i spojrzeli na siebie. – Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Jesteśmy od tego, żeby Szlezyngierowie wyszli z tego obronną ręką.

– Wiem.

– Nie jesteś prokuratorem prowadzącym śledztwo, policjantem ani nawet prywatnym detektywem. Nawet gdybyś próbował znaleźć małą, wszystkie twoje wysiłki można by o kant dupy rozbić. Zostaw to ludziom, którzy się na tym znają.

– Takim, jak ten Satanowski i prokurator, który zamknął niewłaściwą osobę?

Chyłka rozejrzała się bacznie, a potem odezwała cicho:

– Nie wiadomo, czy niewłaściwą.

– Nadal sądzisz, że Awit i Angelika mieli z tym coś wspólnego?

– Nie wiem. Ale daleka jestem od uniewinnienia ich – oznajmiła. – I koniec dyskusji. Czas pogonić

trochę organy ścigania.

Weszli do budynku i szybko przekonali się, że sprawa została przekazana do właściwości prokuratury okręgowej w Suwałkach. Miał ją prowadzić oskarżyciel cieszący się opinią żywej legendy. Gdy tylko padło jego nazwisko, Kordian po raz pierwszy dostrzegł niepewność w oczach patronki.

Zbigniew Aronowicz powitał prawników szerokim uśmiechem. Chyłka pozwoliła mu wybrać miejsce spotkania, a prokurator bez zastanowienia oznajmił, że będzie czekał na nich w pierogarni w centrum miasta, przy ulicy Noniewicza.

Joanna zaparkowała na niewielkim parkingu pod samą restauracją, a potem wypatrzyła Aronowicza w ogródku. Siedział pod rozłożystym parasolem Coca-Cola, zajadając się w najlepsze.

Podeszli do niego z Oryńskim, ale Zbigniew zdawał się ich nie dostrzegać.

– Smacznego – odezwała się Chyłka.

Prokurator najpierw ukroił kawałek pieroga i wsadził go do ust, a dopiero potem podniósł wzrok. Mieląc jedzenie w ustach, wskazał ławę po drugiej stronie drewnianego stołu. Chyłka nie spodziewała się z jego strony wylewności, ale przypuszczała, że zachowa choć pozory. Najwyraźniej się pomyliła.

Usiadła z Zordonem naprzeciwko Aronowicza i oboje wbili w niego wzrok.

– Smakuje ci? – burknęła Joanna.

Oskarżyciel odłożył widelec i spojrzał na nią spode łba.

– Nie jesteśmy na „ty” – rzekł.

– Taki z ciebie nazista *savoir-vivre*’u? A wzroku znad żarła nawet nie podniesiesz, jak ludzie podchodzą. Dobrze tu mają te pierogi?

Otworzył usta, ale Chyłka machnęła ręką i sięgnęła po menu.

– Przynieś mi z boczkiem, Zordon – powiedziała.

Aplikant spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Sobie weź... sama nie wiem co. Nie mają tu niczego ze skrzelami, więc może jakieś ohydztwo ze szpinakiem?

Przez moment Kordian trwał w milczeniu, jakby spodziewał się, że patronka zmieni zdanie. Gdy się tego nie doczekał, skinął głową i ruszył do środka.

– Współczuję chłopakowi – odezwał się Zbigniew.

– Wpierdalaj to.

– Słucham?!

– Jedz, póki nie ma Zordona – rozwinęła Chyłka. – Jak wróci, przejdziemy do rzeczy. Masz chwilę, żeby sprzątnąć z talerza swoje pierogi. Raz-raz.

Wyglądał tak, jakby miał zamiar wstać i odejść bez słowa, ale nie ruszył się z miejsca. Musiał wiedzieć, że Joanna nie zaproponowała tego spotkania bez powodu. Najpewniej przypuszczał, że ze strony obrońców padnie jakaś propozycja, która zaoszczędzi mu sporo trudu.

Prawniczka otaksowała go wzrokiem. Miał na sobie niedrogi garnitur, ale krawat był zawiązany w perfekcyjny windsor. Koszula nienagannie wyprasowana, choć najlepsze lata miała już dawno za sobą. Perfumy niezbyt przyjemne, a fryzura zapewne ta sama od zmierzchu PRL-u. Liczne zmarszczki na twarzy i podkrążone oczy świadczyły, że Aronowicz nosi ze sobą niemały bagaż doświadczeń.

Typowy prokursorski wyga. Pedant, ale bez środków na to, by ze swego pedantyzmu zrobić coś więcej. Gdyby zarabiał jak Żelazny lub McVay, zapewne wyglądałby teraz jak starsza wersja Harveya Spectera. Tymczasem sprawiał wrażenie raczej surowego weterana wojny w Kosowie, który chętnie

niszczył nowicjuszy na salach sądowych.

Nie miał dobrej opinii w środowisku adwokackim, co oznaczało, że wykonuje swoją robotę nad wyraz dobrze. Joanna знаła jego nazwisko, mimo że rzadko kiedy działał poza swoim okręgiem.

Rozjechał kilka spraw, przy których pracowały ekipy z kancelarii Żelazny & McVay – spraw w teorii wygranych. Jeden z imiennych partnerów niegdyś wspominał o nim w rozmowie z Joanną i podkreślił wtedy, że nie życzy nawet konkurentom z Dentons, by trafili na tego skurczybyka na sali sądowej.

Chyłka nie odrywała od niego oczu, starając się stwierdzić, na ile te opinie mają pokrycie w rzeczywistości. Słyszała je od wiarygodnego rozmówcy, więc wypadało przyjąć, że nie będzie to łatwa przeprawa.

Zbigniew Aronowicz jadł w milczeniu, wbijając wzrok w talerz. Spojrzał na prawniczkę dopiero, gdy aplikant przyniósł dwie porcje pierogów.

– Dla ciebie z boczkiem – powiedział Kordian, stawiając przed patronką talerz. – A dla mnie z cukinią.
– Brawo.

Prokurator odchrząknął, wciąż z kamiennym wyrazem twarzy.

– Przejdziemy do rzeczy? – zapytał obojętnie, wyciągając jedną serwetkę z serwetnika.

– Pewnie – odparła Joanna. – Spodziewasz się pewnie, że...

– Nadal nie przeszliśmy na „ty”. I mogę zapewnić, że nie przejdziemy.

Chyłka i Oryński wymienili skonsternowane spojrzenia.

– W porządku – odezwała się adwokat. – Wciąż zapominam, że u was w prokuraturze wciąż panują zasady rodem z czasów Gomułki. Nie jesteście nawet świadomi tego, jak wyglądają zachodnie modele kultury korporacyjnej.

– Jestem tego w pełni świadomy – odburknął Aronowicz. – I widok pani i tego aplikanta tylko potwierdza, że większość czasu spędzacie państwo na stosunkach pozamałżeńskich.

Joanna uśmiechnęła się szeroko.

– Trafił pan w sedno – powiedziała. – Ja i Zordon... och, kiedy tylko zostajemy sami po godzinach...

Kordian spojrzał na nią skołowany, a ona poklepała go po udzie. Prokurator ostentacyjnie westchnął, po czym otarł usta.

– Jest w tym spotkaniu jakiś cel? – zapytał.

– Oczywiście – odparła. – Chciałam dać panu szansę, byśmy załatwili to poza salą sądową.

– Doprawdy?

– W przeciwnym wypadku dostaniecie mocno po dupie za tymczasowe aresztowanie niewinnego człowieka... przepraszam, „dostaną państwo”.

Zbigniew złożył sztucę i odsunął talerz. Kordian zajął się swoim daniem, ale Chyłka nie miała nic przeciw temu, by jej trochę wystygło.

– Nie wygląda mi na niewinnego – zawyrokował oskarżyciel.

– Wam nikt nie wygląda, prawda? Widzicie dwie osoby o przeciwnej płci i od razu wam w głowie seks pozamałżeński – odparła. – Pańska robota musi być naprawdę parszywa. Pełna zboczeń zawodowych.

– Zmierza pani do czegoś?

– Nie, to tylko dygresja – wyjaśniła Chyłka. – A zmierzam do tego, że mamy trop, który może doprowadzić do ujęcia sprawcy.

– Ach tak?

– Ale pana to głównie interesuje.

– Wręcz przeciwnie.

– Liczą się tylko statystyki, prawda? – kontynuowała Chyłka. – Skoro macie już podejrzanego,

a w dodatku osadziliście go w areszcie wydobywczym, to teraz trzeba doprowadzić do skazania, prawda? W dupie macie to, że dziewczynka gdzieś tam jest. Przetrzymana wbrew woli, może głodna, bita czy gwałcona. Ale...

– Dostyc tego – uciął Zbigniew, podnosząc się. – Jeśli ma pani konkretną propozycję, słucham. Jeśli nie, to następnym razem będziemy rozmawiać na rozprawie.

– Mam konkretną propozycję, Zigi. Albo zajmiecie się swoją robotą, albo przejadę tobą po korytarzu sądowym niczym szma...

– Wystarczy.

Tym razem nie rzucał słów na wiatr. Zabrał swój talerz, a potem skierował się do środka. Powłóczył nogami, ale postawę miał nienaganną, jak aktor na deskach teatru.

– Nieźle poszło – zauważył Oryński z pełnymi ustami.

– Prawda? Moja ogłada zawsze robi swoje.

– Co teraz?

– Nic, zaraz przecież będzie wychodził, prawda? – odparła z uśmiechem, a następnie ukroiła sobie kawałek pieroga.

Po chwili Aronowicz opuścił lokal i skierował się na parking. Joanna i Kordian zastąpili mu drogę tuż przed wyjściem z ogródka.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Tak. Znaleźliśmy zakrwawiony plaster, który matka założyła Nikoli po tym, jak mała skaleczyła się o pręt – powiedziała Joanna.

Prokurator się nie odezwał, ale wyraźnie spochmurniał. Kordian drgnął niepewnie i Joannie przeszło przez myśl, że powinna go uprzedzić. Z drugiej strony, w ten sposób lepiej zapamięta tę lekcję.

– Ten sam pręt, który rzekomo jest waszym koronnym dowodem – dodała, patrząc przeciwnikowi głęboko w oczy. – Tak, tym dowodem popełnienia przestępstwa, na którym oparliście całą swoją argumentację.

– I dlaczego mi pani o tym mówi?

– Bo chcę, żebyście zaczęli szukać prawdziwego sprawcy.

– Bzdura – rzucił Zbigniew. – Pani zależy jedynie na tym, by dostać czek i dopisać kolejną wygraną do swoich statystyk. I znów brylować w mediach, tak jak przy sprawie Piotra Langer, prawda?

– Niezupełnie – powiedziała. – Chciałabym, żeby ktoś szukał dziewczynki, zamiast licytować się na targu moralności.

– Nadal jej szukamy.

– Szukacie trupa – wtrącił Kordian. – Nie Nikoli.

Zbigniew nie odpowiedział na tę uwagę, ale Joanna dostrzegła, że poczuł się urażony. Może w głębi duszy nie był tym zepsutym prokuratorem, za którego go wszyscy mieli. A może nawet taki wyjadacz palestry czuł się poruszony tym, co mogło spotkać małą.

– Plaster podważył wasz główny argument – odezwała się Chyłka.

– Nie zgłoszono takiego dowodu – zaoponował oskarżyciel.

– Zrobimy to jeszcze dzisiaj – zapewnił Oryński.

– I to nie koniec, mamy jeszcze kilka asów, którymi będziemy systematycznie bić twoje plotki, Zigi – dodała Chyłka.

Oboje się uśmiechnęli, a potem jak jeden mąż ruszyli z powrotem do swojego stolika. Nie obejrzel się już na prokuratora, ale Joanna przypuszczała, że wrócił do samochodu, uznawszy, że dalsze rozmowy nic dobrego nie przyniosą.

Odczekała chwilę, nim się odwróciła. Kilkunastoletni mercedes właśnie odjeżdżał z parkingu.

– Teraz można powiedzieć, że dobrze poszło – skwitowała.

– Myślisz, że przyspieszy akt oskarżenia?

– Jestem tego pewna.

– Ale bez plastra nie ma wiele – zaproponował Oryński. – Zostaje mu właściwie tylko zeznanie Ekiela, że widział Szlezyngiera z córką w nocy nad jeziorem. Pomijam fakt, że sam Ekiel się zmył i właściwie trudno udowodnić, kogo widział.

– Ma jeszcze wyciągi z alarmu i logikę, która każe sądzić, że tylko rodzice mogli odpowiadać za zniknięcie dziecka – zauważyła Chyłka. – Spokojnie, mają całkiem spójną strategię. Teraz poczują, że została zagrożona, ale nie na tyle, by spodziewać się przegranej sprawy. Uderzą, Zordon, gwarantuję ci to.

Kordian nie był przekonany, że plan Chyłki każe prokuratorowi się pospieszyć, ale sytuacja szybko zmusiła go do zmiany zdania. Jeszcze podczas podróży powrotnej do Sajenka w samochodzie rozbrzmiała solówka *Afraid To Shoot Strangers*.

– Tak? – zapytała wesoło Joanna, włączając głośnomówiący.

– Co to ma znaczyć? – odezwał się prokurator.

– Dobrze pytanie. Skąd ma pan mój numer?

– Przekazał mi go Artur Żelazny – odparł szybko Zbigniew. Był wyraźnie roztrzęsiony, a Kordian uznał, że to miód na jego serce. – Dzwonię, gdyż może państwo nie zdajecie sobie sprawy...

– Z czego? – weszła mu w słowo Joanna.

– Z tego, że grożenie świadkom to przestępstwo przeciwko wymiarowi sprawiedliwości.

– Wiem. Artykuł dwieście trzydziesty drugi Kodeksu karnego.

– Grozi za to...

– Od trzech miesięcy do lat pięciu pozbawienia wolności – dopowiedziała prawniczka. – I dlaczego ma to nas interesować?

– Ponieważ Antoni Ekiel nie zniknął ot tak.

– O, z całą pewnością nie ot tak.

– Więc?

Kordian miał wrażenie, że oskarżyciel mówi przez zaciśnięte zęby.

– Więc rzetelny prokurator powinien zainteresować się tym nagłym zniknięciem – zauważyła Chyłka.

– Jeśli mieli państwo z tym coś wspólnego...

– Zapewniam, że nie – ucięła. – Szukamy Ekiela od rana. I proponuję, żeby pan zajął się tym samym.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wdusiła czerwoną słuchawkę na tablicy rozdzielczej, po czym uśmiechnęła się do Oryńskiego.

– Mamy go w garści – oznajmiła.

– Tak myślisz?

– Nie – przyznała. – Ale pomyślałam, że dobrze to zabrzmiało.

Kordian pokręcił głową i omiótł wzrokiem sielską okolicę. Wjeżdżali już na słabo zasiedlone tereny i za dwadzieścia minut powinni być na miejscu. Aplikant zastanawiał się nad tym, jak powinni podejść Angelikę. Patronka zapewne będzie chciała wyłożyć kawę na ławę, ale biorąc pod uwagę ich przeszłość oraz medialność całej sprawy, może się to skończyć tragicznie. Wprawdzie to nie Angelika płaciła rachunek, ale w razie potrzeby mogła szybko odsunąć ich od sprawy.

– Jak to ugryziemy? – odezwał się Kordian, gdy mijali rozjazd na okoliczne wsie.

– Co?

– Sprawę z twoją dawną koleżanką.

– Masz na myśli konfrontację z prawdą? Zapytanie jej o to, dlaczego dawała Białorusinowi?

– Można tak to ująć.

– Nadal zastanawiam się, czy nie lepiej przycisnąć ją podczas przesłuchania.

– Żartujesz?

– Nie.

– Przecież to nasz świadek.

– Co nie zmienia faktu, że szczerze zaskoczony świadek jest lepszy od tego, który udaje – odparła Chyłka, wyprzedzając zjeżdżający w prawo samochód.

– A jeśli chłapnie coś na swoją niekorzyść?

– Niby co? – zdziwiła się prawniczka. – Przecież upierasz się, że jest niewinna. Może obciążyć się co najwyżej w kwestii romansu. A nam będzie to na rękę.

Kordian przez moment się namyślał. Zasadniczo Joanna miała rację – ale tylko zasadniczo. Wszystko opierało się na założeniu, że nie doszło do niczego więcej niż zwykłej zdrady. Tymczasem w relacji Angeliki z Tatarnikowem mogło być coś jeszcze.

– Jesteś pewna?

– Nie. Nadal się zastanawiam.

– Jeśli wywinie numer... – zaczął Oryński i pokręcił głową.

– Martwi mnie coś innego.

– Co?

– Jak tylko wykażemy romans, sąd zacznie się doszukiwać konfliktu interesów.

– Ustanowi dla niej innego prawnika?

– Nie – odparła, jakby to było oczywiste. – Wyda postanowienie nakazujące ustanowienie innych obrońców w określonym terminie. Ale mniejsza ze szczegółami, efekt będzie taki, że stracimy jedno z nich.

– To źle?

– Biorąc pod uwagę fakt, że zaczęliśmy bronić obojga, raczej źle. Będzie ujma na honorze, jeśli jedno okaże się winne.

– Moim zdaniem oboje są czyści.

– Powołamy cię więc na biegłego w zakresie wróżbiarstwa, Zordon – odbąknęła Chyłka, a potem zamilkła. Prowadziła w skupieniu, co rzadko jej się zdarzało. Kordian raz po raz spoglądał na nią i dostrzegał jedynie tyle, że wciąż się zastanawia.

Kiedy parkowali przed domem, Joanna nadal się nie odzywała. Wysiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami, chyba po raz pierwszy, od kiedy Oryński ją znał. Bez słowa ruszyła w kierunku ganku, na którym siedziała Angelika.

Dostrzegłszy obrończynię, kobieta podniosła się i zamachała. Zaraz potem mina jej zrzedła.

– Co ty, kurwa, odstawiasz? – powitała ją Joanna.

Nie tego spodziewał się Kordian, ale zdążył się już przyzwyczaić, że Chyłka potrafi zaskoczyć. Może przemyślała wszystko od początku i tak się nakręciła, że musiała dać upust emocjom. A może po prostu uznała, że takie podejście będzie najlepsze.

– O czym ty mówisz? – zapytała skonsternowana Angelika.

Prawniczka weszła po schodach i stanęła tuż przed kobietą. Przez moment wyglądała tak, jakby miała zamiar jej przywalić. Kordian przyspieszył kroku i szybko znalazł się tuż obok.

Pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli to przejmie inicjatywę.

– Odkryliśmy... – zaczął, ale patronka zgromiła go wzrokiem.

Tyle, jeśli chodzi o inicjatywę.

– Sakrat Tatarnikow – rzuciła Joanna. – Ty głupia flądrowo.

– Co takiego?

– Miałaś romans.

– Ale...

– Ale skąd wiem? Bo wiem, do cholery – odparła adwokat, nie podnosząc głosu, ale cedząc słowa. –

Takie rzeczy mówi się swoim obrońcom na samym wstępie, rozumiesz?

– Ale jak...

– Tym bardziej, jeśli romansujesz z facetem, który jest głównym podejrzanym w sprawie o zaginięcie twojej córki – dodał Oryński.

Chyłka opadła na wiklinowe krzesło. Spojrzała na parującą kawę, którą przygotowała sobie gospodyni, a potem pociągnęła łyk i odstawiła kubek na miejsce.

– Głównym podejrzanym? – spytała Angelika, skołowana.

– Moim zdaniem, nie formalnie – wyjaśnił. – Tatar zapadł się pod ziemię zaraz po tym, jak Nikola zaginęła.

Szlezyngierowa ściągnęła brwi i zacisnęła na moment usta.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – odezwała się. – Próbuję się z nim skontaktować od tamtego momentu... I skąd o nim wiecie? O nas?

– Mamy swoje źródła – wtrąciła pod nosem Joanna. – A teraz siadaj na dupie i się spowiadaj.

Angelika przez moment patrzyła na nią, jakby zastanawiała się, czy lepiej zostać, czy uciekać. W końcu zajęła miejsce przy stoliku, a Kordian oparł się plecami o belkę i skrzyżował ręce na piersi.

– Czyś ty zwariowała? – zapytała Chyłka.

– Ja...

– Nie przyszło ci do głowy, że to najbardziej prawdopodobny kandydat na porywacza?

– Nie ma żadnego żądania okupu! – podniosła głos Angelika.

Nie trzeba było psychologa, by stwierdzić, że ten scenariusz musiał jak widmo wisieć nad nią od początku.

– Poza tym on... on by...

– Ożeż kurwa – skwitowała Chyłka, rozkładając ręce i patrząc bezradnie na Oryńskiego. – Słyszysz, co ona mówi?

– Mhm.

– Błagam, Angela – ciągnęła prawniczka. – Nie rób z siebie większej krety, niż jesteś.

Kobieta nerwowo przeczesła włosy. Nie wyglądała, jakby miała zamiar się rozkleić – raczej jakby mogła wybuchnąć. Przypominała narkomana, który wciągnął nosem za dużo gandalfa białego i nie wiedział teraz, co zrobić z rękoma... i z całą tą energią, która gdzieś w nim pulsowała.

– To nie jest tak...

– Pewnie. Nigdy nie jest tak. I zawsze „on nie jest taki”. Coś jeszcze masz do dodania, zanim skończą ci się komunały?

– Nie rozumiesz.

– Rozumiem doskonale, widziałam zdjęcia.

Szlezyngier trzęsącą się ręką sięgnęła po kawę, ale Chyłka szybko sprzątnęła jej kubek sprzed nosa. Sama się napiła, a potem popatrzyła pytająco na rozmówczynię. Ta pokiwała głową.

– W porządku – powiedziała Angelika. – Skoro chcesz wiedzieć...

– Chcę a muszę to dwie różne rzeczy.

– Poznaliśmy się podczas pierwszych wakacji tutaj – ciągnęła niezrażona Szlezyngierowa. – Sakrat nie mówił za dobrze po polsku, choć szybko się uczył... pomagałam mu czasem w jakichś trudniejszych sprawach.

Urwała, najwyraźniej pewna, że któreś z prawników znów jej przerwie. Tymczasem oboje wbijali w nią wyczekujące spojrzenia.

– Przyjeżdżamy tutaj z Awitem dość często, ale ma firmę do prowadzenia... bywało tak, że musiał

wcześniej wracać do Warszawy.

Chyłka pokręciła głową i spuściła wzrok. Właściwie stara znajoma mogła oszczędzić sobie szczegółów, ale najwidoczniej sama uznała, że nie ma sensu dłużej czegośkolwiek przed nimi zatajać.

– Pewnego dnia Sakrat pracował w ogrodzie, a ja... zaproponowałam mu kolejną lekcję. Na werandzie, przy drinku... nic takiego, nic nie planowałam. Na dobrą sprawę nie czułam nawet między nami chemii. – Urwała, by zaczerpnąć tchu, i spojrzała na pomost. – Wypiliśmy trochę więcej, niż powinniśmy.

– Nastukałaś się? – wtrąciła Chyłka.

– Ja... ledwo pamiętam, co się działo – odparła Angelika i na moment zawiesiła głos. – To znaczy, mam przebłyski... wiem, że w pewnym momencie leżałam na nim, potem on na mnie, ale... wiecie, skończyło się na...

– Robótkach ręcznych – podsunęła Joanna.

Angelika skinęła głową ze spuszczonego wzrokiem.

– Nie jestem pewna, ile czasu minęło, ale w końcu poszliśmy do domku. Zatrzymał mnie przed werandą, obrócił tyłem do siebie, a potem kazał się pochylić. Pamiętam tylko tyle, że ścisnęłam mocno poręcz i że było mi cudownie. Nie zrozumcie mnie źle, nie mam nic do zarzucenia Awitowi, ale to... to było dzikie. Pierwotne.

– Dobra, wystarczy tych bzdur – ucięła Chyłka i westchnęła. – Gdzie było wtedy dziecko?

– Wtedy, gdy my...

– Tak, wtedy, gdy się w najlepsze grzmociliście.

– Jezus, Chyłka... chyba nie sądzisz, że robiłabym takie rzeczy, gdyby Nikolcia była w domu?

– Nie wiem, więc pytam.

– Naprawdę nic nie wiesz o macierzyństwie... a Nikola była wtedy z dziadkami w Warszawie. Czasem z Awitem wyjeżdżaliśmy na weekendy i...

– Mniejsza o to. Często robiliście sobie takie schadzki?

Skinęła głową.

– Jak często?

– Szukaliśmy okazji, kiedy się dało – odparła wymijająco. – Kiedy Awit jechał do sklepu lub... – Urwała i pokręciła głową.

Prawniczka spojrzała na nią z niedowierzaniem. Dopiero po chwili zmitygowała się, że w liceum Angela też nie należała do najbardziej pruderyjnych. Z Chyłką było inaczej. Gdyby ktoś wtedy miał wróżyć jej przyszłość, nigdy nie przepowiedziałaby kariery w międzynarodowej kancelarii prawnej. Była cicha, ubierała się skromnie, słuchała niezbyt popularnej muzyki, nie zgłaszała się nigdy do odpowiedzi – ale zawsze brylowała podczas wszelkich sprawdzianów, testów i kartków. Nie była kujonem, nie ryła dlatego, by mieć dobre oceny. To była kwestia ambicji – Joanna chciała być najlepsza. Angelika w tym czasie uganiała się za facetami. I wbrew temu, co Chyłka powiedziała Zordonowi, Szlezyngierowa rzeczywiście odbiła jej chłopaka. Więc nie, gorący romans ze wschodnią wersją Brada Pitta nie powinien jej dziwić.

– Jak on do tego podchodził? – zapytał Kordian, by przerwać ciszę.

– W jakim sensie?

– Czego oczekiwał? – dodał aplikant. – Chciał, żebyś zostawiła męża?

– Na Boga, nie. Wiedział, że to niemożliwe.

Obrońcy patrzyli na nią wyczekująco, więc zaczerpnęła tchu.

– Ze względu na Nikolę – wyjaśniła. – Ale były także inne kwestie. Mamy rozdzielność majątkową, więc sami rozumiecie, że... cóż, skończyłam studia, ale zaraz potem wyszłam za Awita. Nie mam żadnego doświadczenia. Gdybym teraz trafiła na rynek pracy, moje CV od razu lądowałoby w koszu. Sakrat o tym

wiedział.

– Więc jednak rozmawialiście na ten temat?

– Czasem. Niezobowiązująco...

– Ile lat to trwało? – zapytał Kordian.

– Kilka.

– I przez cały ten czas nie próbowaliście zmienić tej sytuacji?

– Nie – rzuciła stanowczo. – Oczywiście, że czasem rozmawialiśmy o tym, jak mogłoby być, ale to tylko takie romantyczne gdybanie, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Aplikant skinął głową, a Chyłka sięgnęła po e-papierosa. Głowa zaczynała boleć ją od tego wszystkiego i nikotyna z pewnością nie pomoże – za to skutecznie przyćmi tętent galopujących myśli.

– Gdzie on jest, Angela?

– Nie wiem.

– Musisz chociaż się domyślać.

– Od jakiegoś czasu mieszał z Antonim Ekielem – powiedziała Szlezyngierowa. – Oprócz tego nie miałyby się gdzie zatrzymać.

– Mógł wrócić na wschód? – spytał Oryński.

– Nie, absolutnie nie. Miał tam wyrok.

– Za co?

Angelika milcząco wpatrywała się w końcówkę elektronicznego papierosa. Joanna odłożyła go na stół, a potem wbiła wzrok w twarz kobiety. Widziała, że zaraz rzuci bombę.

– Zabójstwo? – zapytała prawniczka.

– Nieumyślne spowodowanie śmierci...

– Nie rób sobie ze mnie, kurwa, jaj – wycedziła Chyłka. – Chcesz powiedzieć, że twój kochanek był skazanym kryminalistą?

– Ja tylko... on...

– I nie zająknęłaś się o tym słowem?

– On nigdy nie skrzywdziłby mojej małej...

Joanna zerwała się z krzesła i szybkim krokiem zeszła z ganku. Miała dosyć memłania Angeli. W dodatku doskonale zdawała sobie sprawę, że teraz będą już tylko gonić w piętę. Ona będzie zapewniała, że Tatarnikow jest księciem z bajki, który nigdy by jej nie skrzywdził, oni będą uświadamiać jej, że to typowa gównoprawda.

– Chyłka? – zapytał Kordian, schodząc za nią.

– Pieprzę ją.

– Widzę – powiedział z uśmiechem, doganiając patronkę. – Mamy jakiś plan?

– Wiem wszystko, co mam wiedzieć. Teraz pora, by Aronowicz wykonał ruch.

I wykonał. Ponaglony przez topniejące argumenty, następnego dnia skierował do sądu akt oskarżenia.

Szlezyngierom postawiono zarzut o współsprawstwo z artykułu sto czterdziestego ósmego, paragraf pierwszy Kodeksu karnego. Mieli wspólnie odpowiadać za zabójstwo swojej córki, a prokurator wnioskował o wymierzenie im kary dożywotniego pozbawienia wolności.

Chyłka była zadowolona. Nadszedł czas batalii sądowej.

Rozdział 2

1

Zanim rozprawa na dobre się zaczęła, sędzia przewodniczący zarządził piętnastominutową przerwę. W małej salce, gdzie miał rozpoznać sprawę wraz z drugim sędzią zawodowym i trzema ławnikami, zebrał się tłum. Mając na względzie „powagę sądu”, mężczyzna oznajmił, że niebawem sprawa zostanie ponownie wywołana, po czym wszyscy przeniosą się do innej sali.

Kordian bacznie obserwował prokuratora, starając się ustalić, czy Zbigniew Aronowicz zdołał w ostatnich dniach zyskać jakiś atut, o którym nie wiedzieli obrońcy. Jeśli Oryński miałby decydować na podstawie wyrazu twarzy oponenta, musiałby powiedzieć, że tak.

Oskarżyciel był pewny siebie, uśmiechał się zdawkowo do swoich pomocników i zdawał się w ogóle nie dostrzegać strony przeciwnej.

Szlezyngier siedział w łańcuchach. Miał skrępowane ręce i nogi, a jego postawa była idealnym przeciwieństwem tego, co demonstrował prokurator. Podczas ostatnich kilku dni Awit zdawał się postarzeć, jakby minęły lata. Był zgarbiony, barki ściągał do przodu i patrzył nieobecny wzrokiem w podłogę.

Policjanci wyprowadzili go na zewnątrz, a potem odeskortowali schodami w górę, do nowej sali. Obrońcy i Angelika podążyli za nimi. Operatorzy kamer ustawili się pod ścianami, tworząc szpaler dla całego pochodu.

– Zigi wygląda, jakby zamierzał nas rozjechać – szepnął Kordian.

– Nie opowiadaj bzdur. To my rozjedziemy jego.

Oryński oddałby wiele, by dostrzegać niepewność na twarzy prokuratora, a zwiastun triumfu na obliczu patronki – było jednak odwrotnie.

– On coś ma – dodał Kordian.

– Owszem, ma. Przejebane.

– Ciii... – zestrofował ją, wskazując wzrokiem na kamerę NSI i mikrofon jednej ze stacji radiowych. – Nie rób szopki.

– Nie robię. Po prostu rozmawiam na korytarzu sądowym.

– Który przypomina przejście do noryobory w Skylight.

Trasa od windy do pokoju, gdzie urzędowali stażyści i praktykanci kancelarii Żelazny & McVay, była prawdziwym wyznaniem. Kilka tygodni zajęło Oryńskiemu opracowanie metody, dzięki której mógł lawirować między tłumami prawników. Tutaj było podobnie. Jedyne różnica polegała na tym, że teraz krzyczący wokół ludzie zabiegali o jego uwagę.

– Ile dziś zdążymy załatwić? – zapytał, gdy wchodzili po schodach na drugie piętro.

– Zależy, jak bardzo Zigi będzie się ślimaczył z biegłymi.

– Damy radę przesłuchać Angełę?

– Mam nadzieję. Potrzeba nam mocnego uderzenia.

Kordian nie był pewien, czy są w stanie je wyprowadzić. Po tonie głosu patronki wnosił, że raczej nie.

Przeszli pod salę, a zaraz potem sprawa została powtórnie wywołana. Sędzia przewodniczący zaapelował o spokój i polecił wszystkim, by zajęli miejsca. Tym razem tych siedzących starczyło dla każdego.

– Nie wyobrażam sobie, by stał ktokolwiek, poza osobą zeznającą lub przesłuchującą – dodał.

Kordian usiadł obok Chyłki, a potem nachylił się do niej.

– Wiemy coś o tym gościu? – szepnął.

– Niewiele. Kormak sprawdzał jego sprawy, ale wydedukował tylko tyle, że sędzia nadawałby się bardziej do brytyjskich sądów, gdzie siedziałby z peruką na głowie i cieszył się własnym majestatem.

– Siedzą tam w perukach?

– Niestety coraz rzadziej – odparła. – Do dwa tysiące siódmego każdy sędzia, obrońca i oskarżyciel był przystrojony w togę i perukę. Teraz przywdziewają je tylko przy najgłośniejszych sprawach. Ale nadal panuje tam atmosfera wielkiego szacunku dla sędziego.

– Z pewnością.

Spojrziała na niego z powątpiewaniem.

– Wiesz, jak się mówi do sędziów od drugiej instancji w górę?

– Nie mam pojęcia.

– „*My lord*” albo „*my lady*”. To znacznie więcej niż nasze „wysoki sędzie”, prawda?

– Całkiem możliwe.

– W Irlandii mówi się do nich: „*The Honourable Mister Justice*”. W Kanadzie zresztą też, może w innych krajach anglosaskich jest podobnie. Wyobrażasz sobie polski odpowiednik? Czcigodny Panie Sprawiedliwość?

– Byłaby beka.

– To daje pojęcie o tym, jakim respektem darzą tam sędziów. A u nas? – zapytała Chyłka, wskazując na dziennikarzy stojących przed składem orzekającym. Nosili t-shirty i jeansy, a Kordian szybko dostrzegł, że jeden z nich żuje gumę.

– Co kraj, to obyczaj – powiedział.

– Nie szanuje się tego zawodu, bo całe jedno pokolenie kojarzyło go tylko z ludźmi, którzy wymierzali represyjne kary za czasów PRL-u.

– Zebrało ci się na dywagacje – wtrącił Oryński, ale nie sądził, by patronka w ogóle rejestrowała jego słowa.

– W dodatku na Wyspach nie można robić zdjęć, nie mówiąc już o nagrywaniu – ciągnęła dalej prawniczka. – Jedynym dopuszczalnym przekazem z sali sądowej są szkice. Piękna tradycja, a w dodatku zapewnia spokój procedowania.

– W ogóle nie ma kamer?

– W ogóle – potwierdziła. – W całym sądzie rozwieszono są informacje, że zdjęcia można robić tylko na zewnątrz budynku. Jak jakiś kretyń pstryknie słitfocię komórką, od razu trafia do aresztu. Nie żartuję, tam traktują to dość poważnie.

– To bezsens.

– Niby dlaczego? – zachnęła się Chyłka, znów wskazując dziennikarzy. – Gdyby tak było tutaj, nie musielibyśmy czekać, aż trzecia władza dogada się z czwartą.

– I społeczeństwo nie wiedziało, co się dzieje w murach sądu.

– Sądzisz, że Brytyjczycy nie wiedzą? – zapytała z uśmiechem. – Nie, Zordon, oni dostają kompleksowy przekaz. Po prostu nie robi się z procesu szopki.

– Sama wcześniej jej chciałaś.

Prychnęła pod nosem.

– Ale przed procesem, a nie w jego trakcie. I nie tutaj.

Dziennikarze otrzymali wszystkie informacje i zaczęli ustawiać kamery zgodnie z tym, co polecił przewodniczący.

– Słyszałaś o sprawie O.J. Simpsona, prawda? – szepnęła Joanna.

– Coś tam słyszałem.

– Gwiazda futbolu, aktor, oskarżony o zabójstwo żony i jej przyjaciela. Dźgał dziewczynę kilkakrotnie w głowę i w szyję. Proces stulecia, musiałeś o tym chociaż czytać.

– Może.

– Media zwariowały, a transmisje szły daleko poza USA. Społeczeństwo się podzieliło, a presja była ogromna. Cyrk zresztą też nie mały.

– Zamknęli go?

– Nie. Dowody DNA przemawiały na jego niekorzyść, ale gość nazwiskiem Shapiro zdołał wykazać uzasadnioną wątpliwość. Ława przysięgłych uniewinniła O.J. Simpsona.

Sędzia odchrząknął i poprawił swój mikrofon.

– Tak jak teraz to gremium uniewinni Szlezyngiera – dodała cicho Chyłka.

Kordian nie mógł się zgodzić z tą analogią. Był pewien, że Awit nie ma nic wspólnego z zaginięciem swojej córki. Popatrzył na sędziów, starając się stwierdzić, kogo oni widzą w jego kliencie – trwali jednak z wypisaną na twarzach beznamiętnością.

W końcu przewodniczący odezwał się, otwierając rozprawę. Monotonnym głosem przedstawił wszystkie jej szczegóły, po czym nastąpiła litania stawiennictwa, zaczynając od oskarżonych, przez obrońców, prokuratora, a na świadkach i biegłych kończąc.

– Proszę oskarżonych o powstanie.

Szlezyngier podniósł się, ale nie spojrzał na sędziego. Angelika stanęła obok, wodząc wzrokiem po składzie orzekającym.

– Proszę powiedzieć, jak pan się nazywa.

– Awit Szlezyngier.

– I pani.

– Angelika Szlezyngier.

Pytanie o imiona rodziców było nieskomplikowane, mimo to biznesmen potrzebował chwili, by odpowiedzieć. Głos mu się trząsnął, a oczy miał rozbiegane, jakby starał się objąć wzrokiem całą podłogę.

– Czy są wnioski formalne przed rozpoczęciem przewodu? – zapytał sędzia.

Prokurator się podniósł.

– Nie, dziękuję – odparł niemal nabożnym tonem.

Chyłka zrobiła to samo, ale bez czołobitności.

– Zatem otwieram przewód sądowy – oznajmił przewodniczący. – I udzielam głosu panu prokuratorowi.

Zbigniew Aronowicz wstał, a potem przyjął pozę, która przywodziła Kordianowi na myśl antyczny posąg. Niemal niezauważalnie korzystając z mowy ciała, wygłosił długi monolog, który kończył się oskarżeniem Szlezyngierów o zamordowanie córki i ukrycie jej ciała. Potem spojrzał z trwogą na przewodniczącego i znów zajął swoje miejsce.

– Proszę oskarżonych o powstanie – odezwał się sędzia. – Wysłuchali państwo aktu oskarżenia. Czy rozumieją państwo treść stawianych zarzutów?

Skinęli głowami.

– Proszę odpowiedzieć.

– Tak – odparli oboje.

– Czy przyznają się państwo do popełnienia zarzucanych czynów?

– Nie, wysoki sędzie.

Mężczyzna beznamietnym głosem pouczył ich o tym, że mają prawo do składania wyjaśnień, jak i do odmowy ich udzielania bez podawania przyczyny.

– Czy oskarżeni chcą złożyć wyjaśnienia? – zapytał na koniec.

Skorzystali z tego uprawnienia, relacjonując wszystko to, co zdarzyło się tego wieczoru, gdy Nikola zniknęła. Zgodnie z poleceniem Chyłki, sami wspomnieli o tym, że alarm włączyli o dziewiętnastej.

Obserwując prokuratora, Kordian dostrzegł grymas niezadowolenia. Był to jeden z koronnych argumentów Aronowicza – i to on zamierzał go użyć. Fakt, że Szlezyngierowie sami podali go na tacy, osłabiał jego strategię.

– Chcemy tylko, by córka się odnalazła, wysoki sędzie – zakończyła Angelika, a potem oboje zajęli miejsca po lewej stronie składu orzekającego. Joanna skinęła im głową, dając do zrozumienia, że zrobili dobre wrażenie.

Jako pierwszego na mównicę wezwano biegłego z laboratorium kryminalistycznego. Potwierdził, że na pręcie znalezionym w lesie znajdowały się odciski palców Awita i krew jego córki. Prokurator zapytał tylko o to, czy na przedmiocie znalazły się jakiegokolwiek inne ślady, świadczące o obecności osób trzecich. Biegły zaprzeczył, a Zbigniew na powrót zajął swoje miejsce.

– Pani adwokat? – zwrócił się sędzia do Joanny. – Pytania?

Chyłka podniosła się i uśmiechnęła blado. Spojrzała na mężczyznę stojącego na mównicy i zaczerpnęła tchu.

– Może pan stwierdzić, jak długo ta krew znajdowała się na pręcie?

– Mogę oszacować.

– I jak dokładny będzie to szacunek? – zapytała, zanim biegły zdążył przejąć inicjatywę. – Co do godziny, dnia, tygodnia?

– To wszystko zależy od...

– Mniej więcej.

– Z dokładnością wahającą się od dnia do kilku.

– Nie ma możliwości, by ustalić to precyzyjniej?

– Wszystko zależy od tego, jak długo krew znajdowała się na narzędziu zbrodni. Im dłużej, tym...

– O ile to w ogóle narzędzie zbrodni – wtrąciła Joanna. – Tego nie da się ustalić.

Kiwnął niepewnie głową.

– Czy się mylę? – zapytała, chcąc uzyskać jasną odpowiedź.

– Nie, w tym przypadku po prostu...

– Dziękuję – ucięła. – Więc gdyby ślad pochodził sprzed miesiąca, jaki mógłby być to szacunek?

– Tak, jak mówiłem, z dokładnością do kilku dni – odparł nieco poirytowany biegły. – Gdybyśmy mieli świeższą próbkę, ten czas znacznie by się skrócił. W tym przypadku była już zakrzepnięta.

– Rozumiem – powiedziała Chyłka, kładąc ręce na blacie. – Słyszał pan o metodzie Meezy Islama z Uniwersytetu Teeside?

– Obawiam się, że nie.

– Nie? To głośne odkrycie. Święty Graal kryminalistyki.

– Niestety, nie kojarzę.

Aronowicz spojrział na prawniczkę ze złością. Gdyby proces karny przypominał choć trochę rozprawę, które można było poznać dzięki amerykańskim serialom, zapewne zgłosiłby sprzeciw. Polski porządek prawny jednak tej instytucji nie znał.

– Islam opracował urządzenie do obrazowania wielospektralnego – ciągnęła Chyłka. – Może to coś panu mówi?

– Oczywiście.

– Może pan opisać, jak ono działa?

Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę. Był wyraźnie skołowany i spojrział na skład orzekający w poszukiwaniu ratunku. Nikt jednak się nie odezwał.

– Cóż... – zaczął niepewnie. – Urządzenie to jest prototypem opracowanym w dwa tysiące trzynastym roku. Skanuje spektrum hemoglobiny i na tej podstawie ustala precyzyjny... wiek krwi. Próbkę sprzed miesiąca może być oszacowana co do dnia. Wiek tych najświeższych może być ustalony co do godziny.

– Otóż to – potwierdziła Chyłka. – Czytałam prace profesora Islama i twierdzi on, że bez tego wynalazku badanie krwi pozostawia wiele do życzenia, narażając na szwank cały proces wymierzania sprawiedliwości.

– Nie powiedziałbym, że...

– Naukowiec ten twierdzi, że dziś kryminaliści posługują się metodami sprzed wieku. To prawda?

– Cóż, sposób być może został opracowany kilkadziesiąt lat temu, ale...

– W przypadku metody profesora wszystko opiera się na kolorze, prawda? – wpadła mu w słowo.

– Tak, zasadniczo tak.

– Mógłby pan rozwinąć?

Skinał głową.

– Urządzenie ma ciekłokrystaliczny filtr, który ocenia kolor krwi. Znamy tempo, w którym zmienia się on od jasnoczerwonego do brązowego, dzięki czemu taki mechanizm może szybko ustalić wiek krwi.

– Jak szybko?

– Niemal natychmiast.

– A ile zajęło państwu osiągnięcie jakiegoś szacunku?

– Kilka dni.

– Rozumiem. – Chyłka wyprostowała się, odrywając dłonie od blatu.

Kordian wiedział, że cała ta gadanina miała na celu tylko jedno – danie do zrozumienia trzem ławnikom, że biegły nie jest orłem w swojej dziedzinie. I być może tak rzeczywiście było. Gdyby Joanna trafiła na prawdziwego specjalistę, natychmiast przejąłby inicjatywę w walce, która okazała się nierówna.

– Czy wiadomo, w jaki sposób krew znalazła się na pręcie? – zapytała.

– Nie.

– Czy ślad w jakikolwiek sposób wskazuje, że doszło do uderzenia?

– Nie.

– W takim razie plaster, który zgłoszono w ostatnim wniosku dowodowym, może świadczyć na korzyść moich klientów?

– Pani adwokat... – zaproponował przewodniczący. – Proszę ograniczyć się do zadawania pytań, na które biegły może arbitralnie odpowiedzieć.

– Oczywiście – odparła, lekko pochylając głowę. Potem przeniosła wzrok na mężczyznę stojącego na mównicy. Sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę załatwić to jak najprędzej i wrócić do domu. – Badał pan także krew z plastra? – zapytała.

– Tak, przeprowadziliśmy to samo badanie.

– I?

– Próbki pochodziły od tej samej osoby.

– I wiek był ten sam?

– Owszem.

Chyłka pozwoliła sobie na bezradny uśmiech, wzruszyła ramionami, a potem usiadła.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie – powiedziała i skrzyżowała ręce na piersi, patrząc na swojego oponenta po drugiej stronie sali.

2

Joanna nie spodziewała się żadnych problemów, dopóki przesłuchiwali świadków i biegłych. Na dobrą sprawę najmocniejszym dowodem przeciwko Szlezyngierom była czysta logika – a skład orzekający potrzebował czegoś więcej. Gdyby na miejscu dla świadków stanął Antoni Ekiel, mogłoby to okazać się problematyczne. Zeznanie, że mężczyzna widział Awita z córką w nocy, pogrążyłoby całą linię obrony. Tymczasem oskarżyciel dysponował jedynie tym, co zapisała policja – a tam świadek niejednoznacznie wskazywał na Szlezyngiera.

Kłopoty rozpoczęły się, gdy na mównicy stanął sam Awit. Robił dobre wrażenie, biorąc pod uwagę to, co Chyłka chciała osiągnąć. Przywodził na myśl niesłusznie skazanego, złamanego w więzieniu nieszczęśnika, któremu jest już wszystko jedno. Rzadko który człowiek biznesu był gotów przybrać taką postawę – szczęśliwie Awit się zgodził, gdy Joanna podkreśliła, że to istotne nie tylko dla ławników, ale też dla sędziów.

Przesłuchanie zaczął prokurator, powoli podnosząc się i nie patrząc na oskarżonego.

– O której godzinie włączył pan alarm? – zapytał beznamiętnie.

– Z zapisów agencji wynika, że...

– Pytam pana, nie agencję.

Szlezyngier skinął pokornie głową.

– Rozumiem – powiedział. – Z tego co pamiętam, tamtego dnia uruchomiłem alarm wcześniej niż zwykle.

– Z wyciągu, który mamy w aktach, wynika, że o dziewiętnastej.

– Zgadza się.

– Z tego samego wyciągu wynika, że zazwyczaj pan tak nie postępował. Więcej! Wynika, że nigdy nie włączył pan systemu tak wcześnie.

– To prawda.

– Dlaczego tego dnia tak się stało?

Awit spuścił głowę i trwał przez moment w zupełnym bezruchu.

– Czy oskarżony chce skorzystać z prawa odmowy udzielenia odpowiedzi? – zapytał przewodniczący.

– Nie, wysoki sędzie...

– Więc proszę się ustosunkować.

– Tak – powiedział Szlezyngier i nerwowo poruszył łańcuchem krępującym mu kończyny. – Tego dnia odkryłem, że moja żona ma romans – dodał.

Chyłka zupełnie zdębiała. Oryński obrócił się ku niej z otwartymi ustami, jakby oberwał obuchem.

– To było planowane? – szepnął.

– Bynajmniej – odparła przez zęby prawniczka.

Awit wiedział o skasowanych SMS-ach i romansie – ale tę wiedzę uzyskał tylko dlatego, że podzieliła się nią z nim Chyłka. Musiała to zrobić, by uniknąć afery na sali sądowej, kiedy wprowadzi nowy dowód przez zeznania Angeliki.

Tymczasem to niweczyło cały jej plan. Wbijiała wzrok w profil klienta, ale ten nie miał zamiaru na nią spojrzeć. Zbigniew stał jak słup soli, z wyrazem twarzy podobnym do miny Oryńskiego.

– Słucham? – zapytał.

– Tego dnia doszło między nami do... scysji.

Joannę dopadły czarne myśli. Szlezyngier zaczął prowadzić własną grę, wypinając się na żonę. Jeśli zrobiłby to teraz, prawnicy obudziliby się z ręką w nocniku, podobnie jak sama Angela. Chyłka spojrzała na nią, ale nie dostrzegła niepokoju na jej twarzy. Szlezyngierowa wyglądała, jakby zeznanie męża jej nie zaskoczyło.

– Co jest? – szepnął Kordian, nachylając się do patronki.

– Nie wiem.

– Robią nas w wała?

Z pewnością tak to wyglądało, jednak nie było możliwości, by Szlezyngierowie porozumieli się przed procesem. Wprawdzie Angelika pozostawała na wolności, ale nie miała szansy na widzenie z osobą oskarżoną o współsprawstwo.

– Wysoki sędzie, proszę wybaczyć moją konsternację – odezwał się Aronowicz. – Ale pierwsze słyszę o romansie i kłótni.

– Sąd również – odparł przewodniczący.

Prokurator zwrócił się do Awita.

– Czy mógłby pan rozwinąć?

– Oczywiście... – odparł pokornie Szlezyngier. – Najwyższa pora, by o tym powiedzieć.

Wszyscy na sali milczeli, zupełnie skonsternowani. Wyjątkiem byli dziennikarze, którzy przypominali myśliwych namierzających ofiarę. Wiedzieli już, że dzisiaj oddadzą do swoich redakcji świetny materiał.

– Tamtego dnia złe fatum wisiało nad nami od samego rana – odezwał się niepewnie Awit. – Przed snem pokłóciliśmy się o jakieś bzdury, więc o świcie byliśmy niewyspani, źli i skłonni do dalszych konfliktów. – Zawiesił głos i spojrzał na żonę. Ta uśmiechnęła się do niego lekko, jakby chciała podtrzymać go na duchu. – Zjedliśmy śniadanie w milczeniu, ale potem na nowo zaczęliśmy się sprzeczać. Od słowa do słowa... w końcu dotarliśmy do prawdziwego problemu.

– Romansu oskarżonej? – podsunął skołowany Aronowicz.

– Tak. Moja żona utrzymywała bliskie stosunki z Białorusinem, który pracował u nas w ogrodzie.

– Imię i nazwisko?

– Sakrat Tatarnikow.

– Od jak dawna trwał ten romans?

– Od kilku lat. Zaczął się zaraz po tym, jak zbudowaliśmy domek w Sajenku.

Prokurator spojrzał na sędziego, a Chyłka zakłęta w duchu, widząc ten porozumiewawczy wzrok. Obaj byli zdziwieni, czym wzajemnie się podbudowali. Nie był to dobry znak.

– Proszę mówić dalej – polecił Zbigniew. – Co się stało tamtego dnia?

Szlezyngier ciężko zaczerpnął tchu.

– Powodowały nami emocje... – zaczął niepewnie. – Sytuacja wymknęła się spod kontroli i zaczęliśmy się na siebie wydzierać. Szczęśliwie w pewnym momencie Angelika uznała, że jest ponad to. Ubrała się i wyszła, ja zaś wykrzykiwałem jeszcze pod jej adresem epitety z ganku...

Znów spojrzał na małżonkę, a ta nadal sprawiała wrażenie, jakby chciała dodać mu otuchy. Koncyliacyjne zachowanie i szczerść z pewnością im nie zaszkodzą, ale Chyłka nie miała pojęcia, do czego zmierza to zeznanie. Ani dlaczego nie zostało z nią skonsultowane.

– Angeliki nie było kilka godzin, wróciła dopiero około osiemnastej. Byłem przekonany, że ten czas spędziła z Tatarnikowem... że oboje ustalali już plan, jak razem uciec. – Awit zrobił pauzę i spojrzał na sędziów. – Byłem głupi. Owszem, oboje popełniliśmy błędy, ale oprócz tego byłem po prostu głupi. Tamtego dnia moja żona dała Białorusinowi do zrozumienia, że to koniec ich związku. Nie przyjął tego

dobrze, ale nie pozostawiła mu wyboru. Powiedziała mi o tym, kiedy wróciła do domu, ale nie uwierzyłem jej.

Joannie przemknęło przez myśl, że cały ten monolog brzmi jak wyuczony scenariusz. Szlezyngier starał się sprawiać wrażenie, jakby mówił z głębi serca, ale ton jego głosu zdradzał, że to przemyślane przemówienie.

– Zacząłem na nią krzyczeć, grozić... – Urwał i pokręcił głową. – Niemalże ją uderzyłem. Chciała znów wyjść, więc zamknąłem drzwi na wszystkie spusty i około dziewiętnastej włączyłem alarm. Moja żona nie zna kodu, nie wie, jak rozbroić system...

Biznesmen zakończył, starając się wzruszyć ramionami. Uniemożliwił mu to łańcuch, ale gest został dostrzeżony przez wszystkich na sali. Na moment zaległa cisza.

– Panie prokuratorze? – odezwał się sędzia.

Aronowicz odchrząknął, poprawiając togę.

– Gdzie była pańska córka w czasie tych kłótni? – zapytał.

– W swoim pokoju.

– Także po włączeniu alarmu?

– Tak.

– Jak w takim razie zniknęła?

– Na to pytanie starają się odpowiedzieć śledczy – odparł nerwowo Szlezyngier. – Czy też raczej starali się, dopóki nie skupili się całkowicie na mnie i mojej żonie.

– Wie pan, dlaczego tak się stało?

Awit nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Nie chcę się wypowiadać o kompetencjach organów ścigania.

– Stało się tak, ponieważ nie istnieje żadna możliwość, by pańska córka zniknęła po włączeniu alarmu. Jedynym logicznym wnioskiem jest to, że nie było jej w domu przed dziewiętnastą.

– Nonsens.

Aronowicz poprawił poły marynarki i westchnął.

– Przedstawił nam pan bardzo zgrabną historię, która niewątpliwie ma rzucić cień podejrzeń na osoby trzecie – powiedział. – Ale w rzeczywistości pańskie zeznanie nic nie wnosi do sprawy.

Biznesmen nabrał tchu, chcąc odpowiedzieć, ale Zbigniew mu na to nie pozwolił.

– Czy nadal utrzymuje pan, że córka była w domu po włączeniu alarmu?

– Tak.

– W takim razie nie mam więcej pytań, dziękuję.

– Pani mecenas? – odezwał się przewodniczący.

Joanna wymieniła się zdezorientowanym spojrzeniem z Kordianem. Była przygotowana na to, by poprowadzić za rękę Angełę, nie jej męża. Nie była entuzjastką improwizowania na sali sądowej.

Podniosła się powoli, wbijając wzrok w Awita.

– Czy może pan powiedzieć, gdzie teraz przebywa Sakrat Tatarnikow?

– Nie ma go w Sajenku, to wiem na pewno.

– Zbiegł?

– Z tego, co mi wiadomo, tak.

Aronowicz bezradnie rozłożył ręce, patrząc błagalnie na sędziego. Ten dostrzegł wyraz dezaprobaty, ale nie przerwał Chyłce.

– Dlaczego miałby uciekać akurat wtedy, gdy doszło do zaginięcia pana córki?

– Nie wiem. Być może był w kraju nielegalnie.

Joanna pokiwała głową bez przekonania.

– Mówił pan, że doszło tego dnia do kłótni Tatarnikowa z pańską żoną.

– Tak, nie chciał dać za wygraną. Zarzekał się, że nie pozwoli jej odejść.

Chyłka na moment obróciła się do swojej klientki.

– Więcej dowiemy się od pana żony – powiedziała. – Dziękuję, wysoki sędzie, nie mam więcej pytań.

Joanna zajęła swoje miejsce zadowolona. Ziarno wątpliwości zostało zasiane, choć nie w sposób, jaki planowała. Nadal nie mogła rozgryźć, dlaczego jej klienci wzięli sprawy w swoje ręce, zamiast podążać wcześniej ustaloną drogą. Nie wieszczyło to niczego dobrego, ale z drugiej strony działali przecież na swoją korzyść.

– Czy oskarżony ma coś do dodania? – zapytał sędzia.

– Nie, wysoki sędzie.

– Proszę więc usiąść.

Funkcjonariusze odprowadzili Szlezyngiera do ławy obrońców, a potem posadzili go obok Chyłki. Prawniczka spodziewała się choćby lakonicznego, cichego wyjaśnienia, tymczasem Awit wbił wzrok przed siebie i milczał.

3

Angelika zajęła miejsce na mównicy, robiąc znacznie lepsze wrażenie od swojego męża. Pewnie spoglądała w oczy sędziów i ławników, nie spuszczała wzroku i stała wyprostowana. Widać było na jej twarzy skutki nieprzespanych nocy, ale swoją postawą wysyłała jasny sygnał – jest załamana, ale nie złamana.

Przedstawiła się, a potem zaczerpnęła tchu.

– Nie będę powtarzać tego, co mówił mój mąż – zauważyła. – Chcę tylko uzupełnić jego zeznanie.

Przewodniczący pokiwał głową.

– Sakrat Tatarnikow nie należy do porywczych osób – zaczęła. – Podczas kłótni, jaka się między nami wywiązała, zachowywał się spokojnie. Nie musiałam obawiać się, że dojdzie do rękoczynów. Kiedy jednak odchodziłam, zaczął mi grozić. Mówił, że nie mogę tak tego zakończyć, że to, co między nami jest, stanowi coś więcej niż to, co łączy mnie z Awitem.

Oryński słuchał jej z rosnącym niepokojem. Mimo dobrego pierwszego wrażenia, zeznanie brzmiało tragicznie – jak wyuczona mowa, którą oskarżona bez przekonania recytowała, bo tak kazali jej obrońcy.

– Nie sądziłam, żeby wcielił te groźby w życie... na Boga, dalej tak nie sądzę.

– Jakiego rodzaju były to groźby? – zapytał sędzia.

– Sakrat odgrażał się, że zniszczy mi życie – powiedziała beznamyślnie. – Powtarzał, że decyzja o zakończeniu znajomości z nim będzie najgorszym, co kiedykolwiek zrobiłam. Przysiągł, że pożałuję.

– Miała pani z nim później jakiś kontakt?

– Nie, wysoki sędzie.

Przewodniczący rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko, wysoki sędzie.

– W takim razie pan prokurator?

Zbigniew odsunął notes, w którym zapisywał coś od kilku minut, a potem szybko się podniósł.

– Dlaczego ten człowiek zniknął? – zapytał.

– Słucham?

– Znała go pani od kilku lat, być może najlepiej ze wszystkich mieszkańców, prawda?

– Być może tak.

– W takim razie czy mogłaby pani powiedzieć, dlaczego zniknął? Pani zdaniem, oczywiście.

– Jak już mówiłam, nie podejrzewam go o porwanie Nikolci. – Dopiero teraz Angelika spuściła wzrok.

– I nie wiem, dlaczego wyjechał. Może miał tego wszystkiego dosyć?

– Myślę, że stać panią na lepszą dedukcję.

Szlezyngierowa popatrzyła na sędziów, a przewodniczący posłał karcące spojrzenie oskarżycielowi.

– Proszę wysoki sąd o wybaczenie – dodał Aronowicz. – Chcę tylko ustalić pewną rzecz. – Przeniósł wzrok na kobietę. – Pytam o to, ponieważ nagłe zniknięcie nie stawia go w najlepszym świetle, prawda?

– Przypuszczam, że nie.

– Istnieje jednak domniemanie niewinności.

Pokiwała głową.

– A zatem zakładając, że jest niewinny, dlaczego miałby uciekać? Przecież wie, że właśnie przez to stanie się podejrzanym.

– Owszem.

– Musi istnieć powód.

Angelika rozejrzała się bezradnie, wyraźnie poirytowana.

– Nie może pani żadnego wymyślić?

– W tej chwili nie.

– A fakt, że znajdował się tu nielegalnie? – uderzył Aronowicz. – Jeśli pan Tatarnikow rankiem dowiedział się o zaginięciu państwa córki, musiał wiedzieć, że będzie jednym z pierwszych przesłuchiwanym. Jego dokumenty zostaną sprawdzone, a potem najpewniej zostanie on odesłany na Białoruś. Został tam skazany, prawda?

– Tak, ale...

– Zna go pani – uciął Zbigniew. – Wie pani, czy jest wystarczająco inteligentny, by zdać sobie sprawę z tego, o czym właśnie powiedziałem.

Milczała.

– Jest?

– Tak, oczywiście...

Kordian nie rozumiał, co od początku rozprawy wyprawiało się na sali sądowej. Chyłka ułożyła całkiem zgrabny scenariusz, który mógł skończyć się wyłącznie korzystnie dla oskarżonych. Tymczasem wypięli się na nią i sami sprowadzili na siebie nieszczęście.

– Dziękuję – zakończył prokurator, a potem usiadł na swoim miejscu. Posłał Joannie wyzywające spojrzenie, nie uśmiechając się.

– Pani mecenas?

Prawniczka podniosła się i poprawiła togę.

– Za co skazano pana Tatarnikowa na Białorusi? – zapytała.

– Za nieumyślne spowodowanie śmierci.

Na widowni przeszedł szmer. Sędzia powiódł wzrokiem po zebranych, szukając źródła, ale dźwięk natychmiast ustał.

– Może pani powiedzieć coś więcej na ten temat?

– Niestety nic więcej nie wiem.

Chyłka wydeła usta.

– Jak to? – zapytała.

– Sakrat nie dzielił się ze mną swoją przeszłością. Nie znam szczegółów tej sprawy.

– Nie pytała go pani nigdy o to? Swojego długoletniego kochanka?

– Pytałam, ale... nigdy nie chciał o tym mówić.

– Denerwował się?

– Tak. Ilekroć chciałam się czegoś dowiedzieć, mówił, że rozdrapuję stare rany, żeby zrobić mu przykrość.

– Rozumiem – odparła Chyłka, tocząc wzrokiem po składzie orzekającym i kiwając lekko głową. Potem znów spojrzała na oskarżoną. – Niedługo po panu Tatarnikowie zniknął inny mieszkaniec Sajenka, tak?

– Antoni Ekiel – potwierdziła Angelika.

– Ma pani jakąś wiedzę na ten temat? Domyśla się pani, dlaczego zbiegli razem?

Pytanie w zasadzie było rzuconym oskarżeniem, ale żaden z sędziów go nie uchylił. Może też chcieli dowiedzieć się czegoś w sprawie, która robiła się coraz bardziej enigmatyczna. A może nie przejmowali

się tym, że prawniczka zaczyna manipulować ławnikami.

– Mogę tylko przypuszczać, że Antoni pomógł mu zniknąć.

– Dlaczego?

– Od lat utrzymywali bardzo bliskie kontakty.

– Jak bliskie?

– Sakrat mieszkał u niego. Mówił mi nawet, że Ekiel traktuje go jak syna.

– A on traktował go jak ojca?

– Niekoniecznie – przyznała bez przekonania. – Antoni był mu bliski, ale zażyłość z pewnością była większa po stronie Ekiela.

– Więc mógłby pomóc mu zniknąć?

– Myślę, że tak.

Joanna przez moment milczała, patrząc na klientkę. Potem wyprostowała się i zaczerpnęła tchu.

– To Antoni Ekiel rzekomo widział pani męża nad jeziorem tej nocy, gdy zniknęła Nikola?

– Owszem.

Prokurator zaprotestował, przyjmując niezadowolony wyraz twarzy. Sędzia przewodniczący też nie miał zamiaru puścić tego płazem.

– Pani mecenas – podjął. – Byłbym wdzięczny za niesięganie do środków dowodowych, które już poznaliśmy. Tym bardziej, że oskarżona nie ma z nimi nic wspólnego.

– Wysoki sądzie – odparła uprzejmie Joanna. – Zeznanie Antoniego Ekiela dzięki wyjaśnieniom mojej klientki stało się co najmniej wątpliwym dowodem.

– To należy do oceny sądu.

– Oczywiście.

– Jeszcze jakieś pytania do oskarżonej?

– Nie, wysoki sądzie. Dziękuję – powiedziała adwokat, a potem zajęła miejsce obok Oryńskiego.

Aplikant posłał jej zdawkowy uśmiech, a ona odpowiedziała tym samym. Diametralnie inny nastrój panował po drugiej stronie sali, w ławie oskarżenia. I trudno było się dziwić. Po wykazaniu związku Tatara z Ekiem logika podpowiadała, że coś jest nie w porządku. Kordian widział, że ławników udało im się przekonać – a w sędziach zasiać wystarczająco duże wątpliwości, by Szlezyngierowie mogli być dobrej myśli.

Przewodniczący westchnął, patrząc na oskarżyciela i obrońców.

– Dziękuję, oskarżona może wrócić na miejsce.

Angelika szybko zeszła z mównicy i usiadła przy Chyłce. Nie odezwały się do siebie słowem.

– Cóż... – podjął sędzia. – Najwyraźniej potrwa to trochę dłużej, niż się spodziewaliśmy. Zarządzam półgodzinną przerwę.

Oryński z ulgą opuścił salę rozpraw. Gdyby proces toczył się kilka miesięcy temu, wraz z Chyłką od razu pognaliby na dół, wędzeni nikotynowym głodem. Teraz jednak stanęli na korytarzu, patrząc na siebie z rozrzewnieniem. Wokół zaczynali gromadzić się dziennikarze i inni zainteresowani, robiło się głośno.

Przez moment obrońcy trwali w milczeniu.

– Chodź – rzuciła w końcu Joanna, ruszając ku schodom.

Kordian nie miał zamiaru protestować. Ruszył za patronką, która przebiwała się przez tłum w fachowy sposób – ćwiczyła to codziennie na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight.

Wyszli na zewnątrz, Joanna omiotła wzrokiem okolicę.

– Potrzebny nam kiosk.

– Chcesz kupić fajki?

– Nie, „Men’s Health”, żebyś choćby zobaczył na papierze, jak wyglądają mięśnie.

Spojrzał na nią bykiem.

– Oczywiście, że fajki – dodała.

– Nie ma mowy.

– A co ty jesteś, mój antynikotynowy anioł stróż?

– Trwamy wspólnie w postanowieniu.

Chyłka prychnęła pod nosem.

– Potraktuj to ambicjonalnie – powiedział. – Nie lubisz przegrywać, a ulegając tej pokusie, przegrasz walkę z samą sobą.

– Zamknij japę, Zordon.

Przy tak postawionej sprawie niemądrze było ciągnąć temat. Przez moment Oryńskiemu wydawało się, że jest na przegranej pozycji, ale zaraz potem Joanna przestała wodzić wzrokiem wokół i wyciągnęła e-papierosa. Zrobił to samo. Stanęli pod budynkiem sądu i przez moment w ciszy palili.

– Co tam się stało? – odezwał się w końcu Kordian.

– Nie wiem.

Momenty, gdy patronka udzielała takiej odpowiedzi, mógł policzyć na palcach jednej ręki.

– Oni coś kombinują – burknął.

– Co ty powiesz?

Obrócił się do niej i wypuścił dym w bok.

– I co z tym zrobimy? – zapytał.

– Przemagłujemy ich jak bure suki – zapowiedziała. – Ale w zaciszu domowego ogniska, bez świadków. Zaraz złożymy wniosek o uchylenie tymczasowego aresztowania.

– Sąd to klepnie?

– Będzie musiał. Wykazaliśmy, że krew mogła pochodzić sprzed kilku dni, a jedyny świadek jest powiązany z osobą, która staje się coraz bardziej podejrzana. Co zostało Aronowiczowi?

– Gównno.

– Otóż to – odparła z zadowoleniem Chyłka. – Dziś wyciągniemy Szlezyngiera z więzienia, a potem zaczniemy szukać Tatarnikowa i Ekiela. Jak tylko znajdziemy któregoś z tych sukinsynów, będziemy mieć wygraną w kieszeni.

Oryński spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Proszę, proszę – powiedział. – Czyżbyś zaczęła traktować klientów jak niewinnych ludzi?

– Może.

– Czyli może się myliłaś – dodał, po czym zagwizdał cicho pod nosem. – To dopiero będzie historia, jak wrócimy do kancelarii.

Joanna nerwowo spojrzała na zegarek, a potem schowała e-papierosa do kieszeni żakietu.

– Nadinterpretujesz moje „może” – zastrzegła. – Chodzi mi tylko o to, że mając na talerzu Antoniego i Sakrata, przycisnę ich tak, że będą wyglądali na winnych zrzucenia bomby na Hiroshimę i Nagasaki. Nie interesuje mnie, kto naprawdę porwał to dziecko, ale zapewniam cię, że przekonam wszystkich, że to tych dwóch.

– Okej.

– I oszczędź mi gadaniny o tym, że powinniśmy odnaleźć małą.

– Nie zamierzałem...

– Jak jasna cholera nie zamierzałeś – syknęła. – Słyszę już w głowie całe to twoje utyskiwanie, że jesteśmy bezduszni i obchodzi nas tylko sprawa.

– Nie użyłbym liczby mnogiej, ale...

– Organy ściągania są od szukania dziecka – wpadła mu w słowo. – Teraz, kiedy oczyścimy Szlezyngierów, będą mogli zająć się tym, co powinni robić od samego początku. Pasuje ci to?

– Pasuje.

Weszli do środka, ignorując wszystkie aparaty fotograficzne, które wzięły ich na celownik. Kordian uznał, że w słowach patronki coś jest. Zapomniała tylko wspomnieć o tym, że jeśli sami odnajdą Sakrata i Ekiela, być może uda im się także trafić na ślad dziewczynki.

Kilku dziennikarzy starało się zapytać o przebieg rozprawy, ale prawnicy przemknęli między nimi, jakby ich nie dostrzegli. Weszli na salę sądową kilka minut przed tym, jak sędzia wznowił rozprawę.

Przesłuchano jeszcze kilku świadków, w tym Aleksandra Sobonia, który z punktu widzenia obrony prezentował się wprost idealnie. Ślady pobicia były wyraźnie widoczne, a chłopak poświadczył, że napadnięto go dzień po tym, jak skierował prawników na trop Ekiela. Potwierdził też, że starzec utrzymywał bliskie kontakty z Sakratem Taternikowem.

Nazwisko Białorusina pojawiało się coraz częściej. Kolejni mieszkańcy, nawet jeśli nie byli o to pytani, poruszali jego temat. Plan Chyłki nabierał coraz bardziej realnych kształtów, a ławnicy sprawiali wrażenie, jakby byli gotowi natychmiast rozpocząć poszukiwania Sakrata.

Sprawa skomplikowała się dopiero, gdy na mównicy stanął funkcjonariusz Satanowski.

4

Chyłka spodziewała się, że Aronowicz i policjant dogadali wcześniej każdy szczegół przesłuchania. Satanowski pewnie patrzył na sędziów, zupełnie jakby posiadał jakąś tajemną wiedzę, pozwalającą rozwiązać tę sprawę.

Dziwiła mu się. Po tym, co usłyszeli od Szlezyngierów i mieszkańców Sajenka, funkcjonariusz z Zespołu do spraw Poszukiwań i Identyfikacji Osób powinien podać w wątpliwość wszystko, co do tej pory udało mu się ustalić. Tymczasem sprawiał wrażenie, jakby przez ostatnie godziny znajdował się zupełnie gdzie indziej.

Sierżant przedstawił się, podał swój wiek, stanowisko, a potem poinformował o czynnościach, które podjął w postępowaniu. Prokurator zaczął spokojnie, od powtórzenia wszystkich ustaleń. Gdy dotarł do omawiania systemu alarmowego, Chyłka dostrzegła błysk w jego oczach.

– Założmy, że wszystkie te rzeczy, o których mówi obrona, są zgodne z prawdą – powiedział z szerokim uśmiechem Aronowicz.

– Założmy – odparł z takim samym politowaniem Satanowski.

– W jaki sposób ten Białorusin mógłby uprowadzić dziecko?

Policjant wzruszył ramionami.

– Czy świadek nie ma nic do powiedzenia? – odezwał się przewodniczący.

– Ja... – zaczął sierżant i przestąpił z nogi na nogę. – Wysoki sędzie, nie bardzo wiem, jak mógłbym odpowiedzieć. Potwierdziliśmy, że alarm uzbrojono o godzinie dziewiętnastej, a oboje rodziców zeznało, że dziecko znajdowało się wówczas w domu. Nie ma fizycznej sposobności, by ktokolwiek je porwał.

– Więc co się z nim stało? – zapytał oskarżyciel.

– Wciąż staramy się to ustalić.

– A najprawdopodobniejsza teza?

– Obawiam się, że łączy się z rodzicami – odparł policjant, patrząc na oskarżonych. – Zasadniczo wykluczyliśmy udział osób trzecich.

– Ale uznajmy, że jednak ktoś taki był – drążył z niemającym uśmiechem Zbigniew. – Że ten cały Tatar pojawił się i porwał dziecko. Jak taka teza ma się do rzeczywistości?

– Nie ma poparcia w materiale dowodowym – rzekł pewnie funkcjonariusz i wyprostował się jeszcze bardziej. Jego wyraz twarzy diametralnie się zmienił. – Jeśli ktoś miałby uprowadzić dziecko, musiałyby się to stać przed dziewiętnastą. Trudno w takim układzie założyć, że rodzice włączyli potem alarm i zachowywali się jak gdyby nigdy nic.

– Chyba że sami to zrobili.

– Taka jest jedyna logiczna konkluzja, moim zdaniem.

– Więc ukryli dziecko, a potem włączyli alarm?

– Dziecko lub zwłoki – sprostował Satanowski, a Szlezyngierowie w jednej chwili opuścili głowy, jakby otrzymali mocny cios prosto w serce.

– Jak inaczej mógłby pan wytłumaczyć to zaginięcie? – zapytał Aronowicz, patrząc na sędziów.

– Nie mógłbym. To w moim przekonaniu jedyna możliwość.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

– Pani mecenas? – zapytał przewodniczący.

Chyłka podniosła się i przewróciła oczami.

– Chętnie zapytam świadka o kilka spraw, wysoki sędzie – powiedziała. – Postaram się być tak ekspresywna w mimice, jak prokurator, ale nie wiem, czy mi się uda.

– Pani mecenas...

– Przepraszam – mruknęła, unosząc dłonie i uśmiechając się lekko. Potem skinęła głową policjantowi na mównicy. – Panie sierżancie, o czym konkretnie świadczy fakt, że alarm został włączony o dziewiętnastej?

Pytanie nie było przesadnie mądre, ale Satanowski musiał być przygotowany na to, że będzie proszony o omawianie rzeczy najbardziej oczywistych.

– Świadczy o tym, że drzwi ani okna nie zostały otwarte aż do samego rana.

– Wszystkie okna?

– Z wyjątkiem tych dachowych.

– Bo nie ma tam alarmu.

– Nie, nie ma – potwierdził.

Chyłka skrzyżowała ręce na piersi i przechyliła głowę na bok. Trwała tak przez chwilę, patrząc na policjanta. Cisza przeciągała się zbyt długo i Satanowski znów zaczął nerwowo się poruszać.

– Pani mecenas – upomniał ją przewodniczący.

Joanna rozplotła ręce.

– Więc ktoś mógł wejść i wyjść, nie włączając alarmu.

– Teoretycznie tak.

– Dlaczego tylko teoretycznie?

– Ponieważ nie znaleźliśmy żadnych śladów na zewnątrz. Oprócz tych, które zostawili oskarżeni.

– Te ślady mogły powstać wcześniej.

– Owszem – przyznał sierżant. – Co nie zmienia faktu, że innych tam po prostu nie ma.

Prawniczka znów się uśmiechnęła.

– Od ilu lat pracuje pan w policji? – zapytała.

– Od pięciu.

– Czy w tym czasie spotkał się pan z sytuacją, że przestępca nie pozostawia po sobie żadnych śladów?

Satanowski przez moment się zastanawiał, krzywiąc przy tym. Trwało to dostatecznie długo, by efekt został osiągnięty. Zanim funkcjonariusz zorientował się, do czego dąży prawniczka, pojawiła się wątpliwość.

– Nie, nie spotkałem się z taką sytuacją – powiedział. – Zawsze są jakieś ślady.

– Rozumiem – rzuciła. – Od ilu lat pracuje pan w Zespole do spraw Poszukiwań i Identyfikacji Osób?

– Od trzech.

– I ile spraw dotyczy poszukiwań, a ile identyfikacji?

– Nie prowadzę takich statystyk.

– Proszę powiedzieć mniej więcej.

– Większość dotyczy identyfikacji.

– Zdecydowana większość?

– Sądzę, że tak.

– A kiedy już dochodzi do uprowadzeń, jaki zazwyczaj mają charakter?

– Porwań rodzinnych.

Chyłka ledwo zauważalnie rozłożyła ręce. Gest był subtelny, ale trudno było go przeoczyć. Sędzia posłał jej karcące spojrzenie, więc Joanna natychmiast opuściła ręce wzdłuż ciała.

– Proszę wybaczyć, że o to pytam, ale ile miejsc zbrodni miał pan okazję badać?

– Ja? Cóż...

Ta odpowiedź wystarczyła, by adwokat odtrąbiła sukces. Fanfary były w jej przekonaniu całkiem zasłużone.

– Nie jestem w stanie tego teraz stwierdzić...

– Nie jest pan w stanie.

Pokiwał głową, wyraźnie zażenowany.

– A jednak wypowiada się pan jak światowej klasy specjalista.

Przewodniczący cmoknął z dezaprobatą.

– Pani adwokat – odezwał się. – Rozumiem, że koncepcja tego przesłuchania zakłada pewien rodzaj konfrontacji, niemniej sąd byłby wdzięczny, gdyby ograniczyła pani swoje wypowiedzi do pytań.

– Oczywiście – powiedziała uprzejmie prawniczka. – Zatem niech świadek pozwoli, że zapytam. Czy jest możliwe, by przestępca nie zostawił żadnych śladów?

W poszukiwaniu ratunku Satanowski spojrział na prokuratora. Ten siedział ze wzrokiem wbitym w notes, kreśląc w nim coś nerwowo. Sygnał jednak został przez ławników odebrany – policjant wiedział, do kogo zwrócić się w potrzebie.

– Czekamy na odpowiedź – odezwał się drugi z sędziów zawodowych.

Przewodniczący posłał mu obojętne spojrzenie.

– Cóż... zawsze są jakieś dowody.

– Ale nie zawsze śledczy je odnajdują, prawda?

– Przypuszczam, że nie. Nie zawsze.

– Szczególnie w przypadku, kiedy uważają, że mają już sprawcę – skwitowała Chyłka, wskazując na swoich klientów. Sędzia natychmiast ją skarcił, ale nie miało to żadnego znaczenia. Powiedziała wszystko, co miała do powiedzenia. Osiągnęła zamierzony rezultat.

– Dziękuję, wysoki sędzie – powiedziała. – Nie mam więcej pytań.

5

Po zakończeniu pierwszej rozprawy prawnicy z kancelarii Żelazny & McVay byli w skowronkach. Mimo konieczności improwizacji Chyłce udało się przejąć inicjatywę w starciu, które początkowo wydawało się przegrane. Kordian nie miał wątpliwości, że dzięki temu na drugiej rozprawie będą dysponować niezachwianą pozycją.

Usiadł na tylnej kanapie iks piątki i założył ręce za głowę. Na siedzeniu pasażera uśmiechnęła się Angelika i mimo entuzjazmu obrońców minę miała niewesołą. Zapewne spodziewała się, że Chyłka wyleje na nią wiadro pomyj, tymczasem adwokat nie odezwała się słowem. Włożyła pilota do stacyjki, a potem nacisnęła „start”. BMW przyjemnie mruknęło.

– Co z tymczasowym aresztowaniem? – zapytała Szlezyngierowa.

Joanna wskazała na Oryńskiego. Ten przełknął ślinę, niezbyt dobrze pamiętając, jak skonstruowano instytucję zażalenia na ten środek zapobiegawczy.

– No dalej, Zordon – ponagliła go Chyłka. – Można złożyć zażalenie?

– Można.

– Drugie? Na to samo postanowienie sądu?

– Nie można.

– Więc co można?

– Musisz mnie tak egzaminować przy ludziach? – bąknął.

– Jestem twoją patronką.

– A ja aplikantem, który skończył studia dawno temu.

Spojrzała na niego w lusterku.

– Więc co robi aplikant z Alzheimerem w tej sytuacji?

– Złoży odwołanie.

– Ale bzdury opowiadasz. Do kogo chcesz się odwoływać? Sąd okręgowy postanowił, że Awit ma siedzieć w więzieniu. Do apelacyjnego?

Angelika obróciła się przez ramię.

– Nie wypuszczą go? – spytała. – Przecież wątpliwości powstało tyle, że nie mają prawa go tam trzymać.

– I nie będą, jak tylko Zordon wpadnie na jakiś pomysł.

– Niech cię szlag – syknął, sięgając w odmęty pamięci. Nie potrafił przypomnieć sobie niczego konkretnego, ale skoro tego dnia tak dobrze sprawdzała się improwizacja, uznał, że warto spróbować. – Tymczasowo aresztowany może wnioskować o uchylenie środka zapobiegawczego.

– Alleluja. Twój mózg wreszcie wysłał odpowiedni sygnał – pochwaliła go Joanna. – Może też wnioskować o zmianę środka, nie tylko uchylenie.

– Więc Awit wyjdzie? – zapytała Angela.

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Gdybym nie była, nie mówiłabym, że tak się stanie – odparła chłodno Chyłka. Nadal nie patrzyła na pasażerkę, najwyraźniej uznając, że obojętność będzie lepsza od rozzalenia.

Potem przez moment w samochodzie słycać było jedynie Bruce'a Dickinsona śpiewającego o lęku przed ciemnością. Kordian miał wrażenie, że powietrze się elektryzuje, jak przed burzą.

Szybko przekonał się, że miał rację.

– Jesteś nędzną wywłoką – odezwała się nagle Joanna.

– Że co proszę?

Oryński odgiął się do tyłu, uznając, że najlepiej będzie nie wtrącać się do rozmowy.

– Co powiedziałaś? – zapytała Angelika.

– Że śmierdzisz moczem i starymi ludźmi.

– Naprawdę? Do takiego poziomu się zniżasz?

– By gadać z koniem, czasem musisz rzeć jak on.

Szlezynierowa pokręciła głową.

– Nie mam zamiaru wracać do licealnych przepychanek.

– Może trzeba było o tym pomyśleć, zanim wystawiłaś nas na sali sądowej?

– Nikogo nie wystawiłam – powiedziała cicho. – Bronimy się z Awitem tak, jak uważamy to za słuszne.

Joanna na moment puściła kierownicę i rozłożyła ręce. BMW jechało prosto, jakby uruchomił się jakiś stabilizator jazdy, ale Kordianowi zrobiło się nieco goręcej.

– No tak, w końcu jesteście specjalistami od prawa karnego.

– Nie, ale...

– Wyszliśmy z tego obronną ręką tylko dlatego, że Satanowski okazał się niewymagającym przeciwnikiem – ucięła Chyłka. – Ale jeśli jeszcze raz wywiniecie taki numer, poproszę sędziego o przerwę, a was o wypowiedzenie stosunku obrończego. Jasne?

Angelika niemal niezauważenie skinęła głową.

– I co sobie wyobrażaliście, przejmując inicjatywę?

– Działaliśmy na swoją korzyść. O to w tym chodzi, prawda?

– Tak, ale chodzi też o to, że powinniście zdać się na nas – zaproponowała Joanna. – Jesteśmy po waszej stronie, do cholery.

– Czasem mam wątpliwości.

– Co ty pieprzysz?

Angela obróciła się do niej. Posłały sobie krótkie spojrzenie.

– Uważasz, że jesteśmy winni – zauważyła pasażerka.

– I co z tego? Broniałam największych zwyrodnialców z pełną świadomością tego, że nimi są.

– Ale my nimi nie jesteśmy.

– Kogo to, kurwa, interesuje? – zapytała, znów rozkładając ręce. – Mnie nie. Może Zordona?

Kordian odchrząknął i poprawił krawat. Wiedział, że to dobry moment, by włączyć się do rozmowy i uspokoić trochę patronkę.

– Jeśli o mnie chodzi, to... – zaczął.

– Jestem waszą najlepszą szansą na to, by uniknąć więzienia – ciągnęła Chyłka, ignorując go. – Szansą, na którą sami się zdecydowaliście i którą możecie zaprzepaścić, jeśli będziecie urządać sobie kowbojskie kpiny.

Angelika nie odzywała się. Resztę drogi do Sajenka przejechali w milczeniu.

Po przemyśleniu sprawy Oryński musiał przyznać, że poniekąd rozumiał klientów. Jeśli rzeczywiście nie mieli nic wspólnego z zaginięciem córki, świadomość, że obrońca ich podejrzewa, z pewnością nie pomagała. W dodatku Awit był rekinem biznesu, człowiekiem, który lubił sprawować kontrolę. Możliwe, że nie mógł dłużej znieść bierności i postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Tak czy inaczej, skończyło się dobrze. Teraz pozostawało tylko czekać na kolejną – i ostatnią – rozprawę.

Chyłka zaparkowała przed domkiem letniskowym, a Angelika bez słowa opuściła samochód. Prawnicy również wysiedli.

– Poczekaj tutaj – powiedziała Joanna.

Kordian spojrział na nią pytająco.

– No zaczekaj chwilę – powtórzyła, a potem skierowała się w stronę budynku.

Przez moment sądził, że Chyłka postanowiła w cztery oczy porozmawiać z Angeliką, jak stara znajoma ze starą znajomą. Zaraz jednak przekonał się, że prawniczka wyminęła klientkę i zniknęła w domku letniskowym.

Po chwili wróciła z dwoma dużymi butelkami heinekena. Jedna była już napoczęta – i właśnie tę dostał Oryński.

– Dzięki – bąknął.

Przeszli na molo i usiedli na końcu, zwieszając nogi nad wodę. Przez moment nie odzywali się, wodząc wzrokiem po zalesionych brzegach.

– Wyczuwam minorowy nastrój – odezwał się w końcu Kordian.

– Całkiem prawidłowo.

– Ale przecież dobrze nam poszło – zauważył i obrócił się do patronki.

– Dobrze, ale nie idealnie – odparła ciężko Chyłka, po czym pociągnęła duży łyk piwa. – Ostatecznie wszystko sprowadzi się do dwóch rzeczy: nie ma śladów uprowadzenia, a jedyny świadek zniknął.

– To nie najgorzej dla nas.

– To beznadziejnie dla nas – zaoponowała. – Gdybyśmy mieli Ekiela na mównicy, wycisnęłabym go jak cytrynę. W końcu przyznałby, że tak naprawdę nie jest pewien, kogo widział w nocy z małą na brzegu.

– No tak – odburknął Kordian.

– Może go znajdziemy.

– Jak?

– Nie wiem, poszukamy.

– To genialne w swojej prostocie.

– Pij, nie pleć bzdur.

Z takim rozkazem nie miał zamiaru polemizować.

– Brak śladów jest poważniejszy – zauważyła. – Sąd nie łyknie naszej wersji, dopóki nie uprawdopodobnimy, że Nikola mogła zostać porwana, gdy alarm był włączony.

Oryński odłożył butelkę.

– Jak to zrobimy?

– Tego też nie wiem – mruknęła. – Musisz zadawać tyle pytań?

– Sytuacja mnie do tego nastraja.

– Oczekuję od ciebie więcej odpowiedzi – odparła Chyłka, mierząc do niego heinekenem. – Pracujesz u Żelaznego i McVaya już rok, powinieneś się czegoś nauczyć pod skrzydłami swojej patronki.

– Moja patronka przez większą część roku mnie olewała.

– To i tak więcej, niż może powiedzieć przeciętny aplikant.

Miała rację, ale Oryński nie zamierzał odpuszczać – nie teraz, gdy udało mu się wreszcie skierować rozmowę na odpowiednie tory. Po sprawie Langerera z jakiegoś powodu zaczęli się od siebie oddalać. Przypuszczał, że absurdalnie mógł to być rezultat nadmiernego zbliżenia, zżycia się. Chyłka z pewnością nie należała do osób, które mogły pochwalić się szerokim gronem przyjaciół. Niełatwo nawiązywała tego typu relacje, a gdy tylko orientowała się, że w istocie to właśnie robi, wycofywała się.

– Mimo wszystko czasem moglibyśmy...

– Co? Wskoczyć do kina?

– Nie od razu do kina, ale od czasu do czasu...

– Widzisz to? – ucięła, potrząsając butelką. – Wiem, że siedzimy nad jeziorem, dyndamy sobie nogami nad jego spokojną taflą i zbiera ci się na zaloty, ale ten rekwizyt z zielonego szkła powinien ci uświadomić, jak bardzo doceniam takie próby.

– Hę?

– Przyszłam tu posiedzieć z piwkiem, a nie poumizgiwać się przy butelce wina – wyjaśniła. – Łapiesz tę subtelną różnicę?

– Ledwo – odparł. – Ale może odzwierciedla ona twoją naturę.

– Też jestem tego zdania. – Znów się napiła, a potem wbiła wzrok w cypel przed nimi. – Słuchaj, Zordon – podjęła – rozumiem, że rok temu robiłeś sobie nadzieję, ale do tego czasu powinienes wiedzieć, że to mrzonki.

– E tam.

– Że co proszę?

– Powiedziałem: „e tam”.

– Doskonale słyszałam, co powiedziałeś.

– Zasugerowałem, że pieprzysz straszne bzdury – dodał i napił się piwa. – Oboje doskonale wiemy, co do mnie czujesz, ale problem polega na tym, że jesteś moją patronką. Jeszcze przez dwa lata nie może do niczego między nami dojść, ale potem?

Chyłka otworzyła usta, ale się nie odezwała.

– Będziemy jak dwa szalone króliki – dopowiedział Oryński.

– Prędzej dam się wypatroszyć, Zordon.

– Widzisz? – odparł, uśmiechając się. – Już między nami iskrzy.

– Zaraz tak zaiskrzy, że ci klejnoty eksplodują – oceniła pod nosem. – I skup się na sprawie.

– Skupiałem się cały dzień w sądzie. Mam dosyć.

Chyłka przez chwilę w milczeniu toczyła wzrokiem po gęstych koronach drzew. Kordian uznał, że to tyle, jeśli chodzi o rozmowę na temat relacji międzyludzkich. I nie pomylił się.

– Wierzysz w to, że Szlezyngierowie są niewinni – odezwała się po chwili.

– Mhm.

– Więc udowodnij mi to. Jak porwano ich córkę? I dlaczego?

– Daj spokój...

– Nie. Przekonaj mnie – uparła się. – Jak i dlaczego?

Oryński spodziewał się, że takie pytanie prędzej czy później padnie, ale nie miał nic sensownego do zaproponowania. Od początku całej sprawy starał się znaleźć odpowiedzi i nic nie wskazywało na to, by ten wieczór miał okazać się przełomowy.

– Nie wiem – powiedział po chwili.

– W takim razie dziwię się, że nadal im ufasz.

– Gdybyś wzięła ze mnie przykład, może nie wystawiliby nas podczas rozprawy.

– Czym się kierujesz? – zapytała, jakby nie słyszała jego uwagi. Obróciła się do niego i usiadła po turecku. – Intuicja podpowiada ci, że tego nie zrobili?

– Może.

– W zderzeniu z faktami wypada raczej blado.

– No tak.

– Więc o co chodzi? Może tak bardzo chciałbyś, żeby byli niewinni, że naginasz do tego swój wewnętrzny głos? Nie uśmiechałoby ci się bronić dzieciobójców, prawda?

– Nikomu się nie uśmiecha – odparł. – Wiem, że kiedyś trafię na pedofila, zbrojeńca czy

zimnokrwistego mordercę. Tyle że Szlezyngierowie się do tego nie kwalifikują.

Mimo to, gdy wracali do domku, miał wątpliwości. Słowa Chyłki odbijały mu się echem w głowie i po raz pierwszy zaczął myśleć o tym, że prokurator może mieć rację. Szybko odrzucił ten wniosek, a potem położył się na materacu na poddaszu.

Nie mógł zasnąć. Próbował przez dwie godziny, po czym zrezygnował. Wstał i ruszył do wyjścia. Zatrzymawszy się przed progiem, obrócił się i spojrzał na śpiącą Chyłkę. Po chwili spuścił wzrok i cicho wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Zszedł na dół, wziął sobie piwo i narzucił na siebie kurtkę. Wyszedł na zewnątrz i zaczął obchodzić dom. Fotokomórki zareagowały natychmiast, oświetlając okolicę. W zupełnej ciszy Oryński krążył wokół budynku przez następne dwie godziny. Potem wziął kolejne piwo i wrócił na molo. Siedział tam do świtu.

Zrozumiał, że bronią winnych ludzi.

6

Czas przed drugą rozprawą Chyłka spędziła na uwydatnieniu argumentów, które już podniosła. Przez konieczność improwizacji musiała rzucić na plac boju wszystko, co miała w zanadrzu – przez co straciła element zaskoczenia. Prokurator jednak był w identycznej sytuacji, więc nie miała się czym przejmować.

Przede wszystkim musiała wykazać, że Ekiel i Sakrat rzeczywiście zapadli się pod ziemię oraz że pobicie Aleksandra Sobonia miało coś wspólnego ze sprawą. Pierwsza rzecz nie była przesadnie trudnym zadaniem – obu mężczyzn szukali śledczy i policja. Nie zostawili żadnego tropu i nikt nie wiedział, gdzie mogą się znajdować. Mimo to Kordian ze zdwojoną mocą prowadził własne poszukiwania, chodząc po sąsiadach i nie dając za wygraną.

Joanna doskonale wiedziała, że wykracza to dalece ponad to, do czego zobowiązywała go praca. Szukał tych ludzi z nadzieją, że tym samym wpadnie na trop zaginionej dziewczynki. I przekona się, że ich klienci nie popełnili żadnej zbrodni.

Chyłka nie spodziewała się sukcesów. Tym bardziej zaskoczył ją widok radosnego aplikanta, gdy po kilkudniowych poszukiwaniach pędził ku gankowi od ulicy. Podniosła wzrok znad laptopa i posłała mu długie spojrzenie.

– Nie połam się, chuchro – powiedziała, gdy wbiegał po schodkach.

– Mam!

– Widzę, że masz. Eureka!

– Nie kpij – powiedział, z trudem biorąc oddech. – Mam trop...

Zamknęła laptopa i spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Jaki trop?

Usiadł przy stoliku i poczęstował się jej kawą. Rozejrzał się, wypatrując Angeliki, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Chwilę wcześniej wzięła łódkę i popłynęła na drugą stronę stawu. Od kilku dni była zamknięta w sobie i wybierała się na takie wyprawy dość często. Joannę zaczynało to niepokoić, ale nie na tyle, by ją śledzić – Sajenko nie było duże i cały czas widziała, co robi stara znajoma. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiała się z nią rozmówić, ale wciąż miała nadzieję, że Angela sama poukłada sobie wszystko w głowie.

Oryński odstawił nerwowo kawę.

– Nie uwierzysz... – zaczął, uspokajając oddech.

Joanna nie miała wielkich nadziei co do odkrycia. Na tym etapie był już jak narkoman na głodzie, który dostał trochę kleju, przekonany, że zastąpi mu to kokainę.

– Nie, przypuszczam, że nie uwierzę.

Spojrzał na nią bykiem, dopiero teraz odnotowując rezerwę.

– Rozbiję twój sceptycyzm w drobny mak – zapowiedział.

– Strzelaj więc, kapitanie Zordonie.

– Taternikow zostawił po sobie ślad.

– Doprawdy?

– Ekiel był uważniejszy, co mnie nie dziwi – dodał Kordian, znów podnosząc kubek z kawą. – Miał w końcu trochę czasu, by przygotować ucieczkę. Sakrat jednak musiał działać szybko, doskonale

wiedząc, co się stanie, jeśli zostanie w Sajenku.

– I gdzie popełnił błąd? – zapytała Chyłka.

– Musiał się gdzieś zatrzymać, prawda?

– Przypuszczam, że prawda. Chyba że jest następnym Deanem Karnazesem.

– Kim? – zapytał Kordian, ściągając brwi.

– Facetem, który potrafi biec przez trzy dni i trzy noce bez przerwy. Powinieneś o nim słyszeć, też przecież biegasz.

– Dziesięć kilometrów z rana. Nie mam w sobie nic z maratoń... – Oryński urwał i machnął ręką. – Zresztą nieważne. Uznałem, że kiedy Sakrat zniknął, nie mógł być daleko. Z pewnością czekał, aż Ekiel zbierze wszystkie swoje oszczędności, zorganizuje im transport i tak dalej.

– Niewykluczone.

– Ale od momentu zaginięcia Nikoli do momentu, gdy straciliśmy Antoniego, minęło kilka dni. Gdzie wtedy był Tatarnikow? Gdzie czekał?

Chyłka odebrała kubek aplikantowi i spojrzała na niego badawczo. Najwyraźniej jednak do czegoś doszedł.

– Noce są jeszcze ciepłe – ciągnął dalej Kordian. – Sakrat mógł spać pod gołym niebem. Nie padało, nie wiało, a wokół bezbrzeżne lasy. Warunki idealne, by gdzieś się zaszyć.

– Nie licząc dzikich zwierząt.

Oryński wymierzył w nią palcem.

– Otóż to – powiedział. – Wyszedłem z założenia, że nie nocował w żadnym domu czy budynku gospodarczym w okolicy, by byłoby to zbyt ryzykowne. Ponadto potrzebował miejsca z dobrym widokiem na okolice, by zawczasu wypatrzyć ludzi przeszukujących lasy.

Joanna domyślała się już, do czego zmierza aplikant.

– Popytałem wśród sąsiadów o to, gdzie rozlokowane są ambony.

– Ambony? Myślałam, że w parkach narodowych jest zakaz polowania.

– Jest zakaz, ale z wyjątkami – zauważył Oryński. – Sprawdziłem ustawę o ochronie przyrody. Poza tym można prowadzić odstrzały redukcyjne. A same ambony są wykorzystywane nie tylko przez myśliwych, ale także przez ornitologów i...

– Dobra, dobra. Do rzeczy.

– Miła kobieta, sąsiadka Antoniego, powiedziała, że kiedyś był członkiem Polskiego Związku Łowieckiego. Wiedziała, że nieraz chodził do lasu z Tatarnikowem, a nawet orientowała się, w którą część borów się zagłębiali.

– Znalazłeś tę ambonę.

– Tak – przyznał z zadowoleniem Kordian. – Namierzyłem miejsce, gdzie Sakrat spędził kilka nocy. Zabrał ze sobą jedzenie, a może Ekiel mu je przynosił. Tak czy inaczej, dowodów jest w bród. Niczego nie ruszałem, żeby nie zacierać śladów.

– Co tam było?

– Opakowania po orzeszkach, chipsach, puszki po piwie...

– Wszystko to mogli zostawić myśliwi.

– Raczej kłusownicy.

– Mniejsza o szczegóły, wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem, ale mam pewność, że pomieszkiwał tam nikt inny, jak Sakrat – powiedział Kordian i wyprostował się na krześle. – Zostawił kilka pustych paczek po białoruskich camelach.

Aplikant wyciągnął jedną z nich i z dumą podał Chyłce.

– Jeden z mieszkańców powiedział mi, że kupował u Tatarnikowa raz w tygodniu. L&M-y chodziły

u niego po cztery pięćdziesiąt. Niezła cena, co?

– Całkiem – odparła skonsternowana Joanna, podnosząc paczkę. – Sakrat handlował? Mając na karku wyrok białoruskiego sądu?

– Nie on jeden, jeśli wierzyć statystykom.

– Hm?

– Około piętnastu procent wypalanych w Polsce papierosów pochodzi z za wschodniej granicy.

– Skąd to niby wiesz?

– Z danych firmy Almares, która zajmuje się analizowaniem znaków akcyzy na paczkach wyrzucanych do koszu.

– Niezłe – pochwaliła go Joanna. – Ale nadal trudno mi uwierzyć, żeby gość chciał podejmować ryzyko.

– Tatar sam nie ryzykował – odparł Kordian. – Był tylko pośrednikiem. Dostawał towar od mrówek.

– Mrówek?

Oryński pokiwał głową.

– Od kilku lat osoby powyżej siedemnastego roku życia mogą przewieźć przez granicę dwie paczki. Robiąc to przez cały dzień, wieczorem są w stanie oddać pośrednikowi po drugiej stronie czterdzieści opakowań.

– I Sakrat w tym uczestniczył?

– Aha – potwierdził Kordian. – Brał towar, a potem wiozł gdzieś na południe, nie wiem gdzie. Przypuszczam, że pomagał mu Ekiel.

– Skąd o tym wiesz?

Oryński wskazał na L&M-y.

– Pokazałem to kilku mieszkańcom. Mówiłem ci, że jeden z nich wygadał się, że Taternikow czasem mu sprzedawał. Białorusin nie miał hurtowych ilości, ale i tak opłacało się robić u niego zakupy. A statystyki sprawdziłem sam. I okazuje się, że w niektórych przygranicznych wsiach niemal sto procent wypalanych fajek pochodzi ze wschodu. Straż Graniczna mówi już otwarcie o zorganizowanej przestępczości, bo część tego idzie dalej, za zachodnią granicę.

Chyłka wyciągnęła elektronicznego papierosa i zaciągnęła się głęboko. Od tego gadania znów zapragnęła pojechać na najbliższą stację benzynową i kupić paczkę marlboro. Albo od razu dwie.

– Okej – powiedziała. – To wszystko ciekawe, ale niezbyt pomocne. Wręcz przeciwnie, Aronowicz może nam dokopać.

– Jak?

– Wykaże, że Sakrat i Ekiel mieli doskonały powód, by uciekać.

Mina Kordianowi zrzędała, ale szybko potrząsnął głową.

– Nieistotne – powiedział.

– Mnie się wydaje, że bardzo istotne.

– Znajdziemy tych dwóch, to znajdziemy małą. Sprawa na tym się skończy.

– I gdzie zamierzasz ich szukać?

– Mamy trop, Chyłka. Mamy trop.

Nie musiała pytać, co ma na myśli. Chwila zastanowienia w zupełności jej wystarczyła. Oryński w istocie miał rację – fakt, że Tatar uczestniczył w zorganizowanym procederze, sprawiał, że musiały zostać po nim jakieś ślady.

– Mrówki – powiedziała.

– Dokładnie.

– Gdzie jest najbliższe przejście graniczne? – zapytała, zabierając żakiet z oparcia krzesła.

– Kuźnica-Bruzgi. Twoim tempem to czterdzieści minut drogi.

Idąc do 105. Chyłka pomyślała, że szacunki Zordona zapewne są zawyżone. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że aplikant nie ruszył za nią.

– Czekasz na oklaski? – zapytała, obracając się przez ramię.

– Nie.

– To co tak stoisz?

– Chcesz tam pojechać ot tak? – zapytał z uśmiechem.

– Masz coś przeciwko?

– Nie mam, o ile powiesz mi, jak zmusisz tych ludzi do mówienia. I jak w ogóle znajdziesz te mrówki, które przekazywały towar Sakratowi.

– Mam swoje sposoby.

– Które w tym wypadku będą czasochłonne, a może i płonne.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z ciekawością. Musiała przyznać, że odwalił kawał dobrej roboty. Podobało jej się to zdecydowanie w jego głosie.

– W porządku, Zordon – powiedziała. – Jaką masz propozycję?

– Wiem, czym jeździł Taternik. Używał samochodu Ekiela.

– Świetnie.

– Mam zamiar go pożyczyć. Granatowy passat combi, stary jak świat.

– Chcesz ukraść samochód jednego z potencjalnych świadków?

– Nie od razu ukr...

– *Hola, hola, señor.* Nie mówiłam, że masz mi się tłumaczyć – ucięła z uśmiechem Chyłka.

Kordian nie był pewien tego, co zamierzał zrobić. Widząc jednak, że patronka patrzy na niego przychylnie, poszedł na całość. Pomysł z włamaniem się do domu Antoniego pojawił się samoistnie. Gdyby Oryński zastanowił się nad tym dwa razy, z pewnością podjąłby inną decyzję.

Co nie znaczyło, że Chyłka by odpuściła.

Aplikant przypuszczał, że nietrudno będzie wejść do starego budynku. Oboje założyli lateksowe rękawiczki, bardziej dla własnego komfortu niż zacierania potencjalnych śladów, i obeszl dom. Szukali uchylonego lub choćby niedomkniętego okna. Po chwili stało się jednak oczywiste, że chata została zamknięta na cztery spusty.

– Narobię hałasu, Zordon – odezwała się konspiracyjnie Joanna. – Ty wybij okno.

– Co takiego?

– Zrobiłeś jeden krok, zrób kolejny. Ja zajmę się resztą.

Oryński rozejrzał się wokół.

– Zwariowałaś? Zaraz nas ktoś usłyszy.

– Zagłuszę dźwięki włamania. Bierz się do roboty.

– Czym niby chcesz je zagłuszyć?

– Coś wymyślę. Atakuj! Banzai!

Kordian spojrzał na okno, a potem znów na patronkę. Gdy zobaczył, jak poważnie na niego patrzy, zaczerpnął tchu i zrobił krok w kierunku budynku. Zamachnął się – i wtedy usłyszał za sobą cichy śmiech. Obrócił się, ale ujrzał tylko plecy oddalającej się Chyłki.

– Jesteś niemożliwy, Zordon – powiedziała, unosząc dłoń.

– Dokąd...

– Ty mi powiedz dokąd – wpadła mu w słowo.

Ruszył za nią, ściągając rękawiczki.

– Naprawdę sądziłeś, że włamiemy się do tego domu, wybijając szybę?

– Nie, pewnie, że nie.

– Gdzie mieszka ten facet, który kupował fajki?

Kordian potrzebował chwili, by zorientować się przestrzennie. W końcu wskazał kierunek. Przeszli kilkaset metrów, mijając dwa zakręty, a potem trafili na niewielką polanę. Pod ścianą drzew znajdował się niewielki budynek i podwórko. Teren nie był ogrodzony, kawałek dalej suszyły się ubrania i stała buda dla psa. Kundel, który z niej wychynał, obszcekał gości, dając gospodarzowi znać, że powinien wyjść z domu.

Starzec niespiesznie pojawił się w progu, zmrużył oczy i otaksował gości.

– Dzień dobry, panie Stanisławie – powitał go Kordian.

– Kto idzie? – zapytał mężczyzna.

– Kordian Oryński.

– I jego osobista Cruella de Mon.

– Co takiego? – zapytał Stanisław, drapiąc się po głowie. – Ten młody prawnik?

– Tak jest – potwierdził aplikant.

– Potrzebujemy pańskiej pomocy – dodała Joanna, przyjmując zafrasowany wyraz twarzy. – Trafiliśmy na trop zaginionej dziewczynki, ale bez pana nie jesteśmy w stanie go sprawdzić.

Zatrzymali się przed gospodarzem, który syknął na psa. Ten zaszczekał jeszcze kilkakrotnie, a potem wrócił do budy.

– Jeśli mogę pomóc, proszę, wejdźcie...

– Obawiam się, że nie mamy czasu – zaproponowała prawniczka. – Musimy załatwić tę sprawę bardzo szybko.

– Rozumiem.

Chyłka wsparła ręce na biodrach i spojrzała bykiem na rozmówcę.

– Zna pan Antoniego, prawda?

– Oczywiście, że znam Antka. Wychowywaliśmy się w Sajenku, gdy nie było jeszcze częścią Augustowa. Wie pani, przed tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim... a może to był drugi? Na pewno premierem był Jaroszewicz, pamiętam jak dziś. A w naszej Gminnej Radzie Narodowej...

– Panie Stanisławie – ucięła Chyłka. – Mam na myśli Antoniego Ekiela, tego, który sprowadził się tutaj w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

– Ach... tak, oczywiście. Znam go.

Ton głosu starca wyraźnie się zmienił. Stał się chłodny, zdystansowany. Zapewne był to rezultat tego, że po wsi w najlepsze krążyły już plotki na temat Ekiela i Sakrata.

– Na jakiej są panowie stopie?

– Na przyjacielskiej. Często razem łowimy.

Chyłka wciągnęła powietrze.

– Wydaje mi się, że nie tylko panowie łowili.

– Ależ...

– Karty? – podsunęła. – Wspominki? Od czasu do czasu jakiś alkohol?

– Być może.

– To od Antoniego dowiedział się pan o papierosach, prawda?

– Słucham?

Mężczyzna cofnął się o pół kroku.

– O fajkach, które nielegalnie kupuje pan od Sakrata Tatarnikowa?

– Ale ja...

– Nie dziwię się, że pański przyjaciel się tą wiedzą podzielił – ciągnęła Joanna. – W końcu cztery pięćdziesiąt to niewiele w porównaniu z ceną w sklepie. Jakie pan palił? Camele? Normalnie kosztują pewnie czternaście złotych, prawda?

– Ale ja niczego złego...

– Uczestniczył pan w procesie przemytu, panie Stanisławie.

– W żadnym wypadku – zachnął się, ale cały pobladł. Kordianowi niespecjalnie podobało się terroryzowanie Bogu ducha winnego staruszka, ale cel był szczytny. Przynajmniej taką Oryński miał nadzieję.

– Nie jesteśmy z wymiaru sprawiedliwości – powiedziała Chyłka, unosząc ręce. – Sama kupuję na bazarze, bo uważam, że nie ma logicznego usprawiedliwienia dla tak wysokiej akcyzy. Jeśli ktoś chce się truć, proszę bardzo, co państwu do tego? Decydując się na to, obywatel nie godzi się jednak, by zatruwać portfel. Jedno z drugim nie powinno mieć nic wspólnego.

– Tak, ja...

– Potrzebujemy natychmiast dostać się do domu Antoniego.

– Ależ...

– To dla jego dobra – zapewniła Joanna. – Nie szukamy brudów na nikogo, na pewno pan to rozumie.

Antoni jest naszym kluczowym świadkiem, zresztą może widział pan, że złożyłam mu wizytę.

– Tak, on mówił, że pani... na moło...

– Potrzebujemy dostępu do mieszkania.

– Ale w jakim celu?

– W celu pozyskania kluczyków, panie Stanisławie.

Kordian współczuł staruszkowi. Prawniczka przypuściła zmasowany atak, w dodatku cały czas niezauważenie się zbliżając. Aplikantowi wydawało się, że mężczyzna nieomal się zgodził, ale pokręcił głową.

Zmienił zdanie dopiero, gdy Chyłka zacytowała mu wymagowany przepis mówiący o karze grzywny dla osób nabywających nielegalnie towary bez akcyzy. Narzucił na siebie kurtkę, a potem zaprowadził ich pod budynek, przy którym stał passat.

Mężczyzna wyjął zapasowy klucz z otwartej skrzynki na listy, a potem wpuścił ich do środka. Kordian pożałował, że sami nie pomyśleli o sprawdzeniu tego miejsca.

– Kluczyki powinny być w pierwszej szufladzie – powiedział Stanisław, wskazując na komodę stojącą w przedpokoju.

Chyłka podeszła do niej, a potem szeroko się uśmiechnęła. Podziękowali staruszkowi i zapewnili go, że Antoni będzie mu wdzięczny. Na odchodnym Stanisław wymusił na nich obietnicę, że nie zająkną się nikomu słowem o tym, że nielegalnie kupował papierosy.

– Skąd wiedziałaś? – zapytał Kordian, gdy stanęli przy aucie.

– Strzelałam. Gdyby nie kupował, miałam przygotowaną inną wersję.

– Szybka akcja.

– Szybka i udana – odparła. – A teraz zasiadaj za sterami tego potwora szos. Ja pojedę za tobą iks piątką.

– Co takiego? Mam sam...

– Przed chwilą miałeś jaja jak księżycy Jowisza, Zordon. Odnajdź w sobie jeszcze trochę odwagi.

– Tylko że...

– Wsiadasz, jedziesz do przejścia granicznego – oznajmiła. – Potem wychodzisz i opierasz się o maskę. Czekasz. Czekasz i czekasz, aż ktoś do ciebie podejdzie. Czy podbije, jak mawiacie w swoim hip-hopowym slangu. Powiesz, że przysłał cię Sakrat, który sam od jakiegoś czasu jest niedysponowany.

– Ale... ktoś do tej pory pewnie zajął jego miejsce.

– Mhm.

– Martwi mnie ten potencjalny konflikt interesów, do którego mogłoby dojść.

– Nie bój nic, Chyłka będzie tuż za tobą.

– To ma mnie uspokoić?

– Wsiadaj do auta i jedź.

– Ale...

– Martwić będziemy się później – dodała, klepiąc go po plecach. – To mrówki, Zordon, a nie groźni gangsterzy. Panimajesz?

Wsiadł do samochodu, ale wcale nie był przekonany, czy dobrze robi.

8

Kordian zaparkował na błotnistej drodze niedaleko przejścia granicznego Kuźnica-Bruzgi. Kilkadziesiąt metrów dalej pierwsza grupa mrówek przekopywała plecaki, a za nimi, wzdłuż ogrodzenia, ciągnął się długi korowód przemytników. Wokół pełno było tekturowych opakowań i folii, okolica przywodziła na myśl krajobraz po bitwie.

Oryński wysiadł z samochodu i zaciągnął się elektronicznym papierosem. Tocząc wzrokiem po mrówkach, stwierdził, że zdecydowana większość to mężczyźni koło dwudziestki. Wszyscy pochyłali się lub przykucali przy torbach i plecakach, buty mieli całe w błocie.

Kilku spojrzęło na Kordiana, ale nie zainteresowało się jego obecnością. Po tej stronie granicy działali zupełnie legalnie – a przynajmniej tak można było wywnioskować z tego, że specjalnie nie kryli się ze swoją działalnością. Tymczasem państwo odnotowywało wielomiliardowe spadki wpływów do budżetu.

Aplikant czekał, aż któryś z przemytników zwróci uwagę na passata. Wprawdzie nie sprawiali wrażenia, jakby poza fajkami obchodziło ich cokolwiek innego, ale wieść już pewnie rozeszła się szmerem w szeregach. W końcu jeden z mężczyzn wyprostował się, spojrzęł na samochód, a potem ruszył w jego kierunku.

Oryński schował e-papierosa do kieszeni i przysiadł na masce.

– Co jest? – zapytał handlarz, skinąwszy na niego.

– Jestem za Tatara – oznajmił lakonicznie Kordian. Uznał, że oszczędność w słowach będzie najlepszą taktyką.

Rozmówca był ubrany w ortalionowy dres, miał na sobie wiatrówkę i przetartą czapkę z daszkiem. Rozbiegany wzrok świadczył o tym, że czymś się wspomagał – nie alkoholem, bo Oryński nie czuł znajomej woni.

– Coś ty za jeden? – zapytał przemytnik, taksując go wzrokiem.

Młody prawnik nie miał czasu na przebranie. Zrzucił wprawdzie marynarkę, ale dobre buty, nowe jeansy i wsadzona w nie koszula sprawiały, że nieco się wyróżniał. Uznał, że może to być zarówno atut, jak i gwóźdź do trumny. Musiał zaryzykować.

– Zordon – powiedział.

– Co, kurwa? Jak ten z *Power Rangers*?

– Mhm – mruknął niechętnie Oryński, rozglądając się. – Wiesz, jak jest.

– Nie wiem.

– Mam na imię Kordian – odparł aplikant i wzruszył ramionami. – Ktoś kiedyś rzucił hasło, że „Kordon, Zordon, jeden pies”, i przyłgnęło jak gówno do ogona.

– Aha.

Tym kimś była oczywiście Chyłka, ale Oryński nie miał zamiaru wchodzić w szczegóły.

– Spoko, czaję – powiedział handlarz. – Ja też miałem taki syf.

Kordian skinął głową.

– Kielecki – przedstawił się, podając mu rękę. – Jak się przyjebali do nazwiska, przez jakiś czas byłem Scyzoryk. Kiepska sprawa.

– Dosyć – odparł Oryński. – Nielegal przystanią rapu, nie wielka wytwórnia.

- Co?
- Nic, po prostu...
- Co ty mi tu, z jakimś hip-hopolo wyjeżdżasz?

– Parafrazowałem tylko... – zaczął Kordian i machnął ręką. – Zresztą nieważne.

Kielecki spojrzał na niego nieprzychylnie. Najwyraźniej przypomnienie mu o złotych latach Jeden Osiem L, Owala, Mezo i Ascetoholix nie było najlepszym pomysłem. Kordian prychnął pod nosem, chcąc rozładować sytuację.

– Kręcę bekę – powiedział, a potem rozejrzał się i spoważniał. – I przejdźmy do rzeczy. Tatar twierdzi, że są braki w dostawie.

- Ta?
- Mówi, że paczki się nie zgadzają.
- Niech gada ze swoim skupczykiem. Ja przekazuję wszystko, jak leci.

Oryński poczuł się nieco pewniej, wchodząc w swoją rolę.

– I gdzie on w ogóle jest? – zapytał handlarz.

– Musiał się skitrać.

– To wiem. Ale po kiego chuja?

– Szukają go.

Kielecki uśmiechnął się i pokręcił głową. Potem splunął w bok i wyciągnął paczkę bondów. Podsunął ją Kordianowi, ale ten pokręcił głową. Gdyby zobaczył davidoffy, pewnie nie byłoby tak łatwo, ale w tym przypadku nie musiał toczyć wewnętrznej walki.

– Mów, o co chodzi – odezwał się przemytnik. – Przerzucił o jeden fant za dużo? – zapytał z papierosem w ustach.

Oryński milczał, uznając, że tak będzie najlepiej. Pytanie odbiło się jednak echem w jego umyśle. Po raz pierwszy dotarło do niego, że Sakrat Taternikow dysponował kontaktami w światku przemytników. Być może od czasu do czasu trudnił się przerzutem czegoś więcej niż papierosów.

To była niepokojąca myśl.

– Słuchaj... – zaczął Kordian. – Nie mogę o tym nawijać, okej?

– No spoko, spoko. Przecież nie cisnę.

– Muszę sprawdzić, gdzie ginie ten towar.

– To gadaj ze skupczykiem.

– Kiedy się tu pojawi?

Kielecki wyciągnął komórkę i spojrzał na zegarek. Skrzywił się, obliczając w myśli przybliżony czas pojawienia się pośrednika. Oryński nie orientował się za dobrze w tym procederze, ale wiedział, że istnieją trzy ogniwa łańcucha. Mrówka, skupczyk i hurtownik. Jego i Chyłkę najbardziej interesował ten ostatni, bo to on mógł pomóc Taternikowowi zniknąć.

– Za jakieś dwie godziny będzie – oznajmił Scyzoryk, ponownie taksując Kordiana wzrokiem. – Ale chcesz sam z nim gadać?

– Czemu nie?

– On jest pierdolnięty, człowieku. Czasem ktoś krzywo na niego popatrzy i ma problem.

– Tu chodzi o towar.

– No wiem, wiem, ale on ma chody u szefa. Zresztą robi za skupczyka tylko dorywczo, wiesz, o co chodzi.

Oryński przypuszczał, że wie. Kiedy Sakrat nagle musiał opuścić pole walki, hurtownik tymczasowo umieścił kogoś na jego miejscu. Z punktu widzenia prawników była to sytuacja idealna. Im bliżej szefa będzie ten człowiek, tym łatwiej będzie im dotrzeć do niego samego.

Kiedy ustalali szczegóły przez telefon, jadąc w kierunku granicy, brzmiało to jeszcze nie najgorzej. Teraz, gdy Kordian stał obok rozmówcy w dresie, cały plan przywodził na myśl samobójstwo.

Na moment zapadła niewygodna cisza. Nie działała na korzyść Oryńskiego.

– To mówisz, że kto cię przysłał? – zagał Kielecki.

– Tatar.

– Ale po co miałyby to robić?

– Mówiłem, że brakuje mu w bilansie kilku pozycji.

– Przecież Tyran sam składa raporty szefowi, jak mógłby coś zwędzić?

Kordian zanotował w myśli ksywę pośrednika.

– Może szef nie sprawdza go tak dokładnie – odparł pod nosem prawnik, wzruszając ramionami. – Ufa

Tyranowi, więc nie musi przy każdej dostawie wszystkiego podliczać.

– No tak – przyznał Scyzoryk i zaciągnął się głęboko. – A Tatar trzyma rękę na pulsie, jak zawsze.

– Dokładnie.

– Kminię. – Rozmówca ostatecznie dał wiarę jego słowom, a Oryński głęboko odetchnął. – Nic to – dodał Kielecki. – Idę dalej rozdzielać. Jakby co, to jestem pod ogrodzeniem.

– Spoko – odparł rezolutnie Kordian.

Potem wsiadł do samochodu i na moment zamknął oczy. Wiedział, że jest tu zdany na siebie – Chyłka wprawdzie zaparkowała kawałek dalej, ale nie widziała, co się dzieje pod przejściem granicznym. Zanim zorientowałyby się, że coś jest nie w porządku, i wezwała policję, Oryńskiemu już kopano by grób.

Spojrzał na zegarek w samochodzie i uznał, że jeśli zamierza wysiedzieć tu dwie godziny, musi się czymś zająć. W przeciwnym wypadku szybko zmieni zdanie. Obejrzał się przez ramię z nadzieją, że na tylnej kanapie zaplątała się jakaś książka lub choćby gazeta. Niczego nie znalazł, więc zostały mu telefon i Internet.

Włączył smartfona, a potem wszedł na stronę NSI. Doniesienia medialne z procesu zajmowały czołowe miejsce w witrynie, a oprócz tego nadal relacjonowano poszukiwania Nikoli. W Augustowie organizowano czuwania, podczas których modlono się o bezpieczny powrót dziewczynki, jednak jakiś ksiądz twierdził, że pojawia się na nich coraz mniej osób. Nic dziwnego, uznał Oryński. Nawet policja wiedziała, że szukają teraz zwłok.

Chyba że Sakrat Tatarnikow trudnił się czymś więcej niż tylko przemytem papierosów. To zmieniałoby postać rzeczy. Kordian powiódł wzrokiem po mrówkach. Żaden z tych ludzi nie wyglądał na kryminalistę pełną gębą – stanowili raczej grupę przypadkowych osób szukających łatwego zarobku.

Godzinę później skończyli porządkowanie swojego asortymentu i ruszyli w kierunku niewielkiego parkingu za przydrożnymi sklepami. Stało tam kilka TIR-ów, ale Kordian przypuszczał, że kierowcy nie będą specjalnie zainteresowani tym, co dzieje się pod ich nosem. Niektórzy zresztą uczestniczyli w procederze, ładując do kół paczki papierosów. Upychali je zarówno do tych jezdnych, jak i zapasowych. Jakiś czas temu Oryński słyszał o trzech kierowcach, którzy zdołali przeszmugłować trzysta tysięcy papierosów. Było to spore ryzyko, ale opłacało się – wartość tamtego ładunku przekraczała sto tysięcy złotych.

Jedna z mrówek odłączyła się i podeszła do passata.

Zauważywszy Kieleckiego, Kordian wysiadł z auta i ruszył w jego kierunku.

– Wysłał esa, że już jedzie – obwieścił przemytnik.

– Świetnie.

– Chcesz podbić do niego ot tak?

Dobre pytanie, skwitował w duchu aplikant.

– Jeszcze nie wiem.

– Jak będziesz się rzucał przy wszystkich, będzie dym. Zajebie ci raz, drugi i po sprawie. Lepiej to jakoś rozegraj.

– Taki mam zamiar, brakuje mi jeszcze tylko planu.

Scyzoryk uśmiechnął się nerwowo, a potem przyspieszył kroku. Najwyraźniej nie miał zamiaru ryzykować, wchodząc na parking w towarzystwie samobójcy. Oryński z trudem przełknął ślinę, a potem zapewnił się w myśli, że przecież nikt go tutaj nie zabije. W najgorszym przypadku faktycznie oberwie po łbie.

Naszła go myśl, że trzeba było zaangażować policję. Jadąc tutaj z Sajenka, wspominał zresztą Chyłce, że warto byłoby taką możliwość rozważyć. Kategorycznie odrzuciła jego propozycję, twierdząc, że policja wszystko spieprzy, a w dodatku od razu poinformuje prokuratora i z asa w rękawie będą nici.

Teraz wydawało się to niezbyt mądrym posunięciem. Kordian zatrzymał się za obskurnym budynkiem i potoczył wzrokiem po parkingu. Miejsce do wymiany było całkiem niezłe – stało tutaj raptem kilka ciężarówek, wszystkie miały zaciągnięte zasłony. Z drugiej strony od wścibskich oczu teren odgradzały drzewa.

Mrówki stanęły w zbitej grupie, Oryński trzymał się na uboczu. Raz po raz ktoś rzucał mu nieprzychylne spojrzenie i chłopak uznał, że Kielecki najwyraźniej nie zająknął się słowem na jego temat. Szkoda. Udając podwładnego osoby, która tym wszystkim zarządza, Kordian czułby się lepiej.

Po chwili na parking wjechał samochód dostawczy. Stary ford transit z jakąś reklamą na boku, idealny, by niezauważenie przewieźć całe worki papierosów. Kiedy wysiadł z niego mężczyzna w skórzanej kurtce, Oryńskiemu zrobiło się gorąco.

Tym bardziej, że to właśnie na nim przybysz skupił wzrok.

– Co to za jeden? – zapytał, zbliżając się niepewnie.

Scyzoryk wyszedł przed szereg. Kordian podziękował mu w duchu.

– Kumpel Tatar – wyjaśnił Kielecki. – Mówi, że ma z tobą do pogadania.

– O czym niby?

– Jego pytaj.

– Sprawdzony? Nie żaden kret?

– No gdzie? Tatar go przysłał – odparł przemytnik, krzyżując ręce na piersi.

– Dobra – uznał skupczyk. – Potem się tym zajmiemy. Teraz do roboty.

Kordian nie widział, jak ładowali paczki do samochodu. Wszyscy stanęli za pojazdem i tylko co jakiś czas wychylał się zza niego kierowca. Potem rozległy się pomruki aprobaty, zapewne dlatego, że mrówki otrzymały swoją dolę. Pojedynczy mężczyźni zaczęli się oddalać, w końcu odszedł też Kielecki. Nie spojrzał na Oryńskiego, co nie nastroiło aplikanta zbyt optymistycznie.

Niemal podskoczył, gdy zadzwoniła jego komórka. Chyłka miała go nie niepokoić, a nikt inny raczej nie kontaktował się z nim telefonicznie. Świetny moment na propozycję kredytu, pomyślał.

Wyciągnął smartfona, czując na sobie ciężki wzrok zebranych.

Chyłka.

– Co jest? – zapytał niepewnie.

– Będzie nalot.

– Co?

– Zaraz zjawi się na tym parkingu służba celna, Zordon – powtórzyła spokojnie patronka.

– Co ty... skąd ty...

– Sama ich wezwałam, więc wiem – odparła rozbawiona. – A teraz przekaz cynk komukolwiek, kto tam dowodzi, i ruszaj z nim ku bezpiecznej przystani. Życzę szczęścia! – dodała, a potem się rozłączyła.

Kordian poczuł, jak oblewa go zimny pot. Przez ułamek sekundy stał zupełnie sparaliżowany, ale gdy tylko się otrząsnął, popędził w kierunku samochodu dostawczego. Dopadł do skupczyka i spojrzał mu prosto w oczy.

– Będzie nalot celników – powiedział.

– Co ty pierdolisz? – zapytał mężczyzna w skórze.

– Już tu jadą. Zbierajmy się, albo zaraz będzie za późno.

Mrówkom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Ci, którzy jeszcze nie uregulowali płatności, cisnęli plecaki i torby do transita, a potem puścili się w długą. Skupczyk rozejrzał się nerwowo.

– Skąd wiesz? – spytał.

– Dostałem info od znajomej w Służbie Celnej. Zwijajmy się stąd. I to już.

Mężczyzna w skórze przez moment się wahał. W końcu skinął głową i wskazał na pakę samochodu.

– Wskakuj.

– Co takiego?

– Wchodź do auta, człowieku. Nie wiem, kim jesteś, ale to się szybko sprawdzi.

Złapał go za rękę, a potem pociągnął do środka.

– Ale...

– Passat Tantara tu zostaje. Włącz.

Kordian miał wprawdzie nadzieję, że w ramach wdzięczności za cynk i z czysto ludzkiej ciekawości facet zaprowadzi go do dziupli przemytników, ale to była gruba przesada.

– Czekać no...

Skupczyk wepchnął go do środka, a potem wyciągnął rękę.

– Dawaj komórkę – powiedział.

– Ale co jest...

– Komórka! Już!

Oryński wyciągnął telefon i oddał go handlarzowi. Potem mężczyzna z impetem zatrzęsł drzwi.

9

Chyłka zajęła parking zaraz po tym, jak pojawiła się służba celna. Dwóch celników wysiadło ze skody octavii kombi, rozglądając się wokół. Gdy jeden z nich dostrzegł iks piątkę, szturchnął drugiego i wskazał mu auto. Joanna wysiadła z wozu i ruszyła szybkim krokiem w ich kierunku.

– Co to ma być? – zapytała.

Spojrzeni po sobie skonsternowani.

– Kim pani jest? – odezwał się jeden z nich.

– A pan?

– Starszy aspirant celny Tomasz...

Drugi znów go szturchnął.

– To pani dzwoniła, że tu czymś handlują? – zapytał ten bardziej rozgarnięty. Drugi omiół wzrokiem prawie pusty parking i ruszył w stronę sterty śmieci, znajdujących się kawałek dalej. Szkoda, Chyłka wolałaby rozmawiać z takim cieciem.

– Dzwoniłam – potwierdziła. – I mówiłam, że jest tu kilkadziesiąt osób. Mieliście przyjechać w pełnej sile.

– Jesteśmy – odparł celnik i wskazał na siebie i swojego towarzysza.

– Żarówki byście mi nie potrafili wymienić.

– Jakiej żarówki?

Spojrzała na niego zupełnie skołowana i dopiero po chwili zreflektowała się, że obaj są mniej więcej tak samo rozgarnięci. Jeśli tym dwóm kiedykolwiek udało się złapać kogoś na gorącym uczynku, musiał to być fart tysiąclecia.

– Gdzie są ci ludzie, o których pani doniosła?

– Najwyraźniej się zdematerializowali.

Spojrzał na swojego kompana, który właśnie podnosił dziesięciozłotowy banknot.

– Pański kumpel znalazł trop – dodała Chyłka. – Jesteśmy uratowani.

Celnik odpowiedział coś pod nosem, ale prawniczka go nie słyszała. Zauważyła passata zaparkowanego kawałek dalej. Większą część samochodu zasłaniała jedna z ciężarówek, ale numery rejestracyjne się zgadzały. Joanna ruszyła w jego kierunku.

– Ale dokąd pani idzie? – zaoponował rozmówca.

Nie zwolniła kroku, dopóki nie minęła TIR-a. Potem zauważyła, że w passacie nikogo nie ma, a drzwi nie są zaryglowane. Otworzyła je i bezradnie powiodła wzrokiem po siedzeniach.

Nie tak to miało wyglądać. Planowała, że Zordon pojedzie za resztą, gdy ci będą uciekać do dziupli. Najwyraźniej wystąpiły jednak jakieś komplikacje. Joanna sięgnęła do kieszeni żakietu po telefon, ale uprzytomniła sobie, że zostawiła go w aucie. Pognała do iks piątki.

– Co pani odpierdziela? – zainteresował się jeden z celników.

– Milcz – rzuciła w biegu Chyłka.

Chwilę później wybierała już numer Kordiana. Beznamiętny głos poinformował ją o tym, że abonent jest tymczasowo niedostępny. Na myśl o tym, co działo się ostatnio, gdy usłyszała ten komunikat, przeszły ją ciarki.

- Jakaś wariatka – usłyszała głos jednego z mężczyzn.
- Ale cynk był dobry. Widzisz, że tu byli.
- I tak nagle się zwinęli?
- Może mieli jakąś czujkę na drodze. Wysłał SMS-a i wszyscy spieprzyli.
- Może.

Joanna skierowała na nich wzrok i przez moment trwała w bezruchu. Łącząc po parkingu, z pewnością zatarli część śladów, ale te zostawione przez opony nadal były dobrze widoczne. Chyłka potrząsnęła głową, a potem zaczęła obchodzić teren, patrząc pod nogi.

– Mówię ci, trzeba wezwać jakieś służby psychiatryczne – odezwał się jeden z mężczyzn. – Ona może być niebezpieczna.

Joanna podniosła wzrok na ułamek sekundy, a potem wróciła do badania śladów. W końcu znalazła te, które zdawały się najświeższe. Pochyliła się i zrobiła kilkanaście zdjęć. Nie zastanawiała się, było to instynktowne działanie.

– Dobra – rzuciła, prostując się. – Znacie tutejszych przemytników?

– Oczywiście.

– Który jeździ białym fordem transitem z reklamą na boku?

Spojrzeni po sobie.

– No, dalej, dalej, potrzebuję informacji.

– Kim pani jest?

– Mieczem Damoklesa na twoją nieporadność.

– Słucham?

– Do kogo należy biały transit? – zapytała, zbliżając się o krok do jednego z nich i patrząc mu prosto w oczy. Mężczyzna mimowolnie wycofał się o pół kroku, a drugi nerwowo drgnął. – Mów!

– Ale pani...

– Prowadzę sprawę – powiedziała Chyłka. – I mam tam człowieka.

– Tam?

– Wśród przemytników – syknęła, rozglądając się. – Więcej nie mogę powiedzieć.

Znów spojrzeli po sobie, jakby gdzieś w okolicy się paliło.

– Czyj jest ten pierdolony ford?

– Pani wybacz, ale muszę powiadomić przełożonych – odparł ten, którego na początku wzięła za bardziej rozgarniętego.

Joanna zakłęła pod nosem i odwróciła się. Powiodła wzrokiem w kierunku, gdzie zniknął samochód, w którym musiał znajdować się Oryński. Widziała go z oddali, gdy czekała na służbę celną. Widziała też mężczyznę w skórze, kiedy przejeżdżała obok parkingu, by zrobić rekonesans. Potem straciła go z oczu, tak jak Kordiana. A teraz mogła więcej go nie zobaczyć, przeszło jej przez myśl.

Dopóki jego kontakty ograniczały się do mrówek czy nawet skupczyka, Joanna nie miała obaw. Później mogło być jednak różnie, a ona zamierzała czekać w pogotowiu, gdyby coś poszło nie tak. Teraz nie miała nawet pojęcia, gdzie szukać Zordona.

– Daj mi numer do twojego dowódcy – powiedziała, obracając się przez ramię.

10

Jechali przez pół godziny, może godzinę. Była to dla Oryńskiego katorga z dwóch powodów. Po pierwsze, był zaniepokojony tym, co nadchodziło. Po drugie, wokół znajdowały się tysiące papierosów. I ani jednej zapalniczki.

W końcu transit się zatrzymał. Chwilę później Kordian usłyszał, jak otwierają się drzwi z przodu. Nasłuchiwał kroków, ale kierowca najwyraźniej miał jeszcze coś do zrobienia, zanim zdecydował się otworzyć pakę.

Kiedy wreszcie tylne drzwi się rozsunęły, Oryński osłonił twarz przed promieniami słońca.

– Wyłaż.

– Po co takie akcje robić? – zapytał Kordian, gramoląc się na zewnątrz.

– Do środka – odparł mężczyzna w skórze, wskazując na niewielką rudere tuż obok.

Aplikant powiódł wzrokiem po zniszczonej elewacji i oknach, które były tak brudne, że nie sposób było dojrzeć, co dzieje się w środku. Wokół jednopiętrowego murowanego domu roztaczał się zaniedbany ogród. Trawy nikt nie przycinał od lat i teraz niepodzielnie rządziły tu dzikie zielska. Pośród nich leżały zardzewiałe części samochodowe, a obok budynku kilka aut stało na cegłach.

– Wchodź do środka.

Wizja znalezienia się wewnątrz niespecjalnie do niego przemawiała, ale posłusznie ruszył we wskazanym kierunku. Kiedy znaleźli się bliżej, usłyszał rozweselone, tubalne głosy. Nie musiał się w nie wsłuchiwać, żeby stwierdzić, że kilku mężczyzn w środku jest nawalonych w sztok. Ten w skórze westchnął, a potem zapukał do drzwi.

Głosy nagle ucichły, a po chwili w progu pojawił się umięśniony osobnik o mętym wzroku.

– Kabior? – zapytał tego w skórze. – Co jest, kurwa?

Kabior znów westchnął.

– Był nalot, trzeba było zwijać wszystko na dzisiaj.

– Ktoś wpadł?

– Nie, zdążyliśmy wszystko załadować.

– Nic nie zajebali?

– Nic a nic – odparł Kabior i wskazał na Kordiana. – Dzięki temu gościowi.

Nawalony handlarz znów otaksował go wzrokiem. O ile na parkingu Oryński mógł przełknąć odmienność swojego ubioru od reszty, tutaj czuł się po prostu nie na miejscu. Przystąpił z nogi na nogę, patrząc na wpół zamknięte oczy gospodarza.

– A co to za fagas?

– Nie wiem. Podbił do mnie i mówi, że nalot będzie. To zaraz wszystkich zebrałem, jego wziąłem na pakę i jazda.

– Mądrze.

– No – potwierdził Kabior. – Jest szef?

– Nie ma.

– Trudno. Poczekaście z tym chłopkiem, aż przyjedzie – polecił mężczyzna w skórze i obrócił się. – Fajki są z tyłu – dodał, a potem skierował się do starego escorta stojącego przed bramą.

Kordian przez moment chciał go zatrzymać, ale szybko zmiłygował się, że nie będzie z tego nic dobrego. Przemytnik stojący w progu zawołał swoich kumpli, a ci niespiesznie wyszli na zewnątrz. Przeciągając się, pobieżnie spojrzeli na Oryńskiego i nie wykazali większego zainteresowania. Najwyraźniej w ich świecie potencjalne zagrożenie musiało mieć kilka centymetrów w bicepsie, uznał Kordian.

– Chodź – odezwał się jeden z nich. – Pomożesz rozpakowywać.

Gdy Oryński z trudem podniósł pierwszy pakunek, uzmysłowił sobie, że kierowca forda zabrał ze sobą jego telefon. Trudno. Jest wojna, są straty, tak to zawsze działa.

Mimo że całe towarzystwo było pijane, udało im się sprawnie przenieść cały ładunek do dziupli. Potem opadli ciężko na stare kanapy, których tapicerka wyglądała jak pogryziona przez dzikie zwierzęta. Kordian wybrał krzesło.

– Czego chcesz od szefa? – zainteresował się jeden z zebranych.

– Mam z nim do pogadania.

Rozmówca prychnął przez nos.

– A co to, kurwa, jakaś tajemnica?

Oryński wzruszył ramionami, nie bardzo wiedząc, jak wybrnąć z tej sytuacji. Nie było sensu kłamać, bo zaraz pojawi się herszt tej bandy i cała konstrukcja runie jak domek z kart. Prawdy też nie mógł powiedzieć. Ostatecznie milczenie wydawało się najlepszym wyjściem.

Przynajmniej przez chwilę.

Ten, który pytał, szturchnął swojego kompana. Drugi potrząsnął głową, jakby nieomal przysnął.

– Słyszałeś, Dżordi?

– Nie... – mruknął tamten niechętnie.

– Jakieś tajne układy, czaisz.

– Jakie układy?

Kordian poprawił się na krześle, zerkając na zegar ścienny. Miał wrażenie, że wskazówki nie tyle zwolniły, co się zatrzymały.

– Kolo twierdzi, że ma do szefa jakieś sprawy.

Dżordi na szczęście nie był specjalnie zainteresowany. Pociągnął łyk piwa, a potem głowa bezwładnie mu opadła. Drugi z mężczyzn podniósł się i strzelił karkiem. Uniwersalny sygnał, że żarty się skończyły, pomyślał Kordian.

– Spokojnie – powiedział aplikant. – To nic wielkiego. Muszę po prostu...

– Ta? – wpadł mu w słowo dresiarz. – A jak będzie gnój, to nam się oberwie, że cię tu wpuściliśmy.

– Skąd on się w ogóle wziął? – dodał bełkotliwie inny.

– Kabior za niego poręczył.

– Jak poręczył?

– Normalnie. Przyprowadził go, nie?

– No tak.

Drugi też się podniósł. Stanęli kilka kroków przed Kordianem i spojrzeli na niego z góry. Fakt, że jeździł passatem Sakrata, zapewnił mu uwagę mężczyzny w skórze, cynk zaś go uwiarygodnił. I w tamtej sytuacji prawnik mógł czuć się względnie dobrze. Teraz wszystko zależało od tego, na ile tych dwóch ufało owemu Kabiorowi.

– Mów, co chcesz od szefa, albo przemodeluję ci ryj – zapowiedział jeden z nich.

Najwyraźniej nie ufało.

– Powiem, jak tylko przyjdzie.

– Kto?

– Szef.

– Jak się, kurwa, nazywa? Co?

Nietrudno było przejrzeć jego nędzny fortel, ale miał nadzieję, że kilku nawalonych gości będzie mieć lepsze rzeczy do roboty niż maglowanie go.

– No jak się nazywa?

Kiedy Oryński głowił się nad odpowiedzią, handlarze spojrzeli po sobie.

– Te, Dżordi, budź się.

– Nnniiiiiee... – wymamrotał Dżordi i ułożył się wygodniej na kanapie, korzystając z tego, że zwolniło się miejsce obok.

– Budź się! Ta ciota może być z psiarni! – ryknął jeden z nich.

Nie tylko Dżordi się rozbudził, ale także cała reszta. Wszyscy jak jeden mąż zerwali się na równe nogi i żaden nie sprawiał wrażenia, jakby przed momentem miał ochotę na sen. Jeden wziął do ręki pustą butelkę po piwie.

Kordian szybko przeanalizował swoje możliwości. Uznał, że może to rozegrać tylko w jeden sposób. Zmusił się do tego, by ryknąć śmiechem.

– Brawo – powiedział, kręcąc głową. – Odkryliście prawdę. Jestem psem.

Nie sprawiali wrażenia rozbawionych.

– Spenetrowałem waszą organizację jak DiCaprio w *Infiltracji* i...

– Że co? – zapytał jeden z nich.

– Co on pierdoli? – dodał drugi, patrząc po towarzyszach.

Oryński poczuł ciepło rozchodzące się po plecach. Zaczynało oplatać całe jego ciało i młody prawnik wiedział, że za moment pierwsze krople potu wystąpią mu na czoło. Starał się oddychać normalnie, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem. Powtarzał sobie w głowie, że kontroluje sytuację, choć Chyłka uznałaby zapewne, że to typowa gównoprawda.

– Macie przesrane – ciągnął Kordian. – Zaraz zjawią się tutaj ABW, CBS i wszelkie inne agencje, od których można utworzyć skrót. Łącznie z ZUS-em, a oni są najgorsi.

Przemytnicy nadal wyglądali na niewzruszonych.

– Gość w skórze zwinął się, bo wie, że wszyscy zaraz pójdziecie siedzieć. – Oryński spojrzął na zegar i pokiwał głową. – Tak, tak, został jakiś kwadrans do nalotu, więc dawać. – Rozłożył ręce, wciąż szeroko się uśmiechając.

Kosztowało go to sporo nerwów, ale miał nadzieję, że te liche pozory wystarczą. W końcu prawnicy nie bez powodu zajmowali drugie miejsce na liście najlepszych kłamców, tuż za politykami.

Przez chwilę całe towarzystwo trwało w nerwowym oczekiwaniu. W końcu dwóch mężczyzn machnęło ręką i wróciło na swoje miejsca. Dresiarz nadal patrzył na Kordiana jak na potencjalną ofiarę.

– Skończ kręcić bekę – powiedział. – I pamiętaj, że jak coś będzie nie w porządku...

– Spoko – uciał aplikant, a potem odgiął się na krześle.

Odetchnął w duchu, czując, jak opuszcza go uczucie gorąca. Był zadowolony, choć nadal nie wiedział, co dalej pocznie. Plan zakładał, że Chyłka będzie niedaleko – i jeśli nadarzy się okazja, przechwyci dowódcę tej wesołej grupki w drodze do dziupli. Rozmówi się z nim, a potem wyciągnie Oryńskiego.

Przełknął ślinę, po czym powoli podniósł się z krzesła.

– Dokąd? – zapytał dresiarz.

– Po piwo. W gębie mi zaschło od tego pierdolenia.

Mimo koncyliacyjnego tonu, rozmówca się nie uśmiechnął. Wskazał mu za to niewielką przenośną lodówkę, podłączoną do kontaktu w kącie pokoju. Kordian wyciągnął z niej puszkę kenigera. Nigdy wcześniej nie próbował piwa z Biedronki za niewiele ponad złotówkę. Pierwszy łyk był ciekawy.

Keniger smakował jak najlepszy trunek na świecie, choć była to zapewne zasługa okoliczności. Aplikant wypił jeszcze trochę, a potem wrócił na krzesło.

Czas do nadejścia szefa spędził, próbując jakoś znieść ciężki wzrok dresiarza. Zaczął układać w głowie to, co powie przywódcy tej grupy, ale szło mu jak po grudzie. Dopiero po drugim piwie udało mu się zignorować obecność swojego osobistego cerbera i wpaść na coś, co mogło mu pomóc.

Zaraz potem pojawił się mężczyzna, którego nie można było pomylić z nikim innym. Był ubrany podobnie do Oryńskiego, choć on nie zostawił swojej marynarki w samochodzie. Gdy tylko przekroczył próg, dresiarze wstali. Ich zwierzchnik omiół wzrokiem wnętrze rudery i zatrzymał spojrzenie na niespodziewanym gościu.

– Co to za jeden, do kurwy nędzy?

– Ma do pana sprawę. Nie chciał powiedzieć jaką.

– Co?

– Kabior za niego ręczył.

– Kim on jest, pytam?

Wzruszyli ramionami, a cerber podciągnął rękawy. Kordian spodziewał się, że na początku nie będzie łatwo. Planował jednak szybko przejąć inicjatywę.

– Zaraz, czekaj... – odezwał się pryncypał, mierząc w niego palcem. – Znam ten ryj. Widziałem cię w telewizji, skurwysynu.

11

Chyłka usilnie starała się wytłumaczyć dyrektorowi Izby Celnej w Białymstoku, że sprawa jest nagląca – i potencjalnie niebezpieczna dla jej towarzysza. Rozmówca nie wydawał się jednak przekonany, w dodatku przyjął tryb roszczeniowy, co działało jej na nerwy.

– Skąd pani ma ten numer?

– Był w wykazie osób opóźnionych umyślowo – odparła Joanna. – Niechże mnie pan posłucha, potrzebuję...

– Jak pani się nazywa?

– Joanna Chyłka. Jot, o, a, en, en...

– I kim pani jest?

– Mam wrażenie, że cały dzisiejszy dzień muszę odpowiadać na to pytanie.

W słuchawce zaległa cisza, rozmówcę zapewne tylko moment dzielił od podjęcia decyzji, by się rozłączyć. Dziwiła się, że jeszcze tego nie zrobił – numer do nadinspektora udało jej się zdobyć nie od funkcjonariuszy, a dzięki Arturowi Żelaznemu. Twierdził, że musiał dzwonić do znajomego sekretarza stanu w MSW, by to załatwić.

– Jestem prawniczką z kancelarii Żelazny & McVay – dodała, jakby miało to cokolwiek mówić dyrektorowi Izby Celnej. – Bronię dwójki ludzi oskarżonych o zabójstwo własnej córki. I mam powody przypuszczać, że dziewczynka nie tylko żyje, ale też że została porwana.

– O czym pani mówi?

– Nie wymagam wiele – ciągnęła Chyłka. – Chodzi mi tylko o to, by dla dobra dziecka posłał pan kilku ludzi do dziupli przemytników papierosów.

– Jakiej dziupli? Jakich przemytników?

– Chodzi o siatkę działającą na przejściu granicznym Kuźnica-Bruzgi. Panie nadinspektorze, to dziecko na pana liczy.

– Co też pani opowiada?

Joanna odsunęła słuchawkę i westchnęła. Potrzebowała chwili, by się uspokoić, a obracany w ręce elektroniczny papieros niewiele pomagał. W końcu wypuściła powietrze przez usta i przyłożyła telefon do ucha.

– Niech pan mnie posłucha, bo czas nagli.

– Ależ...

– Będzie miał pan ją na sumieniu, obiecuję to panu – kontynuowała. – Jeśli zwrócę się do organów ścigania, to wszystko potrwa. Pańskich ludzi mam już na miejscu, jedyny problem jest taki, że nie chcą ruszyć swoich leniwych tyłków.

Przez moment rozmówca milczał. Joanna bezradnie spojrzała w niebo, podczas gdy dwaj mężczyźni nerwowo wyczekiwali na decyzję przełożonego.

– Jest obok pani jakiś funkcjonariusz?

– Tak, przecież mówię.

– Proszę go dać do telefonu.

– Dziękuję – bąknęła Chyłka, z ulgą przekazując telefon celnikowi.

Ten przez moment odbierał rozkazy, kiwając głową. Potem rozłączył się i oddał smartfona prawniczkę.

– Moim będzie szybciej – powiedziała, wskazując na iks piątkę.

– Pani mecenas, polecono nam, żebyśmy zabrali panią do Bialegostoku.

– Słucham?!

Obaj poprawili mundury, jakby miało im to dodać animuszu.

– Nadinspektor wydał rozkaz, żebyśmy...

– Słyszałam za pierwszym razem – odparła przez zęby Chyłka. – W dupach wam się poprzewracało?

Spojrzeli na siebie.

– Nie macie co robić, od kiedy są otwarte granice, to takie numery odstawiacie?

– Proszę zachować spokój.

– W dodatku całą robotę zabiera wam Straż Graniczna, co? Widziałam *Watahę*, wiem, że tam są kozaki.

A wy...

– Pani mecenas, jesteśmy zmuszeni odeskortować panią do centrali.

– Odeskortuj to – odparła Joanna, wyciągając do funkcjonariusza środkowy palec. Potem obróciła się na pięcie i nie czekając, aż ci dwaj namyślą się, na ile mogą sobie pozwolić, ruszyła szybkim krokiem ku iks piątce.

– Proszę poczekać!

– Wyciągnij broń i strzelaj. Inaczej się nie zatrzymam – rzuciła na odchodnym.

Zanim do niej dopadli, była już w samochodzie i włączyła silnik. Stanęli przed BMW, wyciągając przed siebie ręce. Opuściła szybę, a potem wychyliła się.

– No i co teraz? – zapytała. – Mam przejechać?

– Niech pani wysiada – powiedział jeden z nich.

– Nie macie uprawnień, żeby wydawać mi takie polecenia. – Możemy zatrzymywać pojazd w ruchu...

– Dobrze znam przepisy Kodeksu ruchu drogowego – ucięła Chyłka. – Możecie kazać mi się zatrzymać i sprawdzić pojazd. Nic ponadto, więc nie ma mowy, żebym gdziekolwiek z wami pojechała. Nie możecie nawet sprawdzać prędkości, nie mówiąc już o tym, że ustawa wymaga, byście mieli na sobie kamizelkę odblaskową podczas zatrzymania.

Jeden z nich otworzył usta, ale się nie odezwał.

– A teraz odsuwać się, bo czas nagli, a ja tracę go na częzej gadaninie z wami.

Spojrzeli po sobie, ale się nie odsunęli. Joanna dostrzegła wahanie i uznała, że tyle jej wystarczy. Wbiła wsteczny, odjechała kawałek i zakręciła. Wyjechała z parkingu drugim wyjazdem, uznając, że funkcjonariusze raczej będą chcieli zapomnieć o całym zdarzeniu, niż zgłaszać to dowódcy.

Wzięła do ręki telefon i wykrciła numer Zordona. Nadal nie odpowiadał. Zakławszy pod nosem, zadzwoniła do Kormaka.

– Potrzebuję namiaru na telefon Oryńskiego – powiedziała.

– Cześć. Też miło cię słyszeć. W Warszawie pogoda nie najgorsza, klimatyzacja w Skylight działa na pełnych...

– Zamknij się i dawaj namiar na Zordona.

Poważny ton głosu postawił szczypiora do pionu.

– Co się dzieje?

– Zniknął mi z radaru i muszę go znaleźć. Szybko.

– Nie mogę namierzyć komórki, Chyłka.

– Nie ma prawnej czy fizycznej możliwości?

– Obydwu.

Rozłączyła się i cisnęła telefonem w fotel. Odbił się od siedzenia i spadł na podłogę od strony

pasażera. Świetnie, tylko tego było jej trzeba. Uderzyła pięścią w kierownicę, a potem przyspieszyła. Nie było w tym żadnej logiki i zdawała sobie z tego sprawę. Jechała w kierunku, w którym z pewnością pojechał transit. Gdyby wybrał przeciwny, musiałby ją minąć tuż za zakrętem.

Pędziła wąską drogą przecinającą niewielką miejscinę. Momentami miała wrażenie, że koła z obydwu stron iks piątki dotykają krawężników. Mieszkańcy obserwowali ten rajd z niepokojem, ktoś pewnie zadzwonił na policję. Chyłka o to nie dbała, chciała jak najprędzej wyjechać z Kuźnicy. Wyszła z założenia, że dziupla musi znajdować się gdzieś na obrzeżach wsi.

Przecięła ostatnie skrzyżowanie, wymuszając pierwszeństwo wbrew regule prawej ręki, a potem jej oczom ukazał się rozległy, zaniedbany teren fabryczny. Po lewej widziała niekończącą się kawalkadę wagonów towarowych, po prawej zużyte kontenery i inne śmieci. Zwolniła nieco, uznawszy, że właśnie w takim sąsiedztwie najlepiej byłoby organizować przerzut nielegalnych towarów.

Minęła przejazd kolejowy z czterema torami, a potem opuściła teren zabudowany. Za Kuźnicą droga zwężała się jeszcze bardziej, a nawierzchnia przypominała powierzchnię Księżyca. Joanna miała przed sobą rozjazd. Jedna tablica informowała, że za siedemnaście kilometrów w lewo dotrze do wsi Sidra, druga, że w prawo za szesnaście kilometrów będzie w Nowym Dworze.

Znów uderzyła pięścią w kierownicę.

12

Kordian patrzył w oczy człowieka, który spoglądał na niego tak, jakby zamierzał rozszarpać go żywcem. Niewielkim pocieszeniem był fakt, że identycznie spozierał na swoich współpracowników.

– Kto go tu wpuścił?

– Szefie, to wszystko...

– Który z was jest takim pierdolonym idiotą?

– Ale poręczył za niego...

– Gównu mnie obchodzi, kto za niego poręczał – uciął przybysz. – Gdzie macie mózgi? Co mówiłem o wpuszczaniu tu obcych?

Oryński cofnął się o pół kroku, ale natychmiast napotkał ostrzegawcze spojrzenie przywódcy. Spuścił lekko głowę i nabrał tchu. Zanosilo się na zupełną tragedię, której nikt nie mógł zapobiec. Chyłka nie wiedziała, gdzie jest, a jeśli policja namierzy jego telefon, to odnajdzie faceta w skórze, który z nim będzie miał tylko tyle wspólnego, że jako jeden z ostatnich widział go żywego.

Przełknięcie śliny przyszło Kordianowi z trudem.

– Srał was pies – orzekł w końcu szef i zrobił krok w kierunku chłopaka. – Nie pierwszy raz będę po was sprzątać.

Zebrani w milczeniu pospuszczali głowy. Oryński uznał, że najwyższa pora coś powiedzieć.

– Nie mam żadnych..

– Stul pysk – przerwał mu przybysz. – Wiesz, kim jestem?

– Mogę się tylko domyślać.

– Ja za to wiem doskonale, kim ty jesteś – ciągnął, patrząc na niego bykiem i zbliżając się. – Śledziłem sprawę Langerę, a potem widziałem ciebie i tę dupę tutaj. Bronicie Szlezynwierów.

Oryński skinął głową.

– I nie wiem, czego tu szukasz, frajerze, ale jeśli zobaczę choćby ogon jakiegoś psa, już nie wyjdiesz z tej rudery. Rozumiesz?

– Mhm – odparł Kordian.

Rozumiał, że na tym etapie niewiele od niego zależy. Nie wiedział, czy Chyłka zgłosiła się na policję, czy zmieniła plan. Mógł się spodziewać wszystkiego, także tego, że pojawi się tutaj cały zastęp funkcjonariuszy. O ile ktokolwiek wiedział, gdzie jest „tutaj”.

– Cała reszta zależy od tego, jak będziesz odpowiadał na moje pytania. Jasne?

– Tak – powiedział Oryński, z nadzieją, że jego głos brzmi pewnie.

– Zaczniemy więc od początku. Jak tu trafiłeś?

Aplikant dopiero teraz zorientował się, że wciąż się cofa i zaraz uderzy w ścianę. Zatrzymał się, zaczerpnął tchu, a potem uznał, że jedynym wyjściem jest powiedzieć prawdę... lub chociaż półprawdę. Opowiedział rozmówcy o tym, jak trafił na jego trop. Ten słuchał z beznamiętnym wyrazem twarzy.

Do czasu.

W pewnym momencie w oczach mężczyzny pojawiła się wściekłość. Nim chłopak zdążył się zorientować, że nadchodzi atak, było już po wszystkim. Przemysłnik doskoczył do niego, biorąc szeroki zamach, a potem Oryński zobaczył pięść zmierną prosto między oczy. W głowie rozległ się huk,

a ciało mimowolnie odskoczyło do tyłu i rąbnęło o ścianę.

– Poczekaj...

Zasłonił się rękoma i czekał na kolejny cios, nie spodziewając się, że jego apel poskutkuje. Uderzenie jednak nie nadeszło. Kordian opuścił gardę i spojrzał mętym wzrokiem na przeciwnika.

– Skąd dostałeś ten cynk, skurwielu?

– Od znajomej...

– Jakiej znajomej? Może od tej prawniczki, która sama zadzwoniła po żebraków?

– Po kogo?

– Celników.

Kordian poczuł metaliczny smak w ustach. Otarł ręką nos i przekonał się, że cieknie z niego strużka krwi.

– Puściłeś farbę – oznajmił agresor. – I puścisz dużo więcej, jeśli dalej będziesz tak pierdolił.

– Nie będę.

– Więc słucham: to ta suka zadzwoniła po żebraków?

Oryński zacisnął usta i po raz pierwszy spojrzał na tamtego z rezonem. Tym razem to on miał ochotę wziąć zamach i przywalić mu tak, żeby już nie wstał. Problem polegał na tym, że nie bardzo miał pojęcie, jak to zrobić. Jego jedyne doświadczenia w tej materii wiązały się ze spotkaniem z Gorzymem – i był wówczas raczej stroną bierną.

– Oho – odezwał się mężczyzna, obracając się do swoich towarzyszy. – Uderzyłem w czuły punkt.

Zaśmiali się głupekowato, a ich szef nagle spochmurniał.

– Nawet nie wiecie, co to znaczy, kretyni – dopowiedział, a potem machnął ręką. Spojrzał z powrotem na Oryńskiego. – Zakochało się w starszej koleżance? – zapytał. – To będzie problem, chłopie, duży problem. Bo ja nie zostawiam donosu ot tak. Jak ktoś narobi mi brudu, rewanzuję się. A wiesz, jak jej się zrewanzuję?

Kordian znów otarł krew z ust.

– Najpierw sam ją wezmę – zapowiedział przeciwnik. – Od tyłu, bo zasługuje na nieprzeciętne traktowanie. – Wskazał fotel. – O tam. Reszta będzie ją trzymać, a ja będę robił swoje do woli. Potem dam ją pozostałym. Każdy sobie użyje, a ty będziesz siedział na podłodze i patrzył.

Oryński zacisnął usta, żałując, że nie potrafi zareagować. Ręce go świerzbiły, ale żeby wyprowadzić cios, musiałyby na moment wyłączyć cały zdrowy rozsądek, czy może nawet świadomość. W tym momencie zazdrościł ludziom, którzy potrafili działać bezrefleksyjnie, powodowani impulsem.

– Z początku będzie szło opornie – ciągnął dalej mężczyzna. – Ale potem zacnie kwiczeć jak małe prosię. – Spojrzał Kordianowi głęboko w oczy i uśmiechnął się. – Wiesz doskonale, o czym mówię. Nieraz musiałeś sobie wyobrażać tę sukę w rui.

– Pierdol się.

Przywódca bandy uniósł brwi.

– Co powiedziałaś?

Oryński odpowiedział mu mocnym ciosem w brzuch. Nie zastanawiał się, nie planował tego – ciało zadziało samo, wiedzione złością. Zaciśnięta pięść wylądowała tuż nad krocem przeciwnika i ten zgiął się wpół. Kordian chciał jak najszybciej poprawić uderzeniem w głowę, ale agresor natychmiast się poderwał. Przywalił mu prawym podbródkowym, aż coś gruchnęło chłopakowi w szczękę.

Kiedy aplikant zatoczył się w tył, oponent szybko znalazł się tuż przed nim. Jeden prosty wylądował na przednich zębach, drugi uderzył w nos. Oryński uniósł ręce, ale facet szybko je odtrącił.

– Bezczelny skurwiel – powiedział, a potem złapał go za włosy i szarpnął głową w dół, jednocześnie wyrzucając w górę kolano. Trafiło prosto w czoło, co nie było najgorszą rzeczą, jaka mogła spotkać

Kordiana.

Padł na podłogę, zupełnie zdezorientowany. Potem poczuł nogę na klatce piersiowej.

– Po kiego chuja mnie szukałeś?

– Sakrat... Sakrat Tatarnikow...

Słowa płynęły z jego ust tak samo bezwiednie, jak krew.

– Co z nim? – zapytał napastnik, marszcząc czoło.

– On porwał dziewczynkę...

– Co ty pieprzysz?

– Zabrał ją...

Mężczyzna obrócił się i spojrzął na swoich towarzyszy. Wszyscy podnieśli się ze swoich miejsc. Mimo że przed chwilą dopisywały im przednie humory, teraz sprawiali wrażenie przybitych. Kordianowi kręciło się w głowie, ale nie na tyle, by nie dostrzec zmiany w ich zachowaniu. Uznał, że mimo kilku ciosów wcale z nim nie najgorzej. Może nawet obejdzie się bez wizyty na oddziale chirurgii szczękowej.

Gdy otworzył usta i poczuł przeszywający ból, zmienił zdanie.

– Co to za bzdura? – zapytał szef.

– Tatar zniknął razem z innym podejrzanym... – ciągnął Oryński. – Akurat wtedy, gdy policja by się nim zainteresowała. To nie przypadek...

Zamknął oczy i zaczerpnął tchu. Uznał, że powiedział wystarczająco dużo, by mieć nadzieję, że ostatni cios już padł. Po chwili usłyszał, że agresor się oddala. Otworzył oczy i zobaczył, że wszyscy mężczyźni usiedli na kanapach. Byli jakby osowiali – stanowczo za bardzo, by Kordian mógł to przyjąć bezrefleksyjnie. Coś było na rzeczy.

Podniósł się z podłogi i podsunął do ściany. Wiedział doskonale, co musi zrobić. Ponownie chciał otrzeć krew, ale tym razem lało mu się z nosa tak obficie, że było to daremne.

– Ten drugi to Antoni Ekiel, słyszeliście o nim? – zaczął. – Sprawdziliśmy go. Skazano go za znęcanie się nad dzieckiem.

Żaden z przemytników się nie odezwał.

– Jeśli mam rację, ta dziewczynka jest teraz w piekle – dodał. – Ma trzy lata.

Przywódca bandy spojrzął na niego przelotnie.

– Jeśli cokolwiek wiecie... – Urwał, wychodząc z założenia, że przekazane informacje w zupełności wystarczą im do podjęcia decyzji. Jeśli czegokolwiek można było spodziewać się po grupie recydywistów, to właśnie tego, że nie pozostaną bierni w przypadku potencjalnej pedofilii czy jakiegokolwiek innego przewinienia związanego z dziećmi.

– Pomogliście mu, tak? – zapytał Kordian, podnosząc się ostrożnie.

Nadal milczeli, więc postanowił szybko ocenić swój stan. Zęby wydawały się całe, choć z pewnością nie zje niczego twardego przez miesiąc. Nos bolał, podobnie jak czoło i podbródek, ale pierwsza fala bólu przeszła i nie było najgorzej. Był jeszcze oszołomiony, miał nogi jak z waty, ale to przejdzie.

Doszedł do fotela, a potem wsparł się na zagłówek i usiadł.

– Mamy w dupie wasz przemyt – powiedział. – Nie jesteśmy z policji ani z prokuratury. Chcemy po prostu znaleźć to dziecko i zwrócić je rodzicom. To dla nas...

– Spoko, czaję – odezwał się ten, na którego mówili Dżordi.

– Wszyscy czaimy – dodał inny.

Oryński wbijał wzrok w przywódcę. Wiedział, że kupił go tą historią – tym bardziej, że przedstawił ją w stanie niespecjalnie skłaniającym do kłamstw.

Przez jakiś czas trwała cisza. Dresiarze wyciągnęli paczki białoruskich papierosów i zaczęli kopcić. Po chwili całe pomieszczenie wypełniło się dymem. Nadal nikt się nie odzywał, wszyscy czekali, aż szef

zabierze głos.

Ten w końcu odchrząknął i spojrzał na jednego ze swoich pomagierów.

– Przynies dwa piwa. Zimne.

Chwilę później Oryński przykładał puszkę kenigera do policzka.

– Wito – przedstawił się przywódca grupy. – Od imienia.

– Kordian.

Facet wskazał na jego twarz i skinął głową.

– Przejdzie. Nic ci nie złamałem.

– Jestem wdzięczny.

– I nie wiedziałem, że... no wiesz.

Aplikant skinął głową, mając nadzieję, że to dzieje się naprawdę. Zasadniczo od tego powinien zacząć. Jeśli w takich strukturach obowiązywał jakikolwiek kodeks honorowy, to sprowadzał się właśnie do piętnowania przestępstw wobec dzieci.

– Pomogłem mu zniknąć, pewnie – dodał po chwili Wito. – Ale gdybym wiedział, że porwał dziecko... kurwa, człowieku, przemodelowałbym mu nie tylko ryj, ale i wszystko inne.

– Domyślam się.

– Nikogo z nim nie było – dopowiedział, jakby się usprawiedliwiał. – Ani tego Ekiela, ani małej, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Powiedział mi, że jest syf, bo od kilku lat ruchał żonę Szlezyngiera. I że jak psy zaczną drążyć w sprawie, będzie miał totalne bagno.

– Niewątpliwie.

– Więc to prawda? Dryłował ją?

– Z tego, co wiem, dość regularnie.

Przemytnik pokręcił głową i pociągnął łyk piwa.

– Musisz zczaić to, że my nie handlujemy żywym towarem. Nie przerzucamy nawet dupeczek. Czasem dajemy im zarobić, jasne, ale nie bierzemy ich na swoje barki. Za duże ryzyko. Z fajkami jest o tyle dobrze, że można to wykręcać prawie legalnie. Wystarczy pilnować tego i owego.

– No tak.

– Więc jak cię najdzie debilny pomysł, że my... no wiesz, to wybij to sobie z głowy.

– Ani przez chwilę was nie podejrzewałem – zełgał Kordian, a potem pochylił się i oparł ręce o kolana. – Ale muszę wiedzieć, gdzie on jest.

– To może być problem.

Prawnik zaklął w myśli. Tyle zachodu po to, żeby usłyszeć, że jest problem.

– Dlaczego? – spytał.

Wito wyciągnął papierosa i poczęstował Kordiana. Aplikant przez moment się zastanawiał. Ale tylko przez moment. Potem mroczna matka znów przytuliła go do swej dymiącej piersi. Palił łapczywie, jakby od tego zależało jego życie. Nie smakowało mu, było ohydne. Mimo to uczucie otępienia i błogości wynagradzało wszystko.

– Sam go stąd nie wywoziłem – zaczął handlarz. – Dałem mu tylko klucze do dziupli w Lebedzinie. Miał się tam zaszyć na dzień czy dwa. Nikogo tam wtedy nie było, mieliśmy akurat przestój.

– Może wciąż tam jest?

– Nie, chłopaki dzwonili jakiś czas później, że zostawił klucze tam, gdzie miał zostawić.

– I nikt nie wie, gdzie później pojechał?

– Nie. Zniknął totalnie.

Oryński zaklął pod nosem i głęboko się zaciągnął. Miał wrażenie, że płuca zaraz mu eksplodują.

– Potrzebuję telefonu – powiedział.

Rozmówca popatrzył na niego niepewnie, ale sięgnął po komórkę. Gdy mu ją podał, Kordian natychmiast wybrał numer Chyłki. Na ostrzeżenie, żeby lepiej nie dzwonił po mundurowych, skinął lekko głową.

– Tak? – rozległ się głos prawniczki.

– O jakiej historycznej postaci śpiewają Iron Maiden przez prawie osiem minut?

– Zordon! – krzyknęła. – Co ty odpierniczasz?

– Wolałbym, żebyś zapytała, czy żyję, czy wszystko ze mną w porządku, czy...

– Gdzie jesteś, kretynie?

– W... dziupli – odparł i wydał usta, patrząc na swoich nowych znajomych. Pokiwali głową z aprobatą.

– Więcej nie mogę powiedzieć.

– Zwariowałeś?

– Sama kazałaś dotrzeć mi do tych dżentelmenów.

Kilku zaśmiało się chrapliwie. Dolali jeszcze trochę złotego trunku do żołądka, więc jakiegokolwiek słowa wypowiedane z odpowiednią intonacją działały na nich rozbawiająco.

– Niekoniecznie miałam na myśli to, żebyś całkiem zniknął z radaru.

– Martwiłaś się, co?

– Tak, jak martwi się o zagubione szczenię.

– Powtarzaj to sobie – odparł z uśmiechem. – Być może w to uwierzysz.

– Zamknij się – ucięła. – Gdzie mam po ciebie przyjechać?

– Na razie nigdzie, czekaj na rozkazy. Dzwonię tylko, żeby cię uspokoić.

– Słuchaj no, ty nędzny...

Czym prędzej się rozłączył, a potem podał telefon Witowi. Przez chwilę uśmiech nie schodził mu z twarzy. Dopiero, gdy zobaczył, jak łypie na niego gospodarz, mina mu zrzedła.

– Jak wbije tu choć jeden pies, cały ten nasz dobry układ się zmieni.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Ta dupa ich nie ściągnie?

– Chyłka – poprawił ją Kordian. – I nie wie nawet, gdzie jesteśmy.

– Mogą namierzyć telefon.

– Bez przesady, to nie CIA. Zresztą nikomu nie zająknij się o tym słowem.

Wito patrzył na niego z rezerwą, ale biorąc wszystko pod uwagę, był to niebywały sukces. Teraz należało postanowić, co dalej, choć wyjść nie było wiele.

– Jak chcecie pomóc, zawieźcie mnie tam – odezwał się aplikant.

– Do dziupli w Lebedzinie?

Kordian skinął głową. Najchętniej dałby namiar śledczym, którzy szybko zamknęliby budynek i zebrali wszystkie ślady, jakie mogły prowadzić do Tatarnikowa. Problem polegał na tym, że nie mieli powodu, by go ściągać. Nadal przyjmowali, że to Szlezyngierowie są winni.

Kolejną komplikacją był fakt, że obecność mundurowych w drugiej ruderze skutecznie przekreśliłaby dobre relacje z tą grupą. A to mogło okazać się dość problematyczne, jeśli dotychczasowe przeżycia Oryński mógł wziąć za jakiś wyznacznik.

– Muszę znaleźć tego faceta – dodał.

– Spoko – wtrącił Dżordi. – Jeśli ciągnie się za nim taki smród, jak mówisz, pomożemy.

Chwilę później Kordian siedział w samochodzie przemytników, jadąc do zapadłej wsi oddalonej o trzydzieści kilometrów od pierwszej dziupli. Przemknęło mu przez głowę, że jeśli coś pójdzie nie tak,

nikt nie będzie wiedział nawet, gdzie szukać ciała.

Chyłka wróciła do domku letniskowego Szlezyngierów z duszą na ramieniu. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, szybko postawiłaby ultimatum: albo wracasz, albo po ciebie jadę. W przypadku Zordona nie mogła jednak tego zrobić. Wiedziała, że to moment, kiedy musi okazać mu pełne zaufanie.

Zaparkowała przy budynku i wyszła z iks piątki, wodząc wzrokiem wokół. Dziennikarze powoli tracili zainteresowanie sprawą – dziewczynka wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie żyła, a od procesu nie pojawiły się żadne nowe rewelacje. Joanna niechętnie słuchała analiz, jakie na antenie radia przeprowadzali zaproszeni przez rozgłośnie prawnicy. Wszyscy byli zgodni, że mimo mocnego uderzenia podczas rozprawy prawnicy z kancelarii Żelazny & McVay nie mogą spodziewać się cudów. Podkreślali, że zniknięcie dwóch ludzi nie może być poczytywane za dowód niewinności ich klienta.

Nikt przy tym nie zająknął się, że brak dowodu nie przemawia za jego winą.

– Gdzieś ty była? – powitała ją Angelika, wychylając się przez próg. Miała na sobie to samo co wczoraj, a jej włosy były w zupełnym nieładzie. Nie przypominała żony jednego z najbogatszych ludzi w Polsce.

– Mieliśmy z Zordonem coś do załatwienia.

– Nie płacimy wam za jeżdżenie po Mazurach, Chyłka.

Od kilku dni stara znajoma coraz bardziej działała jej na nerwy. Coś się zmieniło, jednak Joanna nie mogła stwierdzić co.

– Szukaliśmy tropów – bąknęła, nie chcąc wszczynać kłótni.

– I co znaleźliście?

– Na razie niewiele. Ale jesteśmy na dobrej drodze.

– O, doprawdy? – zapytała Angela i zaśmiała się. – W takim razie i tak jesteście lepsi od wszystkich tych służb, które tylko udają, że szukają Nikolci.

Akurat z tym Chyłka nie miała zamiaru polemizować. Wchodząc po schodach na werandę, uznała, że najprościej będzie zażegnać konflikt milczeniem.

– Szukaliście Sakrata, prawda? – zapytała Szlezyngierowa, ruszając za nią.

– Prawda.

– Mówiłam wam, że to bez sensu. Nie podniósłby ręki na dziecko.

– Pozwól, że my to stwierdzimy.

Angelika wywróciła oczami.

– Gonicie za własnym ogonem, podczas gdy do mnie wydzwaniamą z mediów. Potrzebowałam cię dzisiaj, Chyłka.

– Do czego? – zapytała prawniczka, wieszając żakiet na kołku w przedpokoju.

– Muszę wiedzieć, co mówić w wywiadach.

Joanna obróciła się do niej i zgromiła ją wzrokiem.

– Chyba postawiłam sprawę jasno – powiedziała. – Żadnych wywiadów aż do dnia poprzedzającego rozprawę.

– Mam obowiązek...

– Masz parcie na szkło – wpadła jej w słowo Chyłka. – Nawet w obliczu osobistej tragedii nie

odpuścisz, co?

Szlezynierowa westchnęła, kierując na Joannę teatralnie litościwy wzrok.

– Wiesz, na czym polega twój problem?

– Nie – odparła Chyłka, przechodząc do kuchni.

– Mierzysz wszystko swoją miarą.

Adwokat otworzyła lodówkę i wyjęła piwo. Otworzyła je, a potem zreflektowała się, że gdy zadzwoni Zordon, być może będzie musiała wsiąść w samochód i po niego pojechać. Ostatecznie zdecydowała się wypić pół.

– Sama byłabyś gotowa skorzystać z takiej okazji, żeby się wypromować, więc spodziewasz się, że inni również to zrobią – perorowała dalej Angela. – Wiem, że właśnie w takim świecie żyjesz. Każdy obrońca liczy wygrane sprawy, a nie liczbę osób, którym pomógł.

– To jedno i to samo.

– Chyba jednak nie.

Joanna usiadła przy stole i pociągnęła łyk. Najchętniej zaproponowałaby flądze, żeby się stąd ulotniła, póki pora, ale nie miała ochoty na przepychanki. Jako klient miała zresztą prawo się wygadać.

Angelika wyciągnęła sok z lodówki, a potem usiadła naprzeciwko.

– Prowadzisz beznadziejne życie, Chyłka.

– Trudno.

– Nieustanne podejrzenia, kombinowanie, dostrzeganie drugiego dna tam, gdzie go nie ma... i ciągły pęd. Tylko do czego?

Prawniczka przechyliła butelkę.

– Kasy masz już nadto, by zapewnić sobie spokojną starość. Czemu nie odpuścisz?

– Długo będziesz tak pieprzyć?

– Po prostu jestem ciekawa, jak to jest być tak zepsutą osobą, jak ty.

Chyłka znów się napiła, starając się zignorować klekoczącą dziobem wywłokę. Przyszło jej to bez trudu, bo zaczęła myśleć o tym, co robi Zordon. Z pewnością udało mu się nie tylko dogadać z tymi ludźmi, ale i odnaleźć trop prowadzący do Sakrata. Joanna zadawała sobie pytanie, na ile jest bezpieczny. I jak szybko nastroje jego nowych towarzyszy mogą się zmienić.

– Słuchasz mnie?

– Pewnie.

– Gówno prawda.

– Więc po co pytasz, jak wiesz?

– Bo chcę cię postawić do pionu.

– Powodzenia – odparła prawniczka.

Przez moment mierzyły się wzrokiem, po czym Angelika pokręciła głową i podniosła się z krzesła, odsuwając je z piskiem.

– Zapominasz, jaki stosunek nas łączy.

– Pamiętam doskonale – zaoponowała Joanna. – Stosunek „słuchaj mnie, to może nie pójdiesz siedzieć”.

– Jesteś na moich usługach, Chyłka.

Adwokat zaśmiała się pod nosem.

– Uważaj – ostrzegła ją. – Jeszcze kilka takich stwierdzeń, a będziesz sobie szukała nowego obrońcy.

Szlezynierowa odburknęła coś pod nosem, a następnie wyszła z kuchni. Joanna niespecjalnie się tym przejmowała. Pokłnie trochę w myśli, a potem logicznie się nad wszystkim zastanowi. Ostatecznie konkluzja mogła być tylko jedna – prawnicy z kancelarii Żelazny & McVay są jej najlepszą szansą, by

jakoś uratować własną przyszłość.

Chyłka dopiła piwo w kilka minut. Wbijała wzrok w widok za oknem, pomimo tego, że panowała już tam zupełna ciemność – a może właśnie dlatego.

Po chwili otworzyła kolejną butelkę, wychodząc z założenia, że jeśli Zordon będzie chciał się spotkać, znajdzie jakiś transport. W końcu nie poruszał się na piechotę, a ona nie musi mu matkować.

Z trzecim piwem wyszła na molo, nieustannie sprawdzając komórkę. Robiło się już chłodno i pożałowała, że wzięła tylko żakiet. W oddali słychać było świerszcze, raz po raz jakaś ryba podpływała pod molo i na moment się wynurzała. Chyłka usiadła na końcu skrzypiącego pomostu i przez chwilę słuchała natury.

Potem nocną ciszę rozdarł dźwięk gitar elektrycznych. Złapała za telefon i szybko odebrała.

– W końcu – powiedziała. – Co masz?

– Najpierw mogłabyś zainteresować się tym, czy...

– Wiem, że żyjesz, krępaku, skoro do mnie dzwonisz.

– Przecież to nie mój numer.

– Nieistotne. Mów, co znalazłeś.

– Piłaś?

– A czy koń je owies?

Kordian przez moment milczał.

– Jestem we wsi Lebie... – Urwał, a Joanna usłyszała, jak tubalny głos w tle każe mu „się, kurwa, uciszyć”. – Jestem na jakimś zadupiu – poprawił się. – W ruderze, gdzie przez kilka dni musiał zatrzymywać się Sakrat z Ekiem, zanim ruszyli dalej.

– Dobra, dobra. Oszczędź mi plastycznych opisów miejsca. Jest jakiś trop?

– Jest.

Chyłka westchnęła.

– Po twoim głosie wnoszę, że to ten z gatunku „o kant dupy rozbić”?

– Nie wiem... To znaczy, trzeba go sprawdzić.

– Możesz być jeszcze bardziej enigmatyczny, Zordon?

– Powiem ci wszystko, jak przyjedziesz.

Westchnęła, tocząc wzrokiem po nieprzeniknionym mroku.

– Wiesz, która jest godzina? – zapytała.

– Niespecjalnie. Tu czas biegnie trochę inaczej.

– Godzina popiwkowa.

– Aha – mruknął. – Dużo wypiłaś?

– Niewystarczająco, by o tobie zapomnieć, ale zbyt wiele, by prowadzić.

– Tkwi w tym jakiś romantyzm – zauważył wesoło. – Zresztą zawsze dostrzegałem w tobie iskrę cikliwości.

– Pocałuj się w dupę, Zordon.

– Najpierw chciałbym dostać się do Sajenka. Angelika też piła?

Chyłka obróciła się przez ramię, a potem wstała z pomostu. Ruszyła niechętnie w kierunku domku letniskowego.

– Sprawdź – powiedziała. – Gdzie mamy cię odebrać?

Oryński przez moment milczał, słuchając poleceń przekazywanych mu przez jednego z mężczyzn. Mówił tak bełkotliwie, że Joanna ledwo go rozumiała. Najwyraźniej chłopcy bawili się całkiem nieźle przy szukaniu tropu.

– W Korycinie na krajowej ósemce jest stacja benzynowa. Wysadzą mnie tam.

– Orlen? BP? Shell?

Kordian przekazał zapytanie swoim towarzyszom, ale odpowiedziała mu cisza.

– Po prostu stacja benzynowa. Mówią, że prowadzi ją Zdzichu – odezwał się po chwili. – Lepiej przyjedź z pełnym bakiem.

Joanna prychnęła pod nosem.

– Prędeż napiałabym się z tamtejszego dystrybutora, niż zalała choćby litr do icks piątki.

– Sensowne.

– I po głosie wnoszę, że sam tankujesz podobne trunki. Borygo?

– Co to jest?

– Płyn do chłodnic. Nie piłeś nigdy?

– Nie miałem przyjemności.

– W takim razie masz braki z dzieciństwa.

– W porównaniu do ciebie, nie wątpię – powiedział, gdy Chyłka wchodziła na taras. Światło w pokoju Szlezyngierów nadal się paliło, więc bez ogródek załomotała w drzwi.

– Śpisz? – zapytała, wchodząc do środka.

Angelika leżała w łóżku. Podniosła wzrok znad książki i głęboko westchnęła.

– Czego chcesz?

– Piłaś?

– Co?

– Potrzebuję kierowcy, trzeba odebrać Zordona. Możesz jechać?

Widząc desperację w oczach prawniczki, Angela szybko skinęła głową, a potem odgarnęła kołdrę. Wzrokiem zasugerowała Joannie, by wyszła z pokoju.

– I jak? – zapytał Kordian, gdy zamknęła drzwi.

– Za chwilę jedziemy.

– Świetnie. W takim razie my też ruszamy. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Zordon – powiedziała, a potem wzięła głęboki wdech. Po raz kolejny uznała, że całe to czarnowidztwo było niepotrzebne. Oryński poradził sobie śpiewająco bez jej pomocy, zresztą nie powinna mieć co do tego wątpliwości.

Wzięła z lodówki jeszcze jedno piwo i zdążyła pociągnąć kilka łyków, nim zjawiła się Angelika. Żona biznesmena skinęła na nią głową i bez słowa udała się w kierunku wyjścia. Chyłka niechętnie zabrała kluczyki do icks piątki i poszła za nią. Auto Szlezyngierów nadal było zabezpieczone przez policję.

– Prowadzisz choćby przyzwoicie? – zapytała prawniczka, zajmując miejsce pasażera.

– Czasem mam problem z braniem zakrętów. Szczególnie kiedy jadę kolumbrynami.

– Licz się ze słowami.

Była to pierwsza umiarkowanie przyjazna wymiana zdań między nimi od jakiegoś czasu. Ledwo jednak ostatnie słowo rozbrzmiało, a znów zapanowało milczenie. Angela włączyła silnik, a potem szybko przestawiła sprzęt audio na radio. Włączyła RMF FM i z głośników popłynął Sting. Nie najgorzej, uznała Joanna, zawsze mogła trafić się Lisowska.

Wprowadziła nazwę miejsciny do nawigacji, a potem wyszukała stację benzynową.

– Sześćdziesiąt kilometrów? – odezwała się Angelika. – Myślałam, że Kordian jest gdzieś bliżej.

– Najwyraźniej wywieźli go kawałek dalej.

– Oni?

– Grupa ludzi zajmująca się przemysłem.

Angela gwałtownie zahamowała i spojrzała na nią z przestraszeniem.

– Nie traktuj icks piątki jak rolnik traktora. I jedź.

– O czym ty mówisz?

– Spokojnie – powiedziała Chyłka i westchnęła. – Nie chodzi o przemyt osób, tylko tytoniu.

Szlezynghierowa patrzyła na nią badawczo jeszcze przez chwilę, a prawniczce przeszło przez myśl, że skoro była blisko z Tatarnikowem, powinna wiedzieć o jego związkach ze światkiem handlarzy.

– Skąd możesz mieć pewność, Chyłka? – spytała po chwili. – Jezu... jeśli Nikolcię...

– Na razie nic nie wiemy – ucięła adwokat. – Nie uprawiaj czarnowidztwa.

– A mimo to podążyliście tym tropem. Musicie sądzić, że coś w tym jest.

– Nie – zaproponowała stanowczo. – Po prostu szukaliśmy Sakrata.

Angela przez moment prowadziła w milczeniu. Potem obróciła głowę do pasażerki i posłała jej długie spojrzenie.

– No tak – odezwała się. – Wciąż zapominam, że twoim zdaniem jesteśmy z Awitem winni.

– Otóż to.

Szlezynghier syknęła coś pod nosem i przyspieszyła. Joanna nie czuła się przesadnie komfortowo, gdy ktokolwiek inny prowadził jej BMW, ale w tym przypadku miała ochotę po prostu wysiąść z samochodu. Mimo to milczała. Zdołała wytrzymać pół godziny, nim w końcu uznała, że nie warto ryzykować – pewnie jakiś wpływ na to miał opadający poziom alkoholu we krwi.

– Zwolnij.

– Zwolnię, jeśli mój obrońca choć przyjmie do wiadomości, że nie jestem winna.

– Do cholery, ile ty masz lat?

Angelika wdusiła pedał gazu, turbina zaskoczyła i auto szarpnęło do przodu. Niepoważna liczba koni pod maską mocno zaakcentowała swoją obecność.

– Zwariowałaś? – zestrofowała ją Chyłka, wierząc się na fotelu.

– I kto to mówi?

– Ja mogę zapierniczać. Ty jeździsz jak niedzielny kierowca, więc powinnaś...

Angela szarpnęła mocno na zakręcie i Joanna mimowolnie musiała urwać. Wsparła się o szybę, a potem spojrzała ze złością na towarzyszkę.

– Pozabijas nas – powiedziała.

– Chcę usłyszeć, że wierzysz w naszą niewinność.

– Zaczynam mieć wątpliwości, kto pił przed...

– Nie słuchasz mnie? – wpadła jej w słowo Szlezynghierowa. – Chcę wiedzieć, że nasz obrońca choćby dopuszcza możliwość, że nie zabiliśmy własnej córki, do kurwy nędzy!

Wychodząc z zakrętu, Angelika wcisnęła gaz do dechy. Turbosprężarka znów zaskoczyła, a autem mocno szarpnęło na zewnątrz. Iks piątka zjechała na drugi pas.

– Uważaj! – krzyknęła Chyłka.

Ledwo samochód opuścił zakręt, zobaczyły przed sobą światła ciężarówki. Kierowca nie zdążył nawet nacisnąć klaksonu. Angelika natychmiast odbiła w drugą stronę, zbyt szybko i zbyt panicznie. Rozległ się pisk opon, a kierująca straciła panowanie nad samochodem. Próbowwała jeszcze odbić w bok, co tylko pogorszyło sprawę.

– Kurwa mać! – zdążyła krzyknąć Chyłka, zanim samochód wpadł do rowu.

Angelika słyszała ogłuszający huk i dopiero po chwili zorientowała się, że rozbrzmiewa on tylko w jej głowie. Otworzyła oczy, ale widziała jak przez mgłę. Z oddali dochodziły jakieś krzyki, co wydawało jej się nielogiczne. Wszystko było nielogiczne. Przed momentem brała zakręt, a teraz...

Spojrzała przed siebie, starając się wyteńczyć wzrok. Jeden z przednich reflektorów oświetlał zbocze przydrożnego rowu. Przednia szyba przypominała pajęczynę, trudno było dostrzec cokolwiek oprócz tego.

Uświadomiła sobie, że samochód wbił się przodem w ziemię. Ona sama wisiała na pasie bezpieczeństwa. Kontrolka świateł awaryjnych mrugała, a z radia dobywała się cicha muzyka. Angela kaszlnęła i poczuła ból w płucach. Zamknęła oczy, dopiero teraz zdając sobie sprawę z tego, co się stało.

– Hej! – usłyszała męski głos z oddali.

Szybko pomiarkowała, że to kierowca ciężarówki.

Wiedziała, że pierwsze, co musi zrobić, to sprawdzić swój stan. Cała deska rozdzielcza przed nią była strzaskana, poduszka powietrzna zwisała z kierownicy. Spojrzała na nią i przekonała się, że jest zakrwawiona.

Nogi, pomyślała. Poruszyła jedną i drugą i odetchnęła z ulgą. Potem sprawdziła ręce – była cała, choć dolna część układu kierowniczego wypadła z obudowy i uderzyła ją w pierś. Poruszyła tułowiem i znów poczuła przeraźliwy ból. Jęknęła i starała się więcej nie ruszać.

Słyszała, jak mężczyzna biegnie po ulicy. Na pewno już zadzwonił po pomoc, pocieszyła się w duchu. Karetka niedługo będzie.

– Hej! – krzyknął kierowca, dopadając do rozbitych drzwi. – Żyjesz?!

Angelika otworzyła usta, ale się nie odezwała. Mężczyzna otaksował ją wzrokiem, a potem spojrzał na siedzenie pasażera. Cała krew odpłynęła mu z twarzy, a oczy się rozszerzyły. Dopiero teraz Szlezyngierowa pomyślała, by sprawdzić, co z Chyłką.

– Jezus Maria... – wyszeptał kierowca i natychmiast popędził na drugą stronę samochodu.

Angela lekko odwróciła głowę do prawniczki. Sprawiało jej to ból, ale wiedziała, że musi sprawdzić.

Najpierw zobaczyła zwieszoną głowę Chyłki. Potem uświadomiła sobie, że prawniczka ma całą bluzkę zalaną krwią.

– Nie mogę otworzyć! – krzyknął kierowca, szarpiąc za wygiętą klamkę.

Dopiero po chwili zobaczyła wystający kawałek metalu, który wbił się w brzuch Chyłki. Zrobiło jej się słabo.

– Słyszysz?! – ryknął mężczyzna. – Drzwi nie chcą puścić!

Angelika czuła, że odpływa. Ostatnim, co pamiętała, były paniczne krzyki kierowcy ciężarówki.

Kordian stał na stacji benzynowej, paląc papierosa. Miał wyrzuty sumienia, głównie dlatego, że mógł przez telefon powiedzieć Chyłce, że nie wytrwał w postanowieniu. Mogłaby już po drodze kupić paczkę fajek i dołączyć do niego po przegranej stronie. Zamiast tego jednak sam zaopatrzył się w paczkę marlboro i czekał na nią obok budynku.

Jego towarzysze już się zbierali. Zatankowali starego mercedesa W124 i byli gotowi pożegnać się z prawnikiem raz na zawsze.

– Nie zabije mnie tu ktoś? – zapytał niepewnie Oryński, wodząc wzrokiem wokół.

– Nie bój nic – zapewnił go Dżordi.

– Wszyscy widzieli, z kim przyjechałeś – dodał Wito.

Uścisnęli sobie ręce, a potem Dżordi wszedł do samochodu. Przywódca przemytników trochę dłużej przytrzymał prawicę Kordiana.

– Namierzysz go? – zapytał.

– Może. Dzięki temu, co znaleźliśmy, przynajmniej jest szansa.

– Jakby co, pisz na swój stary numer. Wezmę koma od Kabiora na pamiątkę.

– Dobrze wiedzieć.

– No – zakończył Wito. – I jakby się okazało, że Tatar ruszył to dziecko... Wiesz, jak się mówi. Nie sąd cię skaże, pedofilu.

Oryński pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Dasz go nam, to nie będzie trzeba niczego udowadniać.

– Będę o tym pamiętał.

Handlarz klepnął go w ramię, a potem zasiadł na miejscu kierowcy. Stary dieslowski silnik zarzęził okrutnie, a potem mercedes wytoczył się z parkingu. Kordian wyciągnął kolejnego papierosa, wodząc wzrokiem za oddalającymi się światłami samochodu. Szczęka nadal go bolała, gdy się zaciągał, ale mogło być dużo gorzej.

Wypalił do końca, a potem uznał, że nie ma co marznąć na dworze. Kiedy Chyłka przyjedzie, będzie wiedziała, że czeka na nią w budynku. Omiótł całość wzrokiem i stwierdził, że „budynek” to określenie nieco na wyrost. Stacja przywodziła na myśl raczej lichą wiatę.

Wszedł do środka i przywitał się z ekspedientem przysypiającym za kasą.

– W czym mogę... a, to ty. Przyjechałeś z Witem i resztą.

Kordian potwierdził skinieniem głowy.

– Czekasz na kogoś?

– Czekam.

– Napij się czegoś – mężczyzna wskazał na niewielką lodówkę, w której na normalnych stacjach trzymano lody czy inne mrożone rzeczy.

Kordian podszedł do niej i przejrzał asortyment. Same piwa, a on miał dość chmielu na dzisiaj.

– Nie, dzięki.

– Jak nie masz kasy, możesz na krechę. Wito odda.

Oryński szczerze w to wątpił, ale sprawdzać nie musiał. Mimo że handlarze zapewne byli łakomi na

każdą złotówkę, stracił jedynie telefon. Portfel pozostał w nienaruszonym stanie.

Poszukał wzrokiem kręcących się kiełbasek na hot-dogi, ale w tym przybytku takiego wynalazku nie znali. Wziął więc pierwsze lepsze ciastka, a potem usiadł na lepiącym się krześle przy oknie. Raz po raz przejeżdżał jakiś samochód. Potem pomknęła karetka na sygnale.

Naszła go niepokojąca myśl, ale w końcu często tak jest, gdy człowiek na kogoś czeka i widzi przejeżdżający ambulans. Kordian spojrział na ekspedienta.

– Macie tu CB?

– No pewnie. Pałąk na dachu łapie na kilkadziesiąt kilometrów.

– Włączysz i podpytasz, co się dzieje?

Mężczyzna skinął głową, a potem sięgnął do radia obok. Przekręcił gałkę i podniósł mikrofon.

– Mobile, co to za erka na bombach pojechała w kierunku Zagórza?

Odpowiedział mu szum, więc po chwili powtórzył pytanie, tym razem podając kierunek na Augustów.

– Dzwon był, kolego – odezwał się ktoś przez radio. – Sam nie widziałem, ale koledzy mówili, że jakaś iks piątka i duży. Podobno BMW sprasowane. Czekają na prokuratora, bo ponoć jedna ofiara śmiertelna. Misiaki zamknęły już całą drogę, więc będzie objazd. Ty skąd jedziesz?

– Na bazie jestem, podziękował. Szerokości życzę – powiedział ekspedient, a potem odwiesił mikrofon i zwiększył zasięg radia. Spojrział na Kordiana. – Wypadek był, słyszałeś?

Oryński słyszał aż nadto dobrze. Słowa tamtego mężczyzny odbijały mu się echem w głowie. Siedział zupełnie sparaliżowany, wbijając wzrok w pracownika stacji.

– Hej, w porządku?

Kordian wydukał coś niezrozumiałego. Potem podniósł się powoli, trzymając oparcia krzesła.

– Taksówkę... – zdołał powiedzieć.

– Chcesz zamówić? – spytał ekspedient i skrzywił się. – Chłopie, najbliższy postój to jest chyba w Sokółce. Nie wypłacisz się.

Kordian poczuł, że robi mu się gorąco.

– A jak taksiarz zobaczy twoją obitą facjatę, od razu zawróci. O ile w ogóle tu przyjedzie. Wie, kto tu urzęduje.

– Bus...

– Stefcio jeździ busem. Zadzwoń po niego?

– T-tak... – odparł Oryński i sięgnął po paczkę papierosów. Trzęsącą się ręką wyciągnął jednego, a potem zapalił. Na dźwięk zapalniczki ekspedient przestał pisać SMS-a i uniósł wzrok.

– Ej! Co ty robisz? Na zewnątrz z tą fajurą! I z dala od dystrybutora!

Kordian podniósł się niepewnie i skierował do wyjścia. Machinalnie sięgnął do kieszeni marynarki w poszukiwaniu telefonu. Potem zaklął pod nosem i sztachnął się papierosem tak głęboko, że go przeciągnął. Spojrział na niego, a potem bezmyślnie cisnął peta na ziemię. Obrócił się na pięcie i wrócił na stację.

– Muszę zadzwonić.

– Wysłałem już SMS-a do Stefana. Jedzie.

– Nie, muszę zadzwonić.

– I co, budki szukasz?

Oryński wskazał starą nokię leżącą na blacie.

– Nie ma mowy. Mam na kartę.

– To daj mi doładowanie za dwie dychy i pożycz na chwilę.

Chłopak szybko pomiarkował, że może coś na tym ugrać. Dał klientowi telefon, a potem Kordian z pamięci wprowadził numer Chyłki. Zrobiło mu się nieco lżej na sercu, gdy usłyszał sygnał – choć na

dobłą sprawę to nic nie znaczyło. Po chwili połączenie się wyłączyło, a aplikant szybko je powtórzył. Po trzeciej próbie zrezygnował i oddał komórkę pracownikowi stacji.

– Będą do ciebie dzwonić na ten numer – powiedział.

– Kto?

– Policja, sanitariusze, nie wiem.

– Policja? Ale zaraz, przecież...

– Powiesz im, żeby skontaktowali się z kancelarią prawną Żelazny & McVay w Warszawie. Wyszukają sobie numer w Internecie. Jasne?

– Tak, ale...

– Mówię to tylko na wszelki wypadek – uciął Kordian. – A teraz ty mi powiedz, jak szybko będzie tu ten twój kumpel?

– Dziesięć minut góra – zapewnił go chłopak. – Dokąd chcesz jechać?

– A gdzie jest najbliższy szpital z oddziałem chirurgicznym?

Ekspedient przez moment się zastanawiał.

– Może w Mońkach. Jest tam duży szpital.

– Więc wybieram się do Moniek – odparł Oryński, spojrzawszy jeszcze na komórkę, a potem podziękował rozmówcy i wyszedł. Znow zapalił papierosa, tym razem uważając, by go nie przeciągnąć. Wypatrując busa, czuł, że serce wali mu jak młotem.

W końcu z mroku wyłoniły się dwa żółtawe światła. Kiedy auto zjechało na parking, Kordian podniósł rękę. Szybko wskoczył na siedzenie pasażera i zanim kierowca zdążył o cokolwiek zapytać, Oryński polecił, dokąd ma jechać.

– Byle szybko – dodał.

– To nie jakaś podpucha?

– Jedź, człowieku. Zapłacę dwa razy więcej, jak szybko się uwiniesz.

– W porządku.

Nie ruszył wprawdzie z piskiem opon, ale po drodze nie żałował benzyny. Jechali opustoszałymi pipidówkami, a kierowca zapewniał pasażera, że uwinie się w kwadrans. Nie kłamał – po tym czasie zajechał pod szpital. Kordian wyciągnął stówę z portfela.

– Wystarczy?

– No raczej...

Nie czekając na resztę, prawnik wysiadł z samochodu i popędził do izby przyjęć. Natychmiast przykuł uwagę dyżurnej i potrzebował chwili, by stwierdzić, dlaczego tak jest.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała kobieta w białym kitlu, wychodząc zza lady.

– Wypadek na ósemce – rzucił Kordian.

– Pan z wypadku? – zdziwiła się. – Mówili, że tam tylko dwie...

– Karetka już przyjechała?

Spojrzała na niego skonsternowana, przyglądając się ranom na jego twarzy. Dopiero teraz zorientowała się, że to krew, która zaschła kilka godzin temu.

– Tak, erka przyjechała – potwierdziła dyżurna.

– Niech mi pani powie, czy... – Urwał i spuścił wzrok, zaciskając usta. Poczł, że kręci mu się w głowie, i musiał oprzeć się o kontuar. Kobieta natychmiast znalazła się tuż obok.

– Przywieziono dwie ofiary – powiedziała. – Pan z rodziny?

– Jestem przedstawicielem ustawowym – wymamrotał. – Proszę... proszę mi powiedzieć, czy one...

Kobieta rozejrzała się po sali. W miejskim szpitalu być może nie byłaby skora udzielać jakichkolwiek informacji. Na wsi, w środku nocy, nie miała oporów.

– Jedna z poszkodowanych jest w stanie krytycznym, ma rozległe obrażenia wewnętrzne – oznajmiła. – Druga ma jedynie stłuczenia klatki piersiowej i jest w szoku.

– Na CB mówili...

– Na CB radiu mówią różne rzeczy, proszę pana – przerwała mu z niezadowoleniem. – Zawsze są ofiary śmiertelne, zamknięta droga i wielogodzinne korki. Ale przynajmniej ostrzegają innych, by przepuścić karetkę.

Oryński nie słyszał, co mówi kobieta. Widział, że porusza ustami, ale zupełnie odpłynął. Po raz pierwszy pomyślał, że ciosy, jakie zebrał, mogły się odbić na jego stanie. Szok szokiem, ale mogło dojść do wstrząśnienia mózgu.

Nie to było jednak teraz istotne.

– Muszę je zobaczyć...

– Nie ma takiej możliwości – zaproponowała stanowczo dyżurna. – Jedna z kobiet jest w tej chwili operowana.

Zamknął oczy i starał się uspokoić bijące serce.

– Kierująca czy pasażerka?

– Pasażerka.

W pierwszej chwili pomyślał, że Chyłka przecież musiała siedzieć za kółkiem. Dopiero po chwili dotarło do niego to, co mówiła mu przez telefon. Wypiła za dużo i poprosiła Angelę, by ta kierowała.

Zrobiło mu się słabo. Opadł ciężko na ławę przy ścianie i wsparł się o nią rękami.

– Czy ona przeżyje? – zapytał słabo, ledwo poznając swój głos.

– Wszystkiego dowiemy się po operacji. Proszę być dobrej myśli.

Nieświadomie pokiwał głową.

– Na razie zajmijmy się panem...

– Nie – odparł. – Mówiła pani, że jest w stanie krytycznym... to znaczy...

– To znaczy, że jest w stanie zagrażającym życiu – odparła kobieta i usiadła obok. – Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć. I nikt inny również nie.

Oparł głowę o ścianę.

– Skąd ma pan te rany?

– Nieporozumienie...

– Mocno pan oberwał? – zapytała, przyglądając mu się.

– To nie mój rekord – odparł, wspominając bolesne spotkanie z Gorzymem. Wtedy to on trafił na oddział intensywnej terapii, ale w stanie znacznie lepszym niż Chyłka. Nie był operowany, a jakiś czas później mógł już chodzić o własnych siłach. Jeśli Joanna z tego wyjdzie, szybko jej nie wypuszczą. Będzie wściekła, kiedy dowie się, że nie może doprowadzić sprawy do końca.

Po wielogodzinnej operacji Kordianowi udało się dowiedzieć tylko tyle, że stan pacjentki wciąż jest niestabilny. Z uwagi na bezpośrednie zagrożenie życia wprowadzono ją w śpiączkę farmakologiczną. Lekarz nie był tak rozmowny jak dyżurna i poinformował Oryńskiego, że może rozmawiać wyłącznie z członkami rodziny.

Za jego namową Kordian opuścił szpital. Personel już próbował skontaktować się z rodziną – i na pierwszy ogień poszedł numer, z którego ostatnio kilkakrotnie dzwoniono do Chyłki. Pracownik stacji benzynowej nakierował ich na kancelarię Żelazny & McVay. Do tej pory Stary i Old Man – jak nazywano dwóch imiennych partnerów – wiedzieli już o całej sprawie i najpewniej byli w drodze na północ kraju.

Zatrzymawszy się przed szpitalem, Oryński zapalił papierosa. Nie miał siły zrobić porządnego sztacha, ale nie miało to żadnego znaczenia. Bezmyślnie obserwował, jak pierwsi poranni odwiedzający parkują nieopodal.

Zastanawiał się przez moment, czy nie zajrzeć do Angeliki. Ostatecznie jednak stwierdził, że nie jest to dobry pomysł. Niechybnie zebrałoby mu się na wyrzuty, a to ostatnie, czego jej trzeba. Dziś zresztą na wolność miał wyjść z dozorem policyjnym Awit. Zapewne przyjedzie tu prosto z aresztu śledczego.

On zaś powinien wrócić do poszukiwań Tatarnikowa. Tego chciałaby Chyłka.

– Przepraszam... – powiedział, zaczepiając przechodzącą pielęgniarkę.

– Tak?

– Jak dostanę się stąd na północ?

– A gdzie konkretnie chce pan dotrzeć?

– Do Grajewa.

– To prosta droga. Będzie pan widział znaki na wyjeździe z...

– Nie mam samochodu.

– W takim razie zostaje TLK. Do Grajewa podróż zajmuje niecałe pół godziny, pociąg jeździ koło siódmej, a potem o czternastej.

Oryński znów machinalnie sięgnął po komórkę i zaklął cicho. Gdyby lepiej rozegrał sprawę z facetem w skórce, miałby teraz jak skontaktować się z tymi wszystkimi, którzy najpewniej wychodzili z siebie, martwiąc się o Chyłkę. I być może wiedziałby, co dalej robić.

– Jest siódma piętnaście – uzupełniła kobieta, uprzejmie się uśmiechając.

– Dziękuję.

– Zostaje więc panu stop albo kilka godzin czekania.

Kordian zaciągnął się i skinął jej głową. Nie miał ochoty wdawać się w czcze rozmowy. Był zmęczony, podłamani i miał dosyć wszystkiego, co wiązało się ze sprawą Szlezyngierów. Zaraz jednak zmitygował się, że gdzieś pośrodku tego bagna jest mała dziewczynka, która nadal może żyć i czekać na ratunek.

Obrócił się w kierunku szpitala.

– Ciężka sprawa? – zagaiła kobieta.

Oryński dopiero teraz spojrzał na nią wzrokiem, który pozwalał cokolwiek dostrzec. Miała jasne włosy upięte z tyłu w niewielki kok i ciemne oczy. Nadal się uśmiechała i dopiero teraz się zorientował, że też trzyma palącego się papierosa między palcami.

- Moja... – zaczął i urwał, nie wiedząc, co powiedzieć.
- Dziewczyna?
- Patronka – poprawił ją. – Moja patronka jest na OIOM-ie.
- Z wypadku?
- Tak.

Kobieta dopaliła w milczeniu, co nie było przesadnie dobrym znakiem. Na odchodnym uśmiechnęła się jeszcze, ale już się nie odezwała. Oryński wszedł za nią do budynku i skierował się do recepcji. Dyżurna wciąż była ta sama, pewnie kończyła o ósmej.

- Widzę, że ktoś pana opatrzył – powitała go.

Jak przez mgłę przypomniał sobie, że w nocy, kiedy Chyłkę operowano, on trafił do izby przyjęć i tam oczyszczono mu rany i założono szwy. Była też mowa o szczęce, ale Kordian nie pamiętał żadnego z zaleceń, które otrzymał.

- Mogę skorzystać z telefonu? – zapytał.
- Oczywiście – odparła kobieta, podając mu bezprzewodowy aparat.
- Powinien pomyśleć o tym od razu. Posłał jej zdawkowy uśmiech i wziął urządzenie.
- Nie chcę być natrętem, ale straciłem całą książkę adresową...
- Razem z telefonem, jak mniemam.
- Słusznie.

- Więc w czym jeszcze mogę pomóc tajemniczemu nocnemu gościowi?

– Potrzebowałbym numeru do centrali kancelarii prawnej Żelazny & McVay w Warszawie – powiedział, wskazując na komputer obok.

Moment później miał wszystko, czego potrzebował. Wybrawszy numer, usłyszał w słuchawce Ankę z Recepcji. Była roztrzęsiona i chciała znać szczegóły, najwyraźniej personel szpitalny zdążył już skontaktować się, z kim trzeba. Oryński potrzebował chwili, by przebić się przez lamente kobiety, ale ostatecznie udało mu się otrzymać od niej numer Artura Żelaznego. Wybrał go i cierpliwie czekał, aż imienny partner odbierze.

- Jadę – rozległ się głos szefa.

- Skąd pan...

– Widzę kierunkowy osiemdziesiąt pięć, a ze szpitala już do mnie dzwoniли – uciął Artur. – W jakim ona jest stanie?

- Bez zmian.

- Wyjechałem, jak tylko dotarła do mnie wiadomość.

- Kiedy pan będzie?

- Według nawigacji za kilka minut.

- Słucham?

– Wyjechałem o piątej rano. McVay jest w drodze z Poznania, miał tam jakąś sprawę do załatwienia. Jej siostra skoro świt zostawiła dziecko z dziadkami i wraz z mężem jest już w drodze.

Oryński sądził, że Joanna nie byłaby przesadnie zadowolona, gdyby wiedziała, że wszyscy się do niej zjeżdżają. Pewnie powiedziałyby, że to korowód pogrzebowy. Oryński potrząsnął głową i szybko odrzucił tę myśl.

- Wyjdź przed szpital, chłopcze.

Ilekcóż słyższało się takie polecenie od Starego, miało się ochotę odpowiedzieć „tak jest!”. Harry McVay grał w tym duecie rolę dobrego wujka wobec niższych rangą prawników, zaś Żelazny niezbyt przychylnego ojca, który od czasu do czasu lubi wypić i nakrzyczeć na dziecko. Mimo to obydwu Kordian darzył sympatią – jako jeden z nielicznych, gdyż linia podziału w kancelarii przebiegała właśnie między

zwolennikami polskiej i brytyjskiej strony.

Aplikant czekał na szefa rzeczywiście tylko kilka minut. Potem czarny mercedes zaparkował kilkadziesiąt metrów dalej i wysiadł z niego mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze. Rozejrzał się, nieprzychylnym okiem lustrując budynek szpitala. Gdy Kordian uniósł rękę, Żelazny wreszcie go dojrzał.

Powitawszy go mocnym uściskiem dłoni, na dłużej zawiesił wzrok na szwie ponad łukiem brwiowym.

– Ty też byłeś w samochodzie? – zapytał.

– Nie – odparł Oryński. – Ale to długa historia.

– Rozumiem – mruknął Żelazny, ruszając do wejścia. Najwyraźniej stan aplikanta w tej sytuacji niespecjalnie go interesował. – Na konkrety musimy czekać do przyjazdu McVaya – dodał.

– Słucham?

– Właśnie jego Chyłka wpisała jako osobę, która obok rodziny może uzyskać informacje o stanie zdrowia.

Nic dziwnego. Zaczynała właśnie w obozie Harry'ego, dopiero później doszło do scysji i przenosin. Ostatnimi czasy przestali kruszyć kopie, a dawna sympatia odżyła.

– Więc co nowego udało ci się ustalić w sprawie? – zagaił Artur, rozglądając się po wątpliwym estetycznie wystroju wnętrza.

Kordian nie spodziewał się, że od tego zaczną. Nie miał w głowie ułożonego raportu.

– Szlezyngierowie – ponaglił go Artur. – Co się dzieje?

– Teraz chce pan o tym rozmawiać?

Żelazny złapał go za rękę i obrócił do siebie.

– Zaraz zacznę przypuszczać, że Chyłka niczego cię nie nauczyła. Masz żyć sprawą, prawda?

Skinał głową.

– Masz myśleć o niej, gdy się budzisz, jesz i srasz. Tak?

– Nie ujęła tego w ten sposób, ale...

– Grunt to brak wytchnienia – dokończył Stary. – A teraz to jeszcze ważniejsze, bo warto zająć czymś myśli. Znajdźmy więc jakiś stolik i opowiesz mi o wszystkim, co się wydarzyło.

Dopiero gdy zasiedli w szpitalnej stołówce, Kordian uzmysłowił sobie, że nie jadł śniadania. Zamówił sobie pierogi, uznając, że to najbezpieczniejsze wyjście. Wszystko inne wyglądało tak, jakby zostało przetransportowane tu w kapsule czasu z PRL-u.

Artur wziął kawę dla siebie i aplikanta, usiadł naprzeciwko, a potem ponaglił go ruchem ręki. Oryński zaczął powoli relacjonować to, co zaszło od momentu ostatniej rozprawy. Nie było sensu niczego pomijać, ostatecznie Żelazny i tak dowiedziałby się wszystkiego od klientki.

Wysłuchawszy podwładnego, pokiwał głową z zadowoleniem.

– Dobra robota – podsumował. – Ale co z tym tropem?

Kordian zaczerpnął tchu i odłożył sztućce.

– W ruderze w Lebedzinie znaleźliśmy mnóstwo odpadków, których według chłopaków od Wita wcześniej tam nie było. Wśród nich wydruki.

– Wydruki?

Oryński pociągnął łyk kawy.

– Robocza teza jest taka, że przed spotkaniem z Sakratem Ekiel odwiedził kogoś zaufanego. Kogoś, kto mógł sprawdzić w Internecie interesujące go rzeczy, a potem wydrukować mu to wszystko. Porwali całość, ale mam skrawki. – Oryński poklepał się po marynarce. – Trzeba tylko posklejać, może coś z tego będzie.

– Pokaż mi to.

Aplikant niechętnie wyciągnął woreczek z kawałkami papieru. Niektóre były zmięte, inne zalane jakimś

płynem. Mogły pochodzić z kilku kartek, góra dziesięciu. Patrząc na te puzzle, można było zwątpić, czy da się z nich cokolwiek wyciągnąć.

– Nie wygląda to najlepiej – ocenił Żelazny.

– Wystarczy trochę cierpliwości.

– Raczej optymizmu. To może pochodzić z różnych materiałów. Zresztą gdyby w tych wiórach było coś istotnego, nie zostawiliby ich za sobą.

– Niekoniecznie. Nie spodziewali się, że ktokolwiek trafi do Lebedzina. Ludzie, z którymi Tatarnikow współpracował, byli z jego punktu widzenia godni zaufania. I z pewnością nie puściliby pary, gdyby nie to, że wspomniałem o dziecku.

– W porządku – odparł Stary i pokiwał głową. – Załóżmy, że coś uda się z tego wyłuskać. Co dalej?

– Nie wiem.

– Nie mieliście żadnego planu?

– W sądzie jesteśmy na dobrej pozycji – zapewnił Oryński. – Potrzebowaliśmy tylko solidnego kandydata na alternatywnego sprawcę. I mamy nawet dwóch. Koneksje z przemytnikami będą mówiły same za siebie.

– To nie wystarczy.

Kordian wzruszył ramionami.

– Resztę planu miała w głowie Chyłka.

– Nie podzieliła się nim z tobą?

– Pyta pan, jakby jej pan nie znał – powiedział aplikant i zaczął obracać kubek na stole. – Zresztą jakie to ma teraz znaczenie? Szlezyngierowie dostaną kogoś innego. Przypuszczam, że Daniela, jeśli jest wolny.

Trudno było o inną możliwość. W kancelarii Żelazny & McVay było dwoje karnistów, którzy otrzymywali najgłośniejsze sprawy. Chyłka i Daniel Kosmowski. Stanowili zupełne przeciwieństwa, Joanna darzyła popkulturę niespecjalnie ciepłym uczuciem, podczas gdy Daniel sprawiał wrażenie, jakby urodził się z iPhone'em w rękę. Był typowym korposzczurem, który czelendzował kejsy i fokusował się na targacie. Joanna nieraz zapowiadała, że nadejdzie dzień, gdy Kosmowski wypadnie z któregoś okna na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight, a ona będzie odprowadzała go wzrokiem.

– Już zrobił miejsce w grafiku – odparł po chwili Żelazny, wyciągając blackberry. Przez moment sprawdzał coś na urzędzeniu, a potem włożył je do kieszeni marynarki. Zawiesił ją na oparciu krzesła i spojrzał na rozmówcę pytająco.

– Rozumiem – zapewnił go Oryński.

– Przekazesz mu wszystkie swoje dotychczasowe ustalenia i jeśli uda ci się coś wydobyć z tych ogryzków, dołożysz to do dokumentacji.

– Oczywiście.

Kordianowi przeszło przez myśl, że kiedy Chyłka się obudzi, będzie wściekła jak osa. Nawet jeśli lekarze przykują ją do łóżka, nie przeszkodzi jej to w uządleniu każdego, kto maczał palce w odebraniu jej sprawy. Artur był tego w pełni świadomy. Patrzył na aplikanta wyczekująco, jakby spodziewał się, że weźmie patronkę w obronę.

Oryński napił się kawy.

– Rozumiesz, że to konieczne? – zapytał Żelazny.

– Tak.

– Nie możemy czekać, aż Chyłka z tego wyjdzie. Nie chodzi nawet o renomę kancelarii, a o dobro tych ludzi. Trzeba jak najprędzej zapewnić ciągłość obrony.

Oczywiście, że chodziło o renomę. W przypadku Starego zawsze o to chodziło.

– Nie mam wątpliwości, że na pierwszym miejscu stawia pan dobro klienta.

– Świetnie.

Gdy Artur dopił kawę, podniósł się i oznajmił, że musi skorzystać z toalety. Kordian poczekał, aż szef zniknie na korytarzu, po czym zerwał się i sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął blackberry i wybrał numer człowieka, który był jego ostatnią deską ratunku.

– Będę za dwie godziny – rozległ się głos bez śladu obcego akcentu.

– Potrzebuję pomocy – powiedział aplikant.

– Kordian?

– We własnej osobie. Nie mam wiele czasu.

– Ależ...

– Artur chce przekazać sprawę Kosmowskiemu.

– Dziwisz się? Chyłka nie...

– Chcę to poprowadzić – wszedł mu w słowo Oryński.

– Nie ma takiej możliwości.

– Jest – zaproponował bardziej opryskliwie, niż zamierzał. – Aplikant może zastępować adwokata przed sądem. Wystarczy podpisane pełnomocnictwo.

– Którego nie masz.

– Będę miał, jak tylko Joanna się obudzi.

– Jeśli się obudzi.

Kordian nie miał mu za złe. Brytyjski stoicyzm musiał objawiać się w ten sposób.

– Warto zaryzykować – odparł Oryński. – Szczególnie biorąc pod uwagę alternatywę. Proszę zdecydować szybko i nie wspominać, że dzwoniłem – dodał, a potem rozłączył się i szybko skasował połączenie z rejestru. Schował telefon z powrotem do kieszeni marynarki i podniósł wzrok.

Po chwili Żelazny wrócił i zajął miejsce po drugiej stronie stołu.

– Jak się czuje Angelika? – zapytał.

– Wystarczająco dobrze, by zamienić z nią kilka słów.

– Byłeś u niej?

– Nie. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli to pan lub McVay ją odwiedzą.

– Dobra decyzja. Muszę przedstawić jej wszystkie... – Urwał, gdy rozległ się dźwięk dzwonka. Sięgnął po blackberry, a potem głęboko westchnął, widząc, kto chce z nim rozmawiać. – Wybacz – powiedział i wstał od stołu.

Oryński podniósł talerz i odniósł go do okienka. Kobieta w zaplamionym fartuchu uśmiechnęła się do niego.

– Manipulator z pana – zauważyła, wskazując na pieklącego się w progu Żelaznego.

– Robię, co mogę, ale to kobiety opanowały tę sztukę do perfekcji. Szczęście w nieszczęściu, że mam dobrą nauczycielkę.

Kucharka skinęła głową z uznaniem.

– Coś jeszcze pan zje?

– Chętnie. Chodzi mi po głowie powtórka z pierogów.

– Robi się – odparła i puściła do niego oko.

Kiedy wrócił do stolika z kolejną porcją, Żelazny nadal dyskutował z drugim imiennym partnerem. W końcu pokręcił głową i rozłączył się, wduszając przycisk, jakby był to nos McVaya.

Zasiadłszy z powrotem przed Kordianem, posłał mu długie spojrzenie.

– W porządku – powiedział. – Jeśli Chyłka się obudzi, masz tę sprawę.

– Ale...

– Nie rób ze mnie debila, chłopcze.

Aplikant uznał, że najlepiej będzie na to nie odpowiadać. Zajął się krojeniem pierogów.

– I bądź świadom, że dziś zrobiłeś sobie wroga w człowieku, którego nazwisko kiedyś może pojawić się obok mojego i McVaya.

Oryński wsadził kawałek pieroga do ust i uśmiechnął się, przeżuwając. Teraz Chyłka musiała tylko się obudzić.

Harry McVay wysiadł z lexusa i szybkim krokiem skierował się do szpitala. Wiedział, że stawia się na miejscu jako ostatni. Miał opuścić Poznań wcześniej, ale zatrzymały go sprawy kancelarii. Siostra Chyłki i jej szwagier już dotarli, co znacznie ułatwiało sprawę, bo prawnicy w końcu mogli się czegoś dowiedzieć.

Wszedłszy na stołówkę, Brytyjczyk niemal nie poznał młodego aplikanta, którego przez ostatni rok prowadziła Joanna. Twarz miał poharataną, jeden policzek był wyraźnie spuchnięty, a cienie pod oczami kazały sądzić, że ostatnimi czasy za często nie sypiał.

Harry przywitał się z zebranymi, którzy zajęli największy stół, a potem przysunął sobie krzesło.

– Co z nią? – zapytał, patrząc na Magdaleny. Pamiętał doskonale, że tak jak jej siostra nie lubiła jakichkolwiek zdrobnień swojego imienia. I była to chyba jedyna cecha, która je łączyła.

– Żyje, to się teraz liczy... – odparła płacząco.

Mąż objął ją i pocałował w skroń. McVay nie mógł sobie przypomnieć jego imienia, choć oboje pojawili się na jednej z imprez służbowych w Lucid Clubie na ostatnim piętrze BlueCity. Rozmawiał z nim nawet o tym, jak to możliwe, że dwie tak różne dziewczyny uchowały się pod jednym dachem.

– Jaka jest prognoza? – zapytał.

– Lekarze nie chcą się wypowiadać – odparł Oryński. – Przynajmniej na razie.

McVay skinął głową.

– Po drodze wykonałem kilka telefonów – powiedział. – Wszyscy macie zapewnione pokoje w gościńcu przy Ełckiej 57. Nazywa się Dworak. Podajcie tylko swoje nazwiska, uregulowaliśmy już należności.

– Dziękujemy – odezwał się mąż Magdaleny.

Harry uśmiechnął się zdawkowo, jak na Anglika przystało, po czym wstał od stołu i skinął na aplikanta. Kordian szybko się podniósł i ruszył za szefem.

– Przemyślałem tę sprawę – oznajmił McVay.

– Nie brzmi to najlepiej.

– W takim razie źle się wysłowiłem. Uważam, że masz świętą rację.

– Cieszy mnie to – odparł z ulgą chłopak.

– Chyłkę tym bardziej ucieszy, jak tylko się obudzi.

Harry zatrzymał się na korytarzu i obrócił do Oryńskiego.

– Ale? – zapytał młody.

– Ale *timing* stanowi pewien problem.

– Nie rozumiem.

– Trochę straciłeś poczucie czasu, prawda?

Brytyjczyk widział w oczach młodzieńca, że ten wreszcie pomiarkował, w czym tkwi problem. Kordian syknął coś pod nosem i pokręcił głową.

– Zbliża się termin drugiej rozprawy – powiedział.

– Otóż to – potwierdził McVay. – A ty nie masz pełnomocnictwa. Prognoza lekarzy jest więc dla nas kluczowa.

– Dzisiaj niczego więcej się nie dowiemy.

Harry miał nadzieję, że stanie się inaczej, ale gdy słońce zachodziło, nadal nie mieli pojęcia, w jakim dokładnie stanie jest Joanna i kiedy zostanie wybudzona ze śpiączki farmakologicznej. Lekarze przebąkiwali coś o obrażeniach wewnętrznych, nie chcieli jednak podawać szczegółów. Magdalena dowiedziała się nieco więcej, ale z medycznego żargonu niewiele zrozumiała.

McVay wraz z aplikantem pojechał do motelu. Milczeli przez niemal całą drogę.

– Jest jeszcze jedna możliwość – odezwał się w końcu Oryński.

– Jestem tego świadom.

– Nie wie pan nawet, co zamierzałem zaproponować.

– Doskonale wiem. W biurku Chyłki znajduje się mnóstwo podpisanych przez nią papierów, a Kormak ze swoją aparaturą potrafi zdziałać cuda.

Kordian potaknął.

– Tym niemniej wyczerpuje to znamiona przestępstwa – dodał Brytyjczyk.

– Tylko jeśli ktoś się dowie.

– Ja wiem.

– Pan tak, ale Żelazny już nie. Nie wspominałem mu słowem o pełnomocnictwie. Może założył, że Chyłka napisała taki dokument na wszelki wypadek.

– Byłaby tak przezorna?

– Co pół roku aktualizuje testament, panie McVay. I to w formie notarialnej. Jeśli ktokolwiek mógłby być tak zapobiegliwy, to właśnie ona.

Harry milczał, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że klamka w jego umyśle już zapadła. Po prawdzie myślał o tym podczas drogi na Suwalszczyznę. Znał Joannę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że życzyłaby sobie właśnie tego.

– Wiem, że to dla pana niełatwa decyzja, ale...

– Nie musisz mnie przekonywać – uciął McVay. – Wykonaj telefon do Kormaka. Niech prześle nam do motelu upoważnienie.

Jeszcze kilka lat temu nie byłoby o czym mówić, jednak po zmianie ustawy Prawo o adwokaturze w sierpniu dwa tysiące trzynastego roku młody prawnik mógł zastępować adwokata już po sześciu miesiącach aplikacji. Musiał tylko pamiętać, by przy każdym piśmie zaznaczać, że działa z upoważnienia.

– Pomogę ci, Kordian. Rozgromimy tego prokuratora.

– Mam nadzieję.

– Gdy Joanna się obudzi, będzie czekała na nią miła niespodzianka.

– Oby tak było.

– Dasz sobie radę – zapewnił go Brytyjczyk. I rzeczywiście w to wierzył.

Rozprawę wyznaczono na dwa tygodnie później. Chyłka nadal pozostawała w śpiączce, co nawet laik potrafił odczytać jako niedobry sygnał. Angelikę szybko wypisano ze szpitala i wraz z mężem wróciła do domku letniskowego. Kordian nie odwiedził ich ani razu, zostając w gościńcu.

Korzystając z laptopa McVaya, czytał wszystko, co było do przeczytania w temacie. Komentarze i opracowania zdawały się nie wnosić niczego nowego do jego sprawy. Chyłka podniosła na pierwszej rozprawie wszystko, co należało podnieść – i szczerze powiedziawszy, Oryński dziwił się, że w ogóle zdecydowano się na drugą. Przy odrobinie chęci można było tę sprawę zamknąć od razu.

W dniu posiedzenia narzucił na siebie czarny garnitur, białą koszulę i dobrał do tego czarny krawat. Na jego twarzy nadal widać było efekty spotkania z przemysłowcami, ale uznał, że działa to na jego korzyść. Wolałby nawet, żeby rany były bardziej widoczne.

Wraz z nim do sądu pojechał McVay. Drugi z imiennych partnerów wrócił do Warszawy tydzień wcześniej, tłumacząc, że musi trzymać rękę na pulsie w firmie. Była to oczywista bzdura – kancelaria prowadziła się sama, wymagała minimalnej uwagi ze strony właścicieli. Problem mógł stanowić Daniel Kosmowski, którego należało ugłaskać, by nie przeszedł mu przez myśl exodus i założenie własnej firmy. Odebranie mu sprawy na rzecz młodego aplikanta było dla niego nie tyle policzkiem, ile raczej nokautem.

– Poziom stresu w sensownych granicach? – zagaił Harry, kiedy jechali w kierunku Suwałk jego lexusem.

– To zależy, co pan przez to rozumie.

– Brak wymiotów i rozwolnień.

– To tak, w granicach normy.

Kordian wzdrygnął się na myśl o tym, co może go dopaść w budynku sądu. Jedną z pierwszych praktycznych rad, jakie otrzymał, było to, by opróżnić pęcherz przed wyjściem z domu. Każda wizyta w sądowym kiblu była niezwykle traumatycznym przeżyciem – śmierdziało tam tak, jakby wszystkie rury były zapchane.

Oryński porzucił te myśli, skupiając się na tym, co powie podczas rozprawy. Kilka przesłuchań nie napawało go grozą. Gorsza była świadomość wygłoszenia mowy końcowej. To od niej wszystko będzie zależało.

Sakrata Tatarnikowa ani Ekiela nie udało się odnaleźć. Stanowili dwa enigmatyczne podmioty, które Kordian mógł przedstawić jako inkarnacje samego diabła – o ile uda mu się odpowiednio to rozegrać. Prokurator będzie starał się wykazać, że owszem, mają coś wspólnego z przemycaaniem tytoniu, ale nie z zaginięciem Nikoli. Mowy końcowe przeważą szalę na korzyść którejś ze stron.

Sklejone wydruki komputerowe zostały dołączone do materiału dowodowego i poddane skrupulatnej analizie biegłych. Zawczasu oczywiście zapoznali się z nimi McVay i Kordian.

Niestety, nie okazały się zbyt pomocne. Były to informacje o tym, jak zdobyć białoruską wizę, więc prawnicy wiedzieli jedynie, dokąd skierowało się dwóch uciekinierów. Ustalenie czegokolwiek więcej wymagałoby wizyty na Białorusi lub zwrócenia się do znajomej sekretarz stanu w MSW. Po ostatnich wybrykach pewnego komisarza w tamtym kraju, ministerialne relacje były jednak chłodne.

– Będzie dobrze – odezwał się McVay po jakimś czasie, gdy parkował pod budynkiem sądu. – Masz tę

sprawę w garści.

Z każdą upływającą minutą Kordian był tego coraz mniej pewien. Wcześniej rzeczywiście wydawało mu się, że fundament, który wzniosła Chyłka, pozwoli mu wygrać sprawę z niewielkim wkładem własnym. Wystarczyło tylko kontynuować podróż drogą nakreśloną przez patronkę.

Teraz jednak miał wątpliwości. Zbigniew Aronowicz był prokuratorskim wygą, nie zawsze grał czysto i lubował się w wyciąganiu asów z rękawa. Nie przypominał Rejcherta, z którym Joanna i Kordian ścierali się podczas obrony Langerera. To był większy kaliber.

Oryński wysiadł z lexusa i od razu wyciągnął papierosy.

– Jak się obudzi, będzie wściekła, że przez dwa tygodnie paliłeś, kiedy ona formalnie nadal trwała w postanowieniu – zauważył Harry.

– Wiem. Będę musiał to odpokutować.

– Albo czym prędzej ponownie rzucić i nie wspominać o tym słowem.

Była to jakaś myśl. Nie najlepsza, biorąc pod uwagę, że Kordian nie tylko wrócił do palenia, ale też bił wszystkie swoje wcześniejsze rekordy. Dziennie wypalał dwie paczki, w dodatku robił to niemal bezwiednie.

– Zawsze uważałem, że papieros przed rozprawą to niedobry pomysł.

– Wezmę gumę.

– Właśnie dlatego to niedobry pomysł – wyjaśnił McVay. – Guma wprawdzie zwiększa produkcję śliny, ale jest ona bardziej stężona. Przekonasz się, o czym mowa, jak tylko usiądziesz na swoim miejscu.

Oryński wyrzucił niedopałek i w duchu podziękował Brytyjczykowi za okazywane wsparcie.

Chwilę później stał na korytarzu sądowym, zamiast gumy zabijając zapach nikotyny sokiem pomarańczowym. Awit i Angelika niepewnie do niego skinęli.

– Wszystko w porządku? – zapytał Szlezyngier. – Dawno cię nie widzieliśmy.

– Byłem zakopany w materiałach.

– I jesteśmy dobrej myśli?

– Tak – odparł Oryński bez przesadnego entuzjazmu. Wciąż echem w głowie odbijały mu się pouczenia Joanny o tym, że nigdy nie powinien gwarantować klientowi wygranej sprawy. Najlepiej zachowywać uprzejmą obojętność, niczego nie sugerując.

– Angelika ma być przesłuchiwana? – drążył Awit.

– Tak, prokurator chce jeszcze zapytać o Tatarnikowa.

– Wszystko już powiedziała – zaoponował biznesmen. – I to bynajmniej nie oględnie.

Spojrzał na żonę, ale ta odwróciła wzrok. Była wyraźnie zirytowana, co niespecjalnie podobało się Kordianowi. Dla ławników będzie istotne, jak zachowują się oskarżeni. Dla sędziów zresztą też.

– Nie wiem, o co będzie pytać – odparł. – Ale poradzimy sobie z tym.

Awit skinął głową, a potem poklepał aplikanta po ramieniu.

– Wierzę, że tak będzie – powiedział.

Oryński nie wiedział dlaczego, ale zabrzmiało to naprawdę pokrzepiająco. Po chwili uznał, że coś było w oczach Szlezyngiera. Zaufanie, a może nadzieja. Kordian to doceniał, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że niełatwo powierzyć swój los niedoświadczonemu prawnikowi. Zasadniczo oskarżeni mogli wypowiedzieć stosunek obrońcy, nic nie stało temu na przeszkodzie. Mimo to zdali się na niego.

Nie miał czasu, by się nad tym zastanowić, bo sprawa została wywołana. Tym razem zajęli miejsca w największej sali rozpraw, co było całkowicie zrozumiałe, biorąc pod uwagę liczbę kamer. Sędzia przewodniczący wyraził zgodę na nagrywanie, a potem operatorzy sprzętu rozstawili się za publicznością.

Świetnie, pomyślał Kordian, samodzielny debiut nie tylko przed sądem, ale też ogólnokrajową

telewizją. Zaczerpnął tchu i zajął miejsce obok dwójki oskarżonych. Rozłożył przed sobą dwie kartki i przeczesał wzrokiem najważniejsze punkty, które musi omówić. Potem podniósł wzrok i zobaczył, że Aronowicz się do niego szczyrzy. Rzadki widok, biorąc pod uwagę, jaki był z niego ponurak.

Prokurator skinął mu głową z zadowoleniem, a Oryński spróbował odpowiedzieć równie nonszalanckim gestem. Przypuszczał, że poniósł klęskę.

Oskarżyciel miał powody do radości. Jeśli ten wyścig będzie jednym z tych, gdzie decydują ostatnie metry, ma szansę. Kordian wprawdzie nie był kompletnym żółtodziobem, ale z pewnością istniał szereg zagrywek na sali sądowej, których nie znał.

Po chwili rozległ się dźwięk informujący o tym, że skład sędziowski wejdzie do pomieszczenia. Wszyscy powstali, a potem pięć osób dumnie wkroczyło z zaplecza i zajęło swoje miejsca.

Przewodniczący poprawił łańcuch z orłem i spojrzał nieprzychylnie na Oryńskiego. Aplikant przez moment sądził, że sędzia zapyta oskarżonych, czy aby na pewno chcą pozostawić swój los w rękach chłopaka. Tak się jednak nie stało.

Przewodniczący otworzył rozprawę, a potem przystąpiono do przesłuchiwania świadków. Od początku wszystko szło sprawnie, więc Kordian przypuszczał, że sędziowie zamierzają zamknąć całą sprawę na tym posiedzeniu. Jeszcze dziś zamierzali wydać wyrok.

Po długich namowach i zachęcie w postaci siedmiu tysięcy złotych Oryńskiemu udało się przekonać Wita, by stawiał się w sądzie w charakterze świadka. Nic mu nie groziło, a odpowiadać na pytania miał tylko w takim zakresie, w jakim nie obciążał samego siebie – mimo to oznajmił, że zgodzi się tylko, jeśli otrzyma piętnaście tysięcy. Kordian wiedział, że po pierwsze – McVay nie wyłoży takich pieniędzy, a po drugie – jest to nielegalne. Z tego względu ustalono, że Wito dostanie tylko siedem tysięcy, a płatność zostanie dokonana kilka miesięcy po procesie.

– Staje świadek Witold T. – oznajmił sędzia. – Lat trzydzieści sześć, z zawodu mechanik samochodowy, niekarany, w stosunku do oskarżonych: obcy.

Kordianowi trudno było uwierzyć, że policja nigdy nie dopadła go choćby za jazdę pod wpływem.

– Wie pan, w jakiej sprawie jest pan świadkiem?

– Wiem, wysoki sądzie – odparł Wito. – W sprawie zaginięcia Nikoli Szlezyngier.

Przewodniczący powinien oddać głos prokuratorowi, ale Oryński z niepokojem zauważył, że nie ma takiego zamiaru.

– Czy posiada pan jakąkolwiek wiedzę na ten temat? – zapytał.

– Jeśli chodzi o samo zaginięcie, nie. To znaczy, wydaje mi się, że nie mam. Zostałem jednak wezwany, prawda?

– Prawda – mruknął sędzia. – Choć nadal budzi to moją wątpliwość.

Począł chwilę, aż ta informacja osiadzie, a potem udzielił głosu oskarżycielowi.

– Panie Witoldzie... – zaczął Aronowicz. – Czy może lepiej Wito?

– Może być tak i tak.

– Ale koledzy przemytnicy raczej mówią na pana per Wito, prawda?

– Nie mam kolegów przemytników.

– Nie obraca się pan w takim towarzystwie?

– Obracam się w towarzystwie przyjaciół.

Spojrzał na prokuratora, jakby chciał przekazać mu, że jeszcze jedno głupie pytanie, a zejdzie z mównicy i da mu w mordę. Wzrok ten dostarczył Oryńskiemu satysfakcji, ale w niczym nie pomógł. Pocieszające było tylko to, że handlarz nie da sobą pomiatać.

– Dobrze... – podjął prokurator i spuścił wzrok na plik kartek. Przesunął kilka po blacie, po czym znów spojrzał na świadka. – Pobił pan obrońcę oskarżonych?

– Hę?
– Dokonał pan fizycznej napaści na aplikanta Oryńskiego?

– Co to za bzdury?

– Upominam świadka – powiedział leniwie przewodniczący. – Naruszanie powagi, spokoju i porządku czynności sądowych skutkuje wydaleniem z sali obrad, a w ostateczności także wymierzeniem kary.

– Rozumiem – odparł skołowany Wito.

– Proszę więc odpowiedzieć na pytanie.

Przemytnik spojrział na Kordiana, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

– Uchylam się od odpowiedzi na pytanie, powołując się na artykuł sto... sto osiemdziesiąty... yyy...

– Nie jest konieczne, by pamiętał pan artykuły – wtrącił sędzia. – Podobnie jak nie jest konieczne, by tłumaczył pan powód swojej odmowy. Zapytam więc tylko, czy życzy pan sobie wyłączenia jawności rozprawy?

Kilku dziennikarzy cicho jęknęło.

– Nie, wysoki sędzie.

– W taki razie proszę kontynuować, panie prokuratorze.

– Dziękuję – odrzekł Aronowicz. – Dziękuję również świadkowi za to, że nie dopuścił się krzywoprzysięstwa...

– Panie prokuratorze – przerwał mu ostro drugi z sędziów, ściągając brwi.

Oskarżyciel natychmiast uniósł lekko dłonie i skłonił głowę. Potem na powrót wbił wzrok w świadka.

– Popęłnił pan kiedyś przestępstwo? – zapytał.

– Uchylam się od odpowiedzi na to pytanie.

– Czy zna pan jakiegoś przestępcę?

– Uchylam się.

Aronowicz wydał usta i przez moment milczał.

– Jak mam pana przesłuchać? – zapytał, kręcąc głową. Zanim któryś z sędziów zdążył zainterweniować, szybko dodał: – Czy pańscy rodzice żyją?

– Tak.

– Jaki jest ich stosunek do pańskiej działalności?

– Jakiej działalności?

– Nie wiem. Niech sam pan powie. Pracuje pan w zawodzie?

– Uchylam się od...

– Wysoki sędzie – wpadł mu w słowo prokurator, rozkładając ręce. – Pytanie o pracę w zawodzie chyba w żaden sposób nie kwalifikuje się jako hipoteza artykułu sto osiemdziesiątego drugiego, paragraf pierwszy.

– Owszem, nie kwalifikuje się – odparł przewodniczący. – Proszę świadka o odpowiedź.

– Nie, nie pracuję w zawodzie.

– Czy rodzice są zadowoleni z pańskiej działalności?

Kordian widział, że Wito ma zamiar zaprotestować, ale do tej pory pomiarkował, że będzie to daremne. Przygotowywali go zresztą z McVayem przez kilka dni, wiedział dokładnie, na jakie pytania może odmawiać odpowiedzi. Wezwanie go na świadka stanowiło pewne ryzyko, ale posiadał informacje, dzięki którym można było rzucić cień podejrzeń na Sakrata i Ekiela.

– Nie wiem, co myślą moi rodzice.

– Nie dali panu żadnych powodów, by sądzić, że nie są zadowoleni?

Wito nerwowo poruszył się na mównicy.

– A co to ma być, familiada? – zapytał.

- Proszę świadka o uszanowanie powagi sądu. To ostatnie ostrzeżenie.
- Oczywiście, wysoki sędzie.
- Wracam do mojego pytania – kontynuował oskarżyciel. – Nie dali panu powodów?
- Dali.
- Więc może pan sądzić, że nie są zadowoleni?
- Tak, mogę sobie sądzić.

Przemytnik przestąpił z nogi na nogę i posłał prokuratorowi długie spojrzenie.

- Na jakiej podstawie tak pan sądzi?
- Wydziedziczyli mnie.
- To znaczy?
- Nie ma mnie w testamencie.
- Ale ma pan prawo do zachowku?
- Nie.

Oryński obrócił się przez ramię i spojrzał na siedzącego kawałek dalej McVaya. Żaden z nich nie wiedział o tym fakcie. Najwyraźniej prokurator grzebał w przeszłości Wita głębiej niż oni.

– Przypomnę, że taka sytuacja może mieć miejsce w określonych przypadkach. W tej sytuacji, gdy syn uporczywie postępuje wbrew zasadom współżycia społecznego, dopuścił się umyślnego przestępstwa przeciwko życiu, zdrowiu, wolności lub czci...

Drugi z sędziów westchnął znacząco, więc Aronowicz zawczasu dał sobie spokój.

- Czy może pan powiedzieć, dlaczego taka sytuacja zaistniała?
- Bo tak ustalili moi rodzice.
- Nie wie pan, na jakiej podstawie?
- Wiem.

– I mógłby się pan tą wiedzą z nami podzielić?

– Uchylam się od...

– Dziękuję – uciał prokurator. – Przejdźmy zatem do kolejnego pytania. Czy ma pan jakąkolwiek wiedzę na temat Nikoli Szlezyngier?

- Nie.
- Być może widział pan gdzieś porzuconą rzecz, która mogłaby do niej należeć?
- Nie.

Prokurator wyprostował się i spojrzał w sufit. Trwał tak przez moment, a potem znów się pochylił.

- Co może pan powiedzieć nam o tej sprawie?
- To, co słyszałem w mediach. Że o dziewiętnastej włączono...
- Abstrahując od przekazów medialnych – sprostował oskarżyciel.
- Oprócz tego nic nie wiem.
- Więc jak może pan nam pomóc w rozwiązaniu tej sprawy?

Kordian nie był zadowolony z przebiegu przesłuchania. Wiedział, że może okazać się problematyczne, jednak jego głównym zmartwieniem były nerwy Wita. Ten co prawda trzymał je na wodzy, lecz nie przeszkodziło to prokuratorowi w wykazaniu, że świadek nie jest osobą o nieskazitelnym charakterze. Wprawdzie samo uchylenie się nie mogło o niczym świadczyć, ale smród pozostał. W dodatku teraz wyglądało na to, że handlarz rzeczywiście nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Wezwwała mnie obrona. Pan ich pyta.
- Pytam pana – drążył Aronowicz. – Co pan wie o tej sprawie?
- Wszystko to, co tutaj zgromadzeni...
- Mam na myśli wiedzę wykraczającą poza tę ogólnodostępną.

– Poza tym nic nie wiem.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Oryński wiedział, że to pytanie padnie i tak zakończy się przesłuchanie. Poinstruował Wita, by nie prowadził oskarżyciela i odpowiadał tylko w zakresie, o jaki go pytano. Resztę mieli załatwić podczas przesłuchania przez obronę.

– Panie mec... panie Oryński? – zapytał przewodniczący.

Kordian wstał i z niepokojem przekonał się, że trzęsą mu się nogi.

19

Czując na sobie ponagłające spojrzenia członków składu orzekającego, odchrząknął i poprawił toge. Potem wyprostował się i głęboko odetchnął. McVay zapewniał, że ta prosta czynność sprawi, że poziom stresu spadnie o połowę, ale na razie Oryński mógł włożyć jego radę między bajki.

Tak czy inaczej, musiał zaczynać. Każda kolejna sekunda zwłoki działała na jego niekorzyść. Wbił wzrok w Wita.

– Ponieważ panu prokuratorowi nie udało się ustalić powodu, dla którego świadek się stawił, może wyjaśnię.

– Nie leży to w pana gestii – odezwał się poirytowany przewodniczący. – Proszę trzymać się swojej roli i zadawać pytania.

– Oczywiście, wysoki sędzie, chciałem tylko...

– Proszę pytać świadka.

– Zapytam, a dzięki temu ustalimy powód jego obecności – odciął się Kordian.

Zamierzał wejść na wojenną ścieżkę z tym człowiekiem, a McVay w stu procentach go poparł. Sędzia był im ewidentnie nieprzychylny, więc wszelkie próby urabiania go były z góry skazane na porażkę. W normalnej sytuacji nie byłoby też sensu go antagonizować – jednak ta sytuacja do normalnych nie należała. Kordian wyszedł z założenia, że jeśli odpowiednio go podjudzi, pozostała czwórka orzekających zacznie z nim sympatyzować. Jeden głos będzie trzeba spisać na straty, ale pozostali mogą okazać mu przychylność, kiedy tylko zrozumieją, że doświadczony sędziowski wyga atakuje bez powodu młodego aplikanta.

Przewodniczący westchnął, słysząc butny ton Kordiana.

– Zdaję sobie sprawę, że nie ma pan pojęcia o zwyczajach panujących na sali sądowej, ale proszę zachować minimum kultury – powiedział.

– Oczywiście, wysoki sędzie. Czy mogę przejść do przesłuchania?

– Proszę – odparł mężczyzna, wskazując ręką Wita.

Oryński zaczerpnął tchu. Pora zaczynać, pomyślał.

– Zna pan Sakrata Tatarnikowa? – zapytał.

– Znam.

– Jak się poznaliście? I kim jest dla pana? Mógłby pan opowiedzieć o tej znajomości?

– Uchylam się od odpowiedzi.

Kordian spojrzał na ławników. Ściągnęli brwi, przez moment nieco skonsternowani, ale zaraz załapali, dlaczego padła taka odpowiedź. Mimo to aplikant miał zamiar to podkreślić.

– Czy obaj uczestniczyliście w jakimś przestępczym procederze?

– Uchylam się.

Oryński pokiwał głową w pozorowanej zadumie.

– Kiedy Sakrat Tatarnikow zniknął?

– Nie pamiętam dokładnej daty.

– Czy jakieś wydarzenie go do tego skłoniło?

– Tak. Zaginięcie tej dziewczynki.

– Nikoli Szlezyngier?

– No – potwierdził Wito, spoglądając przelotnie na sędziów. – Zadzwoił do mnie skoro świt i powiedział, że musi się związać. Natychmiast.

– Wyjaśnił dlaczego?

– Niezupełnie. Powiedział tylko, że policja na pewno będzie go szukać. A miał wyrok na Białorusi, pewnie jakaś ekstradycja by była i tak dalej.

– Więc gdy tylko zgłoszono zaginięcie dziecka, on zbiegł z Sajenka?

– Dokładnie.

– Wie pan dokąd?

– Tak. Powiedziałem mu, że potrzebuję trochę czasu, by załatwić mu... odpowiednie warunki do ucieczki. Zaszył się gdzieś w lesie, w jakiejś ambonie. Mówił, że staruch przynosił mu jedzenie i tak dalej. Gdybym wtedy wiedział, że porwał dziecko, sam bym tego su...

– Proszę świadka – zestrofował go przewodniczący. – Proszę trzymać się faktów.

– Przepraszam.

Oryński poprawił zielony żabot adwokacki. Na razie szło nie najgorzej.

– Ten starszy człowiek – kontynuował przesłuchanie. – Wie pan, o kogo chodziło?

– Mówił na niego Ekiel. Nie wiem, czy to ksywa, czy nazwisko.

– Antoni Ekiel. Jedyne świadek, który rzekomo widział mężczyznę z dzieckiem w nocy na...

– Panie Oryński – znów odezwał się sędzia. Ściągnął okulary, a potem złożył je i położył przed aktami. Spojrzał na aplikanta spode łba, jakby miał zamiar wyrzucić go z sali sądowej. – To, co pan usiłuje czynić, jest niedopuszczalne.

– Rozumiem.

– Czyżby? Upraszam pana o trzymanie się reguł, które obowiązują od pierwszego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, kiedy to Kodeks postępowania karnego wszedł w życie. Trudno mi przypomnieć sobie sytuację, w której ktoś łamałby te przepisy w sposób tak ordynarny, jak pan. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

– Rozumiem, wysoki sędzie.

Oryński natychmiast wrócił wzrokiem do świadka, jakby ledwo odnotował słowa sędziego.

– Gdzie później udał się pan Tatarnikow?

– Do Lebedzina.

– To tam znaleziono wydruki, które znalazły się w materiale dowodowym?

– Zgadza się.

Kordian był zadowolony, że do tego momentu przesłuchania nie doznał Aronowicz. Gdyby to zrobił, mógłby wykazać, że w ruderze ani w ambonie nie było żadnych śladów świadczących o tym, że kiedykolwiek przebywało tam dziecko. Wprawdzie samo w sobie nie stanowiło to wystarczającego dowodu, ale zasiałoby ziarno wątpliwości pośród składu orzekającego. Szczęśliwie, prokurator tego tematu nie poruszył.

Dopiero teraz Oryński zdał sobie sprawę, dlaczego tak się stało. Oskarżyciel musiał mieć coś więcej. Odsunął tę myśl, nie było sensu teraz się tym zadreć. Zresztą Kordian sprawdził wszystko, co było do sprawdzenia. Jeśli Aronowicz w istocie czymś go zaskoczy, to z pewnością nie będzie to nic wielkiego.

– Pan Ekiel został skazany za znęcanie się nad nieletnimi – powiedział Oryński odpowiednio szybko, by sędzia nie zdążył zaproponować. – Czy Sakrat Tatarnikow miał podobne problemy z prawem?

– Z tego, co wiem, to jakieś miał.

– Ale nie wie pan jakie.

– Niespecjalnie. Ale chodziło o jakąś grubą sprawę.

Aplikant mruknął pod nosem z dezaprobatą i spojrzął na jednego z ławników. Potem znów skierował wzrok na świadka.

– Czy mógłby pan nakreślić jego rys charakterologiczny? – zapytał.

– Hę?

– Jakim był człowiekiem?

Wito wzruszył ramionami, jakby to pytanie urągało jego inteligencji.

– Normalnym, porządnym ziomkiem. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

– Co to znaczy? Był spokojny, porywczy, skryty, egzaltowany? Proszę nam coś o nim opowiedzieć.

Przemytnik wygłosił długi monolog, w którym jednoznacznie dawał do zrozumienia, że jego dawny przyjaciel był skurczybykiem, jakich mało. Zapewnił sąd, że Tatar nigdy nie dawał sobą pomiatać, ale podobnie zachowywał się, gdy zauważył, że ktoś atakował słabszych. Był to jedyny pozytywny akcent w całym zeznaniu. Potem Wito nakreślił kiepską sytuację majątkową Sakrata i ostatecznie postawił kropkę nad i, mówiąc, że lubił poszaleć z kobietami, byle nie za starymi.

– Dlaczego mógłby chcieć porwać dziecko państwa Szlezyngierów? – zapytał na koniec Kordian.

– A ja wiem? To psychol.

– Nie miałby w tym żadnego celu?

– Miałby, dostałby kasę.

– Jednak żadne żądanie okupu nie wpłynęło.

– Ano nie, ale co tu się dziwić? – zapytał Wito, po czym powiódł wzrokiem po składzie orzekającym. – Ja też bym teraz siedział jak truś. Skontaktowałbym się ze Szlezyngierami dopiero, kiedy znalazłbym się w bezpiecznym miejscu na Białorusi. Przyjechaliby z kasą, dostaliby bachora. Tyle w temacie.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Kordian zajął swoje miejsce zadowolony. Czuł, że koszula przylepiła mu się do pleców, ale wiedział, że osiągnął dokładnie to, co zamierzał. Teraz pozostawało mu wyczekiwać kolejnych ciosów ze strony oskarżenia, gdy następni świadkowie zajmowali miejsce na mównicy.

20

Podczas przerwy w rozprawie aplikant zszedł na dół z McVayem, a potem opuścił budynek sądu. Z ulgą wyciągnął paczkę marlboro i zapalił jednego. Poczęstował Brytyjczyka, ale ten pokręcił głową.

– W moim przypadku w grę wchodzi jedynie cygaro i whisky – oznajmił.

Jakoś niespecjalnie dziwiło to Kordiana. Zastanawiający był za to szeroki uśmiech Harry'ego. Chłopak wiedział, że przyzwoicie poszło mu na sali sądowej, ale taka radość na stoickiej twarzy Anglika pojawiała się rzadko.

– Co pana tak cieszy?

– Chyłka się wybudziła – powiedział, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Oryński prawie wypuścił papierosa pomiędzy palców.

– Żartuje pan?

– Nie. Jeszcze przed rozprawą dzwoniła do mnie jej siostra.

Kordian na moment zamknął oczy i w duchu podziękował Najwyższej Instancji. Poczł, jak spięte mięśnie na plecach nagle się rozluźniają, w płucach robi się jakby więcej miejsca.

– Dlaczego pan nic nie mówił? – zapytał, szczerząc się.

– Nie chciałem wytrącać cię z równowagi.

Oryński miał ochotę zrugać szefa, ale był zbyt szczęśliwy, by to zrobić.

– Dostałem przed momentem SMS-a od Magdaleny – dodał McVay. – Oglądały proces.

– Jest transmisja?

– NSI ma przekaz na żywo – odparł Brytyjczyk, jednocześnie wybierając numer. Potem podał komórkę aplikantowi. – Nie ma siły mówić, ale chciała coś do ciebie wychrypieć.

Kordian zupełnie zdębiał. Spojrzał na komórkę, jakby była żarzącym się węglem.

– No, dalej. Dawno się nie słyszeliście. – Harry wyciągnął do niego telefon.

Oryński przyłożył blackberry do ucha i czekał. Sygnał w końcu się urwał i w słuchawce rozbrzmiała cisza. Chłopak przypuszczał, że siostra Chyłki przytrzymuje jej telefon, a ona z nieludzkim wysiłkiem próbuje coś z siebie wykrzesać. Najwyraźniej było to ponad jej siły, bo cisza zdawała się przeciągać w nieskończoność.

– Jesteś nienormalna – odezwał się. – Ledwo się wybudziłaś, a już chcesz sterować swoim drogim Zordonem.

Usłyszał ciche westchnienie.

– Dobra... robota... – powiedziała z trudem.

Gdyby nie wiedział, czyj numer wybrał McVay, miałby trudność z ustaleniem, czyj głos słyszy. Joanna zawsze używała władczego, pewnego tonu, nawet kiedy o coś prosiła. Teraz brzmiała jak istota z zaświatów, która z trudem uchyla wrota do tego świata.

– Dzięki – powiedział. – Wiem, że wkurwiłabyś przewodniczącego znacznie bardziej, ale robiłem, co mogłem.

Znów rozległo się westchnięcie. Kordian przypuszczał, że to zamiennik śmiechu.

– Dojedź... go...

– Dojadę – zapewnił. – *No pasarán*, Chyłka.

Na linii ponownie zaległa cisza, a potem odezwała się Magdalena:

- Nie wiem, co powiedziałaś, ale ożywiłaś tę kłode.
- Zazwyczaj tak na nią działałam.
- Ona mówiła co innego.
- Wspominała o mnie?
- Tylko kiedy się porządnie napiła.

Kordian uniósł brwi i uśmiechnął się do McVaya, jakby ten mógł słyszeć rozmowę.

– Nieźle to brzmi – powiedział. – Pociągnę ten temat, jak dojdzie do siebie.

– Zrób tak – odparła siostra Chyłki. – A na razie życzymy ci powodzenia na sali sądowej. Dobrze sobie radzisz.

– Dzięki.

Pożegnali się, a potem Oryński w spokoju dopalił papierosa. Przypuszczał, że Harry będzie udzielał mu szeregu rad, lecz Anglik nie odezwał się słowem na temat tego, co działo się na rozprawie. Widocznie był zadowolony. A jeśli tak, to po tej rozprawie Kordian może znaleźć się na jak najlepszej drodze, by plakietka na drzwiach jego gabinetu zmieniła się z „Junior associate” na „Associate”.

Wróciwszy na salę, czuł, że doprowadzi tę sprawę do szczęśliwego finału jeszcze dzisiaj. W takiej sytuacji prokurator będzie próbował odwlec wydanie wyroku, ale Oryński na to nie pozwoli.

Kiedy pojawiali się kolejni świadkowie, ograniczał przesłuchanie do minimum. Uznał, że to wyśle jasny sygnał dla orzekających – obrona udowodniła wszystko, co miała do udowodnienia, a teraz niech oskarżenie się poci. I rzeczywiście się pociło. Zbigniew Aronowicz nie demonstrował już takiej pewności siebie, jak na początku. Starał się wykazać, że jedynym logicznym wyjaśnieniem całej sytuacji jest zamordowanie dziecka przez rodziców i ukrycie zwłok, ale sędziowie i ławnicy nie sprawiali wrażenia przekonanych. Zbyt wiele niejasności narosło wokół osoby Sakrata Tatarnikowa.

Kluczowe dla Oryńskiego było to, kto jako ostatni zajmie miejsce na mównicy. Końcowe zeznanie najbardziej zapadnie w pamięć członkom składu orzekającego, a dodatkowo to on będzie pytał jako ostatni. Uznał, że Angelika jest najlepszym wyborem. Mimo że po wypadku odnosiła się do niego z jeszcze większą rezerwą, wzbudzała sympatię, a dodatkowo matka płacząca za dzieckiem zawsze robiła odpowiednie wrażenie.

Pierwszy do zadawania pytań przystąpił prokurator, a Kordian uszeregował notatki, by mieć przed sobą już wyłącznie ostatnią stronę. Zada Angeli tylko kilka pytań, to była czysta formalność. Problem pojawiał się później. Mowa końcowa stanowiła wielką niewiadomą – trudno było powiedzieć, z czym może wyskoczyć Aronowicz, a jeszcze trudniej było stwierdzić, jak wypadnie sam Oryński. Bez dwóch zdań był to najbardziej stresujący element całej rozprawy.

Zaczerpnął tchu i starał się skupić na pytaniach oskarżyciela. Aronowicz powtarzał wszystko, co już zostało ustalone, choć starał się ubrać to w inne słowa. Gonił za własnym ogonem, co dodało Kordianowi nieco pewności siebie.

– Obrona podniosła, że Sakrat Tatarnikow zniknął, ponieważ miał coś wspólnego ze zniknięciem pani córki. Uważa pani, że to możliwe?

Angelika milczała. Kordian był przygotowany na to pytanie – podobnie jak na niemą odpowiedź Szlezynskiej. Gdy rozmawiał z nią ostatnim razem, nadal upierała się, że to niemożliwe, by Sakrat porwał Nikolcię.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – dodał znudzony przewodniczący.

Kobieta skinęła głową. Nie miała już tej werwy, którą prezentowała na początku całej sprawy. Była cieniem tamtej osoby. Pogodziła się z losem, a wypadek zdawał się to przypieczętować.

– Nie, wysoki sędzie – powiedziała. – Jestem przekonana, że Sakrat nie miał nic wspólnego ze

zniknięciem mojej córki.

– Skąd ta pewność? – zapytał Aronowicz.

– Kobieta takie rzeczy wie.

Oskarżyciel wydał usta i skrzyżował ręce na piersi. Zaczynał tracić kontrolę nie tylko nad rozprawą, ale także nad mową ciała. Nie wyglądało to najlepiej.

– Nie byłaby pani pierwszą kobietą, którą oszukał mężczyzna.

– Zapewne nie – odparła cicho Angelika.

– I jak pani wie, każda oszukana osoba twierdzi, że nigdy by się tego po partnerze nie spodziewała.

– Przypuszczam, że w większości przypadków tak jest.

Prokurator rozplótł ręce i zmarszczył czoło.

– Rozsądna z pani osoba – powiedział. – Dlaczego więc upiera się pani przy tym, że Sakrat absolutnie musi być niewinny? Przecież rzucenie na niego podejrzeń działa na pani korzyść.

Milczała.

– Kocha go pani?

Kordian spojrzał błagalnie na przewodniczącego. Należało przerwać ten zenujący spektakl, ale sędzia ani drgnął.

– Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie... – odparła słabo Angela. Głos jej się załamywał, w oczach pojawiły się łzy. Oryński nagle uznał, że źle odczytał sytuację – im dłużej ta farsa trwała, tym lepiej dla niego.

– Ma ogromne znaczenie.

– Panie prokuratorze – odezwał się drugi z sędziów. – Czy pan do czegoś zmierza?

– Owszem, ale bez odpowiedzi na to pytanie trudno będzie mi...

– Tak, kocham go – wpadła mu w słowo Angela, patrząc na swojego męża. Coś w niej pękło. Schowała twarz w dłoniach i zanosła się cichym płaczem. Oryński uznał, że to idealne preludium do tego, co zamierza zrobić. Wstanie, oznajmi, że nie ma żadnych pytań do Angeliki, a potem pomoże jej usiąść.

Naraz nasza go miła konstatacja, że Chyłka nieźle go wyuczyła.

Prokurator podparł się o stół, czekając, aż kobieta skończy płakać. Wyglądał tak, jakby zamierzał wybiec z sali jeszcze przed wygłoszeniem mów końcowych. Kordian posłał mu zdawkowy uśmiech.

Wszyscy milczeli, a sędzia przewodniczący poruszył się niespokojnie na swoim krześle.

– Pani Angeliko... – zaczął niepewnie.

Szlezyngierowa opuściła ręce i ukazała wszystkim zapłakaną twarz. Wyglądało na to, że to dopiero początek. Emocje wzbierały w niej i sprawiała wrażenie, jakby miała eksplodować. W końcu wykrzywiła się w bolesnym grymasie, jakby ktoś wbijał jej nóż w ciało. Ryknęła szlochem, spuszczając głowę.

– Przepraszam, Boże, przepraszam... – zaczęła zawodzić.

Kordian poczuł się niepewnie.

– Mój Boże, wybacz mi... Błagam...

Oryński obrócił się i z niepokojem spojrzał na McVaya. Jego mina kazała mu sądzić, że on również poczuł obawę.

– Wybacz...

Prokurator wyprostował się. Tym razem to on posłał Kordianowi ukradkowy uśmiech. Był jak sztylet wbity w plecy.

– Sakrat tego nie zrobił... – powiedziała z trudem, jakby przebijała się przez sztorm łez. – Nikola to jego córka... Przepraszam...

Znów schowała twarz w dłoniach, a Kordian z przerażeniem spojrzął na Awita. Szlezyngier był również zaskoczony, jak prawnik. Wyglądał, jakby miał zamiar podnieść się z krzesła i podbiec do żony.

– On... ja...

– Proszę się nie spieszyć – wtrącił prokurator.

Oryński wbił wzrok w Aronowicza i uświadomił sobie, że oskarżyciel gra niczym najlepszy aktor. Wszystko, co Kordian wcześniej uznawał za wyraz porażki, było tylko zasłoną dymną.

– To jego córka... to jego córka... – powtarzała Angelika.

Prokurator chwilę odczekał.

– Czy jest pani tego pewna? – zapytał.

– Tak... zleciłam test DNA, żeby wykluczyć... wykluczyć Awita...

Szlezyngier otworzył usta i zamarł. Wszystko waliło się jak domek z kart. Kordian spojrzął na swojego klienta w poszukiwaniu ratunku. Zdziwił się, dostrzegłszy, że początkowe poczucie dezorientacji przeszło teraz we wściekłość.

– Awit... on dowiedział się...

Oryński poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach.

– Dowiedział się tamtej nocy... ta kłótnia... powiedziałam mu wszystko...

Prokurator spojrzął na Szlezyngiera tak, jak tylko prokurator potrafi.

– Co zrobił pani mąż?

– Zabił... zabił moje dziecko... – powiedziała przez łzy Angelika.

Kordian miał wrażenie, że mdleje.

Rozdział 3

1

Po wyznaniu Szlezyngierowej na mównicy sędzia przewodniczący natychmiast zareagował. Poinformował o prawie do nieobciążania członków rodziny, poinstruował, że Awit lub Angelika mogą wypowiedzieć stosunek obrończy, a potem przerwał rozprawę.

Chyłka oglądała to na antenie NSI i nie wierzyła własnym oczom. Gdy następnego dnia do szpitala przyszedł Kordian, zmusiła się do lekkiego uśmiechu. Miał głębokie cienie pod oczami i zmęczenie wypisane na twarzy. Nie miała wątpliwości, że nie spał całą noc. W dodatku przypuszczała, że ona sama wygląda dużo gorzej.

Przysunął sobie krzesło i usiadł przy łóżku.

– Ale gnój – powiedziała cicho.

– Miałem dobrą mowę końcową – odparł, patrząc jej w oczy.

– Nie wątpię, że była do dupy.

Pokiwał głową na boki.

– Widzę, że mimo otarcia się o śmierć twoja przenikliwość nie ucierpiała.

– Ani trochę – odpowiedziała słabo.

Próbowała robić dobrą minę do złej gry, jednak prawda była taka, że ledwo wypowiadała kolejne słowa. Kordian spojrzał na nią z troską, która uświadomiła jej, że dziś nie może uchodzić za mistrzynię kamuflażu.

– Magda mówiła, że...

– Magdalena.

– No tak, Magdalena – poprawił się Oryński. – Mówiła, że odpłynęłaś zaraz po tym, jak Angelika wygłosiła swoją płaczliwą relację.

– Mhm...

– Więc nie wiesz, która ze stron wypowiedziała stosunek obrończy?

– Nie wiem.

– Zgaduj.

– Wal się, Zordon.

Aplikant uniósł otwarte dłonie w bezbronnym geście i posłał jej uśmiech.

– Angela – powiedział. – Oznajmiła mi zaraz po rozprawie, że nie zamierza korzystać już z usług kancelarii Żelazny & McVay.

– Sucz...

– Zgadza się.

Chyłka przez moment mocowała się ze śliną w gardle. W końcu udało jej się przepchnąć ją przez przełyk. Nieopacznie się przy tym poruszyła, co sprawiło, że klatkę piersiową przeszył ostry ból.

– Kogo wynajęła?

– Kosmowskiego.

– Tego sukinsyna? Ale...

– Kiedy trafiłaś do szpitala, miał dostać sprawę Szlezyngierów – zaczął wyjaśniać Kordian.

Joanna skinęła głową, czego pożałowała równie szybko, jak każdego innego ruchu.

– Jak doskonale wiesz, udało nam się temu zapobiec dzięki upoważnieniu, które przygotowałaś dla mnie na wszelki wypadek i trzymałaś w szufladzie biurka.

– Jakim... – zaczęła i naraz zrozumiała. – Aha...

– Zapobiegliwa z ciebie bestia.

– Taka już się urodziłam.

– Daniel Kosmowski musiał więc pożegnać się ze sprawą – ciągnął dalej Oryński. – I według Kormaka nie był specjalnie zadowolony, że stało się to z powodu jakiegoś aplikanta. Odgrażał się, że odejdzie z firmy i tak dalej.

– Chyba nie tylko odgrażał...

– Ano nie. Odszedł.

Dla Joanny było to logiczne. W żadnej innej sytuacji Kosmowski nie mógłby bronić kobiety, która obciążyła drugiego oskarżonego. Wystąpił konflikt interesów – choć w tej sytuacji takie określenie było ledwie eufemizmem.

– Dam mu radę – zapewnił Kordian.

– Z pewnością.

– Będę mieć stały kontakt z bazą – dodał, poklepując się po uchu. – Tobie też zamontuję na stałe słuchawkę. Będiesz służyła mi dobrym słowem, otuchą i wsparciem.

– Po moim trupie.

– To chociaż wiedzą i doświadczeniem.

– To już bardziej prawdopodobne...

– O ile będziesz mieć trochę więcej sił na gadanie – zastrzegł. – Bo teraz wyglądasz tak, jakbyś miała wyzionąć ducha.

Podniosła rękę, by nią machnąć i tym samym zbyć temat. Ledwo jednak uniosła dłoń nad łóżko, ta od razu opadła. Pech chciał, że wylądowała na ręce Oryńskiego. Spojrzał na nią skonsternowany, ale nie cofnął się. Ona też nie. Powiedziała sobie, że nie ma siły.

– Co wiemy? – zmusiła się do zadania pytania.

– Niewiele. Sędzia przerwał, zanim Angela na dobre mogła się rozkręcić. Zapewnia, że zachowała test na ojcostwo, który wyklucza Awita, ale biegle przeprowadzi kolejne badanie. Oprócz tego trzeba mieć na względzie, że Angelika ma jakąś zgrabną historyjkę o tym, jak Szlezyngier zabił małą, a potem usunął jej ciało bez wyłączenia alarmu.

– Historyjkę...

Kordian popatrzył na nią z wyrzutem. Zapewne ostatnim, czego chciał, była rozmowa na temat tego, czy Angela powiedziała prawdę. Chyłka skłaniała się ku temu, że tak w istocie było. To tłumaczyłoby sporo rzeczy – i współgrałoby z kłótnią, która wybuchła, gdy Angela powiedziała Awitowi o romansie. Gdy dodała do tego fakt, że Nikola to nie jego dziecko, Szlezyngier mógł pęknąć. Nie musiał usuwać ciała od razu – mógł to zrobić rankiem, po tym, jak wyłączył alarm, ale jeszcze zanim zadzwonił na policję.

Kwestią problematyczną było to, dlaczego Angela dotychczas milczała. Może otarcie się o śmierć

w wypadku samochodowym coś zmieniło? A może czas sprawił, że rana pogłębiła się do tego stopnia, iż nie mogła już tamować krwawienia? Tak czy inaczej, wszystko wskazywało na to, że pracownicy będą bronić winnego człowieka.

Chyłka nie wiedziała tylko jednej rzeczy, a mianowicie tego, gdzie Szlezyngier ukrył ciało.

– Co mówi Awit? – zapytała.

– Niewiele.

– Odstawia Langerę?

– Aż tak to nie – odparł z uśmiechem Oryński. – Powiedział mi wprost, że jeśli kiedykolwiek zobaczy, że choćby dopuszczam możliwość, że to on zabił Nikolę, natychmiast mnie zwolni.

– Okej...

– Brzmiał przekonująco – dodał aplikant. – Ale na tym etapie po prostu sam nie wiem, co myśleć.

– Nic.

Kordian uniósł brwi.

– Jak jesteś taka małowólna, robisz wrażenie znacznie bardziej elokwentnej.

– Poradziłabym to i tobie... ale nic ci nie pomoże...

– Oszczędzaj siły – zestrofował ją, ściągając brwi. Cofnął powoli dłoń i oboje udawali, że nie doszło do żadnego kontaktu fizycznego.

I dobrze, Joanna potrzebowała teraz spokoju. Naraz jednak coś poczuła...

– Zordon...

– Tak?

Wbiła wzrok w jego oczy.

– Ty nędzny, przebrzydły... złamany...

Oryński natychmiast poderwał się z łóżka. Ale było już za późno – Chyłka wychwyciła zapach papierosów.

– Spokojnie – zaapelował Kordian. – Nie ma co się od razu unosić.

– Palileś... – powiedziała cicho, choć chciała zagrmieć.

– Tylko jednego.

– Gównu... prawda...

– No dobra, trochę więcej.

– Ile?

– Od kiedy tu leżysz... bo ja wiem? Kilkanaście paczek – powiedział, spuszczać wzrok. Przez moment oboje milczeli. – W porządku. Kilkadziesiąt. Zapaliłem z przemytnikami, a potem jakoś poszło.

– Darzę cię... najczystsza formą... nienawiści...

– Nic nowego.

Spojrzała na niego z politowaniem.

– Co rozkazujeś czynić, wodzu? – zapytał.

– Przepytaj Awitę... dokładnie...

– Nie jest zbyt chętny, żeby ze mną o tym rozmawiać. Mówiłem ci.

– Ugraj... go...

– Ugrać go? Chyba urobić?

Mruknęła z aprobatą.

– Spływaj stąd – dodała i wskazała mu wzrokiem drzwi.

Kordian zdawkowo zsalutował, a potem wykonał rozkaz. Po wielogodzinnym leżeniu na plecach Chyłka chętnie obróciłaby się na bok, ale nie było o tym mowy. Fiasko z podniesieniem ręki kazało jej sądzić, że wszelkie kolejne próby będą daremne. Zresztą mogłaby rozerwać jakieś szwy.

Kawałek skręconego metalu, który wbił się w jej ciało, ominął żywotne organy. Do nieszczęścia brakowało kilku centymetrów – ale z drugiej strony mniej więcej tyle samo dzieliło ostry kawałek od wbicia się w fotel i ominięcia jej torsu.

Odrzuciła tę myśl i postarała się skupić na pozytywach. Żyje, a równie dobrze mogła już patrzeć na wszystko z góry, jako bierny uczestnik zdarzeń. Gdyby tak się stało, Zordon miałby pozamiatane. Sprawa skomplikowała się do tego stopnia, że potrzeba było najcięższych prawniczych działań, by klient kancelarii nie trafił z powrotem za kratki.

A tymczasem po dziecku nadal nie było śladu.

W takim układzie być może należało uznać to za pozytywny aspekt sprawy. Jeśli byłoby inaczej, prokuratura miałaby materialny dowód na winę Szlezyngiera – ciało dziecka, które Awit przez kilka lat uważał za swoje.

2

Aplikant wrócił do gościńca, w którym właściciele proponowali mu już rekordowe zniżki. Kancelaria Żelazny & McVay i tak zostawi tam fortunę, ale był to miły gest. Oprócz Kordiana pokój w pensjonacie wynajmował także Awit. Po rozprawie wyniósł się z domku letniskowego, argumentując, że nie spędzi ani chwili dłużej pod jednym dachem z „tą kłamliwą suką”.

Oryński zastał go na dole, przy barze. Było późne popołudnie, ale biznesmen najwyraźniej zdążył wychylić już tyle, by stracić rachubę. Patrzył na barmana, jakby miał zamiar go zaatakować.

– Daj – powiedział, wskazując butelkę wódki za kontuarem.

– Wypił pan już dostatecznie dużo.

– Daj, mówię.

Kordian poczuł na sobie błagalne spojrzenie barmana. Usiadł obok klienta i skinął mu nieznacznie głową, po czym obrócił się do mężczyzny za ladą.

– Jeszcze setkę – powiedział cicho Oryński.

– W porządku. Ale to ostatni strzał.

– Dla mnie piwo – dodał aplikant.

Gdy dostali swoje trunki, Kordian przez chwilę po prostu patrzył na Szlezyngiera, czekając, aż ten w jakikolwiek sposób odnotuje jego obecność. Tak się nie stało, więc sam musiał podjąć inicjatywę. Wiedział, że wypadałoby zachować szczególną ostrożność – na miejscu Awita z hukiem wywaliłby obrońcę, który doprowadził do takiej tragedii. Jakkolwiek nie była to jego wina, ktoś zawsze musiał być kozłem ofiarnym. W tym przypadku Oryński nadawał się idealnie.

– Awit – zaczął.

– Nie będę wałkować tego samego w kółko – odparł Szlezyngier, praktycznie nie bełkocząc, jakby dopiero zaczął alkoholowy maraton. Zdradzały go jednak wyraźnie szkliste oczy. Z drugiej strony, to nie wódka mogła być ich przyczyną.

– Wiem – powiedział prawnik. – I nie mam zamiaru do tego wracać. Potrzebuję po prostu trochę informacji.

Szlezyngier zaśmiał się pod nosem.

– Żartujesz? – bąknął. – Od samego początku dostajesz ode mnie samą prawdę. Nie mam nic więcej do dodania. – Jednym sprawnym ruchem opróżnił kieliszek, a potem zamiast odstawić na blat, obracał go w dłoni. – Co więcej mam ci powiedzieć, skoro nic nie wiem? Moja córka zniknęła, żona mnie wrabia... czego ty, kurwa, ode mnie oczekujesz?

Uderzył szkłem o kontuar. Barman niemal podskoczył.

– Muszę to jakoś ogarnąć – odparł Oryński.

– Ja tym bardziej.

– Dlaczego Angelika zmieniła wersję?

Awit spojrzał na pracownika pensjonatu, ale Kordian machnął ręką. Wszelkie plotki, jakie mogą zrodzić się z tej rozmowy, działały na ich korzyść.

– Musiała się dogadać z prokuraturą, prawda? – zapytał Szlezyngier i spuścił wzrok.

– Dawała ci jakieś sygnały?

– Nie... chyba nie. Była oschła po wypadku, może też przed, ale... do cholery, nasze dziecko zaginęło.

– Myślisz, że ona mogła porwać Nikolę?

Biznesmen prychnął pod nosem i odgiął się do tyłu.

– Nie – powiedział. – Choć w tej chwili chciałbym, żeby tak było.

– Skąd ta pewność?

– Stąd, że całą noc spędziliśmy w jednym pokoju.

– Mogła wymknąć się, gdy spałeś.

– Tak? I niepostrzeżenie dla systemu rozbroić alarm?

Miał rację. Angela korzystała z takiego samego alibi, jak on. W jej przypadku było na wagę złota, ale Szlezynierowi na niewiele mogło się zdać. Przy tak sformułowanych zarzutach alarm nie miał znaczenia.

– Będziemy musieli omówić to jeszcze raz, od samego początku. Krok po kroku.

Awit spojrzał błagalnie na barmana, ten jednak udał, że nie widzi wzroku klienta, i oddalił się, wycierając kufel.

– Słyszysz?

– Wiem, wiem – powiedział już nieco spokojniej biznesmen. – Ale naprawdę wiesz wszystko to, co ja.

– Mogło ci coś umknąć. Prześledzimy każdą najmniejszą czynność, jaką tego dnia zrobiliście. Może coś odkryjemy.

Szlezynier sięgnął po piwo aplikanta i zanim ten zdążył zaproponować, pociągnął łyk. Potem oddał mu kufel.

– Zatrzymaj sobie – zaproponował Oryński.

Rozmówca podziękował mu zdawkowym uśmiechem.

– Co z tym białoruskim tropem? – zapytał po kolejnym łyku.

Białoruski trop był dobry, a nawet bardzo dobry, jeśli Kordian miałby założyć, że jego klient jest niewinny i Sakrat rzeczywiście porwał dziecko. Problem polegał na tym, że aplikant nie był pewien. Odnalezienie Tatarnikowa mogło okazać się gwoździem do trumny biznesmena.

Awit zapewne zdawał sobie sprawę z tego, że dopadnięcie Białorusina graniczy z cudem. I być może właśnie dlatego był tak skory, by to proponować.

– Będę szukał – zapewnił go Kordian.

– Jest jakaś szansa?

– Raczej niewielka. W Polsce kancelaria Żelazny & McVay ma trochę kontaktów, czasem pomoże nam zaprzyjaźniony śledczy. Na Białorusi jedynym argumentem są ruble.

– Mam pieniądze.

– Wiem.

Szlezynier obrócił się do swojego obrońcy i wbił wzrok w jego twarz.

– I jestem gotów wydać całe oszczędności, byleby odnaleźć Nikolę.

Kordian pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie dziwiła go sugestia biznesmena. Podczas przesłuchania w sądzie będzie to mocny argument na jego korzyść – wszak wyda małą fortunę, by odnaleźć człowieka, który w jego przekonaniu porwał dziecko. Im więcej pieniędzy wysupła, tym bardziej sugestywna będzie to teza. Sędziowie zawodowi mogą tego nie docenić, ale ławnicy z pewnością będą pod wrażeniem.

Oryński zostawił klienta w barze i na odchodnym powiedział mężczyźnie za ladą, by nie żałował mu alkoholu. Uznał, że Awitowi przyda się mocny reset.

Wrócił do swojego pokoju, wziął książkę i starał się nie myśleć o tym, w co się wpakował. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu wszystko wyglądało całkiem nieźle. Teraz wszystko się posypało.

Zupełnie bezmyślnie przeczytał kilkadziesiąt stron najnowszej cegły historycznej Folletta, a potem odłożył książkę i sięgnął po telefon. Wybrał numer McVaya, który krótko po rozprawie spakował się

i ruszył do Krakowa.

– To nie jest dobry pomysł – odezwał się na powitanie Brytyjczyk.

Kordian odsunął komórkę i spojrzał na nią skonsternowany.

– Słucham? – zapytał.

– Dzwonisz do mnie, by powiedzieć, że chcesz zacząć rozmowy z prokuratorem.

Oryński milczał. I było to dość wymowne.

– Nie rób tego teraz – dodał Harry. – Poczekaj, aż emocje trochę opadną. W tej chwili Aronowiczowi wydaje się, że jest panem i władcą.

– No tak.

Symptomatyczne było także to, że McVay nie przekreślił samej idei pertraktacji. Sam musiał doskonale zdawać sobie sprawę, że trudno będzie cokolwiek wykrzesać z nowej linii obrony.

– W oczach opinii publicznej Awit jest spalony – dodał po chwili Anglik. – To on trafił do aresztu śledczego, podczas gdy Angelika mogła przebywać na wolności. Teraz złe wrażenie się pogłębiło. Trudno będzie ci z tym walczyć.

Kordian docenił fakt, że szef usprawiedliwia jego kapitulację.

– Ile realnie jestem w stanie ugrać? – zapytał.

– Niewiele.

– Dziesięć lat?

– Raczej piętnaście, jeśli wszystko będzie nadal szło w tym kierunku – mruknął Brytyjczyk. – Awit pomaga?

– Niewiele. Twierdzi, że nic więcej nie wie.

– A ten Białorusin?

– Będziemy go szukać.

– Za wschodnią granicą? – zdziwił się McVay. – To jeszcze gorszy pomysł niż układanie się z prokuratorem w tej chwili.

– Zapręgnę do tego odpowiedniego człowieka.

Harry przez moment milczał, zapewne przypominając sobie świadka, który podczas procesu otarł się o kilka kar porządkowych i obrazę sądu.

– Zdajesz sobie sprawę, że musisz załatwić to... umiejętnie?

– Zdaję.

– W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć szczęścia.

– Dziękuję.

– I tego, żeby Chyłka jak najszybciej wyszła ze szpitala.

Pożegnali się, a potem Oryński rozparł się wygodnie w niewielkim fotelu. Wiedział, co oznacza „umiejętne załatwienie” tej sprawy. Jeśli Wito zgodzi się, by szukać Tatarnikowa, będzie musiał zgodzić się także na milczenie, gdyby się okazało, że Sakrat nie porwał dziewczynki. Była to gra na granicy ryzyka, ale nic innego nie przychodziło Kordianowi do głowy.

Wybrał numer przemytnika i czekał przez kilka sygnałów. Kiedy Wito w końcu odebrał, umówili się na spotkanie następnego dnia. Oryński zapewnił go, że dzięki temu mężczyzna może znacznie się wzbogacić, a przy okazji skopać tyłek prokuraturze. Handlarz chętnie przystał na propozycję.

Zdziwił się tylko, że Kordian zamierza spotkać się z nim w szpitalu.

3

Tego dnia Chyłkę miał odwiedzić jedynie Oryński ze swoim nowym przybocznym. Magdalena z mężem wróciła do Warszawy, McVay był już w Krakowie i prawniczka wieszczyła spokojny dzień. Przeliczyła się. Kiedy tylko zaczęła się pora odwiedzin, usłyszała pukanie do drzwi. Spodziewała się najgorszego, bo mało kto zapowiadałby się w taki sposób, gdy drzwi do sali były otwarte.

Spojrzała w kierunku wejścia i jej wzrok padł na szczupłego mężczyznę w mocno taliowanej marynarce i wąskich spodniach. Głowę miał wygoloną po bokach, a długą grzywkę zarzuconą na bok.

– Cristiano Ronaldo polskiej palestry – powitała go.

Czuła, że ma więcej sił niż wczoraj. Nadal nie było mowy o tym, by podniosła się o własnych siłach, ale mogła prowadzić dłuższą rozmowę. I z pewnością dziś odnalazłaby w sobie wystarczająco sił, by natychmiast cofnąć rękę, gdyby ta spadła na dłoń Oryńskiego.

– Miło widzieć, że humor ci dopisuje – odparł Daniel Kosmowski, rozglądając się za krzesłem.

– Wyjdź.

– Nie chcesz wiedzieć, co mam do powiedzenia? – zapytał.

– Nie rozmawiam z korposzczurami. Ze zdrajcami tym bardziej nie.

– Zdrajcami? – zaśmiał się. – To Żelazny wbił mi nóż w plecy, Chyłka. Wypiął się na mnie w szczytowym momencie kariery. Ten kejs mógł pomóc mi w osiągnięciu ogólnokrajowego targetu. Zresztą mogliśmy działać w timie, wszystko można było dogadać.

Wiedziała, że robi to specjalnie – a on zdawał sobie sprawę, że korpomowa działa na nią jak płachta na byka.

Podsunał sobie krzesło, usiadł i skrzyżował wyprostowane nogi. Chyłka spojrzała na niego nieprzychylnie.

– Wyglądasz jak cnotka niewydymka.

Wzruszył ramionami.

– Ty przypominasz warzywo, więc z dwojga złego...

– Wypierdalaj stąd – weszła mu w słowo.

Nie był przygotowany na tak dosadne sformułowanie i przez moment milczał. W końcu poprawił się na krześle i odchrząknął.

– Jestem tu, żeby zaoszczędzić ci upokorzenia – oznajmił beznamiętnie. – Spróbuj sfokusować na tym swoją...

– Wypierdalaj.

Rozmasował skronie, chcąc zignorować ponowione polecenie, ale w końcu uległ pod ciężarem spojrzenia Joanny. Podniósł się i poprawiwszy poły marynarki, ruszył niespiesznie do wyjścia.

– Moja klientka opisała mi ze szczegółami, co się wydarzyło – powiedział na odchodnym. – To był wypadek.

Daniel zatrzymał się w progu, ale Chyłka milczała.

– Słyszysz? – zapytał. – Twój chłopak zrobił zupełny fakap.

– Gówna prawda.

– Nie – zaoponował z uśmiechem i obrócił się. – Angelika tamtego wieczoru powiedziała

Szlezynwierowi o całej sprawie. Wkurzył się, zaczął krzyczeć, wymachiwać rękoma i grozić jej. Wzięła dziecko na ręce, obawiając się o nie i o siebie. Potem od słowa do słowa kłótnia przerodziła się w otwarty konflikt. Awit skilował sprawę. Popchnął żonę, a ona upuściła dziecko.

Joanna słuchała tego z rosnącym zainteresowaniem. Nie dlatego, że była ciekawa, co się wydarzyło – bardziej nurtowało ją to, dlaczego Kosmowski ją o tym informuje.

– Dziecko upadło na główkę – dodał bez emocji, choć wyraźnie widziała, że chciał je w niej wyzwolić. – Przypuszczam, że w przypadku trzylatki nietrudno o śmiertelny uraz. Oboje próbowali ją ratować, ale bezskutecznie.

– I?

– Misnęli oportunistycznie, żeby wyjść z tego obronną ręką – odpowiedział Daniel, wracając na krzesło. – Angela chciała ASAP dzwonić na pogotowie, ale Awit zachował zimną krew. Wiedział, że dziecko już nie żyje, a on zostanie oskarżony o zabójstwo. Zabrał żonie komórkę, a potem przemówił jej do rozsądku. Była w szoku i dała się omamić.

Joanna poruszyła się nerwowo na łóżku i poczuła, jak jej klatkę piersiową przeszywa ból.

– Szlezynwier wmówił jej, że jeśli pójdzie z tym na policję, oboje zostaną skazani i trafią za kraty. W końcu to ona upuściła dziecko. I to do niej przemówiło. Wyniósł ciało z domu, a jej kazał posprzątać. Wrócił po jakimś czasie i włączył alarm, by oboje mieli alibi.

Chyłka milczała, choć Kosmowski patrzył na nią wyczekująco.

– Nie masz nic do powiedzenia? – zapytał.

– Nie, czekam, aż skończysz.

– To tyle.

– A co z prętem przy jeziorze?

– Ona go podrzuciła i przyzna się do tego – wyjaśnił. – Wiedziała, że Nikola zraniła się w szopie. Miała nadzieję, że w ten sposób skieruje uwagę organów ścigania na męża.

– Mogła po prostu powiedzieć prawdę.

– Nie – odparł, kręcąc głową. – Sama nie wiedziała, co robić. A kiedy wreszcie doszła do siebie i uznała, że musi zmierzyć się z prawdą, nie miała pojęcia, jak się za to zabrać. Potem był wypadek i wszystko się zmieniło.

– I pojawiłeś się ty.

– Co?

– Nie wyrosłeś nagle spod ziemi, korposzczurze.

– Może i nie – przyznał z uśmiechem.

Dla Chyłki było jasne, że zaraz po opuszczeniu kancelarii Żelazny & McVay Daniel próbował podebrać klientów, którzy przeszli mu koło nosa. Zapewne wykoncypował, że nie zgodzą się na to, by zmienić reprezentację – a w takiej sytuacji najlepiej było wsadzić kość niezgody między samych oskarżonych.

– Owszem, to ja wyciągnąłem rękę do Angeliki – powiedział. – Gdyby ona się nie zgodziła, skontaktowałbym się ze Szlezynwierem. Wiesz, jak jest. Współoskarżeni zawsze w końcu zaczynają obrzucać się błotem.

– Ta.

Kosmowski założył ręce za oparcie krzesła. Joanna odniosła wrażenie, że jego żebra zaraz przebiją marynarkę.

– Miała szczęście, że się z nią skontaktowałem – dodał. – Gdyby nie to, być może nadal tkwiłaby w tym toksycznym kłamstwie.

Chyłka milczała, czekając, aż Kosmowski przedstawi wszystko, z czym do niej przyszedł. Nie odzywał się, więc uznała, że niczego więcej się od niego nie dowie. Pora, by to ona przejęła inicjatywę.

Zazwyczaj nie miała z tym najmniejszego problemu, jednak przez to przykucie do łóżka najwyraźniej osłabła nie tylko fizycznie, ale i psychicznie.

– Czego chcesz? – zapytała. – Będę argumentować, że to nieumyślne spowodowanie śmierci... przy współudziale twojej klientki.

– Tak? Dlaczego miałyby specjalnie upuszczać dziecko?

– Choćby po to, żeby pozbyć się problemu.

– Jakiego problemu? – zapytał z uśmiechem. – Gdy wszystko wyszło na jaw, miałyby świetną pozycję negocjacyjną przed rozwodem.

– Mają rozdzielnosc.

– I co z tego?

– To z tego, że to nawet nie jego dziecko. Niewiele by ugrała.

Daniel zaśmiał się cicho, a ona wiedziała, że to niespecjalnie mocny argument. Z trudem przełknęła ślinę i spojrzała w kierunku drzwi. Po raz pierwszy liczyła na to, że pojawi się w nich inny prawnik, by ją wesprzeć. Kordian miał przyjść wcześniej, ale nie podał konkretnej godziny.

– Nie wykażesz, że jest współwinna – dodał Kosmowski. – Awit zabił to dziecko.

– Nieumyślnie.

Adwokat nagle spoważniał, jego twarz jakby stężała.

– Jestem gotów przekonać moją klientkę, by tak przedstawiła tę sprawę.

– Co takiego?

– Angelika powtórzy przed sądem to wszystko, co ci powiedziałem, jeśli tylko...

– Ty sukinsynu.

– Jeśli tylko dacie apruwał na pewne warunki – dodał. – Inaczej polecę jej, by opowiedziała, jak wściekły był mąż i jak groził, że zabije tego „jebanego bękarta”. Cytuję słowa pana Szlezyngiera, rzecz jasna.

Chyłka pokręciła głową i szybko tego pożałowała.

– Angela nie będzie łągać z mównicy.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Powie prawdę.

Nie było sensu wdawać się w moralne przepychanki z Kosmowskim, uznała w duchu Chyłka. Zresztą musiała spojrzeć prawdzie w oczy – na jego miejscu też docisnęłyby przeciwnika butem.

– Jesteś wyjątkowo pewny siebie, jak na ciotę – oznajmiła.

– Oszczędź sobie bluzg.

– To nie bluzgi, a właściwie komplement.

Wstał z krzesła i odsunął je na miejsce.

– Nie jesteś świadomy jednej rzeczy, korposzczurze.

– Tak? Czego?

– Że mogę zniszczyć Angelę równie łatwo, jak ty Awita. Rusz go, a ja ruszę ją.

– Rzucasz mi czelendź?

Joanna wywróciła oczami.

– Mogę ją dojechać zarzutem z artykułu dwieście trzydziestego dziewiątego.

– Utrudnianie lub udaremnianie postępowania karnego? – zapytał Daniel. – Słusznie, też bym po to sięgnął w akcie desperacji. Ale ile jej za to grozi? Od trzech miesięcy do pięciu lat. Dostanie zawiasy.

– Pożyjemy, zobaczymy.

Kosmowski uśmiechnął się i skierował do drzwi.

– Oboje wiemy, że tak się stanie. To biedna, skrzywdzona kobieta, której dziecko umarło na jej oczach. Była zastraszona i przerażona tym, co może zrobić jej nieznaczący, wpływowy mąż. Niewiele

wskórasz, Chyłka.

Wyszedł już na korytarz, kiedy się odezwała:

– Co proponujesz?

– Pożyjemy, zobaczymy – odparł i zniknął jej z oczu.

4

Kordianowi oberwało się na wejściu, jakby Chyłka nie dostrzegąca, że przyszedł w towarzystwie obcego człowieka.

– Gdzieś ty był, do cholery?

– Widzę, że czujesz się już...

– Czuję się, jakby spadło na mnie całe gówno świata – wysyczała. – A ty powinieneś tu być i przyjąc cały ten ładunek na klatę.

Oryński i Wito wymienili się zdziwionymi spojrzeniami.

– Nieźle – odezwał się przemytnik. – Miałeś rację.

– W czym miał rację? – rzuciła ostro Joanna.

– Mówił, że wyjątkowa z ciebie... – zaczął handlarz, ale w porę się wycofał. – Jak to określiłeś?

– Wyjątkowo urokliwa dama.

– Siadaj, Zordon – poleciła Chyłka. – A ty na razie zajmij się czymś na stołówce.

– Co? – zachnął się Wito.

– Idź coś zjeść. Oryński stawia.

Przemytnik popatrzył na aplikanta w poszukiwaniu potwierdzenia, a ten skinął głową. Po chwili Kordian został sam z Joanną i przysiadł na łóżku. Nie mógł nie zauważyć, że zawczasu cofnęła dłoń.

Zacząła nerwowo relacjonować mu spotkanie z Kosmowskim, ale potem stopniowo się uspokajała. Zawrzało w niej dopiero, gdy dotarła do momentu, jak opuszczał jej salę. Oryński przeklął się w duchu za to, że nie przyszedł wcześniej. Powinien tu być od bladego świtu.

– Przekażę, żeby więcej go tu nie wpuszczać.

– Nie – zaoponowała. – Dowiedzieliśmy się masy rzeczy.

– Między innymi tego, że mamy przesrane bardziej, niż sądziliśmy.

– Niezupełnie.

Kordian pokręcił głową. Nie miał nastroju na optymistyczne gdybanie, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, na jakiej podstawie zapada większość wyroków, nie tylko w sprawach karnych. Zarówno teoretycy, jak i sędziowie często krytykowali orzekanie głównie na podstawie zeznań świadków, lecz w praktyce nadal był to najistotniejszy środek dowodowy. Gros wyroków zapadało jedynie w oparciu o to, że ktoś coś powiedział. Była to największa niedoskonałość procesu karnego, z którą zmagano się od czasów starożytnego Rzymu – i do tej pory nie wymyślono złotego środka.

– Ona go pogrąży – odezwał się Oryński.

– Tylko w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci.

– Wszystko jedno, Awit pójdzie siedzieć.

– Ale przynajmniej nie na dwadzieścia pięć czy piętnaście lat.

Po raz pierwszy Kordian widział, że patronka była gotowa skapitulować. Dotychczas brała byka za rogi, twierdząc, że wygra każdą sprawę, nawet najbardziej beznadziejną. Teraz dopuszczała możliwość, by spotkać się pośrodku ze stroną przeciwną – co w jej słowniku było synonimem terminu „porażka”.

Oryński spojrział na nią uważnie i zobaczył, że się z tym pogodziła. Pomyślał, że nie powinien się dziwić – takie sprawy nie były teraz dla niej najistotniejsze. Po wypadku i śpiączce piramida wartości

zmienia się nie do poznania.

Naraz jednak przemknęło mu przez myśl, że w przypadku Kosmowskiego wszystko powinno być tak, jak zawsze. Podobnie jak Chyłka, należał on do ludzi, którzy kompromis uznają za osobiste fiasko.

– Dlaczego tu przyszedł? – zapytał Kordian, marszcząc czoło.

– Chciał na własne oczy zobaczyć, jak wygląda powalony tytan.

– Mówię poważnie.

– Ja też – odparła. – Nieczęsto się zdarza, by kolos upadł.

Kordian wstał i przeszedł na drugą stronę łóżka. Wyjrzał przez okno, a potem obrócił się i oparł o parapet.

– Ma nas w garści – odezwał się. – Po co wychodzić z jakąkolwiek propozycją?

– Może się boi, że dociśniemy Angelę i flądra coś chlapnie.

– Ale co?

– Nie wiem. To nieistotne z naszego punktu widzenia.

– A jeśli Szlezyngier tego nie zrobił?

Joanna zaśmiała się, ale w ułamku sekundy wesoły wyraz twarzy ustąpił miejsca bólowi. Prawniczka skuliła się nieco i spojrzała na rozmówcę spode łba.

– Daj spokój – powiedziała.

– Nie twierdzę, że mu wierzę...

– Ty zawsze im wierzysz, Zordon – zaoponowała. – I dopóki nie zrozumiesz, że to twój największy błąd, nigdy nie wejdiesz do adwokackiej superligi.

Przysiadł na parapecie.

– W takim razie po co Kosmowski tu zawędrował?

Chyłka nabrała tchu.

– Awit zostanie wezwany na świadka w procesie przeciwko jego klientce – odparła. – Jeśli się wcześniej nie dogadamy, będzie robił wszystko, by zemścić się na żonie. To nieoczywiste dla ciebie?

– Może. Ale to wciąż za mało, by Daniel chciał kompromisu.

– To tylko twoje pobożne myślenie – zaprzeczyła. – Chcesz łudzić się, że bronisz niewinnej osoby.

Patrzyła na niego w sposób, który zasadniczo wykluczał polemikę. Gdyby miała w oczach taką pewność siebie, kiedy był tutaj Daniel, być może tamta rozmowa potoczyłaby się inaczej. W tej sytuacji wprawdzie na żaden cud nie można było liczyć, ale z drugiej strony Chyłka nieraz udowodniła, że potrafi dokonać rzeczy niemożliwych.

– Cieszę się, że mamy to ustalone – dodała.

– Nie mamy.

– A teraz powiedz mi, po co przyprowadziłeś do mnie kryminalistę? – zapytała, ignorując jego obiekcję.

– Jest gotów pojechać dla nas na Białoruś.

– Dla nas?

– Dla kilkunastu tysięcy.

– To pójdzie z twojej pensji.

– Jeśli tak, to będę musiał nocować u ciebie przez dobre pół roku. I żyć na twój koszt.

– W takim razie z mojej pensji.

Uśmiechnął się blado.

– Ma wizę? – zapytała Joanna.

– Nie, ale nawet gdyby miał, na niewiele by mu się zdała. Zamierza przekroczyć granicę w miejscu, gdzie nie ma celników.

– Znajdzie go?

– Nie wiem – przyznał Kordian i obejrzał się przez ramię. – Gdybyś go nie wywaliła, być może sam powiedziałby ci, jakie są szanse.

– Nie wywaliłam go, tylko wyprosiłam. Jeszcze nie widziałeś, jak wywalam ludzi.

– Widziałem – zapewnił, odchylając głowę. – Pamiętam to jak dziś. Mój pierwszy dzień w kancelarii.

I Chyłka, która kazała mi...

– Dość wspomnień, nie mam teraz nastroju.

Oryński odszedł od okna i stanął przed łóżkiem.

– To jakie rozkazy? – zapytał.

– Poślij tego gościa za Sakratem, jeśli naprawdę potrafi go znaleźć.

– Nie chcesz go przepytac na tę okoliczność?

– Nie jesteśmy w sądzie, tylko w pieprzonym szpitalu – przypomniała. – Nie mam zamiaru tu nikogo przesłuchiwać.

– Dobra – odparł i spojrzał w kierunku drzwi. – Co potem?

– Potem dowiedz się, czy Kosmowski już ugadał się z Aronowiczem.

– Jak?

– Pójdź do Aronowicza.

Mimo polecenia McVaya, by na razie nie rozmawiać z oskarżycielem, Kordian obawiał się, że nie ominie go ta wizyta. Przypuszczał, że właśnie jemu trafią się pertraktacje, podczas gdy Joanna zajmie się Danielem.

Szybko jednak okazało się, że był w błędzie.

– Będziesz też reprezentował nas w kontaktach z... jakkolwiek kancelarią, dla której pracuje Cristiano Ronaldo.

– Co?

– Nie mam siły znosić tych ujadających kundli, Zordon. Potrzebuję trochę spokoju.

Mógłby sądzić, że patronka sobie z niego dworuje, ale gdy na nią spojrzał, przekonał się, że mówi poważnie. Nie było to przesadnie rozropne. Mógł uczestniczyć jako pełnoprawny gracz w batalii sądowej, lecz poza murami sądu był jak zbłąkana gęś przeciwko watasze wilków. Ludzie tacy jak Kosmowski znali mnóstwo pozaprawnych metod, by rozszarpać przeciwnika. Oryńskiego nie uczono tego na studiach.

– Poradzisz sobie – dodała, jakby wyczuła jego obawy.

Nie zamierzał protestować. Skoro sama tego chciała, musiała mieć dobry powód.

– Będziemy zresztą w kontakcie. Tylko kup te słuchawki bluetooth, dobra?

– Jasne.

Joanna wbiła wzrok w okno i westchnęła.

– Szybko stąd nie wyjdę, Zordon – odezwała się. – Musisz jakoś podołać.

Posłał jej uśmiech, którego nie widziała, a potem pożegnał się i wyszedł na korytarz. Przemknęło mu przez głowę, że w poprzedniej sytuacji całkiem nieźle sobie poradził. Tyle że wówczas był jak sprinter w biegu na czterysta metrów. Teraz mógł porównać się do ultramaratończyka, który nie zna trasy, a w dodatku nie ma przygotowania kondycyjnego.

Wyszedł ze szpitala, wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego. Wystukał na nowej komórce „jestem na dole”, a potem wysłał SMS-a do Wita. Przemyttnik pojawił się po chwili. Stanął obok niego, wyciągając rękę. Kordian podał mu marlborasy.

– To był twój lachon? – bąknął Wito.

Oryński spojrzał na niego jak na wariata.

– Jakikolwiek zaimek dzierżawczy w stosunku do Chyłki jest...

– Co ty pieprzysz?

– Gdyby usłyszała, zginąłbyś śmiercią męczennika – wyjaśnił Kordian.

Handlarz zaciągnął się, a na jego twarzy odmalowało się powątpiewanie.

– Tak czy inaczej, niezła dupa, nawet bez tapety – skomplementował. – Niestety, widzę, że jest jak zwykle. Ładna, to wredna. Mądra, to...

– Zachowaj te mądrości dla siebie.

– A coś ty się taki buc nagle zrobił?

Oryński potarł skronie, trzymając papierosa między palcami. Nie miał zamiaru wdawać się w płonne dyskusje. Chciał załatwić sprawę, a potem ruszyć do Suwałk, by jak najszybciej mieć za sobą spotkanie z Aronowiczem.

– Dobra, sprawa wygląda tak – zaczął aplikant. – Dziewięć tysięcy za informacje o tym, gdzie...

– Piętnaście.

– Jedenaście.

– Trzydzieści.

– Stoi – oznajmił Oryński. – Trzydzieści patoli za miejsce, gdzie przebywa Sakrat. W cenie zdjęcia i ewentualny dowóz delikwenta do kraju.

– Żartujesz sobie?

– Nie wysłę przecież europejskiego nakazu aresztowania.

– Hę?

– Obowiązuje tylko w krajach Unii.

– Człowieku, nie wiem, o czym mówisz, ale nie ściągnę gościa z Białorusi ot tak. Co ty sobie wyobrażasz? Mowa była tylko o tym, by sukinsyna znaleźć.

– W takim razie trzydzieści patoli poszło się rąbać – odparł Oryński i cisnął papierosa na ziemię. Nie zdeptując go, ruszył w stronę przystanku autobusowego. Bardziej dramatyczne byłoby wejście do samochodu i odjechanie. Czekanie na busa nieprzesadnie pasowało do wrażenia, jakie chciał zrobić.

– W porządku! – usłyszał głos zza pleców.

Uśmiechnął się triumfalnie. Stał na przystanku i sprawdził, kiedy odjeżdża PKS w kierunku Ełku. Trzynasta dwadzieścia go urzędzała, musiał poczekać tylko chwilę.

W Grajewie miał przesiadkę i po dwugodzinnej podróży dotarł do Suwałk z przekonaniem, że najwyższa pora zainwestować w samochód.

Jakiś czas temu pojechał na policyjny parking, gdzie stała iks piątka. Samochód miał sprasowany przód i według oficera pełniącego dyżur nadawał się już tylko do kasacji. Chyłce jeszcze nikt nie przekazał złej nowiny – i Kordian miał nadzieję, że sama się domyśliła.

Kiedy wysiadł ze starego autosana o wdzięcznej nazwie Ramzes, poczuł się jak nowo narodzony. Rozprostował plecy i ruszył w kierunku dwupasmówki biegnącej za budynkiem dworca. Spotkanego po drodze mężczyznę zapytał, jak dotrzeć do siedziby prokuratury okręgowej. Przechodzień spojrzał na niego skonsternowany, a potem go wyminął.

Kordian zdał się na Google Maps. Pokazywało, że od celu dzieli go tylko dwudziestominutowy spacer, postanowił więc rozprostować nogi. Kiedy dotarł na miejsce, zapytał o Aronowicza i spotkał się w najlepszym przypadku z rezerwą, w najgorszym z gburowatością.

Prokurator przyjął go w swoim biurze.

– Proszę, proszę – powitał go. – Mahomet przyszedł do góry, nawet nie sprawdzając, czy góra nie przyszłaby do niego. – Wskazał na krzesło. – Proszę spocząć.

Przyjazny ton głosu nie spodobał się aplikantowi. Pasował jak kwiatek do kozucha.

– Byłem w okolicy – powiedział Oryński, zajmując miejsce przed biurkiem.

Gabinet był zadbane, ale daleko mu było do wystroju wewnątrz, jaki chciałoby się widywać na co dzień.

Wszystko sprawiało raczej surowe, wojskowe wrażenie.

– Nie podoba się? – zapytał Zbigniew, dostrzegając, że młody ogarnia wzrokiem pokój.

– Trochę ponury klimat, ale rozumiem, że ma to odpowiednio nastrajać oskarżycieli.

– Uważam, że lepsze to niż mdły minimalizm w gabinetach adwokackich.

– Może i tak.

Aronowicz zasunął szufladę, jakby domyślał jeszcze jakąś sprawę, którą zajmował się, zanim prawnik wszedł do pokoju. Potem podniósł wzrok i skrzyżował ręce na blacie, uśmiechając się lekko.

– Więc był pan w okolicy?

– Mhm.

– Zastanawiające. Byłem przekonany, że tego ranka odwiedzał pan Chyłkę. Słyszałem, że czuje się już lepiej, choć straciła trochę ikry.

Kordian przez moment milczał, a potem zaśmiał się pod nosem. To wszystko stanowiło niezbyt zawoalowany komunikat, że prokurator jest w stałym kontakcie z adwokatem Angeliki. Oryński wiedział, że nie ma co ciągnąć go za język – nigdy się do tego nie przyzna, choć obaj musieli w pewnym momencie usiąść w jakimś barze i wspólnie uknuć plan.

– Coś pana bawi?

– Takie podchody – odparł i machnął ręką. – Ale mniejsza z tym. Przyszedłem w oczywistym celu i nie mam zamiaru spędzać tu ani sekundy dłużej, niż będzie to absolutnie konieczne.

– Rozumiem.

Aronowicz najwyraźniej nie miał zamiaru mu tego ułatwiać. Dobrze, przynajmniej inicjatywa będzie po jego stronie. Każdy spec od mediacji powtarzał, że wyjściowa propozycja jest najważniejsza. Rzuca się kotwicę, którą później trudno przesunąć. Jeśli tylko znajduje się ona w granicach rozsądku, druga strona będzie czuła psychologiczny opór przed przeholowaniem.

Kordian mógłby szumnie oznajmić, że będą dążyć do całkowitego uniewinnienia, jednak na tym etapie obaj wiedzieli, że byłoby to tylko czcze gadanie.

– Więc? – zapytał Zbigniew. – Z czym pan do mnie przyszedł?

– Rok w zawieszeniu na trzy lata.

– Sto pięćdziesiąt pięć?

Oryński skinął głową. Nieumyślne spowodowanie śmierci było najlepszym, co mogli ugrać poza sądem. Reputacja Szlezyngiera wprawdzie zostałaby sponiewierana, ale przy dobrym układzie Awit nie pójdzie siedzieć. To więcej, niż można było zagwarantować mu, jeśli pozostawią decyzję sądowi.

– Żartuje pan sobie ze mnie – oznajmił Aronowicz i rozplótł ręce. Zabębnił palcami o biurko i spojrzał na aplikanta ponaglająco. – Proszę się bardziej postarać.

– To sensowna propozycja.

– Nie z mojego punktu widzenia.

– Wie pan, jaka jest alternatywa? – zapytał Kordian, ale nie dał rozmówcy czasu na odpowiedź. – Będzie słowo przeciwko słowu. Wykażemy, że mój klient nie miał nic wspólnego z upuszczeniem dziecka.

– To będzie daremna próba i doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę – powiedział prokurator i nabrał tchu. – I przejdźmy na ty, będzie ci łatwiej znieść porażkę.

Oryński prychnął pod nosem.

– W porządku – powiedział niezadowolony. Oskarżyciel nie przedstawił kontroferty, co stawiało go w trudnej sytuacji. Teraz to on musiał „schodzić” z wcześniej ustalonego pułapu, a wraz z tym przesuwawała

się kotwica. – Dwa lata w zawieszeniu na pięć. To moja ostatnia propozycja.

Aronowicz westchnął.

– Wiesz, że za nieumyślne mogę wnioskować o karę do lat pięciu?

– Wiem.

– Więc wiesz także, że od dwóch lat w górę nie można warunkowo jej zawiesić.

– Nie przyszedłem tutaj na wykład.

– Ale może powinieneś go otrzymać – odparł ostrzej prokurator. – Twoja propozycja to potwarz.

Zakłada po pierwsze, że chciałbym oskarżyć go o nieumyślność, a po drugie, że chciałbym wybrać dolne widełki.

Kordian zaklął w duchu.

– Tymczasem uważam, że nie byłoby to sprawiedliwe – ciągnął Aronowicz. – Ten człowiek skorzystał z nadarzającej się okazji i z pełną świadomością swojego czynu wytrącił dziecko z rąk matki.

– To jakaś kpina...

– Zabił je umyślnie – dodał Zbigniew. – I mam zeznanie matki, które to potwierdzi. Twój klient, wprawdzie w emocjach, ale przyznał *expressis verbis*, że jeśli to nie jego córka, zabije ją.

– Bzdura.

– Oskarżę go o zabójstwo, Kordian. I to w typie kwalifikowanym.

– Co takiego?

– Paragraf drugi punkt trzeci.

Niewiele przepisów Oryński znał na pamięć, ale sto czterdziesty ósmy artykuł pamiętali nie tylko karniści. Wspomniana norma dotyczyła motywacji zasługującej na szczególne potępienie. Groziło za to minimalnie dwanaście lat, a maksymalnie dożywocie.

– To kompletny bezsens – zaoponował aplikant. – Nie przepchniesz tego.

– Sprawdzimy.

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Oryński uznał, że nie ma tu czego szukać. Niepotrzebnie się fatygował. Podniósł się, a potem bez słowa ruszył do wyjścia.

– Nie jesteś ciekaw mojej propozycji?

– Nie.

– Jeśli się przyzna, będę wnioskować o typ podstawowy.

Kordian nie miał zamiaru słuchać, jak długą odsiadkę zaproponuje Aronowicz. Opuścił jego gabinet, po czym szybkim krokiem przeszedł przez korytarz. Miał wrażenie, że skupia na sobie uwagę wszystkich pracowników prokuratury.

Wyszedszy na zewnątrz, wyciągnął papierosa. Przez moment palił bezrefleksyjnie, nie wiedząc nawet, że dociera już do filtra. Nie myślał o niczym, nie chciał katować się własną porażką.

Prokuratura wiedziała, że ma mocne karty. Obrona zaś nie miała niczego, co mogłoby zmienić balans sił w tym starciu. Po chwili Oryński odpalił kolejnego papierosa od niedopałka. Zastanawiał się, co dalej począć – i w końcu wpadł na pewien pomysł.

Wrócił na przystanek tą samą drogą, którą przyszedł, a następnie sprawdził, o której odjeżdża najbliższy PKS do Augustowa.

5

Kordian stanął przed budynkiem Komendy Powiatowej stanowczo zbyt późno, by liczyć na to, że Satanowski jest jeszcze w biurze. Mimo to wszedł do środka, a potem zatrzymał się przy okienku oficera dyżurnego.

– Znajdę gdzieś jeszcze sierżanta Satanowskiego z Zespołu do spraw Poszukiwań i Identyfikacji Osób?

– Nie.

Mężczyzna uniósł wzrok znad gazety tylko na moment.

– Dawno wyszedł? Może jeszcze gdzieś go złapię?

– Dawno.

– A mógłby pan...

– W jakiej sprawie pan go szuka? – przerwał mu urzędnik.

– W sprawie życia lub śmierci małej dziewczynki. Wystarczający powód?

– Wystarczający – odparł policjant i w końcu oderwał się od lektury. – Ale w tej chwili nie ma już nikogo z tego zespołu. Mogę kogoś tu ściągnąć, ale musi pan zgłosić zaginięcie.

– Zostało zgłoszone już jakiś czas temu.

– Więc o co chodzi?

– Mam nowe informacje – odparł Oryński, niemal przekładając głowę przez okienko. – I muszę porozmawiać z sierżantem. Może pan do niego zadzwonić? Nie jest jeszcze tak późno.

Mężczyzna zastanawiał się przez kilka chwil, ale ostatecznie musiał uznać, że w takiej sprawie nikt by sobie z niego nie drwił. Zadzwonił do Satanowskiego, po czym oznajmił, że czeka na niego pewien enigmatyczny gość. Nie zapytał o imię i nazwisko, ale Kordiana to nie dziwiło – obaj funkcjonariusze do tej pory musieli się zorientować, kim jest.

Sierżant zjawił się po dwudziestu minutach, które Oryński spędził na paleniu przed budynkiem policji. Zobaczywszy starego peugeota i znajomego mężczyznę za kierownicą, uniósł rękę i ruszył w tamtym kierunku.

Policjant zaparkował na służbowym parkingu, a potem wysiadł z auta i powiedział:

– Lepiej, żeby to było dobre.

– To zależy, co przez to rozumiesz – odparł aplikant. – Gdzie możemy pogadać?

Satanowski rozejrzył się, a potem wskazał zniszczoną wiatę autobusową kilka metrów dalej. Przeszli tam w milczeniu. Funkcjonariusz odezwał się dopiero, gdy usiedli na wygiętej ławce i Kordian wyciągnął paczkę marlboro.

– Ta przyjemność będzie kosztować cię pięćset złotych – oznajmił sierżant.

– Żartujesz sobie?

– Nie, taryfikator pozwala mi na nałożenie takiej kary za palenie na przystanku.

Oryński schował papierosy.

– A teraz mów, co dla mnie masz? – zapytał Satanowski.

– Śledzisz proces?

Policjant pokiwał głową, wyraźnie poirytowany. Kordian doszedł do wniosku, że powinien pospieszyć się z przekazywaniem informacji.

– Udało mi się namierzyć Sakrata Tatarnikowa – skłamał, uważnie obserwując reakcję rozmówcy. Ten wyraźnie drgnął, co kazało sądzić, że również polowali na Białorusina.

– Gdzie jest?

– Na Białorusi.

– Tyle wiem z procesu. Gdzie konkretnie?

Oryński wzruszył ramionami.

– Odciągnąłeś mnie od kolacji z żoną, żeby powiedzieć „wiem, ale nie powiem”? – zachnął się policjant. – Nie rób sobie ze mnie jaj.

– Nie robię. Powiem ci, gdzie jest, jeśli mi pomożesz.

Rozmówca przez moment milczał.

– Jak? – zapytał w końcu.

– Plan jest prosty, sierżancie – odparł Kordian, wpatrując się w niewielki czteropiętrowy blok mieszkalny naprzeciwko. – Otrzymasz ode mnie wszystkie potrzebne informacje, ale musisz z tego zrobić burzę medialną.

– Hm? – mruknął policjant, obracając się do niego.

– Chcę, żebyście to nagłośnili.

– Co konkretnie?

– Cały proces – wyjaśnił aplikant, odrywając wzrok od budynku. – Od momentu, gdy wyjedziecie z jednostki, aż do momentu, gdy go złapiecie. Mój jedyny warunek jest taki, że zrobimy przeciek do mediów, dzięki czemu to...

– Będzie nagonka i polowanie, nie ma mowy – uciął Satanowski. – A wy zyskacie całą gamę argumentów przeciwko temu, że wasz klient jest winny.

– Nie jest, więc...

– Nie mnie to oceniać. I nie będę wspierać nikogo na rozprawie karnej. Zwariowałeś?

– To nie wspieranie – odparł twardo Kordian. – Zresztą skoro nadal szukacie Sakrata, to musicie wierzyć, że dziewczynka gdzieś tam jest.

– Gdzieś jest na pewno, bez względu na to, kto ją porwał lub... ukrył. Muszę ją znaleźć. I tylko tyle mnie interesuje, rozumiesz?

– W pełni – przyznał Oryński, obracając się do niego. – I w takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, byś wziął tę pomocną dłoń, którą do ciebie wyciągam. Cena nie jest wielka. Zresztą jak tylko aresztujecie Tatarnikowa, wszystko stanie się jasne, prawda? Pomożesz ująć groźnego przestępcę i pokażesz wszystkim, że mój klient jest niewinny.

Przez kilka minut panowała cisza. Autobus zatrzymał się przed przystankiem, drzwi się otworzyły, ale nikt nie wyszedł. Po chwili pojazd odjechał.

– Daj mi swój numer – powiedział Kordian. – Zadzwoń jutro rano zapytać, jaka jest twoja decyzja.

– Mogę cię zamknąć za utrudnianie...

– Nic nie utrudniam – zaproponował Oryński. – Jeśli nie przekazuję ci informacji, które być może posiadam, to tylko dlatego, że wiąże mnie tajemnica adwokacka.

– Pierdolisz.

– Może tak, może nie – przyznał. – Ale żeby to sprawdzić, musiałbyś wejść na drogę formalną.

Przez moment znów milczeli, po czym Satanowski wyciągnął komórkę i wymienili się numerami. Potem policjant bez słowa odszedł, a Kordian oddalił się kilka kroków od przystanku i zapalił.

Niewiele osiągnął, ale kiedy skieruje policję na mniej lub bardziej fałszywy trop, będzie miał przynajmniej załatwioną uwagę mediów. Wytworzy się presja w opinii publicznej, by namierzyć Sakrata – a to, czy istnieją dowody na jego winę, stanie się sprawą drugorzędną.

Aplikant odetchnął głęboko i sprawdził tablicę odjazdów. Było już za późno, by pokładać wiarę w komunikacji miejskiej. Ruszył w stronę pobliskiego ronda, licząc na to, że wypatrzy właściwy kierunek. Prosto były Suwałki i Ogrodniki, w prawo Lipsk, a w lewo centrum. Oryński skręcił w prawo, szukając wzrokiem taksówki. W sezonie trochę ich jeździło, bo turyści nieustannie przemieszczali się z Augustowa do Sajenka i z powrotem. Teraz jednak samochodów było jak na lekarstwo.

W końcu wyciągnął rękę i zaczął łapać stopa. Nikt się nie zatrzymał, a Kordian po półgodzinie zrezygnował z prób. Zignorował nawet mijającą go taksówkę, mimo że kierowca zatrąbił. Podróż do wsi zajęła niecałe półtorej godziny – i dobrze mu zrobiła.

Dotarłszy na miejsce, przystąpił do kolejnego elementu swojego planu. Odwiedził mężczyznę, który wcześniej otworzył dla nich dom Ekiela. Tak jak poprzednio, pies zaczął skowyczeć, jakby go mordowano. Gospodarz niechętnie wyłonił się z chałupy i uchylił drzwi.

– Dobry wieczór, panie Stanisławie.

– Kto idzie?

– Kordian Oryński, byłem już u pana dwukrotnie.

– Ten młody prawnik?

– Tak, panie Stanisławie. Znow potrzebuję przysługi.

Staruszek rozejrzał się wokół, mrużąc oczy.

– Gdzie twoja małżonka, synu?

– Jest niedysponowana.

– Ach, tak... – odparł Stanisław i spuścił głowę, przez moment intensywnie się nad czymś zastanawiając. – Co to ja miałem...

– Chciałem pana prosić o użyczenie kluczy do domu pana Antoniego.

– Doprawdy?

Oryński rozejrzał się wokół i rozłożył ręce.

– Ma pan wobec nas dług wdzięczności, prawda?

– Nie rozumiem, do czego pijesz, młody człowieku.

– Nie widzę tu nigdzie służby celnej. Ani policji.

Starzec ściągnął brwi i wydał usta. Zapewne nikt nie zainteresowałby się ilościami przemyconych papierosów, które posiadał, nawet gdyby prawnicy złożyli donos. Mimo to mężczyzna wycofał się, przez moment gmerał w szafce, a potem wrócił z kluczem. Kordian wszedł po schodkach i z uśmiechem odebrał go od Stanisława.

– Dziękuję – powiedział. – Zwrócę niebawem.

I tak też zrobił. Zamierzał spędzić u Ekiela całą noc, ale nie było konieczności, by alarmować starca. Otworzywszy drzwi, po prostu odniósł sąsiadowi klucz, a potem wrócił do domu.

Nie pachniało tam najlepiej i przydałoby się wietrzenie. Kordian otworzył dwa okna po przeciwległych stronach budynku i zrobił przeciąg, dopiero teraz oddychając pełną piersią. W lodówce nabrał już skwaśniał, a kilka innych produktów zgniło. Czym prędzej ją zamknął. Nie miał ochoty czyścić tego, za co prędzej czy później wezmą się nowi właściciele. Bo nie ulegało wątpliwości, że Ekiel już tu nie wróci.

Oryński rozsiadł się w fotelu i włączył telewizor. Wcześniej miał zamiar przeszukać dom od razu po przyjeździe, ale był zbyt zmęczony. Cały dzień wrażeń odcisnęło się piętnem na jego umyśle i Kordian potrzebował chwili wytchnienia. Tym bardziej, że spacer z centrum Augustowa też trochę go zmęczył. Przeszuka dom rano, przy świetle dnia.

Nawet nie wiedział, kiedy zasnął. Przebudził się w nocy i zmienił pozycję, ale był zbyt zaspany, by przenieść się na kanapę.

Gdy nastał świt, Kordian obudził się cały obolały. Przeklął w myśli swoje lenistwo, a potem zwłókł się z fotela i poszedł do kuchni. Sok z kartonu zdążył już sfermentować, czy Bóg jeden wie co zrobić, aplikant nastawił więc sobie wody na herbatę i kawę. Było to najbezpieczniejsze wyjście, biorąc pod uwagę wrogi teren.

Z salonu dobiegł go dźwięk dzwonka. Will Smith rapował o tym, by wszyscy wstali i zaczęli klaskać. Powłócząc nogami, poszedł po swój telefon. Spojrzał na wyświetlacz i przekonał się, że to mogą być wyłącznie dobre wieści.

– Co dla mnie masz? – zapytał.

– Jestem na Białarusi – zaciągnął ze wschodnim akcentem Wito.

– I co tam ciekawego?

– Łukaszenka nadal ma gęsty, wypiełgnowany wąs.

Kordian zaśmiał się pod nosem.

– W porządku – odparł. – A oprócz tego? Jakiś ślad po Sakracie?

– Tatar to wyjątkowy sukinsyn – wyjaśnił rozmówca.

– Aha.

– Zacierają ślady jak nornik w ziemi.

– Nornik raczej... – zaczął Oryński, ale machnął ręką. – Zresztą nieważne. Co ustaliłeś?

– Że to wyjątkowo...

– Tak, tak – uciął Kordian. – Zostawmy sprawy charakterologiczne. Gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Masz jakiś trop?

– Miałem, zresztą całkiem niezły – powiedział Wito. – Skurwiel nawiązał kontakt z kilkoma naszymi ziomkami na granicy, pomogli jemu i Ekielowi przejść. Miał czelność powoływać się na mnie i twierdzić, że ugramy trochę więcej niż za sprawą mrówek.

– I?

– I załatwił wszystko, co było do załatwienia, a potem przeszedł przez granicę. Poszedłem jego śladem.

W tle rozbrzmiały jakieś krzyki po białorusku. Rozmówca musiał na moment odsunąć telefon, bo jego odpowiedź brzmiała tak, jakby pochodziła z oddali.

– Sorry – odezwał się po chwili. – Jakieś Cygany mi tu drą japy.

– Słyszałem.

– Pół dnia i całą noc szukaliśmy tego psa po wiochach przygranicznych. Nic, zero. Nie ma po nim śladu. A raczej nie było, aż do dzisiaj.

Kordian nagle się rozbudził. Przycisnął słuchawkę mocniej do ucha i nie odnotował nawet, że woda się zagotowała.

– W pewnym momencie wykminiłem, że nie ma żadnych śladów, bo tych dwóch nigdy nie przeszło przez granicę.

– Jak to?

– Załatwili wszystko, by tak to wyglądało – odparł z pewnością w głosie przemytnik. – To logiczne, no nie? Wiedzieli przecież, że pójdzie za nimi cała machina poszukiwań. Może nawet spodziewali się, że pały ruszą ich tropem. Nadążasz?

Oryński nie tyle nadążał, ile wybiegł przed tok rozumowania Wita. Oczywiście, Sakrat nie był w ciemni bity.

– Czaisz, do czego zmierzam?

– Mhm.

– Zresztą Tatar nie miałby po co wracać na Białoruś. Ma tu wyrok, a jeśli już gdzieś lepiej siedzieć, to

w Polsce.

– Ano tak – odparł bezwiednie Kordian.

– Cofnęliśmy się więc z chłopakami i sprawdziliśmy ślady. I gówna znaleźliśmy. Oni nie przeszli przez granicę.

Znów rozległy się krzyki po białorusku, a potem przeszły w nieznaną Oryńskiemu język.

– Dobra, muszę kończyć – zapowiedział Wito. – W każdym razie trzeba szukać skurwiela w Polsce.

– Ale gdzie?

– A skąd mam to wiedzieć? Może wróci do domu?

Kordian rozejrzał się niepewnie po pomieszczeniu, a potem uniósł wzrok. Nie wiedział, czy dom ma poddasze użytkowe. Szybko potrząsnął głową i odrzucił tę absurdalną myśl. Uciekinierzy nie mieliby powodu, by tu wracać.

– Mordy! – ryknął do krzyczących Wito.

– Dowiedz się wszystkiego, co możesz.

– Co?!

– Jak już załatwisz sprawę z Cyganami, spróbuj...

– Tak, tak, spróbujemy coś wyniuchać po naszej stronie granicy. Kończę.

Rozmówca rozłączył się, a Kordian wrócił do kuchni. Zalał herbatę i kawę, a potem przez moment stał przy oknie, wyglądając na gęsty las. Informacja, jaką otrzymał, komplikowała sprawę. Zamierzał nakierować policję na mylny, niejasny trop – Satanowski niewiele mógłby osiągnąć na Białorusi, ale odzew w mediach byłby potężny. Ustawiłby kolejną rozprawę tak, że prawnicy z kancelarii Żelazny & McVay mieliby szansę na zwycięstwo.

Klnąc pod nosem, usiadł z kawą przed telewizorem i włączył NSI. Z przerażeniem przekonał się, że trafił na najgorszy możliwy moment. Daniel Kosmowski stał przed domkiem letniskowym w towarzystwie Angeli i kamer. Przekaz był nadawany na żywo.

– Moja klientka została potraktowana w najgorszy możliwy sposób – mówił. – I kiedy zastanawiam się nad tym, dlaczego tak się stało, widzę tylko trzy możliwości. – Prawnik uniósł trzy palce. – Albo jej obrońcy byli skrajnie niekompetentni, albo skupili się na obronie tego, kto płacił rachunek, albo... cóż, działali z premedytacją, chcąc odciążyć Szlezyngiera kosztem mojej klientki.

Nie był już „mężem”, „oskarżonym”, ani „panem Szlezyngierem”. Stanowiło to symptomatyczny akcent całej sprawy. Ale biorąc wszystko pod uwagę, mogło być dużo gorzej. Marka Dochnała w najgorętszym momencie jego sprawy nazywano „lobbystą”, zresztą do dzisiaj był kojarzony z tym słowem. Wszystko wypowiedane z odpowiednią intonacją i w odpowiednich okolicznościach mogło stanowić obelgę.

– Szlezyngier w dzikim szale napadł na bezbronną kobietę – ciągnął dalej Kosmowski. – Ale to nie jedyna zbrodnia, której się dopuścił. – Daniel spojrzał ze współczuciem na Angelikę i przez moment sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar otoczyć ją ramieniem. – Nie dość, że zabił to biedne dziecko, zmusił moją klientkę do milczenia. Ale nie, nie założył jej kajdanek, nie bił jej, nie związał. Stłamsił ją, zniszczył psychicznie i odebrał resztki godności.

Angela spuściła wzrok.

– Zwołaliśmy tę konferencję prasową, ponieważ mimo naszych usilnych prób, oskarżony nie zamierza się z nami kontaktować.

Kordian zacisnął usta ze złości. Przeciwnik nie zająknął się, że jego klientka również występuje w charakterze oskarżonego.

– Chcielibyśmy publiczne zaapelować do Szlezyngiera – dodał, wbijając stanowczy wzrok w obiektyw NSI, a potem przenosząc go na kamery innych stacji. – Niech pan powie, gdzie ukrył pan ciało dziewczynki.

Oryński odstawił kawę na stolik i wziął paczkę papierosów. Ze zdziwieniem przekonał się, że zostało mu jeszcze kilka. Przy takim tempie palenia powinien mieć już ostatniego.

– Proszę skończyć tę bestialską farsę – ciągnął dalej Daniel. – Czas, by rodzina zaznała spokoju. Niech pan to zrobi. Niech pan powie, gdzie zakopał pan ciało.

Angelika zaniósła się cichym płaczem.

– Przez wzgląd na pamięć po Nikoli – dodał Kosmowski. – I mając na uwadze to, że został pan sam. Nikt nie będzie wspierał pana dłużej w tym kłamstwie. Teraz, gdy zarzuty wobec mojej klientki zostały wycofane, musi pan stawić czoło prawdzie.

– Co? – zapytał bezgłośnie Kordian.

6

Chyłka nie oglądała hucpy Kosmowskiego na żywo. Widziała jedynie co lepsze fragmenty w nocnym paśmie powtórkowym. Rytm dnia miała zaburzony – co jakiś czas przebudzała się, a potem zapadała w głęboki sen, by znów zbudzić się w środku nocy. Włączyła TVN24 z myślą, że znudzą ją gadające głowy, ale zamiast tego załatwiła sobie zastrzyk energii lepszy niż za sprawą dziesięciu kaw.

Z samego rana zjawił się u niej Zordon i nie miała wątpliwości, że on także ma dług snu.

– Czemu nie dzwoniłeś? – zapytała.

– Nie chciałem cię niepotrzebnie wkurzać.

– Niepotrzebnie?

Usiadł na łóżku i spuścił nos na kwintę. Joanna starała się nie wybuchnąć, zdając sobie sprawę, że nie mógł nic zrobić. Prokurator wespół z Kosmowskim zwyczajnie ich wydymali. Dogadali się na boku, a potem zrobili, co im się żywnie podobało.

– W tej instancji nie mamy szans – orzekł Oryński.

– Wszystko wskazuje na to, że w kolejnej też nie.

– Ale...

– Nie mówiłam ci jeszcze, że prowadzenie sprawy z liczeniem na apelację to jak mordowanie kogoś z nadzieją, że sam umrze?

– Nie mówiłaś.

– To mówię teraz – powiedziała, poprawiając się na łóżku. Mogła już się ruszyć, ale nadal nie było mowy o samodzielnym wypadzie do łazienki czy własnoręcznym umyciu się. Było to upokarzające, wciąż jednak powtarzała sobie, że lepsze to, niż alternatywa.

– Co zrobimy? – zapytał po chwili Kordian.

– Jeszcze nie wiem – odparła. – Ten twój nikotynowy boss coś znalazł?

– Tylko ślepy zaułek. Ekiel i Sakrat nie przekroczyli granicy. Co się z nimi potem działo, Bóg jeden wie. Albo nawet on nie, bo zatarli ślady z najwyższą starannością.

– Ile czasu do kolejnej rozprawy?

– Kilka dni.

– Konkretnie, Zordon. Jestem tu trochę wyzuta z czasoprzestrzennej świadomości. Zupełnie, jakbym czytała tę książkę...

– Jaką?

– No wiesz, *Rah'ma'dul* i te sprawy.

– Nie wiem – uciął i nerwowo potarł czoło. – Zostały nam trzy dni. I przypuszczam, że dłużej tego samobójstwa nie odwlecemy.

– Prawidłowo przypuszczasz. Na tym posiedzeniu zapadnie wyrok.

– Więc?

Wzruszyła ramionami, po raz pierwszy nie odczuwając przy tym bólu. Zawsze twierdziła, że wszystko goi się na niej jak na psie. Tym razem musiała podać to przekonanie w wątpliwość. Miała wrażenie, że spędziła długie tygodnie przykuta do łóżka.

– Więc? – powtórzył z nadzieją w głosie.

– Nasz jedyny ratunek to Sakrat.

– A zeznanie Angeli?

– Jakoś musimy je rozbić.

– Jak?

– Nie wiem, do cholery. Rusz głową.

Była świadoma, że ostatnie dni spędził na wymyślaniu sposobu, by zdyskredytować stronę przeciwną. Chyłka zresztą również się na tym skupiała. Główny problem tkwił w tym, że jakakolwiek koncepcja musiała zakładać małą teorię spiskową – twierdzić, że Angelika kłamie, to twierdzić, że to wszystko zostało ustawione, a Awita wrobiono. Żaden sąd tego nie łyknie, nie bez dowodów, których nie mieli.

– Policja ruszyła twoim tropem? – zapytała.

– Nie.

– Przecież miałeś dać im poniuchać Tatara i wskazać kierunek tropienia.

– Kiedy byliśmy pewni, że jest na Białorusi – odparł pod nosem aplikant. – Teraz nie ma to sensu. Co im powiem? Dzień dobry, to znowu ja, donoszę, że Sakrat jest gdzieś w Polsce?

– Możemy zostać przy tropie białoruskim.

Uniósł brwi.

– Chcesz celowo wprowadzić w błąd organy ścigania? – zapytał.

– Schlebiasz mi samym pytaniem.

– Zastanów się nad tym dwa razy.

Zastanawiała się. Wysłanie policji w pościg za Tatarnikowem stanowiło idealny wybieg medialny, ale przy działach, które wytoczył Kosmowski, wieść zginie gdzieś pod tonami innych informacji. Mimo okazywanej butności Chyłka była gotowa przyznać, że stracili inicjatywę.

Przez kilka chwil w pomieszczeniu panowała cisza. Żadne z nich nie chciało wdawać się w dalsze dyskusje. Nie było sensu ryzykować, wodząc policję za nos.

– Załóżmy, że ona kłamie – odezwał się w końcu Oryński.

– Cały czas staram się to zakładać. Choć mimo ogólnej niechęci do niej trudno mi samej w to uwierzyć.

– Ale załóżmy...

– Zordon, błagam cię – zaoponowała. – Wiem, że chcesz wierzyć w niewinność klienta, ale na tym etapie powinieneś już naprawdę zmierzyć się z rzeczywistością.

– Nie. Wiem, że to zrobił.

Zamilkła, zdziwiona.

– Chodzi mi o to, byśmy spróbowali ułożyć wiarygodną teorię spiskową.

– Wierz mi, próbowałam. Ci sędziowie to nie idioci, musielibyśmy mieć cokolwiek na poparcie takich tez.

Jeszcze przez moment prowadzili płonną dyskusję, po czym Kordian podniósł się i podszedł do okna. Zaklął cicho pod nosem i wyjrzał na parking. Chyłka przez moment rozważała, czyby nie podnieść go na duchu, ale uznała, że byłoby to w najlepszym wypadku niezręczne.

– Nie maż się – powiedziała zamiast tego. – Nieraz jeszcze dostaniemy po dupie.

– Wiem... ale żeby w taki sposób?

– Równie parszywy jak każdy inny.

– Zostaliśmy perfidnie wycyckani.

– Formalnie rzecz biorąc, ty zostałeś – sprostowała z bladym uśmiechem. – Ja w tym czasie dopiero wybudzałam się ze śpiączki.

Przysiadł po drugiej stronie łóżka i również posłał jej uśmiech. Oboje wiedzieli, że nawet najlepszy prawnik nie byłby w stanie zaradzić gnojowi, jaki spadł na nich po rewelacjach Angeliki.

Przez chwilę patrzyli na siebie, jakby dopiero zobaczyli się po długiej rozłące. Joanna poczuła się nieswojo, ale nie odwróciła wzroku. Złożyła to na karb tego, że lekarze nadal pompują w nią niepoważne ilości leków. Miewała zamroczony umysł i czasem potrzebowała godziny lub dwóch, by dojść do siebie po przebudzeniu.

Kordian poruszył się nieznacznie i dopiero teraz zauważyła, że przesuwając dłoń w kierunku jej ręki.

– Co ty odpierniczasz? – zapytała.

– Co?

Wycofał się szybko i zmieszał.

– Tamten incydent chyba dał ci błędne wyobrażenie o czymś.

Trudno było wyrazić to bardziej pokrętnie. Chyłka była z siebie zadowolona.

– Incydent?

– Ten ze smyrnięciem się rękoma.

Oryński otworzył szeroko oczy i widziała, że ma ochotę poderwać się z łóżka i opuścić pokój. Mimo to został, a jego rosnące skonfundowanie przynosiło jej wiele satysfakcji.

– To było... – zaczął.

– Przypadkowe, niecelowe i nic nieznaczące – dopowiedziała. – Tak?

– Dokładnie tak.

– Więc dlaczego prowadzisz na moim łóżku podchody?

– Ja tylko...

– W dodatku śmierzisz papierosami – dodała. – Co podwójnie działa mi na nerwy, bo nie sądziłam, że kiedykolwiek powiem komuś coś takiego. Nie znasz instytucji gumy do żucia?

– Znam. Wymyślili ją starożytni Aztekowie i...

– Więc wsadź czasem do gęby jakiegoś orbita – ucięła. – Przynajmniej przed przyjściem tutaj. Zamierzałeś smalić cholewki, a jak by przyszło co do czego, to co byś zrobił? Z tym nikotynowym oddechem nie mógłbyś liczyć na wiele.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Tak czy owak, nie mogę.

– Święte słowa – poparła go. – Zapamiętaj to sobie. A teraz szoruj stąd, muszę chwilę pomyśleć.

– Nad naszym hipotetycznym romanssem?

– Nad sprawą, głąbie. Wyjdz.

Odprowadziła go wzrokiem, a on zatrzymał się w progu i obrócił jeszcze przez ramię.

– Bierz przykład z Angeli – powiedział, uśmiechając się. – Ona przewartościowała wszystko po wypadku. Ty też powinnaś.

– Tak?

– Pewnie – odparł, opierając się o futrynę. – Mogłabyś na przykład stwierdzić, że nie warto zaprzepaszczać tego, co mogłoby nas połączyć, tylko dlatego, że wiąże nas stosunek określony przez Prawo o prokuraturze i Naczelną Radę Adwokacką.

– Wychodzisz?

– Chciałem jeszcze coś dorzucić, ale skoro...

– Wróc jak zmartwiejesz, Zordon – rzuciła, a potem obróciła się na bok i uśmiechnęła. Musiała skurczybykowi przyznać, że potrafi nieco podreperować jej nastrój. Choć tak czy inaczej miała przed sobą niezbyt optymistyczną perspektywę. Teraz musiała pochylić się nad tym, jak wygrzebać ich z głębokiego bagna, w którym się znaleźli.

Głowiła się pół dnia, jednak nie wpadła na nic, co dałoby choć cień szansy na zwycięstwo. Kiedy zjawił się lekarz, powitała go swoim firmowym wyrazem twarzy.

– Jak dziś samopoczucie? – zapytał.

– Perfidne.

– A więc wszystko po staremu.

Joanna otaksowała wzrokiem mężczyznę w białym kitlu. Podczas gdy sprawdzał odczyty aparatury, zaczęła zastanawiać się nad tym, jak sam jego strój sprawia, że pacjent jest gotowy mu zaufać. Przemknęło jej przez myśl, że wraz z Zordonem mogą wygrać tę sprawę jedynie dzięki pozorom. Bez umiejętnej manipulacji polegną na całej linii, bo każdy pojedynczy dowód przemawia na ich niekorzyść.

Normalnie Chyłka by się tym nie przejmowała. Jednak teraz, gdy była przykuta do łóżka i cały sofistyczny trud spoczął na barkach Oryńskiego, czuła niepokój.

– Jakby co, proszę wzywać pielęgniarkę – mruknął pod nosem lekarz.

Chyłka wiedziała, że „jakby co” oznacza potrzebę fizjologiczną. Zignorowała tę cenną radę i wbiła wzrok w oczy mężczyzny.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Słucham?

Przewróciła oczami, nie mając zamiaru się powtarzać.

– Doktor Kiedrzycki – powiedział.

– Więc posłuchaj mnie, doktorze Kiedrzycki. Za trzy dni mam rozprawę w sądzie.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Na pewno znów będą transmitować – zapewnił.

– Nie rozumiesz mnie.

Widząc upór rysujący się na jej twarzy, w mig zrozumiał.

– Nie ma mowy – odezwał się, zanim wyartykułowała myśl. – Nie wyjdzie pani stąd przynajmniej przez dwa tygodnie.

– Nonsens. Wyjdę w przeddzień posiedzenia sądu.

– Nie.

– Oczywiście, że tak – oznajmiła ze spokojem. – Potrzebuję tylko wózka. NFZ refunduje takie barachło?

– Nie ruszy się pani stąd.

– Jesteś w ogromnym błędzie, doktorze Kiedrzycki. I odpowiadaj na pytania, kiedy zadaje ci je pacjentka, która przy okazji jest prawnikiem.

Pokręcił głową, a potem ruszył w kierunku korytarza.

– Hej! – krzyknęła Joanna i poczuła, jakby klatka piersiowa miała pęknąć jej na pół. – Co z tym wózkiem?

Nie odpowiedział, ale nie miało to żadnego znaczenia. Chyłka podjęła już decyzję. Nie będzie czekała do przedednia rozprawy.

Gdy Kordian odwiedził ją następnego dnia, kazała mu przygotować wszystkie dokumenty pozwalające na dobrowolne opuszczenie zakładu opieki zdrowotnej. Na początku aplikant protestował, potem upewniał się dziesięć razy, a w końcu dał za wygraną. Niczego innego zresztą się nie spodziewała.

Ostatecznie posadził ją na pożyczonym przez szpital wózku i wprowadził do wynajętego niskopodłogowego busa, który miał służyć jej przez najbliższy czas jako środek transportu.

– Wyglądasz jak śmierć – oznajmił, gdy ruszyli w kierunku gościńca.

– I o to chodzi, Zordon.

– Hę?

– Zaczynamy grę pozorów.

– Nie rozumiem.

– I gwarantuję ci, że dwóch sukinsynów znanych ci jako Aronowicz i Kosmowski również nie będzie rozumiało – powiedziała z naciskiem. – Koniec pomiatania kancelarią Żelazny & McVay. Przystępujemy do kontraktaku.

– I jak mamy zamiar go wyprowadzić?

– Kultywując najszlachetniejsze tradycje naszej firmy.

– Będziemy łączyć, przeinaczać fakty, naginać prawdę, stosować manipulacje i zastraszać ludzi?

– Lepiej bym tego nie ujęła.

Kierowca busa obejrzał się przez ramię i uśmiechnął. Wiedział już, że przez najbliższe dni będzie wykonywał same ciekawe kursy.

Właściciele gościńca udostępniili ledwo żywej prawniczce apartament na parterze. Kordian z trudem wprowadził wózek na korytarz, po czym stanął przed nie lada problemem. Wózek nie mieścił się w progu apartamentu.

– Muszę własnoręcznie cię przetransportować – zauważył.

– Będziesz musiał robić dużo więcej, mój drogi.

– Co takiego?

– Na razie zajmij się niesieniem swej sułtanki.

Rozejrzał się, a potem odchrząknął i zablokował kółka wózka. Stanął z boku, pochylił się, po czym wsunął ręce pod uda Chyłki. Poczuł przyjemną miękkość, a gdy ją lekko uniósł – mięśnie. Nawet po tak długiej znajomości nie wiedział, jaki sport uprawia – nie miał jednak wątpliwości, że jakiś musi.

Wszystko, co robiła poza murami kancelarii, zachowywała dla siebie. Kiedy któregoś dnia siedział przy jej łóżku, myślał o tym, ile naprawdę o niej wie. Słuchała Iron Maiden, niespecjalnie lubiła książki J.K. Rowling, gdy Brytyjka nie pisała o Harrym Potterze, a oprócz tego pochłaniała mięso, jakby nic innego na świecie nie było godne spożycia. To mniej więcej wszystko.

Kiedy założyła mu ręce za kark, natychmiast przestał o tym myśleć.

– Nie wiem, czy się utrzymam – zapowiedziała. – Asekuruj.

Była słaba jak mucha, więc Oryński wątpił, że w jakikolwiek sposób mu pomoże. Podniósł ją, a ona przyłgnęła do niego, jakby wisiała na krawędzi urwiska. Poczuł przyływ podniecenia i skarcił się za to w duchu. Starając się zachować spokój, przeniósł ją przez próg.

– Jedna uwaga o tym, co się aktualnie dzieje, a urżnę ci ożór.

– Rozumiem.

Położył ją na łóżku, a potem wysunął ręce. Nieopacznie jego dłoń trafiła na jej pośladek. Zaklął w duchu, mając nadzieję, że tego nie poczuła. Kiedy na nią spojrział, przekonał się, że była to żłudna nadzieja.

Wskazała na jego krocze.

– Zordon.

– No co?

– Jesteś podniecony.

Przełknął ślinę, a potem czym prędzej poszedł odstawić wózek na bok.

– Czasem pałam do ciebie czystą nienawiścią – burknął zza progu.

– Tak, właśnie widziałam tę nienawiść.

– Wypadek przy pracy.

– Aha.

Wszedł z powrotem do apartamentu i zamknąwszy za sobą drzwi, ruszył do aneksu kuchennego. Apartament składał się tylko z jednego pokoju, ale dość przestronnego. Łazienka przywodziła na myśl najlepsze warszawskie hotele, a na werandzie śmiało można było urządzać imprezy.

– Napiłabym się czegoś – odezwała się Chyłka. – Bądź tak łaskaw i podaj mi coś z lodówki.

– Czerpiesz z tego satysfakcję, prawda?

– Tak, spełniły się moje marzenia, Zordon. Zawsze chciałam wiedzieć, jak to jest, kiedy jest się niepełnosprawnym.

– Nie jesteś niepełnosprawna.

– Ale efekt jest podobny. Tak czy inaczej, podaj mi piwo.

– Nie możesz pić alkoholu.

– Niech będzie bezalkoholowe.

– Nie ma.

– W sklepie jest.

– Chyba sobie żartujesz...

– Słuchaj – ucięła. – Chcesz utrzymać swoją patronkę w dobrym stanie, musisz zapewnić jej stałą dostawę trunku, bez którego trudno jej się funkcjonuje. Muszę naoliwić umysł, a to potrafi tylko chmiel.

Staął przed łóżkiem i skrzyżował ręce na piersi. Spojrzał na nią z góry w oczekiwaniu, aż zmieni zdanie. Po chwili zmitygował się, że nawet jeśli przejdzie jej ochota na piwo, nie odpuści. Teraz była to już kwestia honoru.

– Nie chciałem tego mówić, biorąc pod uwagę naszą zawodową relację, ale po piwie będziesz sikała jak szalona.

– Rzeczywiście, takie uwagi nie przystoją aplikantowi.

– Sytuacja mnie do tego zmusiła.

– Ale nie wzięłaś pod uwagę tego, że to nie moje zmartwienie.

– Nie?

– Oczywiście, że nie – odparła z uśmiechem. – Przecież oboje wiemy, że będę potrzebowała pomocy.

Rozplótł ręce i opuścił je wzdłuż ciała. Pokręcił głową, jakby starał się zakłamać rzeczywistość.

– Co to, to nie – zaproponował.

– Mam zatrudnić opiekunkę?

– Tak.

– Nie ma na to czasu, zresztą kto wie, gdzie jest najbliższe siedlisko pielęgniarek.

– Przecież ty...

– Przetransportujesz mnie tylko do łazienki, Zordon, potem poradzę sobie sama – powiedziała z niemalającym uśmiechem. – Nie bądź taką ciapą.

– Nie jestem.

– W takim razie bierz swoje rzeczy i wprowadzaj się.

– Ja?

– A kto? – zapytała, układając się wygodniej na łóżku. – Nie mów, że o tym też nie pomyślałeś. Wzięłam apartament, bo będziesz mi towarzyszyć na wypadek, gdybym miała odwalić kitę.

– Nie, to już...

– Cicho – ucięła. – I zanim pójdziesz po piwo, przynieś mi akta sprawy.

Właściwie powinien się tego wszystkiego spodziewać. Zniósł z pietra całą dokumentację, a potem rozłożył ją na łóżku. Czując na sobie ponaglący wzrok Joanny, opuścił hotel i ruszył na poszukiwania piwa bezalkoholowego.

Kiedy wrócił, Chyłka była w żywiole. Wróciły jej kolory i niemal nie zauważyła, że Kordian pojawił się z zamówionym trunkiem. Otworzył butelkę małego lecha, a potem podał ją patronce, przysiadając na łóżku.

– Szwy ci puszcza, jak będziesz tak się kotłowała z tym wszystkim.

– Mhm.

– Masz coś? – spytał z nadzieją.

– Jedno wielkie gówno – odparła, przesuwając jedną z kartek.

Oryński wstał i poszedł po prawdziwe piwo dla siebie. Resztę schował do lodówki, a potem wrócił do prowizorycznego centrum dowodzenia. Mimo tego, co twierdziła, wyglądało na to, że Joanna ma jakąś koncepcję. A może po prostu inaczej znosili bezsilność. On podupadał na duchu, ona brała los w swoje ręce.

W końcu odgięła się na łóżku i oparła o wezglowie. Powiodła wzrokiem na boki, po czym zlokalizowała butelkę lecha free. Pociągnęła łyk i jęknęła.

– Pyszne.

– Znam wiele przymiotników na określenie bezalkoholowego piwa, ale „pyszne” nie jest jednym z nich.

– Nie pij przez jakiś czas, zobaczysz, o czym mówię.

– Wolałbym wiedzieć, co z tym – odparł, zataczając ręką krąg nad materiałami.

Joanna westchnęła, a potem wskazała na wydruk z systemu firmy ochroniarskiej.

– To wciąż nasz największy problem.

– Angelika jakoś go przewyciężyła.

– Ale my nie – odrzekła Chyłka. – To pieprzony dymiący pistolet w ręku Szlezyngiera.

Oryński w zadumie zawiesił wzrok na dokumencie.

– Żeby sprzedać sądowi jakąkolwiek teorię o jego niewinności, musimy dowieść, że dziecko było w domu po dziewiętnastej.

– Hę?

Joanna obróciła do niego głowę.

– Zabawmy się w naiwnego Zordona – zaproponowała.

– Świetnie – odbąknął Kordian.

– Wyobraź sobie, że jesteś cielecym aplikantem, który wierzy, że w każdym z nas drzemie pierwiastek dobroci.

– Nie jestem pewien, czy mnie obrażasz, czy komplementujesz.

– Cicho, słuchaj – zestrofowała go. – Wczuj się w rolę.

– Wczuwam się – odparł i pociągnął łyk piwa. Chciał sięgnąć po paczkę marlboro, ale szybko stwierdził, że tym samym sprawiłby, że i tak ledwo żywa Chyłka zafundowałaby sobie nikotynowy strzał.

– Jako ten frajer-pompka jesteś przekonany, że twój klient jest niewinny, tak?

– Nie jestem jakimś gorącym zwolennikiem tego określenia.

Joanna go zignorowała.

– Wierzysz, że Awit nie ma nic wspólnego ze zniknięciem swojej córki. I w takim razie musisz mieć innego winnego na celowniku. Skoro żona kłamie w tej sprawie, to jest oczywistym wyborem.

– No tak.

– Dla sądu taka sytuacja jest skomplikowana. Ma słowo przeciwko słowu, chyba że dołożymy do tego obustronne alibi. Alarm włączony o dziewiętnastej.

– Mhm.

– Żona zbija alibi męża. Mówi, że wyniósł ciało wcześniej, ona została zastraszona i tak dalej.

Wszystko to znasz aż za dobrze.

– Niestety.

– Więc zbij teraz alibi żony. Wróć do punktu wyjścia.

Oryński podrapał się po głowie. Z tego punktu widzenia trudno było być naiwnym aplikantem, frajerem-pompką. Sprawa była oczywista. O ile Angelika mogła twierdzić, że milczała, bo Awit ją zastraszył, o tyle Szlezyngier nie mógł zrobić tego samego wybiegu. Jeśli zrzuciłby winę na nią, nie

miałby czym tego poprzeć – ani jak wytłumaczyć swojego milczenia.

– Kłóć się – ciągnęła Joanna. – Awit ją popycha, ale Angela nie trzyma dziecka. Co się dzieje dalej?

Dlaczego to ona miałaby zabić własną córkę?

– Nie mam żadnego pomysłu.

– To beznadziejnie – odparła Chyłka. – Tym bardziej, że Szlezyngier zeznał, że widział dziecko po tym, jak włączył alarm.

– Ona też tak zeznała.

– I teraz to cofa, bo była zastraszona.

Kordian niechętnie musiał przyznać, że najprawdopodobniej to Danielowi Kosmowskiemu trafił się niewinny klient. Nie obwinał się, bo nawet przy najzręczniejszej manipulacji nie byłby w stanie zapewnić kancelarii Żelazny & McVay reprezentowania kobiety – od wypadku patrzyła na niego tak nieprzychylnie, że nie było sensu się łudzić.

– Może razem zabili małą? – podsunął.

Chyłka przez chwilę milczała, przyglądając się niewielkiej butelce.

– To jedyna logiczna opcja.

– Więc pójdziemy tym torem?

– Dopóki nie mamy innego, tak.

– Ale w jaki sposób?

– Wykażemy, że dziecko było w domu po dziewiętnastej.

– I jak mamy zamiar to osiągnąć?

– Tego jeszcze nie ustaliłam.

– Ale rozumiem, że to kwestia czasu?

– Pewnie, pewnie – odparła Joanna i pociągnęła łyk. Skrzywiła się przy tym, jakby podnosiła sztangę, a nie niewielkiego lecha. Podała butelkę Kordianowi, a ten szybko przejął ciężar.

– Słabizna z ciebie – powiedział.

– Zordon – zaczęła pobłażliwie. – Gdybyś ty uczestniczył w takim wypadku, dawno wylewałabym krokodyle łzy przy twojej mogile.

– Świetnie. Zawsze wiesz, jak napełnić moje serce radością.

Uśmiechnął się, próbując nie myśleć o tym, że sam sprowadził na nią taki los. Nie musiał dzwonić do niej tamtej nocy, nie musiał prosić jej, by po niego przyjechała. Co więcej, mógł zaproponować, jak tylko zorientował się, że jest pijana i będzie musiała znaleźć kierowcę. Wszystkiemu można było zapobiec. Wystarczyłaby odrobina przezorności.

Spojrzał na rozłożone dokumenty i zastanowił się, czy ślęczeliby nad nimi, gdyby do wypadku nie doszło. Pewnie nie, uznał. Angelika nie doznałaby olśnienia na sali sądowej, a nawet jeśli, to Chyłka szybko by sobie z nią poradziła, obalając takie zeznanie.

– Co się tak zamyśliłeś? – odezwała się patronka.

– A tak jakoś...

– Obarczasz się winą?

– W pewnym stopniu.

Joanna uniosła wzrok i przez moment patrzyła na niego w milczeniu, jakby przyglądała się dziwnemu, niespotykanemu okazowi.

– I prawidłowo – powiedziała w końcu. – Dałeś ciała na całej linii.

– Dzięki.

– Ale będziesz miał szansę, by się zrehabilitować. Musisz tylko wymyślić sposób, by udowodnić, że Awit nie zabił swojej córki.

Kordian pokiwał głową, a potem obrócił jeden z dokumentów do siebie i zaczął czytać go po raz enty. Miał wrażenie, że zna je wszystkie na pamięć.

8

Następnego dnia w samo południe Kosmowski zwołał kolejną konferencję prasową. Oryński właśnie ułożył Chyłkę na łóżku po wizycie w łazience, kiedy na antenie NSI ukazał się zadbany mężczyzna regularnie odwiedzający solarium.

– Wygląda na to, że będziemy spotykać się codziennie aż do rozprawy – rzucił luźno do dziennikarzy, jakby nie wiedział, że kamery już kręcą. Potem uśmiechnął się do kogoś w pierwszym rzędzie, zaczerpnął powietrza i spojrzał w obiektyw.

– Sukinsyn mógłby kandydować do sejmu – oceniła Joanna.

Kordian przysiadł na łóżku i dał głośniejsze.

– Szanowni państwo – podjął Daniel. – Wiem, że batalia prawna rozgrywa się nie tylko na sali sądowej i nie tylko w ramach obowiązującego prawa. O ile z pierwszym mogę się zgodzić, o tyle drugie jest dla mnie niedopuszczalne. Nie wyrażam zgody na to, by naruszać powagę procesu poprzez medialne wybiegi.

Prawnicy spojrzeli po sobie.

– Co on pieprzy? – zapytała prawniczka.

Oryński zmrużył oczy, obserwując przeciwnika, który mógł okazać się groźniejszy od tego formalnie będącego stroną przeciwną w postępowaniu.

– Chyłka... – zaczął słabo Kordian.

– No?

– On stoi przy naszym motelu.

– Co ty mówisz? – zapytała mimowolnie, przyglądając się temu, co stanowiło tło dla ulizanego gnojka. Nie miała czasu dokładnie obejrzeć okolicy, ale Zordon mógł mieć rację.

– W tym gościńcu zatrzymało się dwoje obrońców Szlezyngiera – dodał adwokat. – Tak się składa, że pokój wynajmują tu również moi asystenci. – Zrobił pauzę, by wzmocnić wypowiedź. – Zrobili komórką kilka zdjęć, które mogą państwa zainteresować.

Daniel obrócił się do jednej ze swoich współpracowniczek. Ta podała mu parę cyfrowych wydruków, tak by żadna z kamer nie mogła od razu uchwycić, co widnieje na fotografiach. Kosmowski westchnął, a potem podniósł pierwszy z nich.

– Jak niektórzy z państwa wiedzą, obrończyni Szlezyngiera miała wypadek. Wypadek, podczas którego odniosła rzekomo obrażenia zagrażające życiu.

Kordian spojrzał na Chyłkę, ale ona nie odrywała wzroku od telewizora.

– Tutaj widzą państwo, jak jest prowadzona na wózku przez swojego współpracownika z kancelarii. Bardzo poruszający widok, prawda? Oto pani mecenas prezentuje prawdziwe oddanie swojej pracy. Nie chce zostać w szpitalu, nie da upoważnienia do prowadzenia sprawy aplikantowi, będzie sama broniła swojego klienta w sądzie, choćby miała tam dostać zapaści.

Joanna spojrzała w okno, starając się dojrzeć dziennikarzy. Musieli ustawić się gdzieś z boku, choć nie miała wątpliwości, że gdy tylko ten cyrk się skończy, podejną pod samo okno. Daniel nie zwołał tej konferencji z byle powodu. Miał coś mocnego.

– Początkowo pomyślałem sobie: „nieźle, twarda z niej sztuka”. I zaraz potem naszło mnie, że

naprawdę współczuję oskarżycielowi, którzy będzie musiał mierzyć się z nią w sądzie. Nie tylko dlatego, że wydaje się niezniszczalna, ale także dlatego, że prowadzenie sprawy na wózku da jej świetną pozycję wyjściową. Nie przypuszczałem, że to wszystko farsa.

Kilku dziennikarzy wystrzeliło z pytaniami, ale Kosmowski uspokoił ich ruchem ręki.

– Oto kolejne zdjęcie – dodał, unosząc fotografię. – Widzicie państwo, jak współpracownik pani mecenas wnosi ją przez próg do pokoju. Śmieją się i żartują, co nie jest niczym dziwnym, biorąc pod uwagę okoliczności.

Oryński wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Spokojnie – rzuciła Joanna.

Kordian złapał za klamkę, ignorując ją.

– Zordon! – zestrofowała go. – Ta konferencja została zwołana tutaj właśnie po to, żebyś wyszedł do nich, pełen emocji i lekkomyślnych zamiarów.

Obrócił się i spojrzał na nią ze złością. Potem bez słowa podszedł i stanął przy łóżku. Kosmowski wciąż trzymał uniesione zdjęcie, na którym dwoje prawników sprawiało wrażenie rozanielonej młodej pary.

– Dlaczego są tak beztroscy? – zapytał retorycznym tonem Daniel. – Ponieważ to wszystko maskarada. Joanna Chyłka nie wymaga opieki, ba! Nie wymaga nawet wózka. Moi asystenci zainteresowali się tym, co widzieli. I zrobili kilka innych zdjęć.

Kosmowski po kolei unosił fotografie Chyłki. Na pierwszym siedziała na łóżku, pochylona nad aktami. Przywodziła na myśl zapracowaną osobę, bynajmniej nie chorą. Potem obiektyw złapał ją, gdy próbowała sama przejść do łazienki. Pamiętała, jaka to była mordęga – uszła tylko kilka kroków, ale zdjęcie zrobiono, gdy postawiła pierwszy z nich. Znowu nie wyglądała na chorą. Na kolejnej fotce siedziała z piwem ręką, potem pociągała łyk, a na ostatnim śmiała się z Zordonem.

– Jeśli tak wyglądają osoby ciężko chore, wypada życzyć wszystkim, by znosili ten stan tak, jak pani mecenas.

Dziennikarze znowu próbowali zadać pytania, ale Daniel nie zamierzał na nie odpowiadać. Miał przygotowany scenariusz, którego nie warto było zaburzać.

– Wiem, że to niepopularne – dodał, patrząc w kolejne obiektywy. – Podawanie w wątpliwość czyjegóż cierpienia nie przysporzy mi punktów w opinii publicznej. Ale niech tym razem zwycięży prawda, a nie marketingowa kalkulacja. – Nabrał tchu i uniósł lekko podbródek. – Proszę państwa, odszedłem z kancelarii Żelazny & McVay właśnie po to, by nie uczestniczyć w tego typu manipulacjach. Wiem o różnych rzeczach, których ta firma się dopuszczała, niestety wiąże mnie podpisana klauzula i nie mogę o nich rozmawiać. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, by rozpocząć dziennikarskie śledztwo.

Po takiej wypowiedzi należało raczej mówić w liczbie mnogiej – „śledztwa”. Reporterzy NSI czy TVN24 nie dadzą się tak łatwo ograć, ale brukowce rzucą się na kancelarię jak hieny na padlinę. Będzie z tego niemały gnój, z bólem przyznała w duchu Joanna.

– I nie pozwolę na to, by w tym przypadku wykorzystywać litość do realizowania swoich celów przed sądem – dodał na koniec Kosmowski, a potem zawiesił głos. Znowu rozbrzmiały pytania, ale on najwyraźniej jeszcze nie skończył swojego show. – Być może zainteresowało państwa to zdjęcie. – Znowu pokazał fotografię, na której Kordian przenosił Joannę przez próg. – Nas również. Gdy tylko to zobaczyłem, poleciłem moim asystentom przyjrzeć się sprawie. To, co odkryli, było druzgocące.

Oryński drgnął, a Chyłka natychmiast złapała go za rękę. Delikatne pociągnięcie wystarczyło, by usiadł na łóżku.

– Łączący tę dwójkę stosunek patronacki jest jasny. Regulują go ustawy i regulaminy, nie wewnętrzne przepisy kancelarii. Gdyby było inaczej, być może przyzwalano by na takie rzeczy...

Asystentka podała mu następne zdjęcie. Na nim widać było, jak Kordian nachyla się nad Joanną, gdy ta leżała na łóżku. Kolejne ukazywało, jak niósł ją do łazienki – choć z tej perspektywy przywodziło to na myśl raczej grę wstępną. Trzymał ją na rękach, ona splótła ręce na jego karku i patrzyli sobie w oczy.

Joanna pamiętała tamten moment. Wypili po dwa piwa, a jej bezalkoholowy lech zdawał się mieć więcej alkoholu niż porządny bock. Oryński niósł ją do łazienki i na moment ich spojrzenia się skrzyżowały. Poczła się dziwnie – jednocześnie bezbrinnie i jakby miała pełną kontrolę nad wszystkim. Poczła jego oddech na swoich ustach i wiedziała, że tylko chwila wystarczyła, by sytuacja zmieniła się w coś więcej. Szybko wytrzeszczyła oczy i ponagliła go, nie pozwalając, by tak się stało. Obiektyw zarejestrował jednak moment zawahania.

– Pozostałe zdjęcia kazałem moim współpracownikom usunąć – zakończył Kosmowski, a potem uniósł dłoń, dziękując tym gestem za przybycie. Ruszył w kierunku samochodu. Został obłożony niczym popularny polityk po wyborach, który już zna skład rządu, ale nie może jeszcze podzielić się nim z opinią publiczną.

Wsiadł do auta, po czym odjechał wraz ze swoimi współpracownikami.

– Zasłoń okna, Zordon – powiedziała nieobecny głosem Joanna.

– Gnida – syknął Kordian, podnosząc się.

Z impetem pociągnął za zasłony, a potem obrócił się do prawniczki.

– Nikt nie łyknie tych bzdur – odezwał się.

– Chyba żartujesz.

– Ci dziennikarze nie są w ciemną bici.

– Oczywiście, że nie – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Większość zignoruje temat, ale ci z magazynów plotkarskich będą mieć używanie.

Przez moment milczeli, nasłuchując. Szybko doszły ich dźwięki z zewnątrz – ekipy telewizyjne najwyraźniej ustawiały się tuż obok, a pierwsi dziennikarze domagali się od właściciela gościńca informacji o dwójce prawników.

– Kurwa mać – mruknął Oryński.

– Musimy też mieć na względzie Naczelną Radę Adwokacką.

– Oberwie się nam?

– A jak myślisz? – zapytała. – Przypuszczam, że romans między patronką a aplikantem nie należy do najwyższych standardów palestry.

Kordian przysiadł na łóżku i zwiesił głowę.

– Wybronimy się z tego – powiedziała. – I Kosmowski dobrze o tym wie.

– Więc po co to wszystko?

– Bo zanim zdążymy wyjaśnić wszystko przed NRA, dawno będzie po procesie.

– Więc co zrobimy?

– Zostawimy tę sprawę w spokoju. To tylko dodatek. Najbardziej zależało mu na tym, by zdyskredytować naszą reputację. Teraz jesteśmy dwójką niemoralnych kauzyperdów, którzy wykorzystują mój rzekomy stan, by wzbudzić politowanie.

– Wezwiemy lekarza, który...

– Gdzie chcesz go wezwać? Nie ma żadnej sprawy, w której miałby zeznawać. Chyba że wytoczę temu ulizanemu gnojowi proces cywilny.

– Czego zrobić nie zdążysz.

– Otóż to – przyznała. – Politycy w czasie kampanii wyborczej mają swój przyspieszony tryb rozpatrywania spraw, nam też przed rozprawami przydałoby się coś podobnego.

– Tak czy inaczej, możemy zwołać swoją konferencję. Ośmieszymy go.

Chyłka nie była pewna, jaki byłby efekt takiego posunięcia. Po pierwsze, tylko winny się tłumaczy. Po drugie, udowadniając, że naprawdę jest chora, stworzyłaby dokładnie takie wrażenie, o jakim mówił Kosmowski – że próbuje zagrać na litość.

Wyjaśniła to aplikantowi, a on musiał przyznać jej rację.

– Nie ma sensu kopać się z koniem – podsumowała. – Ale milczenie może zadziałać na naszą korzyść. Jeśli pojawię się w sądzie na wózku, nie wyjaśniając niczego, będzie to wymowniejsze od dziesięciu konferencji.

– W porządku.

– Muszę tylko zabrać ze sobą jakieś argumenty.

– Dobry pomysł.

– Masz coś?

Oryński obrócił się do niej i mogła z jego twarzy wyczytać, że noc spędził zupełnie bezowocnie. Po prawdzie, ona też. W materiałach dowodowych nie było niczego, co mogłoby im pomóc.

– W takim razie idziemy na żywioł – oznajmiła.

Nic nie odpowiedział, a gdy na niego spojrzała, przekonała się, że wbija wzrok w ekran telewizora. Chyłka również tam popatrzyła i zdębiała. Dziennikarz NSI stał przed budynkiem prokuratury okręgowej w Suwałkach, relacjonując widzom wszystko to, co na konferencji prasowej powiedział Kosmowski.

– Razem to zaplanowali – powiedział cicho Oryński, gdy kamera uchwyciła wychodzącego z budynku Aronowicza. Zrobiono zbliżenie, a do prokuratora podeszła kobieta w żakiecie, niewątpliwie pracownica stacji. Powiedziała kilka słów, a potem wskazała w kierunku obiektywu. Oskarżyciel jakby przez moment się zastanawiał, ale ostatecznie ruszył ku kamerze.

– Pograży nas – dodał Kordian.

– Uspokój duszę.

– Nie widzisz, co się dzieje? To wszystko...

– Widzę, Zordon.

Zbigniew Aronowicz zatrzymał się obok dziennikarza i nie sprawiał wrażenia, jakby czerpał z tej sytuacji choćby minimum satysfakcji. Wręcz przeciwnie, na jego obliczu rysowały się smutek i rozczarowanie. Reporter szybko go zapowiedział i na pasku na dole ekranu pojawiło się imię, nazwisko i zajmowana funkcja. Technik w studiu mógł trochę poczekać, wyszłoby naturalniej. W ten sposób ujawnił, że miał te informacje już wcześniej.

– Panie prokuratorze, oglądał pan konferencję prasową obrońcy Angeliki Szlezyngier?

– Nie nazwałbym tego konferencją – odparł niemal z obrzydzeniem w głosie Aronowicz.

– W takim razie czym?

– Wystąpieniem. Czy też może raczej przedstawieniem.

Oryński był zaskoczony rezerwą prokuratora, Chyłka bynajmniej.

– Nie pochwalam takich pozasądowych zagrywek – dodał.

– Więc uważa pan, że mecenas Chyłka nie pozoruje choroby?

– Nie mnie to oceniać. I obrońca Angeliki Szlezyngier również nie powinien tego robić.

– Jednak tych dwoje z pewnością nie jest nieskazitelnych.

– Z pewnością – przyznał oskarżyciel i głęboko westchnął, jakby sam zmagął się z jakimś problemem.

– Ostatnimi czasy zwrócono moją uwagę na przeszłość pana Oryńskiego, która jest cokolwiek wątpliwa. Podobnie jednak jak w przypadku pani mecenas, nie mnie to oceniać.

– Czy mógłby pan powiedzieć więcej? – zapytał reporter, podsuwając mikrofon.

– Przykro mi, ale nie. Jesteśmy w trakcie procesu, proszę to uszanować.

Dziennikarz skinął głową, a prokurator podziękował i ruszył w kierunku parkingu. Joanna sięgnęłaby

po pilota i wyłączyła tę błazenadę, ale był zbyt daleko. Spojrzała na Kordiana, który trwał w zupełnym bezruchu.

Oberwali podwójnie. I były to uderzenia tak mocne, że nie powinni podnosić się z maty.

– Zordon – powiedziała.

Nadal sprawiał wrażenie, jakby znalazł się w innym świecie.

– Wyłącz to cholerstwo.

– Nie – odparł, słuchając, jak reporter podsumowuje wszystko, co usłyszeli, i powtarza pytania, które pojawiły się po krótkiej wypowiedzi prokuratora.

– Wyłączaj.

– Zrobili z ciebie manipulankę, która jest w stanie wykorzystać wózek dla własnych celów.

– I kobietę, która wykorzystuje swojego aplikanta. Coś jeszcze?

– A ze mnie faceta, który.. – dodał, jakby jej nie słuchał, po czym zawiesił głos i pokręcił głową. – Za dwie godziny będziemy duetem najbardziej znienawidzonych prawników w kraju.

– Wiem.

Chyłka doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co miał na myśli Aronowicz. Pamiętała, jak Kordian przy sprawie Langer'a opowiedział o tym, jak umarła jego matka. Wystarczyło dotrzeć do starego Oryńskiego – zapewne chętnie podzieli się z dziennikarzami swoimi wątpliwościami co do syna.

Nie to było jednak najgorsze. Przy sprawie Langer'a Kordian był zmuszony uchybić swoim obowiązkom. Kancelaria Żelazny & McVay nie wytoczyła mu sprawy, sam Langer również nie miał zamiaru tego robić. Naczelna Rada Adwokacka wiedziała o przewinieniu, ale ponieważ za Oryńskiego poręczyli imienni partnerzy, nie otrzymał nawet nagany.

Teraz to wszystko wypłynie, jeszcze przed procesem. Wchodząc na salę sądową, będą postrzegani jako oskarżeni, a nie obrońcy.

– Co teraz? – zapytał Kordian.

Nie miała dla niego dobrej odpowiedzi.

9

– Otwieram rozprawę przed sądem okręgowym w Suwałkach – oznajmił ciężko sędzia.

Kordian ustawił wózek Chyłki obok siebie. Rozważali, czy nie lepiej będzie, jeśli Joanna przesiądzie się z niego na ławę, ale ostatecznie doszli do wniosku, że byłoby to odebrane jako ugięcie się pod presją Kosmowskiego.

Kiedy przewodniczący przystąpił do informowania zgromadzonych o tym, jaka sprawa będzie rozpatrywana, Oryński obrzucił wzrokiem przeciwnika. Aronowicz jak zawsze siedział pochylony nad swoimi materiałami i tylko od czasu do czasu unosił oskarżycielsko wzrok.

Przystąpiono do odczytywania listy obecnych osób, a gdy przyszła kolej Joanny, sędzia wspaniałomyślnie pozwolił jej się nie podnosić. Nie był zadowolony, że trafiła mu się ta sprawa – i trudno było się dziwić. Po wczorajszej hucpie wszyscy znaleźli się na świeczniku. Jeśli sędzia pomylił się podczas wyrokowania, zawodowo nic mu nie grozi – Konstytucja gwarantuje mu pełną niezawisłość – ale trudno mu będzie po tym odbudować renomę. Z drugiej strony, nie była to jedna z tych spraw, przy których sędzia mógł stać się bohaterem opinii publicznej, skazując jakąś bestię na najwyższy wymiar kary. Korzyści były marne, a ryzyko duże.

W przypadku Oryńskiego trudno już było mówić o ryzyku. Oberwał w mediach na tyle mocno, że nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek chciał go zatrudnić po przegranym procesie. Wygrana na tym etapie też niespecjalnie by mu pomogła.

Chyłka znajdowała się w nieco lepszej sytuacji, ale oboje byli postrzegani jako gnidy, które bronią innej gnidy. Aplikant widział, jak patrzyli na nich dziennikarze, gdy wchodzili na salę rozpraw.

– Czy strony składają wnioski procesowe, które mogą wpłynąć na bieg dzisiejszej rozprawy? – zapytał leniwie sędzia.

– Nie – odparł Aronowicz, unosząc się lekko.

Chyłka również zaprzeczyła.

Liczyli na to, że do tej pory uda się odnaleźć Sakrata Tatarnikowa lub Antoniego Ekiela, jednak wszelki ślad po nich zaginął. Wito znalazł trop prowadzący w głąb kraju, ale na tym jego wiedza się kończyła. Uciekinierzy mogli na dobrą sprawę być już na drugim końcu Polski.

Kordian spojrzał na ich klienta. On także nie miał już żadnej nadziei na ratunek. Widział, co działo się w mediach – i jeśli ktokolwiek zdawał sobie sprawę z prawdziwej potęgi czwartej władzy, to właśnie biznesmen. Formalnie media nie miały wpływu na wyrokowanie, ale presja opinii publicznej była wyraźna.

Oryński obawiał się, że dojdzie między nimi do scysji tuż przed rozpoczęciem ostatniej rozprawy. Na miejscu Szlezyngiera podziękowałby prawnikom, którzy wpędzili go w jeszcze większe kłopoty. Mimo to Awit powitał ich wymuszonym, aczkolwiek uprzejmym uśmiechem, a potem bez słowa ruszył do sali.

Rozprawę rozpoczęto od przesłuchania Angeliki. Na trzęsących się nogach podeszła do mównicy, a potem wsparła się o nią, jakby bez tego miała upaść.

– Staje świadek Angelika Szlezyngier. Lat trzydzieści dziewięć, obecnie bezrobotna. W stosunku do oskarżonego: małżonka – oznajmił przewodniczący, po czym spojrzał na prokuratora. Ten kiwnął głową i powoli się podniósł.

Nie było wiele rzeczy, o które obie strony mogły zapytać Angelę. Złożyła obszernie wyjaśnienia, które zostały włączone do akt, a to wraz z jej poprzednimi zeznaniami w zupełności wystarczało do oglądu sprawy. Mimo to Chyłka wezwała ją na świadka.

– Nakreśliła już nam pani wszystko dość dokładnie – zaczął Aronowicz. – Brakuje mi tylko jednego elementu.

Oryński obejrzał się przez ramię i wśród publiczności dostrzegł Kosmowskiego. Nie miał wątpliwości, że obaj przygotowali Angelikę do tego przedstawienia. Jakby na potwierdzenie tej myśli Daniel mrugnął do niego.

– Zastanawiam się, co robiła pani między momentem, gdy oskarżony dokonał czynu, a momentem, gdy ukrył ciało.

Kobieta poruszyła się nerwowo i wbiła wzrok w blat mównicy.

– Nie potrafię wyczerpująco odpowiedzieć na to pytanie – powiedziała.

Sędzia przewodniczący westchnął.

– Dlaczego? – zapytał prokurator.

– Byłam w szoku. Nie rozumiałam, co się dzieje – wyjaśniła drżącym głosem Angela. – Chwilę wcześniej trzymałam na rękach moją córeczkę, a zaraz potem... – Urwała i pokręciła głową. – Nigdzie jej nie było. Pamiętam, że siedziałam na podłodze i płakałam, nie wiedząc, co robić dalej.

– Nie przeszło pani przez myśl, żeby zadzwonić na policję?

– Nie – odparła bez zastanowienia. – Nie rozumiałam tego, co się działo... nie chciałam w to wierzyć. Miałam nadzieję, że Awit wróci z Nikolcią na rękach i powie mi, że to wszystko nieprawda...

– Może w takim razie przeszło pani przez myśl, by zadzwonić po karetkę?

– Nie, nie... nic z tych rzeczy...

– Może do rodziny, przyjaciół? Nie pomyślała pani o tym, by tam szukać ratunku?

– Pomyślałam.

– I? – zapytał oskarżyciel bez większej nadziei na to, że cokolwiek uzyska.

A przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Kiedy Oryński zorientował się, że to tylko gra pozorów, było już o wiele za późno. Zwrócił się do Chyłki, a ta otworzyła usta i wydała niemal niesłyszalny jęk.

– Zadzwoniła pani?

Angelika spuściła głowę i zaszlochała. Przez moment dźwięk jej łkania odbijał się echem w sali sądowej. Kordian nie miał wątpliwości, że jeśli znajduje się tutaj ktoś, kto jeszcze ich nie nienawidzi, teraz z pewnością dołączył do reszty.

– Ja...

Prokurator wyraźnie się rozbudził.

– Dzwoniła pani do kogoś? – zapytał.

– O Boże... tak, dzwoniłam...

– Zaraz po zabójstwie?

– Panie prokuratorze – upomniał go drugi z sędziów. – Proszę mieć na uwadze domniemanie niewinności.

Aronowicz uniósł dłonie, lecz nawet nie spojrzął na mężczyznę. Wbijał wzrok w świadka, jakby za pomocą samego spojrzenia mógł wydrzeć z kobiety całe zeznanie.

– Dzwoniłam do Sakrata Tatarnikowa...

Joanna wybałuszyła oczy i obróciła się do aplikanta. Wzruszył ramionami. Nie miał o tym pojęcia. Kobieta nie zająknęła się słowem na ten temat, gdy jeszcze jej bronili. Biorąc pod uwagę wszystko, czego się później dowiedzieli, było to logiczne.

– Rozumiem – odrzekł oskarżyciel. – Po kłótni z mężem i tej domniemanej tragedii bierze pani telefon

i szuka ratunku u kochanka.

– T-tak... – wydukała.

– O czym z nim pani rozmawiała?

– Ja...

Nikt jej nie ponaglał. Wszyscy czekali w napięciu, bo od kolejnych słów, które miały paść z jej ust, zależał ostateczny los Szlezyngiera.

– Powiedziałam, że Awit mnie popchnął... że upuściłam dziecko...

Oryński szybko podsumował w myśli rozwój wydarzeń. Zeznanie Tatara wysłałoby jego klienta prosto do więzienia, ale nie było szans, by Białorusin pojawił się na miejscu dla świadków. Jeśli Wito go nie odnalazł, to z pewnością nie poradził sobie z tym Aronowicz i Kosmowski. Bez jego zeznania nie będzie dowodu na to, że Angelika mówi prawdę.

Tak czy inaczej, zostali z Chyłką zaskoczeni, choć trudno było mieć do siebie pretensje – kazali sprawdzić Kormakowi skasowane SMS-y, ale z połączeniami nie byłoby tak łatwo. Żadna sieć komórkowa nie udostępniłaby im bilingów ot tak.

– To wszystko, co pani powiedziała? – zapytał prokurator.

– Nie wiem... nie pamiętam...

– Na szczęście mam tutaj stenogram tej rozmowy – oznajmił Aronowicz, unosząc kartkę.

Chyłka podniosła się z wózka. Miała w głębokim poważaniu to, że w polskim systemie prawnym nie funkcjonuje instytucja sprzeciwu.

– Wysoki sędzie! – zaoponowała. – Na zgłaszanie wniosków był czas na początku rozprawy.

– Nie zgłaszam wniosku – bronił się oskarżyciel. – To jedynie materiał, który ma wspomóc pamięć świadka.

Joanna posłała mu długie spojrzenie.

– Nie żartuj sobie – syknęła.

– Pani mecenas – odezwał się przewodniczący. – Proszę uszanować powagę miejsca, w którym się pani znajduje.

Chyłka spojrzała nienawistnie na sędziego. Przez moment Kordian obawiał się, że mimo złego stanu zdrowia patronki dojdzie do rękoczynów. Mężczyzna uniósł brwi, jakby rozważał ten sam scenariusz.

– Wysoki sędzie – zaczęła Joanna. – Rzadko to mówię, ale tym razem powiem: to jest niedopuszczalne.

– Niedopuszczalne, ale dopuszczone.

– Słucham?

– Przeprowadzany jest dowód z przesłuchania świadka.

Oryński ujął Chyłkę pod rękę, a potem delikatnym ruchem zasugerował jej, że powinna wrócić na miejsce. Pomógł jej usiąść, mając nadzieję, że sędzia nie słyszy przekleństw, które miotła pod nosem.

– Proszę kontynuować, panie prokuratorze – odezwał się przewodniczący.

Drugi z sędziów zawodowych niemal niezauważalnie pokręcił głową.

– Dziękuję – powiedział Aronowicz, po czym zwrócił się do Angeliki. – Może pani spojrzeć na ten zapis, by odświeżyć sobie pamięć?

Kobieta przez moment wydawała się zbyt skołowana, by można było kontynuować przeprowadzanie dowodu. Po chwili jednak potrząsnęła głową i odebrała od oskarżyciela kartkę papieru.

– Czy może pani odczytać...

– Wysoki sędzie! – zaoponowała Chyłka. – To rzekomo nie dowód.

Kordian zaklął pod nosem, kiedy sędzia powoli czerwieniał ze złości. Z interwencją szybko jednak przyszedł siedzący obok mężczyzna.

– Panie prokuratorze – podjął rozjemczym tonem. – Proszę uszanować inteligencję wszystkich

zebranych. Rozumiem, że realizuje pan swoją taktykę, ale nie może ona uwłaczać ani powadze sądu, ani czysto ludzkiemu szacunkowi. Czy wyraziłem się klarownie?

– Tak, wysoki sędzie.

– Proszę kontynuować.

Oskarżyciel z namaszczeniem się skłonił, a potem umieścił dłoń na piersi i posłał uśmiech do świadka, jakby chciał dodać Angelice otuchy.

– Czy może pani przytoczyć słowa, jakie wypowiedziała przez telefon zaraz po wyjściu męża?

– Tak, teraz tak... już pamiętam.

– Proszę.

– Powiedziałam: „Boże, Sakrat, on ją zabił”. Mój... mój kochanek odpowiedział: „O czym ty mówisz?”. Powiedziałam: „Awit wytrącił mi ją z rąk”.

Oryński słuchał tego z rosnącym zażenowaniem, podobnie jak jego patronka. Choć sprawiało jej to ból, wierciła się nerwowo na wózku. Wyglądała, jakby miała zamiar zerwać się z niego i raz na zawsze uciszyć Angelikę.

Kordiana dziwiło, że oskarżyciel przyjął taktykę spalonej ziemi, ale z drugiej strony chłopak musiał przyznać, że to wszystko brzmiało wiarygodnie. Strona przeciwna rzeczywiście miała w ręku dymiący pistolet winowajcy.

Aplikant obrócił głowę i spojrzał na Szlezyngiera. Do tej pory jakoś się trzymał, ale teraz zwiesił głowę i tylko nią kręcił. Nie wyglądało to najlepiej, bo przywodził na myśl człowieka nie w pełni świadomego tego, co się dzieje. Przez to ławnicy z pewnością nie spojrzą na niego przychylniej.

– Awit – powiedział cicho Kordian. – Wyprostuj się.

Nie zareagował. Dopiero po chwili, gdy Angelika perorowała w najlepsze, podniósł wzrok. W jego oczach Oryński dostrzegł wściekłość, jakiej wcześniej nie widział. Górna warga nieco się uniosła, a sam oskarżony przypominał drapieżnika gotowego rzucić się na ofiarę.

– Awit – syknął Kordian.

Chyłka obróciła się do nich, zainteresowana szumem. Kiedy zobaczyła swojego klienta, musiała uznać, że jest już tylko o krok od pełnej tragedii. Dowody dowodami, ale sąd orzekał także na podstawie tego, jak zachowuje się potencjalny sprawca. Jeśli Szlezyngier wybuchnie, będzie po wszystkim.

Joanna znów z trudem się podniosła.

– Wysoki sędzie – wpadła w słowo Angelice. – Usłyszeliśmy już chyba wszystko, co powinniśmy.

Przewodniczący zgromił ją wzrokiem. Już otwierał usta, by wymierzyć jej karę porządkową za przerywanie świadkowi, ale nachylił się do niego drugi z sędziów i wyszeptał mu kilka słów. Mężczyzna odpuścił, a Chyłka usiadła.

– Rzeczywiście zaczynamy wchodzić w rzeczy nieistotne dla sprawy – oznajmił przewodniczący. I miał rację, bo Angela zaczęła opisywać to, jak Taternikow starał się ją uspokoić. – Mamy dokładny obraz tego, co się wydarzyło.

Oryński skwitował w myśli, że za takie sformułowanie ten człowiek powinien odwieść łańcuch z wizerunkiem orła. Choć sprawa na obecnym etapie była już oczywista dla wszystkich – i za kilkanaście minut zapewne wydany zostanie werdykt – przewodniczący nie powinien formułować tak kategorycznych opinii.

– Zarządzam dwudziestominutową przerwę – oznajmił sędzia.

Kordian spojrzał na Chyłkę.

– A więc egzekucja została odwleczona – szepnął.

Nie odpowiedziała. Wyprowadził jej wózek na zewnątrz, zastanawiając się, dlaczego przewodniczący zwleka z dalszymi czynnościami.

– Dali nam czas do namysłu – odezwała się Joanna, obracając głowę do idącego za nimi Awita. – Chcą, żebyś zmienił zeznanie.

Nie odpowiadając, przyspieszył kroku, wyminął ich i skierował się do toalety.

10

Po przerwie miejsce na mównicy zajął biegły, który miał przedstawić opinię na temat tego, czy upadek z wysokości metra czy półtora może być śmiertelny dla trzyletniego dziecka. Z medycznej paplaniny Chyłka wyłapała tylko tyle, że zgon w takiej sytuacji teoretycznie mógł nastąpić.

Po tym, jak Aronowicz podziękował biegłemu, Joanna uniosła się lekko znad wózka. Zaraz jednak usiadła z powrotem na siedzisku, nie potrafiąc utrzymać równowagi. Zanim którykolwiek z sędziów zdążył po raz kolejny powtórzyć, że nie musi wstawać, zwróciła się do biegłego:

– Wszyscy pamiętamy sprawę małej Madzi z Sosnowca – powiedziała, nieprzypadkowo ją przywołując. Tam matka dokonała zabójstwa, a potem całą sprawę zatuszowała. – I być może niektórzy z nas przypominają sobie nawet ówczesne opinie biegłych. Zdecydowana większość twierdziła, że dziecko nie mogło umrzeć po upadku z tak niewielkiej wysokości. Po prawdzie, to te ekspertyzy kazały podejrzewać, że coś jest nie tak w wersji Katarzyny W. Pamięta pan tę sprawę?

– Oczywiście.

– I pańskim zdaniem tamte opinie były profesjonalne?

– Jak najbardziej.

– A zatem w tym przypadku również mogłyby mieć zastosowanie?

– Absolutnie nie – odparł pewnym tonem biegły. – Tamto dziecko miało raptem kilka miesięcy. W takim wieku kości nie są jeszcze do końca zrosnięte.

– Nie rozumiem.

– Jak mówiłem przed momentem, upadek z takiej wysokości może okazać się śmiertelny zasadniczo tylko wówczas, gdy nastąpi pęknięcie czaszki, a kość wbije się w mózg. W przypadku kilkumiesięcznego dziecka trudniej o taki uraz, z powodu, który przytoczyłem. Dodatkowo im młodsze dziecko, tym więcej płynu mózgowo-rdzeniowego, stanowiącego swoistą osłonę. Więc tak, w tym przypadku upadek mógłby spowodować śmierć. W przypadku, o którym pani wspomniała, raczej nie.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań – powiedziała Joanna.

– Świadek jest wolny.

Wbiła wzrok przed siebie i starała się zignorować pełne triumfu spojrzenie prokuratora. To przesłuchanie stanowiło wprost idealne podsumowanie całego procesu. Przekłęła się w duchu za to, że nie sprawdziła dokładniej ekspertyz z procesu małej Madzi. Byłaby przygotowana na cios, który zadał jej biegły.

Po nim na mównicy stanął wezwany przez obronę technik kryminalistyczny. Sprawiał wrażenie kompetentnego człowieka. Został przedstawiony jako pracownik laboratorium Komendy Wojewódzkiej Policji w Białymstoku, który odpowiadał za koordynowanie badań. Z pomocą Aronowicza powtórzył to, co było już dla wszystkich wiadome – brak czyichkolwiek śladów daktyloskopijnych poza śladami rodziny, brak śladów traseologicznych świadczących o tym, że ktoś wyszedł przez okno dachowe, i tak dalej. Prokurator nie miał dużo roboty.

Kiedy przyszła kolej Joanny, ta postanowiła nie podejmować jeszcze jednej daremnej próby powstania. Czułaby się pewniej, ale nie miała wyboru.

– Mam tylko dwa pytania – powiedziała. – Wprawdzie padły już w toku rozpoznawania sprawy, jednak

teraz okoliczności nieco się zmieniły. Po zeznaniach mojej byłej klientki trzeba jeszcze raz przyjrzeć się śladom biologicznym, nieprawdaż?

– Nie rozumiem?

– Jeśli dziecko upadło, powinniście odkryć ślady krwi, prawda? – zapytała. – A jeśli Awit lub Angelika je zatarli, to znaleźlibyście ślady chemiczne po czymkolwiek, czego użyli.

Biegły skinął głową.

– Zbadaliśmy podłogę tam, gdzie wskazano potencjalne miejsce upadku dziecka. I podtrzymuję to, co wówczas ustaliliśmy. Brak śladów tkanek, wydzielin i wydaliny.

– Ale dziecko musiałyby krwawić, prawda?

– Nie czuję się kompetentny, by...

– Proszę orzec na podstawie dotychczasowego doświadczenia.

Mężczyzna nie był zadowolony z tego, że Chyłka wybiegła poza zakres ekspertyzy. Nie było w tym jednak cienia niechęci – jak każdy profesjonalista z prawdziwego zdarzenia, facet po prostu nie lubił spekulować.

– Przypuszczam, że ślady krwawe powinny się pojawić – powiedział. – Przynajmniej jeśli doszło do uszkodzenia czaszki. Trudno jednak jednoznacznie stwierdzić, czy to w istocie miało miejsce. Ciało nie odnaleziono.

– Załóżmy, że biegły zeznający przed panem się nie pomylił.

Mężczyzna potaknął.

– W takim razie aby historia mojej byłej klientki mogła się obronić, musiałaby pojawić się krew, której nie znaleźliście?

– Nie znaleźliśmy – potwierdził. – Tym niemniej ślady chemiczne wskazują na to, że został użyty środek do czyszczenia.

– Nic dziwnego. W końcu od czasu do czasu sprząta się nawet w domku letniskowym.

Biegły milczał.

– Proszę powiedzieć, czy cokolwiek na miejscu przestępstwa wskazuje na to, że doszło tam do zabójstwa, a nie porwania?

– Nie – przyznał mężczyzna. – Ale nic nie wskazuje także na porwanie.

Chyłka przez moment milczała. Technik robił dobre wrażenie i powinna wykorzystać go do swoich celów. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, jak pociągnąć go za język, by powiedział więcej, niż powinien.

– Odpowiadał pan także za badanie śladów mechanoskopijnych?

– Owszem. Koordynowałem pracę całego zespołu.

Strzała w dziesiątkę, skwitowała w duchu Joanna. Dodatkowo zauważyła konsternację jednego z ławników, więc zwróciła się z prośbą do biegłego, by wyjaśnił to pojęcie.

– Mechanoskopia to dziedzina kryminalistyki badająca oddziaływanie jednej rzeczy na drugą. Wytrycha na zamek, młotka na drzwi *et cetera*. W tym zakresie interesują nas wszelkie zmiany w powierzchniowej geometrii ciał stałych.

– Rozumiem – odparła Chyłka. – I pytam o to nie bez powodu, ponieważ gdyby doszło do porwania, powinni państwo odnaleźć mnóstwo takich śladów na miejscu zdarzenia?

– Oczywiście.

– A jednak nie było ani jednego.

– Nie.

Joanna rozłożyła ręce, jakby w zupełnej bezradności. To pytanie pozornie pograżało jej argumentację, ale było konieczne, by mogła dotrzeć do *clou* problemu.

– Czy to samo w sobie wystarcza, by stwierdzić, że miało miejsce zabójstwo?

– Oczywiście, że nie.

– A czy wystarcza, by wykluczyć porwanie?

– Również nie.

– W takim razie co pańskim zdaniem zaszło?

Było to kluczowe pytanie, do którego dążyła od początku przesłuchania. Gdyby zadała je od razu, przewodniczący szybko by je uchylił, a prawniczkę zrugął. Teraz jednak nie miał takiej możliwości – wynikało logicznie z poprzednich.

– Szczerze mówiąc, nie spotkałem się jeszcze z taką sprawą – zadeklarował biegły.

Chyłka uśmiechnęła się w duchu, był to miód na jej serce.

– Może pan rozwinąć?

Westchnął, tocząc wzrokiem po składzie orzekającym. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że wykracza poza rolę, w której go tutaj wezwano. Najwyraźniej jednak nikomu to nie przeszkadzało.

– Cóż... – podjął niepewnie. – Sprawa przypomina mi klasyczne brytyjskie *conundrum*. Zagadkową sprawę, która wymaga nie lada wysiłku, by ją rozwikłać. Czytuje pani Conan Doyle'a?

– Od czasu do czasu.

– Zna pani ostatnią powieść z Sherlockiem Holmesem, *Dolinę strachu*?

– Obawiam się, że nie – skłamała, by mężczyzna wyjaśnił pozostałym, do czego zmierza.

– W tej historii mężczyzna zostaje zastrzelony w niezdoznanym zamku. Ktoś zastrzelił go z obrzyna i tak zmasakrował ciało, że trudno rozpoznać, kim jest ofiara. Całe *conundrum* polega na tym, że jest to istna forteca i można dostać się do niej tylko jednym wejściem. Wejściem, które zostało zamurowane. Tutaj mamy podobny przypadek, tyle że zamiast fosy jest elektronika. Alarm jest kluczem do rozwiązania zagadki. Bez wniosków, które oparliśmy na jego włączeniu, sprawa byłaby oczywista.

– To znaczy?

– Co do zasady brak śladów włamania nie wyklucza porwania. Natomiast brak śladów zabójstwa zazwyczaj świadczy, że nie miało ono miejsca.

Było to trochę pokrętne, więc Chyłka dała ławnikom czas, by oswoili się z tą myślą.

– I sugerowałbym, że było tak i w tym przypadku, gdyby nie to, że zeznania pani Szlezyngier dają jedyne wytłumaczenie całej sytuacji. A parafrazując klasyka, jeśli wyeliminujemy wszystko to, co nielogiczne, pozostanie nam to, co prawdziwe.

Przesłuchanie nie szło w kierunku, który Chyłka sobie zamierzyła.

– Niestety jedyną możliwością jest to, że dziecko zostało wyniesione z domu przed włączeniem alarmu – zakończył mężczyzna.

– Trudno nazwać to tezą opartą choćby na dowodach poszlakowych.

Biegły wzruszył ramionami.

– Co innego mogło się wydarzyć? – zapytał. – Przecież dziewczynka nie rozplynęła się w powietrzu.

Joanna pokiwała głową, patrząc po kolei na członków składu orzekającego.

– Czy to jednak wystarczy? – zapytała bardziej ich niż eksperta. – Sprowadzamy wszystko do zwykłego gdybania, mając zamiar na tej podstawie wysłać człowieka za...

– Pani mecenas – zaoponował przewodniczący. – Czas na mowę końcową jeszcze będzie. Ma pani kolejne pytania do biegłego?

– Nie, wysoki sędzie. Dziękuję.

Mężczyzna również podziękował, a potem wrócił na swoje miejsce. Wraz z nim odeszła ostatnia nadzieja na to, by odwrócić losy tej rozprawy. Przesłuchano już wszystkich świadków, zbadano każdy dowód i przedstawiono wszystkie ekspertyzy. Jedyne ratunkiem mogła być mowa końcowa, ale w tym

przypadku trudno było liczyć na cuda. Chyłka skwitowała w duchu, że dawno nie trafiła jej się tak beznadziejna sprawa.

Najpierw głos zabrał prokurator. Podkreślił, że wszystko, czego skład orzekający wysłuchał do tej pory, jednoznacznie wskazuje na winę oskarżonego.

– Owszem – przyznał Aronowicz. – Biegły ma rację, mówiąc, że brak dowodów to żaden dowód. Ale pani mecenas sprytnie ominęła temat, który interesuje nas najbardziej. My mamy dowody. Mocne dowody. Wysłuchaliśmy zeznania świadka, który dokładnie opisał nam przebieg przestępstwa. – Na moment zawiesił głos i spojrzał na Szlezyngiera niemal ze współczuciem. – Nie wiem, co teraz dzieje się w głowie oskarżonego, ale patrząc na niego, mogę przypuszczać, że żałuje. – Oskarżyciel zaczerpnął tchu i wyprężył pierś. – Także z tego względu wnioskujemy nie o orzeczenie zabójstwa, lecz o orzeczenie nieumyślnego spowodowania śmierci. Dostrzegamy, że materiał dowodowy nie przemawia za zamiarem bezpośrednim. Ten człowiek nie chciał zabić swojej córki, ale zrobił to, a zatem zasługuje na karę. Dziękuję.

Chyłka przez moment się zastanawiała. Nie miała żadnego dobrego argumentu, wszystkie wyłożyła podczas przesłuchania świadków i rozmowy z biegłymi. Każda jej koncepcja została obalona, a sędziowie i ławnicy z pewnością o tym pamiętali.

Tym razem zrobiła wszystko, by się podnieść. Stała niepewnie, wspomagając się na wyciągniętej ręce Kordiana. Posłał jej zdawkowy uśmiech i skinął głową, jakby chciał powiedzieć „nie szkodzi”. Ubodło ją to. Nieczęsto znajdowała się w sytuacji, w której byłaby bezbronna.

– Wysoki sędzie – zaczęła. – Długo zastanawiałam się nad tym, jak rozpocząć moją mowę i ostatecznie dotarłam do wniosku, że sięgnę do klasyków. Niestety nie ustalono, kto wypowiedział mądre słowa, które mam zamiar przytoczyć, ale przypuszczam, że musiał to być przedstawiciel rzymskiej jurysprudencji w czasach rozkwitu republiki lub cesarstwa.

Przewodniczący spojrzał na nią spode łba, drugi sędzia zawodowy położył ręce na blacie.

– *Qui accusare volunt, probationes habere debent* – powiedziała. – Kto oskarża, powinien mieć dowód. Wszyscy wiemy, że w tej sprawie formalnie oskarżycielem jest prokurator, tym niemniej realnie to nie on jest drugą stroną. To Angelika Szlezyngier może pretendować do takiego miana. To ona była współoskarżoną w procesie i to ona obarczyła winą mojego klienta. Ostatecznie więc to właśnie ona, oskarżając, powinna dać dowód. Jej zeznanie nie może być traktowane jako wystarczające i wiarygodne wyjaśnienie. Zrobiłaby wszystko, by się chronić, a zatem trudno wymagać, by działała na korzyść człowieka, którego skazanie jest równoznaczne uniewinnieniu jej samej.

Długi monolog sprawił, że Chyłka odczuła deficyt sił. Zachwiała się nieznacznie, a Oryński szybko napiął rękę, by zapewnić jej stabilniejsze podparcie. Zastępca przewodniczącego otworzył usta, ale się nie odezwał.

– Transkrypcja rozmów? – zapytała z powątpiewaniem Joanna. – To nie dowód, jak prokurator sam przyznał. Był to materiał mający na celu... nie pamiętam, jak dokładnie ujął to mecenas. Wspomożenie pamięci pani Szlezyngier? Skoro tak, to nie powinno się orzekać na tej podstawie.

Znów się zachwiała i tym razem musiała usiąść. Kordian poderwał się z krzesła i pomógł jej wrócić na wózek.

– Cała ta sprawa to zręczna manipulacja. Tak zręczna, jak następujące po sobie konferencje prasowe obrońcy pani...

Spuściła głowę i zaczerpnęła tchu.

– Życzy pani sobie przerwę? – zapytał obojętnie przewodniczący.

– Nie, wysoki sędzie, dziękuję – odparła i podniosła wzrok. – To wszystko jest takim samym mydleniem oczu, jak konferencje prasowe panów Kosmowskiego i Aronowicza.

Używanie potocznego języka na sali sądowej nigdy nie było dobrym pomysłem, jednak Joanna powoli zaczynała tracić władzę nad tym, co dobywa się z jej ust. Z trudem przełknęła ślinę i uznała, że nie musi mówić nic więcej.

– To wszystko – powiedziała. – I mając to na względzie, proszę o wyrok uniewinniający. Dziękuję.

Skład orzekający nie deliberował długo. Choć każda minuta zdawała przeciągać się w nieskończoność, Chyłka musiała obiektywnie przyznać, że uwinęli się szybko. Trudno było się dziwić.

Gdy przewodniczący poprawiał toge, drugi z sędziów popatrzył na Joannę współczująco. Znała ten wzrok. Mówił: „rozumiem, do czego dążysz, ale nie masz dowodów”. Widywała go już na salach sądowych, choć nigdy jeszcze nie poczuła jego ciężaru na sobie.

Po chwili dostrzegła jednak iskierkę nadziei i przemknęło jej przez myśl, że może źle odczytała zachowanie zastępcy przewodniczącego. Nieraz bywało tak, że sędzia podczas rozpatrywania sprawy wydawał się najgorszym skurczybykiem, a potem orzekał korzystnie. Podobnie jak wszyscy inni uczestnicy procesu, także sędziowie musieli zachowywać pozory. Gdyby przewodniczący wydał teraz wyrok uniewinniający, trudno byłoby do czegokolwiek się przyczepić – przez całą rozprawę dawał jasno do zrozumienia, po której stronie stoi.

Iskierką nadziei, którą dostrzegła Chyłka, był wyraz twarzy jednego z ławników. Patrzył na nią z zadowoleniem i sympatią, co kazało jej sądzić, że nie wszystko stracone.

– Widzisz to? – zapytała Kordiana, gdy skład umościł się na krzesłach, a przewodniczący poprawił orła na piersi.

– Co widzę?

– Zobacz, jak ten...

– Nastąpi teraz odczytanie wyroku – oznajmił sędzia. – Proszę o ciszę.

Dopiero teraz Joanna zdała sobie sprawę z tego, że za jej plecami publiczność wymieniała się cichymi uwagami. I dopiero teraz dotarło do niej, że była wyjątkową pesymistką. Najwyraźniej nie było tak źle, jak sądziła. Przedstawiła w końcu dość spójny wywód, wykazując, że jedyny solidny dowód stanowi zeznanie osoby, która równie dobrze mogła okazać się sprawcą.

Transkrypcja rozmowy telefonicznej pograżyłaaby Awita zupełnie, ale prokurator popełnił błąd. Zamiast wprowadzić ją do materiałów dowodowych wnioskiem na początku rozprawy, wolał użyć tego jako obucha dla zdezorientowania przeciwników. I teraz mogło odbić mu się to czkawką.

Chyłka spojrzała na Zordona. Dostrzegł już, że pojawiła się nadzieja. Nerwowo poruszył się na krześle, podczas gdy przewodniczący obniżył nieco pałąk z mikrofonem i odchrząknął.

– Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej – zaczął, a potem wyrecytował wszystko to, co musiało zostać powiedziane.

Chyłka mocniej ścisnęła podłokietniki wózka. Może będzie wyrok w zawieszeniu? Możliwości było wiele, wystarczyło trochę dobrej woli.

– Sąd uznaje oskarżonego, Awita Szlezyngiera, za winnego zarzucanego mu czynu i na podstawie artykułu sto pięćdziesiątego piątego Kodeksu karnego wymierza mu karę trzech lat pozbawienia wolności – oznajmił przewodniczący, nie unosząc wzroku znad kartki.

Rozdział 4

1

Prawnicy z kancelarii Żelazny & McVay szybko złożyli wniosek, który zwyczajowo określało się jako zapowiedź apelacji. Było to pismo, w którym występowano o doręczenie uzasadnienia wyroku. Od tego momentu mieli dwa tygodnie, by złożyć apelację. Zrobili to już w połowie tego terminu. Wykazali wszystkie potencjalne błędy, jakie popełnił sąd okręgowy, a do tego dodali wątpliwości co do poczynionych ustaleń faktycznych.

Żadne z nich nie było zadowolone – jakkolwiek było to nic w porównaniu z tym, co przeżywał Awit. Trzy lata w więzieniu to jak dziesięć na wolności, a biorąc pod uwagę sposób, w jaki traktowani są mordercy nieletnich, może i jak wieczność.

Po złożeniu pisma usiedli w niewielkiej knajpce w centrum, przy Chłodnej. Nie musieli fatygować się do Sądu Apelacyjnego w Białymstoku, apelację złożyli za pośrednictwem sądu okręgowego. Choć i tak byłoby im po drodze – byli już spakowani, wszystkie rzeczy mieli w niewielkim opłu, którego wypożyczyli z Geparda. Teraz stał zaparkowany pod restauracją, podczas gdy prawnicy mieli zamiar najeść się przed podróżą. Od tygodnia towarzyszyły im minorowe nastroje i nie próbowali nawet wzajemnie się podbudowywać.

– Jak długo to potrwa? – zapytał Oryński, gdy dostali swoje dania.

On zamówił łososia, ona wieprzowinę.

– To zależy od sądu – odparła, z impetem wbijając widelec w mięso.

Spojrzał z niepokojem na jej talerz.

– Wyobrażasz sobie, że to Aronowicz?

– Nie muszę sobie niczego wyobrażać. I to knur, i to knur – powiedziała, krojąc soczysty kawałek.

Wyraźnie miała trochę więcej sił niż jeszcze tydzień temu. Nadal jednak nie wróciła do formy, i nie było mowy o tym, by prowadziła w drodze do Warszawy.

– A mniej więcej?

– Co?

– Ile czasu zajmie...

– Już ci mówiłam, nie wiem. Na pewno kilka miesięcy, może pół roku, zależy od obłożenia sądu.

– I od tego, jak zachowa się okręgowy.

Nie odpowiedziała, przeżuując kawałek mięsa. Oryński i bez tego wiedział jednak, że zanim apelacja zostanie skierowana dalej, musi zostać poddana kontroli. Dopiero gdy zostaną spełnione przesłanki formalne, sąd okręgowy przekaże wszystko apelacyjnemu. Potem należało już tylko trzymać kciuki, by po

kilku miesiącach wyznaczono pierwszą rozprawę.

- Awit będzie zadowolony.
- Hm? – mruknęła.
- Że ma jeszcze kilka miesięcy, zanim wyrok się uprawomocni.
- Tak, będzie wniebowzięty.

Nie orzeczono środka zapobiegawczego i Szlezyngier pozostawał na wolności. Jego zachowanie podczas rozpatrywania sprawy w pierwszej instancji świadczyło o tym, że nie ma obawy matactwa. Mimo wszystko, pół roku życia z wiszącym nad nim widmem więzienia nie było wymarzonym scenariuszem.

Zanim Oryński zaczął parać się prawem, cała instytucja prawomocności wydawała mu się pozbawiona sensu. Morderca trafiał do sądu, zostawał oskarżony, wymierzano mu karę, a potem zamiast trafić za kratki, pędził żywot jak gdyby nigdy nic, dopóki wyrok się nie uprawomocnił. Przy bierności stron następowało to po dwudziestu jeden dniach, ale jeśli składano apelację, dopiero po rozstrzygnięciu sądu drugiej instancji.

- Czeka nas długa droga, Zordon.
- Wiem.
- I musimy w tym czasie znaleźć coś, co huknie w głowach sędziów jak wybuch bomby wodorowej.
- Znajdziemy – zapewnił. – Ale na razie będzie im huczała jedynie transkrypcja rozmowy.
- Niezupełnie.
- Nie?

Pokręciła głową, z powątpiewaniem patrząc na niewielką porcję łososia.

– Aronowicz strzelił sobie w stopę – oznajmiła. – Nie wprowadził tego jako dowodu, a w apelacji nie może przedstawiać nowych, jeśli wiedział o nich wcześniej. O tym wiedział, więc obudzi się z ręką w nocniku.

- Cudownie.
- Cudownie będzie, jak sami zyskamy coś o podobnym kalibrze.
- Może przez ten czas znajdziemy Ekiela lub Tatarnikowa.
- Może.
- Albo uda nam się ustalić, że mała była wtedy w domu.
- Mhm – mruknęła z pełnymi ustami Joanna.
- A może ją znajdziemy.

Nie odpowiedziała. Oboje zdawali sobie sprawę, że wyrok, który zapadł, najprawdopodobniej był sprawiedliwy. Wprawdzie transkrypcja rozmowy nie mogła zostać włączona do materiału dowodowego, ale na płaszczyźnie moralnej stanowiła wystarczający dowód obciążający Awita.

Prawnicy spojrzeli na siebie, jakby pomyśleli o tym samym.

– Czytałam kiedyś taki artykuł w zachodniej prasie – podjęła Chyłka. – Pisali w nim, że psychopaci mają wiele wspólnego z dyrektorami banków czy w ogóle biznesmenami.

Kordian odkroił kawałek łososia i przetransportował go na talerz patronki.

– Oszalałeś?

– Musisz tego spróbować – odparł, przeżuując. – I co z tymi psychopatami?

– Mają wiele cech wspólnych – powiedziała, oddając mu rybę. – Odporność psychiczną, wyrafinowanie, charyzmę. W dodatku zrobiono skany ich mózgów i porównano ze sobą. Były dość podobne.

- Też mi nowość.
- Odwaga, skuteczność, bezkompromisowość... te cechy można mnożyć.

– Pijesz do tego, że Awit mógł naprawdę ją zabić?

Chyłka zaśmiała się pod nosem, jakby rozmawiali o hipotetycznym kazusie, a nie realnej sprawie, nad którą pracowali. Kordian już dawno przekonał się, że to najlepszy sposób, by zachować zdrowie psychiczne.

– To jest dla mnie oczywiste, Zordon. I widzę, że dla ciebie też, co jest jedyną pocieszającą rzeczą w całym tym gównie.

– Super.

– I powiem ci więcej.

– Nie wiem, czy chcę to słyszeć.

Odłożyła sztućce i spojrzała na niego.

– Gdybym była na miejscu Aronowicza, nie wnioskowałabym o nieumyślne.

Uniósł brwi.

– Z takim materiałem dowodowym docisnęłabym Szlezynghiera za zabójstwo w zamiarze ewentualnym. Wykazałabym, że sponiewierał swoją żonę, która miała na rękach dziecko, godząc się z tym, że może to spowodować śmierć małej.

– Nie mówisz poważnie.

Uniosła powątpiewająco brwi.

– Żartujesz? To jasne jak słońce. Nie wiem, czemu Aronowicz go nie dojechał.

– Może ma więcej empatii niż ty.

– To wyjątkowy komplement dla mnie, Zordon – przyznała. – Zawsze wiesz, jak schlebić kobiecie.

– Staram się, jak mogę – odparł ze sztucznym uśmiechem. – I już brakuje mi tego noszenia cię przez próg.

– Spokojnie. Jeszcze trochę mnie ponosisz.

– W Warszawie?

Zaśmiała się.

– Nie – dodała. – Nie w Warszawie. Robiłeś sobie nadzieję, że zaproszę cię na wspólne pomieszkiwanie?

– Trochę – mruknął z pełnymi ustami.

– To się przeliczyłeś. Ale będziesz miał okazję wnieść mnie romantycznie do samochodu po obiedzie. Tylko bez przypadkowych smyrnięć. Pasuje?

– Zobaczą, co da się zrobić.

Po raz pierwszy od przegranej sprawy uśmiechnęli się do siebie. Dojedli w spokoju, raz po raz rzucając uwagi związane z powrotem do stolicy. Nie poruszali niczego, co wiązałoby się ze Szlezynghierem, a mimo to Kordianowi nadal w głowie rozbrzmiewały słowa Joanny na temat klienta.

Gdy wsiedli do opla, uzmysłowił sobie, że nie dręczy go to ze względów moralnych. Dawno oswoił się z myślą, że mogą bronić dzieciobójcę. Słowa powracały, bo coś było w tym, co Chyłka powiedziała o prokuratorze.

Oryński włączył silnik, a potem spojrzał na nią.

– Masz rację – odezwał się. – Aronowicz nie powinien odpuścić zabójstwa.

– Wiem.

– Więc dlaczego to zrobił?

Joanna odchyliła osłonę przeciwsloneczną i przejrzała się w lusterku.

– Bał się – powiedziała.

– Czego? Na pewno nie nas, bo wypadliśmy jak dwoje...

– Ja jestem usprawiedliwiona – ucięła, odchylając się nieco w bok i przyglądając zanikającym śladom

po wypadku. – Byłam ledwo żywa. A ty wypadłeś całkiem nieźle. Nie roztrząsajmy już tego.

Jak na nią, był to dość przyjacielski komentarz. Szczególnie biorąc pod uwagę, że mogła skorzystać z okazji i mu dociąć.

– W porządku – przyznał. – Ale tym bardziej dziwi mnie, dlaczego nas nie przycisnął i nie wniosował o zabójstwo w zamiarze ewentualnym.

– Nie chciał go wsadzać na całe życie, Zordon.

– Hm? – mruknął, włączając się do ruchu.

– Wystarczy, że facet posiedzi te trzy lata. Jak wyjdzie z więzienia, będzie już innym człowiekiem.

– Z pewnością – burknął. – Będzie mógł chodzić do gay friendly klubów w Warszawie i nauczać o technice łózkowej.

– To na pewno.

Oryński wbił kierunkowskaz i zjechał na prawy pas, ku rozżaleniu pasażerki. Obrzuciła go pełnym powątpiewania wzrokiem, ale się nie odezwała. Zamknąwszy przeciwslonecznik, wyjrzała przez okno.

– Więc chcesz mi powiedzieć, że Aronowicz kierował się poczuciem sprawiedliwości? – spytał.

– W żadnym wypadku. To byłby absurd – skomentowała. – Chodziło mu o pewne skazanie, widocznie potrzebował mocnego punktu w statystykach. Zabójstwem nieco by ryzykował, ale w przypadku nieumyślnego mógł mieć pewność, że wygra sprawę i dostanie dokładnie to, o co wnioskuje. Jego przełożonych to ucieszy.

– Nie kupuję tego.

– Bo lubisz teorie spiskowe.

Spojrzał na nią przelotnie. Nie miał zamiaru pozwolić, by zbiła go z tropu.

– A co, jeśli o czymś wie? – zapytał. – O czymś, co podaje zabójstwo w wątpliwość?

– To nic nie zmienia. Skoro i tak o tym nie wiemy, nie miałyby się czym martwić, prawda?

– Niby tak, ale jeśli jest coś...

– To prędzej czy później wyjdzie na jaw – wpadła mu w słowo Joanna. – A teraz skup się na drodze, bo mam niemiłe wspomnienia z jazdy z ludźmi, którzy nie potrafią prowadzić.

– Ani się obejrzysz, sama będziesz prowadziła.

Chyłka z zadowoleniem skinęła głową.

– W dodatku siądę za sterami iks piątki.

– Nie pójdzie do kasacji?

– Nie pozwolę na takie barbarzyństwo – zapewniła. – Zapłacę trochę więcej, ale będę miała ją z powrotem. I gwarantuję ci, że ubezpieczyciel mi to zwróci.

– O ile wrócisz od swojej poprzedniej formy prawniczej – zauważył Kordian z przekąsem. – Na tym etapie sam rozgromiłbym cię w sądzie.

– Bzdura. Nie słuchałeś mowy końcowej? Była dobra.

– Dopóki nie zaczęłaś mówić tak cicho, że nikt cię nie słyszał.

– Zamknij się, Zordon, i prowadź.

Do Warszawy dotarli w niewiele ponad cztery godziny. W tym czasie Kordian kilkakrotnie słuchał uwag na temat tego, że iks piątka z Joanną za sterami zdołałaby zagiąć czasoprzestrzeń i znaleźć się w stolicy po niecałych trzech godzinach.

Kiedy zajechali na osiedle Chyłki, prawniczka otworzyła pilotem bramę, a potem oznajmiła, żeby wraz z jej torbą Oryński zabrał na górę swoją. Chłopak niepewnie spojrzał na patronkę.

– Coś nie tak? – zapytała.

– Mówiłaś, że nie ma co liczyć na wspólne pomieszkiwanie.

– Pewnie, że nie. Będziesz moim gościem kanapowym. Chodź.

– Brzmi to jak określenie jakiegoś futrzaka...

– Nieprzypadkowo – powiedziała. – A teraz podnieś mnie i do boju. Musimy się napić.

Kordian zasalutował, a potem uczynił tak, jak rozkazano. Najpierw przetransportował patronkę, a potem ich bagaże. Kiedy wrócił z ostatnią torbą, Joanna siedziała na kanapie, wpatrzona w telewizor. Miała minę, jakby zobaczyła ducha.

– Wojewódzki zrezygnował z królewskiej buławy? – bąknął Oryński, omiatając wzrokiem mieszkanie. Chyłka niestety nie miała pokoju dla gości, zostawał mu salon i twarda jak skała kanapa.

Gdy nie odpowiedziała, spojrzał na nią z niepokojem.

– Co jest? – zapytał.

– Spójrz.

Staął przy niej i popatrzył na telewizor. Najpierw dostrzegł reportera TVN24, który stał nad niewielkim jeziorem. Brzeg był porośnięty trawami, na tle których wyraźnie odcinała się policyjna taśma.

Kordian usiadł obok Chyłki.

– Wiemy już, że ofiara nie była mieszkańcem Pojezierza Drawskiego – powiedział z przejęciem reporter. Musiał dopiero zaczynać swoją relację. – Z nieoficjalnych źródeł udało nam się dowiedzieć, że ciało zostało odnalezione w wodzie przez jednego z wędkarzy. Nurkowie zdołali wyłowić portfel z dokumentami. Mężczyzna nie miał przy sobie pieniędzy, ale posiadał dowód osobisty. Według naszych ustaleń był to jeden ze świadków w głośnym procesie Awita Szlezyngiera, biznesmena skazanego przed tygodniem za zabicie trzyletniej Nikoli. Wyrok jest jeszcze nieprawomocny.

2

Na jeden wieczór Joanna zamieniła swój apartament w centrum operacyjne z prawdziwego zdarzenia. Gdy tylko otrząsnęła się z początkowego szoku, zadzwoniła po Kormaka i kazała mu przywieźć ze sobą laptopa i wszelki inny sprzęt, który mógł okazać się pomocny. Szczypior nie wiedział, do czego konkretnie miałyby służyć, ale Chyłka nie zamierzała się nad tym rozwodzić. Potem uzmysłowiła sobie, że Kormak nie ma samochodu – niemal nałogowo jeździł tramwajami, czytając przy tym po raz kolejny te same książki Cormaca McCarthy’ego. Wysłała po niego Kordiana, a następnie w samotności otworzyła dużego heinekena.

Rozparłszy się na kanapie, oglądała wciąż te same informacje podawane na różne sposoby. Ze względu na dobro śledztwa TVN24 ani inne stacje nie ujawniały imienia ani nazwiska ofiary. Nie chciano podać nawet, jakiej jest płci.

Reporter był żółtodziobem. Dawał się ponieść emocjom i cały czas wiercił się przed kamerą. Zapewne trafił nad jezioro dlatego, że był gdzieś w okolicy. Dzięki temu, że brakowało mu doświadczenia, chlapanął kilka rzeczy, które dla Chyłki były na wagę złota. Przede wszystkim dał jasno do zrozumienia, że policja nie traktuje tego jako utonięcia, a raczej jako rezultat przestępstwa. Ponadto podał, że sprawę będzie prowadziła prokuratura rejonowa z Drawska Pomorskiego.

Pół godziny później wrócił Oryński z Kormakiem.

– To ta słynna *casa de* Chyłka? – odezwał się chudzielec, stawiając torbę z laptopem na podłodze.

– Robi wrażenie, co? – zapytał Kordian.

– Czy ja wiem... – odparł Kormak. – Myślałem, że walnie we mnie jakiś gitarowy riff Iron Maiden na wejściu, będzie czuć tu smażonym mięsem i nikotyną. Tymczasem tym ostatnim to ty zioniesz.

Joanna spojrzała na aplikanta ze złością, a ten wzruszył bezradnie ramionami.

– Siadaj i rozstawiaj sprzęt – poleciała.

Kormak wyjął z torby laptopa, który nijak nie pasował do najnowszych trendów. Prawniczka spodziewała się po tym technologicznym maniakum najnowszego modelu macbooka, tymczasem komputer przywodził na myśl stare kwadratowe pudła.

– Co to jest? – zapytała.

– ZBook.

– Wygląda ohydnie.

– Jest dopasowany do właściciela – burknął Kormak, otwierając klapę. – Brzydki, ale cholernie wydajny. A teraz mów, czego wam potrzeba? I miałem przytargać ze sobą sprzęt?

Błysk w jego oku kazał sądzić, że chłopak ma nadzieję na nielegalny podsłuch, włamanie czy jakiegokolwiek inne machinacje, których od czasu do czasu musiał dopuszczać się w ramach wykonywania swoich obowiązków jako „specjalista ds. pozyskiwania informacji”.

– Wspomniałam o spręcie, żebyś wynurzył się ze swojej nory.

– Mhm.

– Znam cię, szczypiorze – dodała. – Niełatwo cię wyciągnąć z Jaskini Mccarthyńskiej.

– Przejdziemy do rzeczy?

Kordian poszedł po piwo do lodówki, a Chyłka wskazała na ekran telewizora. Teraz trwała narada

w studiu. Wypowiadali się specjaliści od wszystkiego, co mogło mieć jakikolwiek związek z utopieniem.

– Co to za bzdury? – zapytał chudzielec.

– Musimy dowiedzieć się, który ze świadków kofnął i dlaczego.

– Waszych świadków? W sprawie Szlezyngiera?

– Aha – potwierdził Oryński, siadając obok Chyłki. Podał jej butelkę, a potem pociągnął łyk ze swojej.

Żadne z nich nie musiało fatygować się, by zaproponować trunek Kormakowi. Z tego, co wiedziała Joanna, chłopak pił tylko soki marchewkowe i wodę. Nie uznawał alkoholu, choć chętnie podbudowywał się gandalfem białym, jak w Skylight określano amfę. Teraz Chyłka spojrzała mu głęboko w oczy, szukając narkotycznego śladu. Nie dostrzegła go, co rodziło pewne rozczarowanie. Kormak naćpany speedem pracował szybciej niż Mark Zuckerberg przy projektowaniu kolejnych sposobów wyłudzenia pieniędzy od użytkowników Facebooka.

– Zginął wasz świadek?

– Został zamordowany – poprawiła go Joanna. – A teraz chcemy wiedzieć wszystko, co się da.

– Nie możecie poprosić prokuratury? To brzmi jak ważna sprawa.

– Jest ważna – wtrącił Kordian. – Ale nie znamy nikogo z... gdzie ta sprawa jest prowadzona?

– Nieważne – odparła prawniczka, wskazując na ekran laptopa. – Wygooglaj temat i sprawdź wszystko, co się da.

– Ale jak niby...

– Umiesz poruszać się w Internecie, wymyślisz coś.

– Mam się włamać do bazy danych policji?

– Nie wiem. Ja nic nie powiedziałam.

Kormak pokręcił głową.

– Niczego tam nie znajdziemy – oznajmił. – Zanim wprowadzą wszystkie dane do systemu, minie trochę czasu. Przypuszczam, że jakiś nieszczęśnik przysiądzie nad tym nie wcześniej niż jutro.

– Dlatego nie każę ci nic hackować.

– Aha.

Przez moment trwali w milczeniu.

– To co mam robić?

Adwokat wskazała na relację z miejsca zdarzenia.

– Patrz, ilu tam gapiów – powiedziała. – Rzucili się jak ćmy do światła, policja najwyraźniej nie zdążyła w porę zamknąć terenu. Ludzie na pewno powrzucaли zdjęcia i swoje wrażenia do sieci. Znasz miejsca, w których takie rzeczy lądują.

– Nie znam.

– Nie? – zdziwiła się. – A wydawało mi się, że kiedyś przyłapałam cię w Jaskini Mccarthyńskiej, jak oglądałeś...

– Dobra, dobra – wpadł jej w słowo, unosząc rękę. Potem opuścił je na klawiaturę i zaczął w nią tłuc palcami. Szybko zorientował się w temacie dzięki Wykopowi. Były już linki do kilku mniej poczytnych portali, których administratorzy nie mieli oporów przed zamieszczeniem zdjęć z miejsca zdarzenia. Z pewnością robiono je telefonami komórkowymi, ale jakoś była całkiem niezła.

Kormak jęknął, widząc topielca, a potem przeczytał pokrótce wszystkie dostępne informacje i zaczął grzebać w odmętach sieci. Dopiero po chwili milczenia uzmysłowił sobie, że dwójka prawników zamarła z piwem w dłoniach.

– Co jest? – spytał, odrywając się od laptopa.

Zaraz potem zmytygował się, że musieli poznać ofiarę.

– O kurwa... – powiedział. – Wiecie, kto to jest?

Chyłka potrzęsła głową, napiła się piwa, a potem odstawiła butelkę na komodę.

– Zordon – odezwała się. – Za mną. Z papierosami.

Weszła do kuchni, a potem otworzyła jedną z szafek i wyciągnęła popielniczkę. Kordian dołączył do niej dopiero po chwili, podczas gdy chudzielec nadal starał się dowiedzieć, kim jest człowiek, którego zobaczyli na ekranie komputera.

Prawnicy stanęli przy oknie. Oryński wyjął paczkę papierosów i Chyłka szybko sięgnęła po jednego. Zapaliła, zanim zdążyła dobrze się nad tym zastanowić. W pierwszej chwili dym był ohydny i szarpnął całym jej ciałem. Wraz z tym nadeszła jednak ulga.

– Rozumiem, że nie mamy wątpliwości – odezwał się nieprzytomnym głosem Kordian.

– Żadnych – potwierdziła Joanna. – To Antoni Ekiel.

– Ale reporter mówił o świadku...

– I nie pomylił się. Wzywaliśmy go na świadka.

Aplikant zaciągnął się głęboko, a potem uniósł podbródek i wypuścił dym w szparę w oknie.

– Dlaczego ktokolwiek... – zaczął i urwał, kręcąc głową.

– Najwyraźniej Ekiel coś wiedział.

Zamilkli, z każdym kolejnym sztachnięciem układając myśli w coraz spójniejszą całość. Potem Chyłka pstryknęła niedopałkiem przez okno, a Oryński po chwili zastanowienia zrobił to samo.

– Tatar go zabił? – zapytał, obracając się do patronki.

– Nie gdybałabym.

– A jednak to dość logiczny wniosek.

– Logiczny? – ofuknęła go. – Żeby coś było logiczne, musi być oparte na jakichś przesłankach. Jakie ty masz, co?

Spojrzał na nią i zamknął okno.

– Żadne – odparł.

– Otóż to. Nie wiemy, co działo się z Sakratem i Ekiem po tym, jak opuścili wiochę. Mogli pójść swoimi ścieżkami, mogli razem zbiec na zachód. Może komuś po drodze podpadli, może starzec sam znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie. Jakakolwiek koncepcja będzie tylko zgadywanką, a nie logiczną tezą.

– W porządku.

Wrócili do salonu, patrząc z nadzieją na szczypiora. Ten siedział pochylony nad laptopem, z wypiekami na twarzy. Przywodził na myśl zapalonego gracza, który właśnie pokazuje wszystkim innym w sieci, że jest górą.

– Kormak – odezwała się Joanna. – Masz coś ciekawego?

– Mam sporo ciekawych rzeczy.

– Widzę po minie – odparła. – A konkretniej?

– Jeden z gapiów próbował opchnąć zdjęcia NSI.

– Opchnąć? – wtrącił Kordian. – A oni przypadkiem nie mają jakieś platformy dla obywatelskich reporterów czy czegoś w tym rodzaju?

– Mają. Ale ten facet chciał sprzedać fotkę.

– I co na niej jest? – zapytała Chyłka.

– Dokładnie ukazana twarz – powiedział Kormak i obrócił laptopa do prawników. – Zanim zjawiły się służby, dwóch chłopaków weszło do wody i obróciło trupa.

Oryński spojrzał na makabryczny widok. Ponieważ głowa topielca była cięższa od reszty ciała, to na niej i na szyi pojawiły się wyraźne plamy opadowe. Tak zwana skóra praczek była wyraźnie widoczna na całym ciele, w niektórych miejscach naskórek był napęczniały i niemal całkowicie biały. Twarz ledwo

przypominała oblicze człowieka, a całe ubranie było poszarpane, odkrywało fragmenty starczego ciała. Gdzieś widać było niebieskosine wybroczyny spowodowane rozedną wodną płuc.

– Ma ślady zadzierzgnięcia – zauważyła Joanna.

– Co?

– Spójrz na szyję, obok plam opadowych.

Kordian z trudem skupił wzrok na wskazanym miejscu. Dolna warga wyglądała na spuchniętą, jakby zaraz miała odpaść. Wokół niej pojawiła się biała narośl przypominająca spienioną ślinę, zapewne jakiś rodzaj grzyba. Aplikant wzdrygnął się, ale wytrzymał wystarczająco długo, by zobaczyć, że na szyi rzeczywiście widoczne są ślady sznura.

– Cóż... – zaczęła Chyłka, nachylając się do laptopa. – Teraz przynajmniej wiadomo, dlaczego policja od razu odrzuciła wypadek. Ekiela ktoś zamordował, a potem zatopił ciało. I z tego, co sam mówił mi przy jeziorze, wnoszę, że umarł nie dalej, jak kilka dni temu. Jest pewna ironia w tym, że dzięki niemu mogę to stwierdzić.

– Niby jak?

– Jest gorąco, woda jest ciepła – powiedziała. – Gdyby pływał tam dłużej niż kilka dni, naskórek by schodził.

– Słucham? – włączył się Kormak.

– Można by ściągnąć skórę z ręki, wraz z paznokciami, jak rękawiczkę.

– Mniejsza z tym – powiedział czym prędzej Oryński i sięgnął po heinekena. – Trzeba się skontaktować z kimś w... gdzie, do cholery, prowadzą tę sprawę? – zapytał, przenosząc wzrok na chudzielca.

– Prokuratura rejonowa w Drawsku Pomorskim – odpowiedział Kormak.

Aplikant skinął głową, a potem usiadł obok przyjaciela. Ten obrócił komputer z powrotem do siebie i przez moment patrzyli na zwłoki. W końcu szczypior przełączył przeglądarkę na inną kartę i obaj odetchnęli.

– Parszywą macie robotę – powiedział. – Ale za coś wam płacą, nie?

– Jak ostatnio sprawdzałem, zarabiałeś dwa razy więcej ode mnie.

– Zrozumiałe – odparł Kormak. – Nie dość, że dzień w dzień haruję jak wół, to jeszcze muszę wam dostarczać takich materiałów. I kto będzie później miał koszmary? Oczywiście ja.

– Powiedział ten, który czyta McCarthy'ego – bąknęła pod nosem Joanna, skupiając się na swoim smartfonie. – W *Krwawym południku* czy tam łunie na zachodzie były dość sugestywne opisy wszelkich bebeczków na amerykańsko-meksykańskim piachu.

– To co innego.

Chyłka wybrała numer, a potem usiadła na fotelu. Jej towarzysze przysłuchiwali się prowadzonej rozmowie. Mogła dzwonić tylko do dwóch osób, skwitował w duchu Oryński. Żelazny lub McVay. Biorąc pod uwagę, że ten drugi kontakty utrzymywał raczej zagraniczne, zwróci się pewnie do Starego.

– Aronowicz? – zapytała, a potem skinęła głową.

3

– Oglądam – rozległ się głos w słuchawce. Działał na Joannę jak płachta na byka, ale postanowiła zignorować wszystko to, co wydarzyło się do tej pory, i zachować spokój.

– Świetnie. W takim razie nie muszę nic tłumaczyć – odparła.

– Przeciwnie.

– Słucham? – zapytała, siląc się na neutralny ton.

– Nie rozumiem, po co ten telefon?

Chyłka spojrzała na Oryńskiego i Kormaka, a potem oparła się o komodę i położyła na niej komórkę.

Włączywszy głośnik, spojrzała z góry na wyświetlacz.

– Halo? – zapytał oskarżyciel. – Jesteś tam?

– Jestem.

– Więc?

Opryskliwy ton jego lapidarnych odpowiedzi sprawiał, że sama miała zamiar popełnić czyn z artykułu sto czterdziestego ósmego Kodeksu karnego.

– Nasz świadek został zamordowany.

– Doprawdy?

Joanna podniosła wzrok na Kordiana, a ten z rezygnacją pokręcił głową i pociągnął łyk piwa. Kormak ściągnął brwi i odgiął się na oparciu kanapy, zapewne głowiąc się nad tym, kim jest buc, z którym rozmawia Chyłka.

Prawniczka wciągnęła powietrze głęboko do płuc i starała się utrzymać nerwy na wodzy.

– Widzieliśmy zdjęcia z miejsca zdarzenia – podjęła. – Denat ma na szyi ślady zadzierzgnięcia.

– Nie widziałem żadnych zdjęć.

– Zaraz wylądują na twoim mailu.

– W żadnym wypadku – zaoponował stanowczo. – Nie mam zamiaru babrać się w materiałach, które pokazują tabloidy i serwisy plotkarskie. Jeśli wy tak, to świadczy wyłącznie o waszym...

– Słuchaj, Aronowicz – ucięła Joanna. – Możemy docinać sobie, aż rozładuje mi się bateria w komórce, ale niczego to nie zmieni.

Zamilkła i przez moment na linii słychać było jedynie ciche buczenie.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał w końcu prokurator.

– Tego, że wypełnisz swoją rolę.

– Wypełniam ją najlepiej, jak potrafię.

– Oskarżając niewinnego człowieka?

Aronowicz parsknął śmiechem. Sztucznie go przedłużył, jakby sam wybuch nie stanowił dostatecznego komentarza. Po procesie opadła maska, za którą skrywał swoje prawdziwe oblicze.

– Szlezyngier zabił to dziecko, umyślnie czy nie. Musisz zdawać sobie z tego sprawę.

– Tak? A ten trup w jeziorze?

– Przede wszystkim nie wiadomo, czy...

– To było zabójstwo, człowieka. Przejrzyj na oczy.

– Przejrzałem, jak tylko Angelika stanęła na mównicy i przedstawiła to, co się stało – odparł pod

nosem. – Do tamtej pory przyjmowałem jeszcze, że zjawili się kosmici i zabrali tę dziewczynkę.

– Oszczędź sobie takich uwag.

– To jedyna logiczna alternatywa. Dziwi mnie, że nie zgłosiłaś jej w sądzie. Biorąc pod uwagę wszystko, co mówiłaś, doskonale wpisywałoby się to w twoją koncepcję.

Chyłka zacisnęła usta i wyciągnęła rękę w kierunku Oryńskiego. Podrzucił jej paczkę papierosów, a ona umieściła jednego między wargami i pochyliła się nad świeczką.

– Więc zignorujesz fakt, że świadek nie żyje? – zapytała, wydmuchując dym. Nadal drapał ją w płucach, a jego smak przywodził na myśl smak starej, wyżutej gumy, ale Joanna i tak była w siódmym niebie przez sam fakt, że pali.

– Bynajmniej.

Wyprostowała się i coś strzeliło jej w plecach. Najwyraźniej Aronowicz nie był jednak tak beznadziejnym przypadkiem, za jaki go miała. Mógł dokazywać jej do woli, ale ostatecznie musiał także zobaczyć, że coś jest w tej sprawie nie w porządku.

– Zamierzam podjąć stosowne czynności – dodał.

– Bardzo mnie to cieszy.

– Nie powinno.

– Słucham?

W słuchawce rozległo się ostentacyjne westchnięcie.

– Zginął jedyny człowiek, który widział w nocy dziewczynkę ze Szlezyngierem.

Joanna znów wbiła wzrok w Kordiana, a ten podniósł się i również zapalił. Chudzielec zaproponował bezgłośnie, ale prawnicy go zignorowali. Aplikant stanął przy patronce i oboje spojrzeli na komórkę.

– O czym ty mówisz? – zapytała.

– Przecież pamiętasz zeznanie starca.

– Doskonale je pamiętam. Gdyby mógł je powtórzyć, miałabym koronny dowód na to, że twoja klientka... przepraszam, klientka Kosmowskiego, kłamie.

Prokurator znów się roześmiał. Tym razem pobłażliwie, jakby sam nie mógł uwierzyć, że rozmówczyni może być tak naiwna.

– Antoni Ekiel obciążył Szlezyngiera, Chyłka – powiedział. – I nie zeznał, w jakim stanie była dziewczynka. Jeśli twój klient niósł ciało, Ekiel nie mógł o tym wiedzieć. To oczywiste, że jego zeznanie potwierdza wszystko to, co do tej pory ustaliliśmy. A raczej potwierdziłoby, gdybym podczas apelacji mógł dopytać go o szczegóły... tymczasem odnalazł się jako trup. Jak sądzisz, komu to najbardziej się przysłuży?

Chyłka podniosła telefon i z impetem przycisnęła czerwoną słuchawkę. Nie miała ochoty słuchać ani słowa więcej. Spojrzała na Zordona i pokręciła głową, a potem głęboko zaciągnęła się papierosem.

– On ma rację, wiesz? – odezwał się aplikant.

– Zamilknij.

– Ekiel mógł wiedzieć, jak Awit niesie dziecko.

– Nie złorzecz.

– Sama wiesz, że to najbardziej prawdopodobna wersja.

Joanna przez moment patrzyła bezmyślnie w okno. Potem osunęła się na fotelu i zamknęła oczy. Kordian miał rację, mogło być dokładnie tak, jak mówił oskarżyciel. I skoro ona to dostrzegała, tym bardziej zobaczy to skład orzekający w sądzie apelacyjnym. Wprawdzie trudno, by ktokolwiek postawił Awitowi zarzuty za śmierć Ekiela, ale wydzwięk całej sytuacji będzie jasny.

– Odnoszę wrażenie, że wszystko układa się przeciwko wam – odezwał się Kormak. – Nie zrozumcie mnie źle, fajnie widzieć, że w końcu dostajecie nieustanne baty, ale to podejrzane.

Kordian wymierzył palec w szczypiora.

– Otóż to – powiedział. – Powtarzam to od jakiegoś czasu.

– Bo nadal masz nadzieję, że to wielki spisek. Konspiracja i zmowa tysiąclecia.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

Joanna otworzyła oczy i popatrzyła na obydwu towarzyszy.

– Przestań się oszukiwać, Zordon – odezwała się. – Wiem, że jak nie idzie, to chce się obarczyć winą za to cały świat, tylko nie samego siebie. W tym przypadku jednak musisz zmierzyć się z samokrytycyzmem.

– Tak jak ty?

– Żebyś wiedział – odparła pewnie. – Jestem świadoma tego, co można było zrobić, a czego nie zrobiłam.

Kormak zamknął laptopa i podniósł torbę.

– To ja już pójdę – powiedział, wstając. – Zaczyna się robić trochę niebezpiecznie.

Na odchodnym uraczył ich jeszcze uśmiechem, a potem spojrzał znacząco na heinekena Oryńskiego. Najwyraźniej dopiero teraz uświadomił sobie, że będzie wracał taksówką.

Po chwili zostali sami, nie odzywali się do siebie. Kordian podniósł pilota i na powrót włączył telewizor. Temat topielca już przebrzmiał, teraz zajmowano się blokadą rolników na jednej z dróg wojewódzkich. Sąd jednak tak łatwo o całej sprawie nie zapomni. Obrońcy będą musieli wspierać się na wyżyny sofistyki, by przedstawić tę sprawę w korzystnym dla Szlezyngiera świetle.

– Mam zamiar wynająć kogoś do śledzenia go – odezwała się po chwili Chyłka.

– Aronowicza?

– Nie – odparła ze zdziwieniem. – Dlaczego miałabym śledzić jego?

– Bo może być zamieszany...

– Ach, tak. W zordonową teorię spiskową.

Nie odezwał się i tylko spojrzał na nią z ukosa.

– Możesz mi wytłumaczyć, na czym miałaby ona polegać? – zapytała. – Kto konkretnie miałby czerpać z tej sytuacji jakkolwiek korzyść?

– Angelika.

– Tak? Jaką?

– Zostanie przecież uniewinniona.

Kiedy tylko Chyłka obejrzała transmisję z posiedzenia, na którym Angela pograżyła męża, też tak pomyślała. Wystarczyło się jednak zastanowić, by stwierdzić, że nie ma to sensu.

– Myślisz, że tak by ryzykowała? – zapytała retorycznie. – W poprzednim układzie oboje mieli większą szansę na uniewinnienie. I jeśli kłamie, jak twierdzisz, to jest szansa, że prawda wyjdzie na jaw. Wówczas do końca życia będzie oglądać świat zza kratki. Na moje oko to nieopłacalny układ. Większą pewnością miałaby, idąc ramię w ramię z mężem.

– Ale...

– Więc jedynym powodem, dla którego mogła zmienić wersję, jest chęć powiedzenia prawdy. Tyle że wówczas twoja teoria spiskowa nie trzyma się kupy.

Oryński odpalił kolejnego papierosa i kontemplował wydychany dym. Wiedziała, że chwila zastanowienia wystarczy, by doszedł do podobnych wniosków.

– Więc kogo chcesz śledzić? – zapytał.

– Awita, rzecz jasna.

– Po co?

– Jeśli miał coś wspólnego ze śmiercią Ekiela, muszę o tym wiedzieć.

– I jak pomoże ci w tym ogon?

– Cóż... Szlezyngier musiałby zlecić komuś zabójstwo, prawda? Sam nie ryzykowałby niepotrzebnie.

Zobaczmy, z kim się kontaktuje, kto dostarcza mu paczki i tak dalej.

– Paczki?

– Nie wychodzi z domku letniskowego – powiedziała. – Jakiś czas temu rozmawiałam z właścicielką gościńca. Mówiła, że Szlezyngier zaopatruje się hurtowo w jakimś sklepie internetowym. No i że wrócił nad jezioro, podczas gdy Angelika pojechała do Warszawy.

– Ją trzeba by śledzić – burknął Oryński.

Joanna odwróciła wzrok w kierunku telewizora. Wątpiła, by cokolwiek to dało. Niewinni ludzie zazwyczaj nie dostarczają stronie przeciwnej dobrych argumentów.

4

Po kolejnych dwóch tygodniach Chyłka została z fanfarami powitana w kancelarii. Kordian wprowadził zobowiązał się, by nie pisać słówka na temat tego, kiedy prawniczka wróci, ale ostatecznie uznał, że lepiej będzie rozpuścić wieść, a potem z satysfakcją obserwować jej reakcje.

Dwudzieste pierwsze piętro w Skylight przystrojono na tę okazję czarnymi balonami, a w recepcji włączono jedną z płyt Iron Maiden. Oryński czekał na patronkę na dole, po czym wsiadł z nią do windy i prowadził niezobowiązującą rozmowę.

Gdy dojechali na miejsce i drzwi się rozsunęły, ukazał im się szpaler pracowników na korytarzu. O tej porze zazwyczaj panował tu chaos z piekła rodem – przekrzykiwano się, wręczano sobie niedokończone pisma czy przekazywano listy do nadania. Teraz słychać było jedynie Bruce’a Dickinsona i gitarowe riffy *The Wicker Man*.

Chyłka wybałuszyła oczy i obróciła się do aplikanta.

– Co to, kurwa, ma być? – szepnęła.

– Impreza powitalna.

– Będziesz tego żałował, nędzniku.

– Nie wątpię – przyznał. – Ale i tak warto było, żeby zobaczyć twoją minę.

Joanna ukradkiem wycięła mu jeszcze łokciem w żebra, a potem uśmiechnęła się poprawnie i wyszła z windy. Szpalerem z drugiej strony szedł Żelazny i Oryńskiemu przypomniało się jego powitanie rok temu. Nie było takiej pompy, ale imienny partner mówił coś o bohaterstwie. Teraz jednak nie silił się na przemowy, świadomy tego, czym mogłoby to grozić.

– Witamy z powrotem – powiedział, ściskając rękę Chyłki jak podczas spotkania przedstawicieli dwóch państw. Ktoś zrobił zdjęcie komórką, a Kordian ustawił się za dwójką prawników, uniósł dłoń i strzelił selfie.

– Coś siadło ci na mózg? – spytała cicho Joanna, nadal z wymuszonym uśmiechem.

– Zrobiłem friendsie.

– Będziesz miał friendsie, wracając w nocy do domu. Kilku moich kumpli o to zadba.

– Jakoś zdążę sprintem na Emilii Plater.

Chyłka uściśnęła jeszcze kilkanaście rąk, po czym oznajmiła, że musi zabierać się do roboty. Z pozorowanym smutkiem weszła do swojego gabinetu, a Kordian przekroczył próg tuż za nią. Zamknął drzwi i spojrzał na dziwnie puste biurko.

– Wybacz – odezwał się. – Musiałem.

– Właściwie powinnam się tego po tobie spodziewać – powiedziała, siadając na swoim fotelu. Oryński zajął miejsce po drugiej stronie biurka, na niewygodnym krześle, które miało przypominać każdemu gościowi, że nikt nie powinien zabawić tu zbyt długo.

– Widziałem, że było ci miło.

– Pewnie – odbąknęła. – Brakowało mi tych oparów hipokryzji, które wydzielają wszyscy ci ludzie.

– Powitali cię jak królową – zaoponował aplikant.

– Tak, Zordon, zauważyłam – odparła, włączając komputer. – I niemal zapomniałam o tym, że nadają na mnie za plecami jak kałasznikowy.

– Nigdy nie słyszałem na twój temat złego słowa.

– Nie? – zapytała z uśmiechem, przeglądając skrzynkę odbiorczą. – A te wszystkie opinie, że Chyłka dostaje najlepsze sprawy? Albo że korzysta ze specjalnych przywilejów, bo lawiruje między dwoma wrogimi obozami Żelaznego i McVaya?

– To mogło mi się obić o uszy.

– Mogło też ci się obić, że traktuję wszystkich przedmiotowo.

– Taaak – odparł z uśmiechem. – Rzeczywiście, chodzą takie słuchy. I coś w tym jest.

Czekał, aż padnie riposta, ale Joanna zapatrzyła się w monitor. Dopiero po chwili oderwała od niego wzrok.

– Mamy termin – oznajmiła. – Pierwsza rozprawa za dwa miesiące.

– Pospieszyli się.

– Bo sprawa jest medialna. Chcą pokazać, że polskie sądy są jak Usain Bolt.

– Zdążymy coś wykrzesać do tego czasu?

– Nie wiem.

Czas mijał, a wraz z nim zdawała się maleć szansa na to, że uda się przedstawić argumentację na korzyść Szlezyngiera. Joanna i Kordian zjedli lunch w Hard Rock Cafe, tuż obok Skylight. Zestaw był niezmienny, choć zazwyczaj towarzyszyły im lepsze humory.

Sytuacja nie poprawiała się przez kolejne dni.

Kordian coraz mniej myślał o apelacji. Dostał innego klienta, mężczyznę oskarżonego o jazdę pod wpływem. Niewiele mógł zrobić, bo kierowca miał trzydzieści pięć miligramów w wydychanym powietrzu. Oryński spodziewał się zawiasów i około pięciuset złotych grzywny.

Tak prosta sprawa była miłą odskocznią dla tego, co działo się w związku z Awitem i jego żoną. Nie mówiono już o nich w mediach – temat odżyje dopiero podczas kolejnej rozprawy, a może i nawet wtedy nie. Zazwyczaj relacjonowano jedynie pierwszy proces, po którym zapadał nieprawomocny wyrok. Dla opinii publicznej nie liczyło się to, co działo się później – szczególnie w tym przypadku. Wszyscy byli przekonani, że sąd apelacyjny podtrzyma orzeczenie z pierwszej instancji.

Minęło półtora miesiąca, od kiedy Chyłka wróciła do pracy, a nadal nie było żadnego dowodu na niewinność ich klienta. W dodatku wciąż nie odnaleziono śladu po dziewczynce. Kordian sam nie wiedział, w co chciał wierzyć. Jeśli Szlezyngier był winny, Nikola przynajmniej zaznała spokoju. Jeśli tak nie było i została porwana, mogła teraz znajdować się w jakiejś ruderze za wschodnią granicą, szykowana do małoletniej prostytutki za kilka lat. Wzdrygał się na samą myśl, ale trzeciej opcji nie było.

Organy ścigania ustaliły, że do śmierci Antoniego Ekiela doszło wskutek działania osób trzecich. Odrzucono jednak wersję o zadzierzgnięciu – ślady na szyi okazały się pośmiertne i nie powstały w wyniku przestępstwa. Na brzegu jeziora traseolodzy odkryli jednak dowody na to, że doszło tam do szarpaniny. Sprawców na razie nie ujęto.

Szlezyngier był śledzony, ale nic z tego nie wyniknęło. Codziennie wieczorem Chyłka i Oryński otrzymywali raporty od człowieka, który nie odstępował Awita na krok, gdy tylko ten opuszczał swój domek letniskowy. Było to kłopotliwe, bo wychodził jedynie po zmroku. Przechadzał się wokół jeziora, robiąc niewiele ponad trzy kilometry. Ogon wówczas za nim nie chodził – czekał przed domkiem, aż biznesmen wróci.

Kilka dni przed rozprawą prywatny detektyw zadzwonił do Joanny. Kordian siedział z nią w Hard Rock Cafe, pochylony nad łososiem i małym piwem. W trakcie pracy starali się nie zamawiać dużych.

Patronka wysłuchiwała, co miał do powiedzenia rozmówca, a potem oznajmiła, że oddzwoni.

– Co jest? – zapytał z pełnymi ustami Oryński.

– Nasz szpicel chce pójść za Awitem którejś nocy.

– Wokół jeziora?

– Aha.

– Zwariował – ocenił aplikant. – Tam za dnia była taka cisza, że słysząc byłoby nadepniętą gałązkę kilkaset metrów dalej.

– Twierdzi, że poznawał okolicę od wielu tygodni i pozostanie niezauważony.

– I wierzysz mu?

– Niespecjalnie. Dlatego powiedziałam, że oddzwonię. Chce to zrobić dzisiejszej nocy, bo twierdzi, że księżyc będzie za chmurami.

Kordian przez moment się zastanawiał.

– Jeśli Awit odkryje, że jest śledzony, będzie epicka katastrofa.

– Co ty powiesz? – burknęła Joanna, wkładając do ust kawałek wołowiny, która poziomem pikantności przypominała ogień piekielny. Kordian raz dał się namówić na kawałek i postanowił, że nigdy więcej tego nie zrobi.

– Zanim zdążylibyśmy temu zaradzić, wybuchłby skandal – kontynuował. – A jeśli sąd dowiedziałby się o tym, mielibyśmy...

– Doskonale wiem, co by się stało, Zordon – odparła z pełnymi ustami.

– A mimo to rozważasz danie facetowi zgody.

Skinęła głową.

– Dlaczego? – zapytał.

– Bo nasz śledczy twierdzi, że to dziwne, by Szlezyngier tak spacerował noc w noc.

Oryński odłożył nóż i spojrzał na patronkę spode łba.

– Sądzi, że Awit się z kimś spotyka?

– Najwyraźniej.

– Na jakiej podstawie? To, że przechadza się nocami wokół jeziora, o niczym nie świadczy.

– Świadczy, jeśli najczęściej wychodzi o określonych godzinach.

Kordian odłożył teraz także widelec.

– Co? – spytał.

– Słyszałeś.

– I dopiero teraz się o tym dowiadujemy?

– Bo dopiero teraz detektyw poskładał wszystko do kupy.

– Nie rozumiem – zaoponował aplikant. – Jak można przez prawie dwa miesiące...

– Wychodzi o różnych porach – ucięła, nim zdążył się rozkręcić. – I nie dni tygodnia są istotne, a dni miesiąca. Szpicel twierdzi, że pierwszego wychodzi o pierwszej, drugiego o drugiej, i tak dalej. Piątego wszystko się zeruje i zaczyna od początku. Zauważył ten schemat dopiero wczoraj, gdy usiadł z kalendarzem i swoimi zapiskami.

– Jest pewien?

– Brzmiał, jakby był przekonany.

Nie mieli innego wyjścia, skwitował w duchu Kordian, należało podjąć ryzyko. Rozważali tę kwestię jeszcze przez kwadrans, a gdy kufle świeciły pustkami, doszli do wniosku, że decyzja może być tylko jedna. Chyłka poinformowała o niej detektywa, a ten zapewnił ją jeszcze raz, że pozostanie niezauważony.

– Może ma noktowizor i będzie obserwował z oddali – skwitował Oryński i wzruszył ramionami.

Okazało się, że mężczyzna był przygotowany. Posiadał nie tylko noktowizor, ale także statyw i dość dobry aparat, który przy odpowiednim czasie naświetlania zrobił wyraźne zdjęcia. Kilkanaście fotografii z samego rana wylądowało na skrzynce Chyłki. Prawnicy otworzyli je w biurze Joanny, przekonując się,

że detektyw miał rację.

Szlezyngier nocą spotykał się z mężczyzną, którego tożsamości na pierwszych kilku zdjęciach nie można było ustalić. Stał tyłem, w dodatku nosił bluzę z kapturem. Dopiero gdy uścisnął Awitowi rękę na pożegnanie, obrońcy rozpoznali jednego z przemytników. Wito sprawiał wrażenie, jakby dobił korzystnego targu.

5

Chyłka nie miała zamiaru rozmawiać z klientem przez telefon. Zaraz po tym, jak odebrali zdjęcia, narzuciła żakiet i skierowała się do wyjścia. Oryński nie protestował – odezwał się dopiero, gdy wsiedli do icks piątki. Po wypadku nie było śladu, nie licząc rysy na psychice Joanny.

– Rozumiem, że jedziemy do Sajenka? – zapytał aplikant, gdy uruchomiła silnik.

– Mówiłam ci kiedyś, że twoja przenikliwość nie zna granic?

– Chyba kiedyś to słyszałem.

– Wklep adres do Zygmunta.

– Co?

– Do nawigacji. Zapomniałeś już, jak się nazywa?

– Wybacz – odparł Kordian i pochylił się, by wprowadzić adres. System pokazał, że od celu dzielą ich trzy godziny i dwadzieścia pięć minut jazdy.

W normalnych okolicznościach Joanna byłaby pewna, że zdoła zrobić tę trasę co najmniej pół godziny szybciej, ale teraz szacunek GPS-u zapewne okaże się zgodny z prawdą. Przejazd z osiedla do centrum Warszawy nieraz sprawiał jej trudność. Nie fizyczną, bo z jej ciałem wszystko było w porządku – problem tkwił w psychice. Cały czas miała wrażenie, że inne samochody są bliżej, niż powinny. Niegdyś potrafiła niemal ocierać się o nie, lawirując między pasami; dziś najchętniej przemieszczałyby się taksówkami.

Zakodowane nawyki raz po raz brały górę – tak jak teraz, gdy wyjeżdżała na aleję Jana Pawła II. Wcisnęła gaz do dechy i dopiero po chwili umysł zaskoczył, uruchamiając irytujący bufor bezpieczeństwa. Zwolniła, a potem zjechała na prawy pas.

– Trochę potrwa, nim się do tego przyzwyczaję – oznajmił Oryński.

– Zanim zdążysz to zrobić, będę już śmigać.

– Lepiej, żebyś śmigała na sali sądowej niż po ulicach.

Wiedziała, że nie miał nic złego na myśli, ale poruszył temat, który martwił ją znacznie bardziej od naturalnej blokady prędkości. Doskonale pamiętała upokorzenie, które przed sądem zafundował jej Zbigniew Aronowicz. Nieraz mimowolnie wracała do tego przed snem i czuła, że sama mu na to pozwoliła. Obawiała się, że podczas apelacji nastąpi powtórka z rozrywki.

– Dzwonisz do niego? – zapytała, patrząc na komórkę aplikanta.

– Próbuję, ale nie odbiera.

– Jeśli dobrze rozumiem, jesteście kumplami, powinien odbierać od ciebie połączenia.

– Tak – przyznał Kordian. – Nie licząc tego, że Wito obił mi mordę na dzień dobry.

– W ten sposób zaczynają się najlepsze przyjaźnie.

– Nasza zaczęła się do tego, że „tu się nie smrodzi”.

– Nasza to nie przyjaźń.

Spojrzał na nią z zadowoleniem, ale Chyłka ucieła temat. Zerknęła w boczne lusterko, a potem zmieniła pas na lewy, mijając starą micrę.

– Brawo – pochwalił ją Oryński. – Jeszcze trochę, a może będziemy jechać szybciej od tego poloneza przed nami.

Chyłka wróciła na prawy pas.

– Zawsze sądziłam, że to ty jesteś tym, który powinien okazywać empatię.

– Muszę nacieszyć się chwilą – usprawiedliwił się. – Potem będę naszym wnuczkom opowiadać, że kiedyś był taki czas, gdy babcia jeździła zgodnie z przepisami.

– Nie mam zamiaru być żadną babcią.

– Nigdy?

Spojrzała na niego przelotnie z ukosa, a potem wróciła do obserwowania tego, co działo się na drodze. Nie wlokła się, jak Kordian sugerował – jechała i tak przekraczając ograniczenia, dzięki czemu do Sajenka dojechali mniej więcej w tym czasie, który wieszczył Zygmunt.

Joanna zaparkowała iks piątkę pod domkiem letniskowym, po czym wysiedli i rozejrzeli się. Wyglądało tu tak, jakby gdzieś w okolicy eksplodował ładunek wybuchowy. Nikt nie posprzątał po tłumie dziennikarzy. Większość koczowała tutaj jakiś czas, więc na drodze walały się opakowania po chipsach, batonach i innych przekąskach. Liczby niedopałków trudno było się doliczyć.

– Dziwnie to wygląda – powiedział Kordian, gdy ruszyli w kierunku domu, oboje odpalając papierosy.

– Pusto jak w Czarnobylu.

– Będzie jeszcze tłoczno, jak się okaże, że ta sprawa ma drugie dno.

A wydawało się, że tak jest. Spotkanie z Witem nie było przypadkowe – choć Chyłka nie potrafiła stwierdzić, dlaczego Szlezyngier miałby regularnie widywać się z tym człowiekiem. Miała jednak zamiar się tego dowiedzieć.

Weszli po schodkach i Oryński zapukał do drzwi. Przez moment nasłuchiwali, ale żadne z nich nie wyłowiło z wnętrza jakichkolwiek dźwięków. Tym razem Joanna załomotała bez ogródek.

Rezultat wciąż był ten sam.

– Może go nie ma? – podsunął Kordian.

– Akurat dzisiaj przypadł ten dzień, kiedy raz na dwa miesiące wychodzi z domu przed zmrokiem?

– Niewykluczone. Może zauważył wczoraj, że...

– Cicho – ostrzegła, podnosząc rękę.

Oboje usłyszeli dźwięk zbliżających się kroków i zrobili krok w tył. Po chwili gospodarz zatrzymał się po drugiej stronie drzwi i zapewne wyjrzał przez wizjer. Kaszlnął chrapliwie, po czym przekręcił klucz.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego – powiedział, uchylając drzwi.

– Nie przychodzilibyśmy kilka dni przed rozprawą, gdyby było inaczej – odparła Chyłka, wchodząc do środka. Awit musiał się odsunąć, by na niego nie wpadła. Omiotła wzrokiem wnętrze i niechętnie wzięła oddech. W środku śmierdziało potem, alkoholem i papierosami. Przeszła do salonu i otworzyła okno.

– Co robisz? – zapytał Szlezyngier.

Obróciła się i spojrzała mu w oczy. Były wyraźnie szkliste, jakby dopiero co skończył pić. W ogólnym odorze wody trudno było wyczuć, czy jego oddech potwierdza to spostrzeżenie.

– Zaraz jacyś dziennikarze skorzystają – zaoponował, podchodząc do okna.

– Jacy dziennikarze, Awit?

– Ci z lasu.

Prawnicy spojrzeli na siebie niepewnie. Gospodarz z impetem zamknął okno, jakby miał pretensje, że w ogóle musi to robić. Potem opadł ciężko na kanapę i wyciągnął nogi na stolik. Potarłszy kilkudniową szczecinę, wskazał im miejsca po drugiej stronie stolika. Żadne z nich nie skorzystało z zaproszenia. Wyglądało na to, że pizza na zamówienie często lądowała na fotelu, zamiast na stole.

– Tam nie ma już żadnych reporterów – odezwał się Oryński.

– Mylisz się.

– Obejrzeliśmy dokładnie teren.

– Widocznie niedostatecznie – odparł stanowczo Szlezyngier. – Oni chowają się w lasach. Wiem o tym. Czasem za mną chodzą.

Chyłka przypatrywała mu się badawczo, starając się stwierdzić, czy jest otumaniony nadmiarem alkoholu, czy może zwariował. Nie wyglądał na mocno wstawionego.

– Ile pijesz, Awit? – zainteresowała się.

– Nie wiem.

Trudno było uznać tę odpowiedź za dobry omen.

– Zapytam inaczej – dodała. – Jak często nie pijesz?

Wzruszył ramionami.

– Straciłeś zdolność kontaktu z innymi ludźmi?

– Nie. Po prostu nie mam ochoty się spowiadać.

Chyłka przeszła do kuchni i nie musiała już o nic więcej pytać. Pamiętała, że do domku letniskowego raz w miesiącu przyjeżdżali śmieciarze, by zabierać szkło. Ilość pustych butelek po wódce mówiła sama za siebie. Pełne, które znalazła w spiżarce, kazały sądzić, że Szlezyngier chodzi nawalony dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wróciła do salonu i przekonała się, że klient nadal milczy. Oryński próbował zacząć niezobowiązującą rozmowę, ale bezskutecznie. W takim układzie pozostało jej tylko przejść do rzeczy. Stała na wprost Szlezyngiera i skrzyżowała ręce na piersi.

– Wiemy, z kim się spotykasz, Awit.

Leniwie podniósł na nią wzrok, ale się nie odezwał.

– Mam na myśli twoje nocne schadzki, gdybyś miał wątpliwości.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Doskonale wiesz.

Wydał usta i podniósł szklanekę ze stołu. Jednym łykiem osuszył końcówkę drinka, a potem odstawił naczynie i skrzywił się. Najwyraźniej tego dnia przyjął już wystarczającą dawkę, choć nic nie wskazywało na to, by miał zamiar się zatrzymać.

– Możesz nam wytłumaczyć, co robisz z facetem, który pomógł zniknąć Sakratowi?

– Pierdol się – odrzekł były biznesmen i z trudem zwłóknął się z kanapy. Kordian szybko ruszył za nim, ale prawniczka powstrzymała go ruchem ręki. Pozwolili gospodarzowi przejść do kuchni i dali mu czas, by zrobił sobie kolejnego drinka.

Kiedy wrócił i znów przyjął pozycję bumelanta, Chyłka uznała, że może kontynuować.

– Więc? – zapytała.

– Nie rozumiem pytania, pani mecenas – odparł opryskliwym tonem i napił się.

– Co robiłeś z tym facetem?

– Albo może co robisz z nim dzień w dzień? – skorygował Oryński.

– Nie wasza sprawa – odbąknął. – I jeśli tym zajmujecie się tuż przed procesem, to nie widzę swojej przyszłości w różowych barwach.

– Może trzeba było o tym pomyśleć, zanim zabiłeś to dziecko.

Joanna pożałowała tego zdania, jeszcze gdy je wypowiadała. Było już jednak za późno, by się wycofać. Przypuszczała, że Szlezyngier zerwie się z kanapy i rzuci na nią, ale ten tylko powoli podniósł wzrok. Znów się napił, oblizał usta, a potem odstawił drinka.

– Wynoście się z mojego domu. Natychmiast.

– Tylko jeśli powiesz, o co chodzi.

Podniósł się z kanapy i rozejrzał po pokoju, jakby szukał czegoś, czego mógłby użyć jako broni. Oryński drgnął nerwowo, zapewne przypominając sobie ostatnie dwa razy, gdy wdał się w bójkę. Z obu

wyszedł w opłakanym stanie.

– Nie rozumiesz, Awit – odezwała się Joanna. – Jeśli nie chcesz być naczelną dziwką pewnego pawilonu za wysokim więziennym murem, musisz powiedzieć, co...

– Wynoście się.

Wskazał wzrokiem drzwi, a gdy prawnicy ani drgnęli, ruszył w kierunku Kordiana.

– Wypierdalać stąd! – ryknął i popchnął aplikanta.

Oryński zatoczył się lekko w tył, ale zdążył zareagować w porę, by odepchnąć ręce Szlezyngiera. Przez ułamek sekundy Chyłka sądziła, że się na siebie rzucą, obaj jednak dali po kroku w tył i spojrzeli na siebie spode łba. Szybko znalazła się przy Kordianie i złapawszy go za rękę, pociągnęła w kierunku drzwi.

Była gotowa na słowną przepychankę, ale bójka z klientem tuż przed rozprawą byłaby prawdziwą tragedią.

Wyszli na zewnątrz, a drzwi za nimi zamknęły się z hukiem. Usłyszeli jeszcze stek przekleństw, zanim Awit wrócił do salonu. Potem rozbrzmiał dźwięk tłuczonego szkła. Oboje sięgnęli po papierosy, schodząc po schodkach.

Oryński skręcił do samochodu, ale Joanna wskazała mu pomost. Podpalili dopiero, kiedy znaleźli się na jego końcu i zwiesili nogi nad taflą.

– Warto było przyjechać – skwitowała.

– Jak cholera.

– A ty od kiedy jesteś taki chętny do bitki?

– Od kiedy ktoś każe ci się pierdolić.

Wycięła mu kuksańca, a potem zaciągnęła się z uśmiechem.

– Romantyk z ciebie, Zordon. Miewasz swoje momenty.

Wzruszył nonszalancko ramionami, a potem spróbował ją objąć. Gdy tylko jego ręka znalazła się za jej plecami, Chyłka obróciła się i obrzuciła go karcącym spojrzeniem. Nie odniosło to jednak zamierzonego efektu.

– Bierz tę kończynę – powiedziała więc.

Cofnął rękę i przez moment oboje patrzyli na cypel nieopodal. Negatywne emocje zniknęły jak ręką odjął, co nie zmieniało faktu, że mieli nielichy problem.

– Nieźle nam to wychodzi – odezwał się Kordian.

Ton jego głosu był zbyt poważny, by mogła łudzić się, że żartuje. Spojrzała na niego i przekonała się, że wbija wzrok w jej oczy.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– To. – Wskazał na nią i na siebie, po czym zaciągnął się i zmrużył powieki. – Wystarczy, że zamienimy jedno zdanie, a nawet największe gównno wygląda ledwie jak potknięcie.

– Przestajesz się robić romantyczny.

– Mówię poważnie.

– Widzę.

Westchnął i odwrócił wzrok z powrotem na kawałek ziemi przed nimi.

– Moglibyśmy kiedyś pogadać bez tych wybiegów – powiedział po chwili.

– Nie.

– „Nie”? Tak po prostu?

– Zaraz wstanę i pójdę, Zordon.

– W porządku, w porządku. To była tylko luźna propozycja.

Zawiesił spojrzenie gdzieś w oddali i przez moment trwał w bezruchu. Nie widać było po nim zawodu,

smutku czy złości. Znała go jednak wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że obojętność na jego obliczu zazwyczaj znaczy zupełnie co innego.

– Nie dramatyzuj – bąknęła.

– Co?

– Nie rób z naszej relacji dramatu.

– Nie robię, po prostu chcę się dowiedzieć, czy ty...

– *Hola, señor*. Tu ci przerwę.

– A może ja chcę dokończyć?

– To dzwoń do Kormaka i mu się zwierżaj. – Podniosła się i wystrzeliła niedopałek do jeziora.

Przekląła swoją lekkomyślność, ale naraz uświadomiła sobie, że żaden entuzjasta ochrony przyrody tego nie widział. Byli nad jeziorem sami.

Kordian również się podniósł i stanął naprzeciw niej.

– Jak chcesz – powiedział.

Chyłka przewróciła oczami.

– Jesteś aplikantem, kretynie. A ja twoją patronką.

– Też mi nowość.

– Za niecałe dwa lata to się zmieni.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a Joanna miała nadzieję, że na tym temat się skończy. I tak się stało. Zordon był rozgarniętym gościem – więcej mógł wywnioskować z tego, czego nie mówiła, niż z tego, co powiedziała. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Jedziemy? – zapytał, wskazując na iks piątkę.

Z jakiejś przyczyny wiedziała, że nie pyta o powrót do Warszawy. Ruszyli do auta, a Chyłka starała się wypatrzyć, czy Awit nie obserwuje ich z domku letniskowego. Zasłony jednak ani drgnęły.

– Pamiętasz drogę? – zapytała, gdy wsiedli do BMW.

– Niezupełnie. Byłem trochę pobity, trochę podchmielony i trochę zdezorientowany – odparł, po czym wprowadził do nawigacji przypadkową ulicę w Lebedzinie.

6

Oryński starał się przypomnieć sobie, jak nazywała się wioska, w której znajdowała się dziupla przemytników, jednak próba okazała się daremna. Do miejsca, gdzie pił kenigery z Dżordim i resztą, trafił na pace samochodu dostawczego. Jedyna nazwa, jaką znał, to Lebedzin.

Zaparkowali pod budynkiem, w którym swego czasu ukrywali się Sakrat i Ekiel, po czym wysiedli z wozu. Wyglądało na to, że chałupa wciąż stoi opuszczona. Załomotali do drzwi, ale bez skutku. Obeszli budynek i zatrzymali się z tyłu, przy jednym z okien. Wejrzeliby przez nie do środka.

– Niedawno ktoś tu był – oceniła Chyłka.

– Po czym wnosisz?

– Po tym, że tam ktoś leży – wyjaśniła, wskazując mu nogę wystającą zza progu jednego z pokoi.

Kordian skupił wzrok w tamtym miejscu i po chwili dostrzegł także drugą, podkurczoną.

– Może trup? – zapytał.

– Nie można tego wykluczyć – odparła. – Ale bardziej prawdopodobne, że to poległy w batalii alkoholowej.

Ruszyli w kierunku frontu wzdłuż innej strony budynku, szukając otwartego okna. Gdyby byli tu dwa miesiące temu, być może któreś byłoby uchylone. Teraz temperatura była zbyt niska.

– Rozbijaj, Zordon.

– Drugi raz nie dam się tak zrobić.

– Tyle że teraz mówię poważnie.

– Tak jak przy domu Ekiela?

Joanna westchnęła i powiodła wzrokiem wokół. Kilka metrów dalej dostrzegła kamień właściwej wielkości. Podniosła go, zamachnęła się i cisnęła w szybę. Do momentu, gdy ta pękła, Kordian był przekonany, że patronka żartuje.

Spojrzał na nią niepewnie, a ona rozłożyła ręce.

– No co? – zapytała. – To taka rudera, że i tak nikt nie zauważy. Poza tym w środku może być umarłak.

Ciąży na nas moralny obowiązek, by to sprawdzić.

– Jak cholera.

Owinęła dłoń rękawem płaszcza, a potem rozgarnęła pozostałe kawałki szkła. Przełożywszy rękę na drugą stronę, otworzyła stare okno. Po chwili oboje wgramolili się do środka. Natychmiast poczuli woń dobrej imprezy – gorzałę, rzygowiny i lekką domieszkę dymu nieokreślonego pochodzenia.

Przeszli przez przedpokój i dotarli do leżącego na ziemi mężczyzny. Joanna trąciła go nogą.

– Oszalałaś? A jak nie żyje?

– To tym bardziej się nie przejmie – odparła, przykucając obok.

Kordian zrobił to samo i oboje zaczęli mu się przyglądać.

– Oddycha – zauważyła prawniczka. – Choć biorąc pod uwagę te wyziewy, wolałabym chyba, żeby tego nie zrobił – dodała, odwracając głowę. – Znasz go?

Oryński był przekonany, że pamięta twarze wszystkich przemytników, z którymi przyszło mu pić kenigery. Po czasie jednak zatarły się w jego pamięci i teraz nie był pewien, czy zna tego faceta. Dres i wojowniczy t-shirt Lonsdale świadczyły, że tak, ale na dobrą sprawę oni wszyscy wyglądali podobnie.

Mięśnie, kilka milimetrów włosów i zakazana facjata.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Aż tak nawalony chyba wtedy nie byłeś.

– Zdziwiłabyś się. Piliśmy przez cały dzień.

Chyłka nagle strzeliła mężczyźnie po twarzy. Mruknął, ściągnął brwi, ale oczu nie otworzył. Chyba chciał przewrócić się na bok, ale próba okazała się daremna. Potem znowu odpłynął. Joanna włożyła mu rękę do kieszeni.

– Co robisz?

– Grzebię mu po kielni, nie widzisz?

– Widzę, zastanawia mnie tylko...

Wyciągnęła telefon i uniosła go triumfalnie.

– Teraz ty napiszesz Witowi SMS-a, żeby się tu pojawił, a ja pójdę przeparkować iks piątkę na tył budynku.

Oryński uniół brwi, biorąc od patronki telefon.

– Co mam mu napisać?

– A bo ja wiem? – odparła, kierując się do wyjścia. – Użyj tego waszego hip-hopowego kodu. Joł ziombel, wbijaj tu na chawirę, bo prawie zdechł nam bąbel.

– Hm?

– Wymyśl coś w tym stylu – rzuciła na odchodnym, a potem opuściła budynek.

Kordian nie musiał długo się zastanawiać. Napisał Witowi, że do Lebiezina zgłosił się jakiś facet, który natychmiast chce go widzieć. Dodał, że przypomina tego biznesmena, którego skazano za zamordowanie własnego dziecka.

Potem przez moment się zastanawiał. Jeśli ekipa przemytnika była włączona w tę sprawę, będzie to brzmiało podejrzanie. Skasował ostatnią część wiadomości i napisał po prostu, że przyszedł Szlezyngier. Każdy kojarzył go z mediów, więc nawet jeśli tutejsi dresiarze nie byli wtajemniczeni, to wiedzieliby, kim jest. „Mówi, że musi natychmiast się z tobą spotkać” – dodał Kordian, a potem wysłał SMS-a.

Chyłka wróciła do domu i oboje nerwowo czekali na odpowiedź. Nadeszła po kilku minutach i mimo swej lakoniczności, zawierała wszystko, na co liczyli. „Jadę” – napisał Wito.

Zatrzymujący się pod rudera samochód usłyszeli już po kwadransie. Potem rozległ się dźwięk zatraskiwanych drzwi i szybkie kroki. Handlarz wpadł do budynku jak huragan. Zamarł, widząc dwoje prawników stojących przed nim ze skrzyżowanymi rękami.

– Co, do kurwy nędzy...

– Niespodzianka – wyjaśniła Joanna. – Pogadamy sobie.

Wito wyglądał tak, jakby miał zamiar obrócić się na pięcie i wyjść, więc Chyłka szybko dodała:

– Potraktuj to jako szansę. Dajemy ci ją z czystej ciekawości, zanim pójdziemy na policję i przedstawimy kilka spraw, które mogą zainteresować organy ścigania.

Stał w progu, patrząc na nich w milczeniu.

– Rozumiesz, o czym mowa? – dodała.

– Rozumiem, że jesteście samobójcami.

Prawniczka rozplotła ręce i zaprosiła go do środka, jakby to ona była tutaj gospodarzem. I może poniekąd tak właśnie było. Wito zamknął drzwi, ale nie ruszył się z przedpokoju.

– Jeśli zobaczę was choćby w pobliżu budynku policji...

– To narobisz w gacie – dokończyła. – A teraz skończ pieprzyć, bo jestem zmęczona, poirytowana i głodna. A w tej budzie nie macie absolutnie nic, co nie jest zgniłe.

Otworzył usta, ale nie zdążył się odezwać.

– Jeśli będziemy chcieli cię udupić, zrobimy to – kontynuowała. – Oryński widział wystarczająco wiele, a oprócz tego kilka stówek zapewne otworzy usta przynajmniej kilku kretynom, z którymi pracujesz. O ile można to nazwać pracą.

Chyłka zawiesiła głos, patrząc na niego pytająco. Kordian chciał ją wesprzeć, ale po prawdzie powiedziała wszystko, co było do powiedzenia. Teraz rozmówca potrzebował chwili, by uznać, że nie minęła się z prawdą. I w końcu to zrobił.

– Czego ode mnie chcecie?

Uśmiechnęła się i wyciągnęła paczkę marlboro.

– Wiemy, że spotykasz się co noc ze Szlezyngierem – oznajmił Oryński, gdy patronka sobie podpałała.

– Co?

– Wygląda to na przypadkowe wypadki Awita, ale w rzeczywistości macie ustalone pory, zależne od dnia miesiąca.

– Śledziliście nas?

– W żadnym wypadku – odezwała się Joanna, wypuszczając dym. – Co nie zmienia faktu, że właśnie potwierdziłeś nasze przypuszczenia.

– Ale... – Urwał, wodząc wzrokiem po korytarzu, jakby sądził, że i tutaj jest inwigilowany. – Zaraz, czekaj...

– Spokojnie, Wito – powiedziała. – Nie ma tu żadnego podsłuchu ani kamer. Możesz mówić swobodnie.

Chwilę trwało, nim wszyscy upewnili się, że nie mają włączonych dyktafonów w komórkach. Usiedli w kuchni – jedynym miejscu, gdzie było w miarę schludnie. Tu przynajmniej nie wały się puszki po tanich piwach, bo wszyscy pili w pokojach.

– Mów – ponaglił przemytnika Kordian. – Po co się spotykacie?

– I kto zabił Ekiela?

Wito spojrzał na nich z przestachem.

– Nie, moment... chyba nie myślicie, że ja...

– Nie – weszła mu w słowo Chyłka. – To nie twój kaliber przewinienia. Ale mogłeś pośredniczyć w procederze.

– Jakim, kurwa, procederze?

Joanna założyła ręce za oparcie krzesła i spojrzała na rozmówcę z góry.

– Moim zdaniem to wygląda tak: Awit płacił ci za to, byś szukał Tatara. Nie natrafiłeś na niego, ale udało ci się namierzyć Ekiela. Doniosłeś o tym swojemu mocodawcy podczas jednej z nocnych schadzek, a on przekazał ci kupę pieniędzy, byś pośredniczył w znalezieniu człowieka, który go zabije. Było to dla Awita kluczowe, bo gdyby Antoni zdecydował się ponownie zeznawać, mógłby powiedzieć, że widział go nad jeziorem niosącego dziecko. I mimo że stary wtedy nie zastanawiał się nad tym, czy żyło, na sali sądowej mógłby zacząć. Szlezyngier wiedział, że musi go wyeliminować.

Wito przez moment trwał w bezruchu, a potem ni stąd, ni zowąd parsknął śmiechem. Kręcąc głową, wyciągnął tanie białoruskie fajki, a potem zapalił.

– O w mordę – powiedział. – Jak wy mało wiecie...

Tym razem to on beztrudnie wypuścił dym, a prawnicy wyczekująco wbijali w niego wzrok.

– Popraw mnie, jeśli gdzieś się pomyliłam – bąknęła adwokat.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć – odparł rozbawiony przemytnik.

– Od początku.

Handlarz westchnął.

– Trochę się przeliczyliście, mając nadzieję, że traficie na jakiś konkretny – zaczął i rozejrzał się

w poszukiwaniu popielniczki. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że prawniczka strzepywała popiół na podłogę. Cóż, w ogólnym rozrachunku niewiele to zmieniało.

– Co dla niego robiłeś? – zapytał Kordian, pochylając się nad stołem.

– Skontaktowałem się ze mną jakiś czas po procesie. Nie wiedział, do kogo ma się zwrócić, bo nawet jego obrońcy nie dawali wiary, że nie zabił dziecka. Wiedział za to doskonale, że mam dojścia do różnych środowisk, więc uderzył do mnie.

– Raczej wiedział, że za pieniądze zrobisz wszystko – poprawiła go prawniczka.

– No tak – przyznał Wito. – W każdym razie spotkaliśmy się, zaoferował mi okrągłą sumkę, jeśli nadal będę szukał dziecka i Tatarnikowa i składał mu codzienne raporty z postępów.

Po przegranej procesie Kordian liczył na to, że przemytnik mimo wszystko będzie chciał namierzyć Sakrata. Ten jednak szybko oznajmił, że wszelki trop się urwał, a jemu nie zależy na tym na tyle, by jeździć po całej Polsce, goniąc za widmami. I właściwie trudno było mu się dziwić.

– Więc szukałem.. a raczej koordynowałem poszukiwania – dodał i wzruszył ramionami. – Nie liczyłem na to, że znajdę Tatara, bo jeśli się ukrył, to zrobił to dość dobrze. Trup dał nam nadzieję na to, że go znajdziemy, ale nic z tego nie wyszło.

– I? – zapytała Chyłka.

Znów wzruszył ramionami.

– I nic. To tyle, jeśli chodzi o wielką tajemnicę, którą udało wam się odkryć.

Joanna uśmiechnęła się do niego w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że nie ma w tym ani krzty sympatii.

– Gówno prawda – powiedziała. – Gdyby było tak, jak mówisz, Szlezyngier powiedziałaby nam o wszystkim zaraz po tym, jak przekroczyliśmy próg jego domku.

– Rozmawialiście z nim? – spytał obojętnie Wito.

– Próbowaliśmy – wtrącił Oryński. – I Chyłka ma rację. Gdyby chodziło o dalsze poszukiwania dziecka i Sakrata, od razu by nam powiedział.

– Nie macie pojęcia, co się dzieje w głowie tego pijusa. A teraz wybaczcie, ale spierdalam stąd – powiedział przemytnik i wstał od stołu. Cisnął papierosa do zlewozmywaka, a potem ruszył w kierunku drzwi.

– Powoli – ostrzegła go Joanna. – Wyjdiesz stąd, to zrobisz sobie w nas wrogów.

– Mam was w dupie – odrzekł. – Powiedziałem wszystko, co wiem. Chcecie snuć sobie teorie, proszę bardzo. Ale mnie tu nie będzie. Kontaktujcie się ze Szlezyngierem, jeśli chcecie konkretów w sprawie mojego śledztwa. Jak znajdziemy ciało, będziemy się odzywać.

Zniknął za progiem i nie pofatygował się o to, by zamknąć drzwi. Kordian spojrzał pytająco na patronkę, ta jednak machnęła ręką.

– Więcej od niego nie wyciągniemy – powiedziała.

– Ale myślisz, że jest co wyciągać?

– Z pewnością, Zordon – odparła, podnosząc się. – Zaczynam sądzić, że w tej sprawie jest więcej niewiadomych, niż dotychczas sądziliśmy.

– Skąd ten wniosek?

Chyłka wskazała wzrokiem odjeżdżający samochód.

– Ten sukinsyn łągał jak pies.

Rankiem w dniu procesu Chyłka stanęła przed hotelowym lustrem i przejrzała się. Pokój w białostockim Gołębiowskim nie należał do najtańszych, ale Joanna widziała rachunek tylko przelotnie, chowając go do teczki, którą później przekaże kancelaryjnej administracji. Lokalizacja była dobra – od budynku Sądu Apelacyjnego dzielił ją piętnastominutowy marsz.

Postanowiła, że przejdzie się, dla świeżości umysłu. Było chłodno, ale nie tak bardzo, by to przeszkadzało. Jeszcze raz spojrzała w lustro. Fryzura była adekwatna do powagi sądu, ale też nie nader grzeczna. Makijaż lekki, minimalnie agresywny. Cała reszta nie miała znaczenia, bo żakiet i tak schowa się pod togą.

Spojrzeła sobie w oczy, skinęła głową, a potem opuściła pokój. Kordian czekał na nią w korytarzu, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

– Gotowa do boju? – odezwał się.

– Jak będziesz takie pytania zadawał, zacznę czuć się jak maturzystka przed egzaminem dorosłości i nici z krwiożerczej prawniczki na sali sądowej.

– Może zjedz jakiś befszytk?

– Mięso nie buduje agresji w ludziach, Zordon.

– Dziwne – odparł, kiedy ruszyli do windy. – Zawsze myślałem, że wegan oskarża się o brak drapieżnych instynktów, bo nie jedzą innych istot żywych.

– Bzdura. Jak zjesz mięcho, włącza się prehistoryczny atawizm. Twój organizm dostaje sygnał, że wszystko jest w porządku, jesteś po polowaniu, najadłeś się i tak dalej. Jeśli mięsa nie dostarczasz, twoje ciało pozostaje w stanie ciągłego pobudzenia, bo myśli, że jesteś jeszcze przed polowaniem.

– To twoja autorska teoria?

– Bynajmniej. Dowiedziałam się tego z któregoś „National Geographic”.

– Z pewnością.

Zjechali windą na dół, a potem Kordian z zaskoczeniem odkrył, że nie pojedą samochodem.

– Niemożliwe – ocenił. – Będziemy iść?

– Tak.

– Na nogach?

– Wszystko na to wskazuje.

Spojrzeł na zegarek, a potem przez moment się zastanawiał.

– Boisz się, że znów będziesz prowadziła jak ciapciak i obniżysz poziom swojej pewności?

– Jak ty wszystko potrafisz odgadnąć, Zordon. Czy może raczej powinnam zwracać się do ciebie per Sigmund Freud?

– Mów, jak ci się podoba. Nie zmieni to faktu, że znam cię na wylot.

Nie odpowiedziała, bo uświadomiła sobie, że może mieć rację. Patrząc na siebie w lustrze, nie była pewna, czy widzi tę samą Chyłkę, która jeszcze kilka miesięcy temu wkroczyłaby do sądu zdecydowanym krokiem i wpadła na salę rozpraw pełna werwy. Miała nadzieję, że tak, ale nie było jak przeprowadzić próby generalnej – wszystko musiało wyjść w praniu.

Dotarli na miejsce po kwadransie. Do rozpoczęcia posiedzenia pozostało jeszcze pół godziny, więc

podeszli do pobliskiego sklepu Tchibo, wzięli kawę na wynos, a potem usiedli na moment na plantach przy Parku Branickich. Normalnie Joanna czekałaby już na korytarzu sądowym, ale wiedziała, że teraz wywarłoby to na niej nadmierną presję. Lepiej było przyjść w ostatniej chwili.

Dopili kawę, po czym Chyłka wzięła głęboki oddech i wyrzuciła kubek do kosza.

– Pora na nas – powiedziała.

– Aronowicz już ma pełne portki.

– Na pewno. Drży przed nami jak osika, planując już, co będzie robił, jak wyrzucą go z palestry.

– Mógłby się przekwalifikować na radcę, ale po takiej klapie wątpię, by ktokolwiek mu na to pozwolił.

– Nie ma szans. W każdym zawodzie prawniczym będzie spalony.

– Zatrudni się jako parkingowy.

– Ale nie pod budynkiem sądu. Tam go nie będą chcieli.

– Może pod dworcem.

– Może – powiedziała Chyłka.

Po chwili stanęli przed gmachem sądu. Prawniczka nie żałowała, że nie wzięła samochodu. Na niewielkim parkingu przy ulicy trudno byłoby o wolne miejsce. Potoczyła wzrokiem po odnowionej elewacji, a potem weszli do środka.

Sprawdzili, czy na wokandzie nic się nie zmieniło, i wspięli się po schodach na pierwsze piętro. Kiedy stanęli przed salą rozpraw, mieli jeszcze kilka minut do rozpoczęcia procesu. Szlezyngier stał obok, nie patrząc na nich. Aronowicz za to chętnie podszedł do obrońców.

– Witaj, Chyłka.

– Witać kogoś to można u siebie w domu – odburknęła.

– Co?

– Poza tym wyraża to wyższość nadawcy wobec odbiorcy – dodała. – Co w tym przypadku jest zupełnie bezpodstawne, bo to ty znajdziesz się dzisiaj pod moim butem, a nie odwrotnie. A teraz pierzchnij.

Prokurator otworzył usta, ale Joanna nie dała mu dojść do słowa.

– No już – ponagliła go. – Zdążysz jeszcze do kibla, zanim zacznie się proces.

Po prawdzie, to jej przewracało się w brzuchu, ale nie miała zamiaru dawać tego po sobie poznać. Oskarżyciel posłał jej cierpki uśmiech, a potem pokręcił głową z dezaprobatą i się oddalił.

– Preludium masz dobre – zauważył Oryński.

– Dzięki.

– Niespecjalnie wysublimowane, ale wiem, że cenisz sobie prosty przekaz.

– Spieprzaj – powiedziała pod nosem, a potem oboje zamilkli, czekając, aż sprawa zostanie wywołana.

Stało się to szybciej, niż Chyłka by chciała. Schludnie ubrana kobieta otworzyła drzwi i zapowiedziała rozprawę. Cały tabun ludzi wdarł się do sali posiedzeń; następnie sędzia przewodniczący doniośle powitał zgromadzonych, apelując o uszanowanie godności sądu. Po odczytaniu listy obecności świadkowie zostali wyproszeni na korytarz i poinstruowani, że będą wywoływani imiennie.

Siedząc w ławie obrony, Chyłka nagle poczuła dłoń Kordiana na swoim udzie. Natychmiast się do niego obróciła, ponieważ orientując się, że nieświadomie tupała nogą. Zabrał rękę i posłał jej ukradkowy uśmiech.

– Jak uczeń – szepnęła.

– Każda okazja jest dobra.

– Cicho bądź.

Chyłka poprawiła lekką wełnianą togę i spojrzała na ich klienta. Szlezyngier sprawiał wrażenie, jakby było mu wszystko jedno. Wodził wzrokiem po suficie i czekał już tylko na to, by sąd apelacyjny utrzymał

w mocy orzeczenie sądu pierwszej instancji.

Prawniczka przeniosła wzrok na skład sędziowski. Nie miała wątpliwości, że ma przed sobą troje naprawdę dobrych prawników. Dwie kobiety i jeden mężczyzna, co oddawało mniej więcej rozkład płci w polskim wymiarze sprawiedliwości. Statystyczny sędzia był bowiem kobietą w wieku od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat.

Ci musieli najpierw spędzić dziesięć lat w sądzie rejonowym, gdzie cieszyli się nieposzlakowaną opinią, potem odbębnić kolejne tyle w sądzie okręgowym – i dopiero wówczas mogli trafić do apelacji. To nie byli amatorzy.

Przewodnicząca potoczyła wzrokiem po tomiszczach akt, które wyłożono na ławie sędziowskiej jak na wystawie. Potem spojrzała na obydwie strony i przystąpiła do dzieła, otwierając rozprawę.

Sędzia sprawozdawca streścił uzasadnienie, które Joanna dołączyła do apelacji. Chyłka starała się stwierdzić po tonie głosu, czy argumenty budzą w nim wewnętrzny sprzeciw, ale recytował tekst tak beznamiętnie, że okazało się to niemożliwe.

Joanna stopniowo się uspokajała. Znajdowała się na znajomym gruncie, czuła się pewnie. Sędzia monotonnie kontynuował swoje powinności – przedstawił przebieg postępowania w sądzie okręgowym, a potem zarzuty i wnioski podniesione w apelacji.

Chyłka i Kordian zaskarżyli orzeczenie sądu pierwszej instancji w całości, starając się wykazać, że doszło do nieprawidłowych ustaleń faktycznych, które w efekcie doprowadziły do wyroku skazującego.

Nikogo to nie dziwiło, bo innej drogi prawnicy nie mieli. Całe wcześniejsze postępowanie odbyło się zgodnie z prawem i trudno było skarżyć wyrok, by starać się wykazać co innego. Jedyne ratunek tkwił w tym, że zagalopowano się w udowadnianiu Awitowi winy.

Gdy sędzia sprawozdawca skończył, przewodnicząca zaczerpnęła tchu.

– Przechodzimy do postępowania dowodowego – oznajmiła.

Co do zasady, nie przeprowadzało się go podczas apelacji. Druga instancja służyła funkcji kontrolnej, a więc nie rozpatrywała sprawy pod kątem merytorycznym – nie miała powtarzać tego, co już dokonał sąd pierwszej instancji. Wyjątkowo jednak przeprowadzenie dowodu można było dopuścić, kiedy miało to usprawnić procedurę i przyspieszyć wydanie wyroku – w tym przypadku uznano, że te przesłanki zachodzą.

Poproszono więc na salę Witolda T., znanego uczestnikom procesu jako Wito.

Przemytnik zajął miejsce na mównicy, wyraźnie podenerwowany. Może przywykł do pojawiania się w sądach rejonowych i okręgowych, ale wizyta w apelacyjnym stanowiła zupełnie inne przeżycie. Tutaj czuć było powagę sądu i kaliber rozpatrywanej sprawy.

– Teraz nastąpi odebranie od świadka przyrzeczenia – zaczęła przewodnicząca i spojrzała na handlarza. – Proszę powtarzać za mną: świadomy znaczenia moich słów i...

– Wysoki sądzie – przerwał.

Kobieta spojrzała na niego z ukosa. Chyłka jej nie знаła, lecz kiedy tylko ogłoszono, kto będzie orzekał, uruchomiła kontakty w białostockiej palestrze. Udało jej się dowiedzieć, że sędzia Wilnowska ceni sobie konkrety, wyrokuje dobrze, a podczas kariery w sądzie okręgowym szczyliła się tym, że żadne z jej rozstrzygnięć nie zostało uchylone w apelacji.

Gdy teraz Joanna nią patrzyła, dostrzegła sensowną, inteligentną sędzinę. Wściekłą, ale rozsądną.

– Może świadek wytłumaczy, dlaczego przerwał sądowi? – zapytała.

– Muszę to przysięgać?

– Tak.

– Ale wcześniej...

– Wcześniej sędzia przewodniczący rozprawie odstąpił od odebrania przyrzeczenia, teraz jednak jest

to od pana wymagane. Proszę powtarzać za mną: świadomy znaczenia moich słów i odpowiedzialności przed prawem przysięgam uroczyście, że będę mówił szczerą prawdę, niczego nie ukrywając z tego, co jest mi wiadome.

Wszyscy, łącznie z sędziami, wstali. Wito niechętnie powtórzył wszystko, w połowie upewniając się jeszcze, czy dobrze pamięta. Przysięga nie miała kolosalnego znaczenia, ostatecznie i tak niewiele zmieniała. Odpowiedzialność karną za fałszywe zeznania czy zatajenie prawdy świadek ponosi i tak, bez względu na to, czy złoży przysiężenie. Po dopełnieniu przez Wita formalności wszyscy na powrót zajęli swoje miejsca.

– Panie prokuratorze. – Wilnowska oddała głos Aronowiczowi.

Ten podniósł się z wolna, jakby ubodło go, że w ogóle doszło do przesłuchania świadka.

– Czy ma pan coś do dodania względem tego, co pan już powiedział przed sądem pierwszej instancji? – zapytał oskarżyciel.

– Nie.

– Absolutnie nic?

Handlarz zawahał się, a oskarżyciel szybko to wyłapał.

– Mam na myśli coś... cokolwiek związanego ze sprawą.

– Nie. Jeśli chodzi o dziewczynkę, powiedziałem wszystko, co wiedziałem.

Aronowicz bezradnie rozłożył ręce i podziękował sędzi za przesłuchanie. Na powrót zajął swoje miejsce. Przyszła kolej Chyłki. Nie zdziwiło jej, że prokurator nie ma wiele do powiedzenia – nie spodziewał się żadnego zagrożenia, więc nie musiał wyprowadzać ataku wyprzedzającego.

– Pani mecenas.

– Dziękuję – odpowiedziała Joanna i podniosła się żwawo. Spojrzała na świadka z niepewnością, nieprzekonana co do tego, jak daleko się posunie, by chronić swój interes. Przysiężenie wyraźnie go zdenerwowało, choć sam zapewne nie miał pojęcia, czy to cokolwiek zmienia.

Chyłka wyprostowała się i lekko uniosła podbródek.

– Czy świadek kiedykolwiek kontaktował się z oskarżonym?

Wito spojrzał na Szlezyngiera, ale ten wydawał się niezainteresowany tym, co dzieje się tuż przed nim.

– Proszę świadka, by odpowiadał na zadawane pytania – odezwała się Wilnowska.

– No... to znaczy tak, kontaktowałem się.

Aronowicz poruszył się niespokojnie.

– W jakiej sprawie? – zapytała Chyłka.

– Chciał, żebym wykonał dla niego pewne zlecenie.

– Jakie zlecenie?

– Miałem znaleźć Sakrata Tatarnikowa i Antoniego Ekiela.

– W jakim celu?

Wito spojrzał na nią jak na wariatkę, której trzeba tłumaczyć najbardziej oczywiste rzeczy.

– Żeby znaleźć dziecko, rzecz jasna – powiedział.

– Kiedy otrzymał pan to zlecenie?

Handlarz zaczerpnął tchu, a potem opisał sądowi wszystko to, co dwoje prawników ustaliło podczas ostatnich dni. Nie pominął żadnego drobiazgu, co Joannę nieco zaskoczyło. Przypuszczała, że będzie musiała ciągnąć go za język, gdy będzie zasłaniał się prawem do odmowy odpowiedzi. Tymczasem Wito nadawał jak najęty. Nie musiała nawet go zachęcać, by przedstawił szczegóły. Spojrzała niepewnie na Oryńskiego, ale ten tylko wzruszył ramionami.

Uznała, że przemytnik musiał się z kimś skonsultować przed procesem. Dopóki trzymał się tylko tego, co robił dla Awita, nie mógł w żaden sposób się obciążyć. Wręcz przeciwnie, wyszedł na człowieka,

który otwarcie mówi o swojej działalności.

– I odnalazł pan tych mężczyzn?

– Nie, niestety mi się to nie udało – powiedział, patrząc ze współczuciem na swojego mocodawcę. – Ale odkrywaliśmy tu i ówdzie jakieś poszlaki. W końcu trafiliśmy na Ekiela, który... no, wiadomo, co mu się stało.

Członkowie składu orzekającego świdrowali go wzrokiem, jakby starali się stwierdzić, czy to przypadkiem nie on zabił Antoniego. Otwartość mężczyzny zdawała się przeczyć takim tezom.

– Niestety, na miejscu nie znaleźliśmy śladu ani po dziecku, ani po porywaczu.

Chyłka pokiwała głową w zadumie.

– Skąd pewność, że Nikola została porwana?

Wito wzruszył ramionami.

– A po co Awit miałby płacić mi grube tysiące za szukanie?

Przesłuchanie poszło nie najgorzej, ale Kordian widział, że nie zrobiło na sędziach takiego wrażenia, na jakie liczył. Właściwie nie powinien spodziewać się cudów. Chyłka powtarzała mu, że rzadko kiedy dochodzi do sytuacji, gdy dowód w postępowaniu apelacyjnym jest w stanie zachwiać całą sprawą. Chyba że zostaną odkryte nowe okoliczności, które rzucą na nią zupełnie nowe światło.

W tym przypadku tak nie było i prawniczka twierdziła, że wszystko zależeć będzie od mów końcowych. To one stanowiły ten element rozprawy, dzięki któremu obrońcy mogą wskórać najwięcej.

Uprawnienie do wygłaszania oświadczeń przysługiwało także Szlezyngierowi, ale biznesmen postanowił z niego nie korzystać. Nie zabrał głosu podczas przesłuchania Wita ani kolejnych osób – współpracowników przemytnika, którzy na jego polecenie starali się wytropić Tatarnikowa.

Po tej zagrywce prawnikom z kancelarii Żelazny & McVay nie pozostała już żadna mocna karta. Z wyjątkiem mowy końcowej Chyłki. W myśl zasady *favor defensionis* obrona przemawiała na końcu, by mogła skontrolować argumenty podane przez oskarżenie, oraz by miała większe szanse zapaść w pamięć składowi orzekającemu.

Zaczął Aronowicz.

– Wysoki sędzie – podjął. – Wnoszę o podtrzymanie wyroku sądu pierwszej instancji. W toku tej rozprawy obronie nie udało się wykazać żadnych uchybień w dokonywaniu ustaleń faktycznych, a zatem nie ma wystarczających powodów, ażeby podważać zasadność tego, co już zostało stwierdzone. Usłyszeliśmy jedynie spekulacje, które powtarzały się już od pierwszego dnia procesu. Nie przedstawiono choćby pojedynczego dowodu na to, że sąd pomylił się co do stanu faktycznego. I szczerze mówiąc, trudno wyobrazić sobie, by w tak jasnej sprawie mogło to mieć miejsce. Owszem, nie mamy ciała, a więc materialnego efektu działania sprawcy. Nie oznacza to jednak, że czynu nie popełnił. Podczas rozprawy w sądzie okręgowym zeznawała żona oskarżonego, która wyłuszczyła nam całą sprawę tak, że nikt nie mógł mieć wątpliwości co do winy pana Szlezyngiera. Ten stan faktyczny nie uległ zmianie.

Aronowicz perorował jeszcze przez kilka długich minut, a Kordian przeżywał katorgę. Przypuszczał, że podobne wrażenia ma skład sędziowski – i pewnie właśnie dlatego prokurator zdecydował się na tę taktykę. Miał zamiar znudzić sędziów, by tego dnia odechciało im się słuchać kogokolwiek.

Oskarżyciel zakończył, wnosząc jeszcze raz o utrzymanie w mocy orzeczenia z pierwszej instancji. Potem podziękował i zajął swoje miejsce.

Oryński spojrzał na Chyłkę. Na pierwszy rzut oka wyglądała tak, jak zawsze. Dopiero, gdy na dłużej zawiesił wzrok na jej oczach, dostrzegł w nich niepewność – rzecz, która normalnie tam nie gościła.

Jeśli w którymś momencie procesu mogła zostać przygnieciona ciężarem odpowiedzialności, to właśnie teraz. Od tego, co zamierzała powiedzieć, zależał dalszy los Awita.

Kordian chciał posłać jej ukradkowy uśmiech, ale Joanna nie patrząc na niego, podniosła się i poprawiła toge. Wbiła wzrok w oczy Aronowicza i głęboko westchnęła.

– Wysoki sędzie – podjęła. – Wnoszę o przekazanie sprawy do ponownego rozpatrzenia sądowi pierwszej instancji.

Był to dobry wybór. Wprawdzie Oryński wybrałby pewnie wnioskowanie o uchylenie zaskarżonego

orzeczenia w całości, ale był to zbyt duży kaliber na liche argumenty, jakie posiadali. Joanna starała się wykazać błędy podczas ustalania stanu faktycznego, ale nie takie, które mogłyby wywrócić całą sprawę do góry nogami – w końcu doszło do zaginięcia dziecka i to, że Awit jest najlepszym kandydatem na winnego, nie ulegało wątpliwości. Trudno było się łudzić, że nawet przy najlepszej argumentacji sędziowie zobaczą to w innym świetle. Stąd ponowne rozpatrzenie sprawy wydawało się logicznym wyborem.

– W toku postępowania przyjęto *a priori*, że mój klient popełnił przestępstwo – dodała niezbyt pewnym głosem. – Potem robiono wszystko, by dopasować dowody do tej tezy.

Przełknęła ślinę i musiała na moment urwać. Kordian miał ochotę ją szturchnąć, względnie zanucić refren *Afraid To Shoot Strangers*. Ostatecznie jednak nie mógł wesprzeć jej nawet krótkim spojrzeniem – Chyłka zdawała się zupełnie go ignorować. Uznał, że musi poradzić sobie z tym sama.

– Dopóki Angelika Szlezyngier nie zmieniła swojego zeznania, usilnie dopasowywano wszystko do teorii prokuratury. Człowieka na brzegu jeziora nocą poczytano za mojego klienta, choć nie wiemy, kim tak naprawdę był. Zakrwawiony pręt był rzekomo narzędziem zbrodni, choć tak naprawdę pochodził z szopy. Krew znajdowała się na nim już od jakiegoś czasu, co ustaliliśmy dzięki plastrowi.

Zrobiła pauzę, tym razem już z pełną świadomością. Aplikant widział, że zaczyna się czuć coraz pewniej.

– Kto podłożył ten pręt, wysoki sędzie? – zapytała retorycznie. – Na to pytanie nie uzyskaliśmy w toku rozprawy żadnej odpowiedzi. Nie mówię o satysfakcjonującej odpowiedzi. Nie było żadnej.

Do tej pory Aronowicz skupiał się na rozłożonych przed sobą papierach. Teraz podniósł wzrok i spojrzał na Joannę z niechęcią.

– Czy ten pręt mógł sam się znaleźć gdzieś w lesie? – ciągnęła. – Trudno mi nawet odpowiadać na to pytanie, bo wydaje mi się, że urąga powadze tej instytucji. Podobne wrażenie odnosiłam podczas procesu w sądzie okręgowym. Tam skład orzekający zdawał się zignorować to, o czym mówię. Dlaczego? Odpowiedź kryje się w tym, co poruszyłam na samym początku. Przyjęto *a priori*, że mój klient jest winny.

Oryński miał ochotę jej przyklasnąć.

– Uważam, że to niedopuszczalne uchybienie podczas ustalania stanu faktycznego. Gdyby udało nam się odkryć, kto podłożył ten rekwizyt w odpowiednie miejsce, być może otrzymalibyśmy obraz zbrodni znacznie inny od tego, który usilnie stara się nam przedstawić prokuratura.

Zaczerpnęła tchu, podczas gdy Kordian bacznie obserwował Wilnowską i resztę sędziów. Nie zdradzali żadnych emocji.

– Nie pochyłono się również nad pobiciem młodego Aleksandra Sobonia, chłopaka mieszkającego na skraju wioski. To on polecił nam, byśmy porozmawiali z Antonim Ekiem, kiedy poszukiwaliśmy jakichkolwiek śladów po Nikoli. I to on w tę samą noc został napadnięty. Fakt, że kilka miesięcy później zginął człowiek, do którego chłopak starał się nas doprowadzić, potwierdza, że w tej sprawie jest drugie dno. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że Aleksander Soboń nie podał tej wiadomości chętnie. Wiele wysiłku kosztowało nas wyciągnięcie z niego jakiegokolwiek informacji o Antonim Ekielu.

Aplikant z zadowoleniem dostrzegł, że przewodnicząca ściągnęła brwi. Wreszcie jakiś ruch, skwitował w duchu.

– I w końcu Sakrat Tatarnikow – dodała Chyłka. – Człowiek, którego nikt nie może znaleźć. Człowiek, który zapadł się pod ziemię, kiedy tylko cała ta sprawa się rozpoczęła. Czy tylko mi wydaje się podejrzane, że zniknął w tym samym momencie, gdy zagięła mała Nikola? Nie twierdzę, że zachodzi tu związek, bo nie mamy na to najmniejszego dowodu. Twierdzę jednak, że warto byłoby się temu przyjrzeć z otwartym umysłem. W moim przekonaniu przekazanie tej sprawy do ponownego rozpatrzenia właśnie

taki efekt by przyniosło.

W tym momencie przemówienie Joanny się kończyło. Kordian czytał je kilkakrotnie – a ona chyba ze sto razy, bo wygłosiła je prawie słowo w słowo tak, jak było wydrukowane na kartce. Chyłka jednak nie sprawiała wrażenia, jakby miała zamiar skończyć.

Zawiesiła wzrok na polskim godle, a potem przez moment trwała w bezruchu.

– Pani mecenas? – zapytała sędzina.

– Jeszcze moment, jeśli wysoki sąd pozwoli.

Przewodnicząca skinęła głową. Zasadniczo Chyłka mogła ciągnąć ten monolog bez końca. Jedynym jej zmartwieniem było to, że w jego trakcie może ostatecznie zrazić do siebie każdego członka składu orzekającego.

– Zadziwia mnie jeszcze jedna rzecz – odezwała się po chwili. – Od początku zachowanie Angeliki Szlezyngier było dla mnie co najmniej osobliwe. Zadzwoiła do mnie w środku nocy, jak przystało na zaniepokojoną matkę, ale nie była przejęta zgrozą. Zachowywała się tak, jakby zgubiła ulubioną rzecz, nie dziecko. To moje subiektywne odczucia, ale podczas procesu odnosiłam wrażenie, że jej mąż był przybity, ona natomiast zachowywała się... właściwie neutralnie.

Aronowicz spojrział błagalnie na sędziów. Takie opinie na niewiele mogły się zdać, ale prokurator najwyraźniej i tak nie chciał ich wysłuchiwać. Kordian również obawiał się, że gdybanie w niczym im nie pomoże.

Spojrzał na Chyłkę i dostrzegł błysk w oku. Wiedział już, że na coś wpadła – i najwyraźniej nie miała zamiaru odpuścić.

– Wszystko to nie miało dla mnie znaczenia, dopóki Angelika nie zwróciła się przeciwko swojemu mężowi. Jak wysoki sąd pamięta, broniłam wówczas jeszcze obydwójga oskarżonych. Pierwsza moja myśl była taka, że kobieta chce uniknąć odpowiedzialności, potem jednak stwierdziłam, że w ostatecznym rozrachunku bardziej opłacałoby jej się trwać przy mężu. W ten sposób mogła zwrócić go przeciwko sobie i sąd musiałby decydować na podstawie słowa przeciwko słowu.

Sędzia sprawozdawca stłumił ziewnięcie.

– Dlaczego więc to zrobiła? – zapytała Joanna, patrząc na Aronowicza. – Ponieważ chciała usunąć Awita z równania. W tym tkwi sedno problemu, wysoki sędzie. Otóż uważam, że wszyscy przegapiliśmy bardzo istotną kwestię.

Druga z sędzi ściągnęła okulary, złożyła je i umieściła przed sobą. Mężczyzna siedzący po przeciwnej stronie ławy sędziowskiej również sprawiał wrażenie, jakby Chyłka przykuła jego uwagę. Tylko przewodnicząca przywozowała na myśl przykładowego stoika.

– Jak zeznała Angelika Szlezyngier, jej mąż nie był ojcem dziecka. Potwierdził to zresztą test DNA, który później zlecono. I uważam, że do tego momentu kobieta mówiła prawdę. Wszystko, co powiedziała później, zupełnie się z nią rozminęło.

Oryński wiedział już, do czego dąży patronka. Mogło mieć to tylko dwojaki rezultat – albo sąd obruszy się za snucie spekulacji, albo przyjmie, że przedstawiona przez Joannę wersja jest wystarczająco prawdopodobna, by sprawę rozpatrzyć jeszcze raz.

– Moim zdaniem doszło do kłótni, gdy Angelika wyjawiała prawdę, ale mój klient nie popchnął jej. Na korzyść tej tezy przemawia fakt, że nie miała na ciele żadnych śladów świadczących o przemoc domowej. Dziecko nie upadło, więcej, nie było go w pomieszczeniu podczas kłótni.

Sędzia sprawozdawca zmrużył oczy.

– Było u siebie w pokoiku, podczas gdy pomiędzy rodzicami doszło do żywiołowej scysji. W jej rezultacie Angelika Szlezyngier zdradziła mężowi wszystko na temat swojego romansu, a w dodatku zadeklarowała, że od niego odchodzi.

Aronowicz znów bezradnie potoczył wzrokiem po sędziach. Żaden z nich jednak tego nie zauważył, wszyscy byli skupieni na Chyłce.

– Nie jest zatem prawdą to, co twierdziła dotychczas – ciągnęła prawniczka. – Matka dziecka nie miała zamiaru zostawić swojego kochanka, a wręcz przeciwnie. Zamierzała właśnie z nim spędzić resztę życia. Z nim i z jego córką.

Prokurator cmoknął z dezaprobatą na tyle głośno, by usłyszeli to sędziowie. Przewodnicząca posłała mu karcące spojrzenie.

– Mój klient nie miał zamiaru pozwolić, by żona go zostawiła. Kochał ją, być może nawet chorobliwie. Podczas kłótni, gdy zagroziła mu odejściem, włączył alarm w domku letniskowym, by nie mogła go opuścić. Potem musiało dojść do kolejnej ostrej wymiany zdań, która trwała do późnych godzin nocnych. Ostatecznie oboje uznali, że nie rozstrzygną tego tej nocy. Tyle że moja była klientka miała już plan.

Joanna zawiesiła na moment głos, by nadać słowom mocniejszy wydźwięk.

– Przypomnę, że skasowała z telefonu wszystkie SMS-y, które wymieniła z Sakratem Tatarnikowem. Dlaczego miałyby to robić? Wszak jej mąż wiedział już doskonale o romansie. Odpowiedź, jakiej udzieliła, była nieprzekonująca. Angelika Szlezyngier twierdziła, że zrobiła to z obawy o los Białorusina. Bała się, że policja oskarży go o porwanie małej.

Kordian czuł, że Chyłka wróciła w pełnej krasie. Teraz nawet przewodnicząca wydawała się żywo zainteresowana. Wywód był spójny – i przekonał także jego. Aplikant obrócił się do ich klienta i zobaczył, że Awit pustym wzrokiem patrzy na prawniczkę.

– Altruizm? – zapytała Joanna. – Czy może Angelika Szlezyngier kierowała się miłością do swojego kochanka i ojca Nikoli? W jednym i drugim przypadku należy uznać, że to co najmniej podejrzanе zachowanie. I wszyscy doskonale wiemy, dlaczego tak się stało. – Chyłka wbiła wzrok w prokuratora, który starał się trzymać nerwy na wodzy.

Oryński uznał, że dobrze zrobiła, wyciągając te argumenty podczas mowy końcowej. Gdyby przemyciła je wcześniej, Aronowicz zrobiłby wszystko, by je obalić. Teraz był zmuszony siedzieć jak mysz pod miotłą i czekać na finał.

– Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że to Sakrat Tatarnikow porwał to dziecko – dodała adwokat. – Wraz z matką Nikoli upozorowali zabójstwo, by pozbyć się mojego klienta i na niego rzucić całą winę. Jedną decyzją osiągnęli podwójny efekt, gdyż dzięki temu pani Szlezyngier będzie miała wpływ na kierowanie firmą logistyczną męża. Mimo rozdzielności majątkowej, teraz zyska nad zgromadzonym kapitałem realną władzę. Zna członków zarządu i rady nadzorczej, potrafi dokonywać manipulacji... wszystko to zmierza więc do dwóch wniosków, wysoki sędzie. Tych dwoje chciało razem wychowywać dziecko, a w dodatku dysponować majątkiem mojego klienta. To ich wymarzony scenariusz.

Chyłka urwała, unosząc lekko głowę.

– Mając to wszystko na względzie, wnoszę o przekazanie sprawy do ponownego rozpatrzenia.

9

Prawnicy nerwowo palili pod budynkiem sądu, czekając na wydanie orzeczenia. Joanna z zadowoleniem stwierdziła, że wróciła jej dawna pewność siebie. Zaciągnęła się i z uśmiechem wypuściła dym.

– Nadawałaś jak katarynka – zauważył Oryński.

– Wiem – przyznała. – Zaszło mi w gębie.

Omiotła wzrokiem okolice i na najbliższym skrzyżowaniu wypatrzyła centrum handlowe „Alfa”. Wskazała je Kordianowi; ruszyli ku ceglanemu budynkowi. W Inmedio wzięła colę, a potem z lubością pociągnęła łyk. Kilkanaście kostek cukru mieszczących się w butelce wystarczająco ją doładowało. Poza tym napój smakował tak, jakby pół dnia spędziła na pustyni.

– Wyglądali na przekonanych – odezwał się aplikant, gdy opuścili galerię.

– Przynajmniej tych dwoje po bokach. Przewodnicząca jest sceptyczna.

– Nie potrzebujemy jej.

– Ano nie – przyznała Chyłka. – W zupełności wystarczą nam dwa głosy.

– A jeśli sprawa wróci do okręgu?

– To sędziowie będą niechętni kopaniu się z koniem. Skoro wróciło, musiały być podstawy. A my zadbamy o to, by zobaczył je nawet największy dureń.

Kordian pokiwał głową w zadumie.

– Mnie przekonałaś – odezwał się.

– Czyli pozostałych cielaków także przekonam.

Spojrzał na nią bykiem, po czym odebrał butelkę i sam się napił.

– Nawet Aronowicz pod koniec zdawał się lekko zbity z tropu – dodał.

– W to nie uwierzę – zaoponowała Joanna. – Musiał to wszystko rozegrać już wcześniej w głowie.

Każdy scenariusz i każdą możliwość. Miał to w dupie, bo taka jego rola. Ma zwracać uwagę tylko na to, co pasuje pod oskarżenie.

Oryński wzruszył ramionami i oddał jej colę.

– Jeden Awit zdawał się nieprzekonany – bąknął, gdy dotarli do budynku sądu.

– Ten facet jest już w innym świecie – wyjaśniła. – Wie, że od trafienia za kratki dzieli go kilkadziesiąt minut. I wie doskonale, co go tam spotka. Nawet jeśli służba więzienna wespnie się na wyżyny swoich możliwości, inni więźniowie i tak w końcu go dopadną, będą gwałcić i okładać wszystkim, co im się nawinie pod rękę.

– No tak.

– W takiej sytuacji też wyglądałbyś jak widmo.

Zapalili jeszcze po jednym papierosie, a potem wrócili na korytarz. Aronowicz nerwowo przechadzał się z jednej strony na drugą. Gdy zobaczył prawników, zawrócił bez słowa.

– Masz kandydata na nowego wielbiciela.

– Czuj się zagrożony – powiedziała. – Może cię zdetronizować w uwielbieniu do mojej skromnej osoby.

Usiedli na ławce pod ścianą, z niecierpliwością wbijając wzrok w drzwi do sali sądowej. W pokoju obok trwała narada sędziowska i Joanna dałaby wszystko, by choć na chwilę móc wejrzeć tam przez

dziurkę od klucza. Im dłużej czekali, tym ochota stawała się większa.

Po półgodzinie wieści nadal nie było. Awit siedział kawałek dalej, raz po raz tęskno wyglądając za okno. Przypuszczał pewnie, że to jedna z ostatnich chwil, gdy widzi świat nie przez kraty.

– Ile to jeszcze będzie się ciągnęło? – zagał Kordian.

– Muszą mieć dylemat.

– To dobrze czy źle?

– A skąd mam wiedzieć?

– Jesteś doświadczoną prawniczką, powinnaś orientować się w takich sprawach.

– Orientuję się, że jeśli tyle trwa, to mają dylemat.

Oryński pokręcił głową i oparł łokcie na kolanach, a potem zwiesił głowę. Wyciągnął smartfona i zaczął przeglądać wiadomości. Po chwili zaklął pod nosem i schował telefon. Podniósł wzrok i wbił go w drzwi.

– Co będzie, jak utrzymają wyrok w mocy?

– Szlezyngier nauczy się nowych trików.

– Bądź poważna.

– Jestem – zaoponowała, krzyżując ręce na piersi. – Awit będzie fachmanem lepszym niż wszystkie dziewczyny na Moulin Rouge.

– Na Moulin Rouge są musicale. Jak chcesz prawdziwej dzikości, musisz jechać do De Wallen w Amsterdamie albo Soi Cowboy w Bangkoku.

Chyłka spojrzała na aplikanta z uznaniem.

– Nie spodziewałam się, że jesteś taki obeznany, Zordon.

– Bo ilekroć u ciebie nocowałem, kazałaś mi spać na kanapie.

Pokręciła głową z uśmiechem, a potem znów zamilkli, nerwowo czekając na decyzję sędziów. Minął kolejny kwadrans i Joanna zaczynała obawiać się, że nie zwiastuje to niczego dobrego.

– W razie czego złożymy kasację? – zapytał Oryński.

– Na jakiej podstawie?

– Nie wiem, zawsze coś możemy wymyślić.

– Moja historyjka może broni się podczas wygłaszania mowy przed sędziami, ale nie obroni się na piśmie procesowym. Nie ma szans.

– Najmniejszych?

– Najmniejszych – potwierdziła. – Teraz wszystko się rozstrzygnie. Poza tym jeśli dopuszczono by naszą kasację, do czasu pierwszej rozprawy Awita dawno ubiliby w więzieniu.

– Prawda – przyznał aplikant.

Chyłka chciała powiedzieć mu o tym, że w tej sprawie trudno byłoby wykazać bezwzględną przesłankę odwoławczą czy inne poważne naruszenie prawa, jednak drzwi do sali się otworzyły. Szlezyngier podniósł wzrok, Aronowicz natychmiast obrócił się i zmienił kierunek marszu.

Po chwili wszyscy stali na swoich miejscach, oczekując na wejście sądu.

Kiedy członkowie składu orzekającego się pojawili, Joanna starała się złowić spojrzenie któregoś z nich. Napotkała wzrok przewodniczącej, która nie wyglądała na zadowoloną. Prawniczka zastanawiała się, co to może znaczyć – skoro była im niechętna, może przegrała w głosowaniu z pozostałą dwójką? A to by znaczyło...

– Proszę usiąść – powiedziała Wilanowska. – Nie mam wiele do przekazania, więc postaram się zrobić to najszybciej, jak to możliwe. I tak czekali państwo dostatecznie długo.

Poprawiła łańcuch i spojrzała w otwartą na blacie książeczkę.

– Zgodnie z artykułem czterysta jedenastym Kodeksu postępowania karnego, sąd odracza wydanie

wyroku.

Obrońcy i oskarżyciel spojrzeli po sobie. Żadne z nich nie było na to gotowe.

10

Chyłka i Oryński musieli przedłużyć pobyt w Gołębiowskim. Doba kosztowała ich ponad trzy stówy za jeden pokój, ale nikt nie miał zamiaru się tym przejmować. Wieczorem zasiedli w kawiarni „Patio” na wygodnych jasnobrązowych fotelach przy oknie. Bordowy dywan, wystawne żyrandole i rozłożyste rośliny nie pozostawiały wątpliwości, że w menu próżno będzie szukać tanich pozycji.

Kordian przejrzał kartę i skrzywił się.

– Co jest? – zapytała patronka. – Nie ma filetu z soi?

– Co to niby miałoby być?

– Nie wiem – przyznała. – Ty przyjmujesz to swoje pseudojedzenie, powinieneś wiedzieć. Na pewno robią filet z soi.

– Tu są tylko desery.

– Jak to w kawiarni. Zamawiasz coś?

Wziął sobie herbatę z konfiturą z płatków róż, co Chyłka skwitowała, przewracając oczami. Sama zamówiła torcik czekoladowy i kawę.

– Zawsze mnie zastanawia, gdzie potem spalasz te wszystkie kalorie.

– Daj mi spokój, Zordon.

– Mówię tylko, że to niesprawiedliwe.

– Weź sobie torcik lodowy i nie jęcz.

Wziąłby, ale nie zabrał ze sobą butów do biegania. Wyglądało na to, że przez tydzień nie będzie jak pozbyć się nadprogramowych kalorii. Potem uświadomił sobie, że w Gołębiowskim jest basen, chyba olimpijski albo prawie olimpijski.

Po chwili zamówił torcik.

– Jesteś gorszy niż baba – oceniła Joanna.

– A ty gorsza niż chłop na roli, więc jakoś się uzupełniamy.

– Uzupełniamy? Ledwo jestem w stanie zdzierżyć te twoje odchyły.

– Uwielbiasz je.

– Bynajmniej – zaoponowała, nakładając sobie kawałek deseru.

Oryński zajął się swoim i przez moment milczeli. Potem odłożył łyżeczkę i spojrzał pytająco na patronkę.

– Jak to wygląda? – zapytał.

Otaksowała go badawczo wzrokiem.

– Nie najlepiej – orzekła. – Całokształt jest okej, ale jak przyjrzeć się twojemu...

– Miałem na myśli proces.

– Aha.

– Więc? – dopytał. – Mamy szansę?

– Od ostatniego razu, gdy pytałeś, nie przeistoczyłam się w wyrocznię delficką.

– Ale możesz spekulować.

– Spekuluję, że to jedna wielka niewiadoma – odparła z pełnymi ustami. – Jeśli miałabym cokolwiek wnosić po ich minach, to Wilnowska jest przeciwko, reszta raczej za.

Kordian zamyślił się.

– Ile to może trwać?

– W postanowieniu są trzy dni.

– Ale można przedłużyć?

– Pewnie. Do tygodnia. Jeśli przekroczą ten czas, rozprawę prowadzi się od początku.

– To bezsens.

– Może i tak, ale dla nas to sytuacja raczej korzystna. Może nawet korzystniejsza, niż gdyby sprawa wróciła do sądu pierwszej instancji. Zasiadaliśmy już w tych jurystach ziarno wątpliwości. Teraz podlalibyśmy je hektolitrami prawniczego kuglarstwa i czekali, co wyrośnie.

Oryński napił się herbaty, wpatrując się w biały kubek. Nie trzeba było specjalnie wczuwać się w klimat miejsca, by czuć lekki podmuch czasów słusznie minionych. Zwłaszcza siermiężny dywan pełnił funkcję przypomnienia, że wystrój projektowano jeszcze chyba za czasów, gdy miał tu stanąć hotel Orbis.

– Jest szansa na ponowną rozprawę? – zapytał aplikant.

– Nie. Dogadają się w ustalonym terminie.

– Jesteś pewna?

– Tak, Zordon. Co do tego jestem pewna.

– Może i masz rację – przyznał. – Żadne z nich nie będzie narażało się na niebezpieczeństwo słuchania twojego kazania po raz drugi.

Kopnęła go pod stołem i posłała mu uśmiech. Zjedli desery, rozprawiając na tematy niezwiązane z procesem, a potem przeszli się po hotelu. Korytarze odstraszały swoim ciężarem, gdzieniegdzie goście hotelowi wychodzili za próg, by złapać Wi-Fi. Joanna i Kordian kręcili się bez celu do dwudziestej pierwszej, kiedy to otwierano klub nocny.

Wówczas zasiedli na wygodnych sofach i zamówili sobie po piwie na rozgrzewkę. Noc zaczynała się niewinnie, ale Oryński przypuszczał, że nie skończy się na jednym kuflu. Nie mieli rano żadnych obowiązków, a sąd w postanowieniu o odroczeniu wydania wyroku ustalił datę ogłoszenia za trzy dni. Nie było żadnego zdroworozsądkowego powodu, dla którego nie mieliby tej nocy nawalić się w sztok.

– Nie wysiedzę – odezwała się po dwóch łykach Chyłka.

– Co?

– To techno, światła, basy... cierpię.

– To nie techno, a dubstep.

– Nie wmówisz mi, że to się czymś różni.

Oryński przez moment się zastanawiał, sięgając w pamięci po wszystkie wiadomości, jakie zebrał podczas „doszkalania” się w temacie Iron Maiden.

– Jeśli to się nie różni, to tak samo nie istnieje różnica między heavy a power metalem.

Spojrzała na niego z pretensją.

– Proszę cię, nie bluźnij w mojej obecności – powiedziała. – Samo wymawianie nazwy prawdziwej muzyki w tym... w tym siedlisku bezładnych decybeli zakrawa na herezję.

Z każdą upływającą minutą muzyka zdawała się coraz głośniejsza, a światła coraz słabsze. Kiedy do klubu wlała się fala młodych imprezowiczów, Joanna miała stanowczo dosyć.

– Co to ma być? – zapytała.

– Zatańczysz?

Lasery zmieniały kolory, podłoga się trzęsała, a basy dudniły tak, że Kordian nie miał wątpliwości, iż będą odbijać mu się echem długo po tym, jak położy się do łóżka.

– O jakim tańcu mowa? – burknęła Chyłka, wskazując na dwójkę nastolatków. – To raczej nieporadna gra wstępna. Nikogo tańczącego tu nie widzę.

Oryński spojrział na wskazaną parę i bez zdziwienia przekonał się, że w trakcie ostatniego kawałka musieli poznać się naprawdę dobrze. On rytmicznie przesuwiał ręce z pleców na jej pośladki, ona dotykała jego umięśnionych barków.

– Obserwuj – powiedziała nagle zainteresowana Chyłka. – Zaraz wejdą w leasing.

– Tak się nie mówi już od dobrych kilku lat.

– Więc pójdą w ślimaka.

– To też jest już od dawna *passé*.

– Więc jak się teraz mówi, panie znawco?

– A ja wiem? – odparł, po czym pociągnął łyk piwa. – Walnąć w ślinę?

– Beznadzieja.

– A mimo to widzę, że cię to zainteresowało.

– Uznaję swoją obecność tutaj za szansę na obserwacje antropologiczne – oznajmiła, również przechylając kufel. – Ale ostrzegam cię, że jeszcze dwie nędzne imitacje piosenek, a wychodzę. Więcej nie zdzierzę, choć musisz docenić, że próbuję.

Rzeczywiście musiał to docenić. Gdyby ktoś zapytał go jeszcze godzinę temu, czy Joanna kiedykolwiek pojawi się w klubie, gdzie grają muzykę elektroniczną, roześmiałby się w głos. Tymczasem teraz siedziała spokojnie, obserwując migdalących się imprezowiczów.

Po chwili jednak pociągnęła piwo na hejnał.

– Dosyć tego, Zordon.

Wstała i bez słowa ruszyła w kierunku wyjścia. Oryński potrzebował chwili, by zorientować się w sytuacji. Otrząsnął się dopiero, gdy zobaczył, że Chyłka po drodze pociągnęła z bara jednemu z pijanych nastolatków.

Kordian poszedł za nią, szybko dopijając piwo. Odstawił butelkę na jeden ze stolików, tuż przy skonsternowanym imprezowiczu, który oberwał od prawniczki.

– Jakaś nienormalna – powiedział, gdy Oryński go mijał. – Powiedziałem tylko, że niezła z niej dzida.

Aplikant się uśmiechnął.

– Słyszałaś? – krzyknął do Joanny, starając się przebić przed dudniące techno. – Gość mówi, że...

– Słyszałam! – odkrzyknęła, zatrzymując się w progu. – I proponuję stąd natychmiast wyjść, bo zaraz tam wrócę i przetrączę mu przegrodę nosową.

Oryński obrócił się do zdeorientowanego chłopaka i posłał mu pocieszające spojrzenie. Potem wyszedł za patronką na korytarz. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, oboje poczuli ulgę.

– Sodoma i Gomora – oceniła prawniczka.

– Na koncertach Ironsów jest lepiej?

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Słuchaj – podjęła. – Wyznaczam ci nowe zadanie semestralne.

– Nie możesz mi chyba wyz...

– Pojedziesz latem na Woodstock i zobaczysz, co znaczy dobra zabawa. Tam upijasz się z klasą i możesz liczyć na porządne grzmocenie, a nie takie fizio-miziu na parkiecie.

– Taplanie się w błocie nie wydaje mi się...

– Idziemy – ucięła Chyłka, a potem ruszyła korytarzem.

– Dokąd?

– Tego jeszcze nie wiem. Gdzieś, gdzie serwują dużo alkoholu.

Kordian musiał przyznać, że to całkiem dobry kierunek. Restauracja była otwarta do dwudziestej trzeciej, więc przez moment prawnicy rozważali usadzenie się gdzieś na mieście. Ostatecznie jednak uznali, że są zbyt zmęczeni, by szukać miejsca na nocną popijawę. W najgorszym wypadku o jedenastej

pójdą naprzeciwko, do spożywczego.

– Jedno mnie intryguje – zaczął Oryński przy trzecim piwie.

– Tylko jedno?

– Naprawdę myślisz, że Awit to zrobił?

Ściągnęła szron z kufła i przez moment milczała. Kordian rzadko widywał taką powagę na twarzy patronki. Odchrząknął i poprawił się na krześle, a ona po chwili podniosła wzrok. Nie odezwała się, po prostu na niego patrzyła.

– W sądzie brzmiało to tak, jakbyś sama była przekonana, że Angela i Tatar porwali dziecko.

Nadal nie odpowiadała.

– Bawisz się w Langerę? – zapytał.

Chyłka uśmiechnęła się lekko i napiła piwa.

– Sama nie wiem – odezwała się w końcu. – Kiedy zaczynałam tę hucpę, byłam przekonana, że bronimy winnego człowieka, Zordon.

– Teraz nie masz już tej pewności?

– Nie.

Potaknął, również biorąc łyk. Trunek zniknął w zastraszającym tempie, ale oboje zdawali sobie sprawę, że tej nocy czeka ich właśnie taki scenariusz.

– Ktoś musiał podłożyć ten pręt, prawda? – zapytała, mrużąc oczy. – To zasadniczo jedyny błąd, jaki popełnili.

– Bez tego śledczy nie zamknęliby Awita.

Stanowczo pokręciła głową.

– Prędzej czy później by do tego doszło – zauważyła. – Ktokolwiek to zaplanował, mógł wykazać trochę cierpliwości.

– Ale im się spieszyło.

– Całkiem możliwe – przyznała.

– Sakrat chciał, żeby uchylono decyzję o tymczasowym aresztowaniu Angeliki jak najprędzej – dodał Kordian, czując, że trafił w sedno. – Chcieli być już razem.

Spojrzenia dwójki prawników skrzyżowały się i przez moment oboje milczeli.

– Mogło tak być – powiedziała po chwili patronka. – Ale jedno mi w tym wszystkim nie pasuje. I obawiam się, że sądowi również nie będzie pasowało.

– Co?

– Dziura w konstrukcji, która burzy całą konstrukcję.

Uniósł brwi, ponaglając ją ruchem dłoni.

– Jeśli Tatarnikow rzeczywiście porwał dziecko, to jak to, do cholery, zrobił?

– Hm?

– Alarm był włączony, drzwi i okna pozamykane, a Szlezyngier w dodatku pewnie nie spał przez pół nocy, pobudzony nadmiarem emocji.

Oryński podrapał się po głowie. Zanim całą winą obarczono Awita, rozważali wszystkie możliwe scenariusze. Żaden nie tłumaczył porwania – i być może dlatego śledczy tak ochoczo przyjęli, że dziecko zostało zamordowane, a ciało wyniesione przed włączeniem alarmu.

– To porządna zagwozdzka – powiedział.

Chyłka uśmiechnęła się pod nosem i wyciągnęła z kieszeni zakietu paczkę papierosów. Zaczęła obracać ją w ręce.

– Miejmy nadzieję, że sąd też uzna to za zagwozdzkę – skwitowała po chwili. – Jeśli nie, nie ma mowy o ponownym rozpatrzeniu sprawy.

Wyszli zapalić, a potem Kordian obrócił się i chciał wrócić do restauracji. Chyłka zatrzymała go, łapiąc za przegub ręki. Spojrzał na nią skołowany, bo rzadko zdarzało się, by pozwalala na kontakt fizyczny.

– Zaraz zamykają – oznajmiła, obracając do niego komórkę. – Kupimy piwo w spożywczaku i wypijemy w pokoju.

– Nie brzmi to zbyt bezpiecznie.

– Dzisiejsza noc nie jest od zachowywania się bezpiecznie, Zordon.

– Jak mam to rozumieć?

Obróciła się, nie posyłając mu nawet przelotnego spojrzenia. Zaopatrzyli się w alkohol, a potem ruszyli z powrotem w kierunku hotelu.

11

Jeszcze dwa miesiące temu po takiej dawce chmielu z procentami Joanna dawno miałaby w czubie. Teraz jednak wróciła do formy przedwypadkowej – nie tylko jeśli chodziło o retorykę w sądzie, ale także o przyjmowanie alkoholu.

Czuła się lekko ukontentowana, ale nic ponadto.

– Nie wiem, czy można to wnosić – zauważył Kordian, gdy przechodzili przez hol.

– Pewnie, że można.

– Mówisz to jako prawnik?

– Nie – odparła, wzruszając ramionami. – Jako osoba chcąca się napić.

Oryński zatrzymał się w korytarzu i wskazał inny kierunek.

– Mam lepszy pomysł – powiedział.

– Jaki?

– Tu jest basen.

– Nie będę pływać po pijaku.

– Kto mówił cokolwiek o pływaniu? Obok jest jacuzzi.

– Nie licz na to.

Zdziwił się, jakby wysyłała mu sprzeczne sygnały. Poniekąd może tak było, ale nie miała zamiaru się tłumaczyć. Kordian nie był w ciemnię bity i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak wygląda sytuacja.

– To może bilard? – podsunął.

– Nigdy nie grałam.

– Szybko załapiesz – powiedział z satysfakcją, wskazując kierunek. Chyłka spojrzała na piwa, na niego, a potem skinęła głową. Zasadniczo nie było to najgorsze wyjście. Basen i jacuzzi zakładałyby, że znajdują się obok siebie skąpo odziani, a to mogło skończyć się nieciekawie.

Weszli do sali bilardowej i Oryński wyciągnął portfel. Joanna rozejrzała się wokół, ale nie dostrzegła nikogo z obsługi.

– Co teraz? – zapytała.

– Naprawdę nigdy nie grałaś, co?

– A w jakim ludzko pojętym celu miałabym to robić? – zapytała, stając przy stole. – Do golfa też mnie niespecjalnie ciągnie i nie powinno cię to dziwić.

– Gdzie golf, a gdzie bilard?

– Tu kij i tam kij. Tu tłucze się w coś okrągłego i tam tak samo.

– Zasadniczo masz rację – odparł z uśmiechem, a następnie wrzucił monetę do stołu, zwalniając mechanizm trzymający bile. Spadły z hukiem; Joanna i Kordian zaczęli umieszczać je w trójkącie.

– Udajesz tylko, że znasz zasady? – spytała Chyłka.

– Nie, ojciec uczył mnie grać, zanim uznał, że... no wiesz.

Skinęła głową w milczeniu. Niechętnie wracali do rozmowy, którą odbyli podczas sprawy Langerera. Joanna pamiętała, jak Kordian się przed nią otworzył – i szczerze mówiąc, nie chciała, by to kiedykolwiek się powtórzyło. Przynajmniej dopóty, dopóki łączy ich relacja aplikant–patron.

– Ale zawsze byłem przekonany, że jesteś mistrzynią bilardu.

– Hę?

– Oczami wyobraźni widziałem młodą Chyłkę, może studentkę, przesiadującą w zadymionych pubach, gdzie puszczano Black Sabbath i Iron Maiden, piwo lało się strumieniami, a bile nieustannie się o siebie obijały.

– Chyłka studentka siedziała z nosem w książkach.

– Mało to buntownicze, jak na ciebie.

– Jakoś trzeba było wyśrubować średnią, która pozwalała dostać się do kancelarii Żelazny & McVay, prawda? – zapytała, odbierając od niego kij. – I nie martw się, potem wszystko sobie odbiłam.

Pokiwał głową i wskazał na trójkąt, przywołując mentorski wyraz twarzy. Zanim zdążył się odezwać, Joanna wycelowała w niego kijem.

– Czerpiesz z tego przyjemność, gnojku.

– Tak. Jeden jedyny raz to ja mogę cię czegoś nauczyć.

– To proszę, do boju. Korzystaj, bo okazja prawdopodobnie się nie powtórzy.

– Dobra – powiedział, obracając kij w ręce. – Zagramy w ósemkę. Wybierasz sobie kolor bil...

– One mają różne kolory.

– Chodzi o to, że albo pełne, albo połówki.

– Pełne – postanowiła. – Do ciebie bardziej pasują połówki. Ma to związek z twoim mózgiem.

– Dzięki – bąknął, a potem na powrót skupił się na stole. – Najpierw wbijasz wszystkie bile w twoim kolorze, potem czarną ósemkę. Tyle zasadniczo musisz wiedzieć.

– A jak wbiję twoją?

– Nic się nie stanie.

– A jak czarna wpadnie wcześniej?

– To przegrywasz.

– A jak zdzielię przeciwnika kijem po łbie?

– Wtedy wygrywasz – odparł i wskazał jej, by zajęła miejsce przy stole. – Resztę zasad wytłumaczę ci po rozbiciu, ale teraz sprawdźmy, czy jesteś w ogóle w stanie trafić w białą bilę.

– Jeszcze tyle nie wypiałam – odparła, stając przy jednej z band. – Zresztą jeśli ktokolwiek będzie miał problemy motoryczne, to raczej ty, Zordon.

Umieściła kij na bandzie i pochyliła się nieco.

– Na razie wbij jakąkolwiek bilę do jakiegokolwiek luzu.

Przygotowała się do uderzenia, a potem wypchnęła kij przed siebie. Śmignął obok bili, nadając jej lekką rotację. Trudno było jednak uznać to za sukces. Usłyszała za sobą znaczące odchrząknięcie.

– Musisz się trochę bardziej pochylić – powiedział Kordian. – I lekko rozstawić nogi.

– Doprawdy?

Stanął za nią i lekko skorygował jej postawę.

– Tylna noga prosto, przednia lekko ugięta. Kij pod brodą, ale nie dotyka jej.

– Mhm.

Przysunął się na tyle blisko, że czuła jego ciało na sobie.

– Przednia ręka wyciągnięta przed siebie – dodał, prowadząc jej dłoń w przód. – Tylna ręka...

Urwał, kiedy przylgnęli do siebie tak, że żadne z nich nie mogło dłużej tego ignorować. Chyłka powoli odłożyła kij na stół, a potem zaczęła się obracać. Kordian nie odsunął się ani o pół kroku.

– Co ty robisz? – zapytała, niepewna, czy usłyszał szept.

– Nie wiem.

– Widzę, że nie wiesz.

Ich oczy dzieliło raptem kilka centymetrów, ale biorąc wszystko pod uwagę, to była przepaść. Chyłka

starła się o tym pamiętać, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. Tym bardziej, że po chwili poczuła jego ręce na swojej talii. Podniósł ją delikatnie, a ona usiadła na stole i rozszerzyła lekko nogi. Przynal się bliżej, nadal wpatrując się w jej oczy.

– To będzie cholerna głupota – powiedziała.

– Wiem.

Na ustach poczuła jego oddech, a wraz z nim dreszcz na ciele.

Uznała, że jeśli teraz tego nie zakończą, obudzą się rano w jednym łóżku. Z trudem przełknęła ślinę, a potem spuściła wzrok. Delikatnie go odsunęła, a Kordian nie protestował. Dał krok do tyłu i zaczerpnął tchu.

– Gdyby ktoś nas zobaczył... – podjęła. – Mogłyby zawalić nam się nie tylko kariery, ale też sprawa Szlezyngiera. Rozumiesz?

– W pełni.

Przez moment milczeli.

– Poza tym mamy partyjkę do rozegrania – zauważyła.

Oryński uśmiechnął się i przeszedł na drugi koniec stołu. Poprawił ułożenie bil, a potem ściągnął trójkąt i zrobił Joannie miejsce. Niespecjalnie obchodziło ją pierwsze rozbicie, ale musiała natychmiast czymś się zająć. Przez kilkanaście minut grali, jakby od tego zależało ich życie. Kordian opisywał jej zasady gry, a ona starała się na nich skupić. Po kilku chwilach szło jej już wcale nie najgorzej. Gdy otworzyli sobie po piwie, było jeszcze lepiej.

– Przydałaby się jakaś stawka – powiedziała Joanna.

– Dla ciebie współzawodnictwo bez potencjalnego trofeum to żadna zabawa, co?

– Otóż to, mój drogi aplikancie.

Oryński wbił dziesiątkę do jednej z luz i wyprostował się z zadowoleniem.

– W takim razie proponuję następujący układ – powiedział, obchodząc stół. – Jeśli ja wygram, ty rezygnujesz jako moja patronka. Jeśli ty wygrasz, ja rezygnuję jako twój aplikant.

– Świetny pomysł.

– Sporządzimy odpowiednią umowę tuż po grze, może być forma ustna.

– Nie wątpię, że ta interesuje cię najbardziej.

– Potem pozostanie nam tylko wybrać pokój hotelowy. Twój lub mój.

Wbił jedenastkę, a Chyłka nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Stół bilardowy najwyraźniej wyzwala w tobie ukryte pokłady pewności siebie – zauważyła.

– Myślisz?

– I czuję się z tym nieswojo – dodała. – Tym bardziej, że jak tak na ciebie patrzę, mam ochotę... – zawiesiła głos i spojrzała na niego z pazurem.

Oryński nie trafił w bilę, a ona puściła do niego oko.

– Brawo, Zordon – powiedziała, po czym sama przymierzyła kijem w jedną z pełnych kul. – Dla dobra twoich przyszłych klientów mam nadzieję, że na sali sądowej trochę trudniej jest cię rozproszyć.

Spojrzeli na siebie, po czym wznowili grę. Tej nocy żadne z nich nie poruszało już nawet w żartach tematu, który interesował ich najbardziej. Rozmawiali o wszystkim innym.

W bolesnej neutralności wytrwali aż do dnia, kiedy miał zostać ogłoszony wyrok.

12

Podczas piętnastominutowego spaceru z Gołębiowskiego do budynku sądu Oryński niemal żałował, że to już. Przy odrobinie szczęścia mógłby wspominać czas spędzony w Białymstoku jako przełomowy. Nieustannie miał w świadomości to, że do końca aplikacji pozostały mu niecałe dwa lata. Potem droga przed nimi będzie otwarta, wewnętrzne zasady firmy nie regulowały sfery relacji międzyludzkich.

Razem z Chyłką wypalili po papierosie pod gmachem sądu, a potem weszli do środka. Do momentu ogłoszenia wyroku pozostał im niecały kwadrans. Prokurator siedział na ławce obok drzwi, a Szlezyngier stał kawałek dalej, obrócony tyłem do wszystkich.

Tym razem mieli zebrać się w sali na parterze, znacznie mniejszej niż poprzednia. W oddali Kordian dostrzegł kilku dziennikarzy, ale najwyraźniej sam finał rozprawy nie interesował ich tak bardzo, jak starcia prawnicze w jej trakcie. Zresztą nie byli jedynymi, którzy mogli odpuścić sobie udział – stawiać nie musiał się ani prokurator, ani oskarżony. Sąd mógł wydać wyrok w obecności protokolanta i byłoby to uznane za wystarczające. A wszystko po to, by nie przekroczyć ustawowego terminu, który sprawiłby, że wszystko trzeba by zaczynać od początku.

Obrońcy zatrzymali się obok Aronowicza. Oryński spojrzał na niego z góry i przemknęło mu przez myśl, że jest w tym coś symptomatycznego.

– Mam nadzieję, że cię nie wywalą, Zbigniew – powitała go prawniczka.

– A ja mam nadzieję, że ciebie nie przerzucą do innego obszaru – odparł, nie podnosząc wzroku. – Choć być może nadawałabyś się do prawa upadłościowego. Gdzie się nie pojawiaasz, tam upada wszelka moralność.

– Piękny komplement na dobry początek dnia.

– Dnia, który będziesz wspominać jako swoją osobistą tragedię.

– Zobaczymy – powiedziała, a potem przeniosła wzrok na Szlezyngiera.

Kordian również skupił się na kliencie. Biznesmen nie podzielał dobrego nastroju swoich obrońców – wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby chciał zawczasu rozwiązać sprawę, skacząc z okna.

Joanna skinęła na aplikanta i wskazała mu Awita. Odebrawszy niezwerbalizowany sygnał, Oryński ruszył w jego kierunku. Zatrzymał się na końcu korytarza, tuż przed oknem wychodzącym na kilka budynków za gmachem sądu.

– Awit.

Biznesmen obrócił się i obrzucił go szybkim spojrzeniem.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Powiedzieć, żebyś był dobrej myśli.

– Sądziłem, że nie możecie gwarantować sukcesu.

– Nie gwarantujemy – odpowiedział Kordian, wyglądając za okno. Był chłodny, ale pogodny dzień. – Nikomu jednak nie zaszkodziło jeszcze trochę optymizmu.

– Optymizm skończył się, gdy moja własna żona mnie obciążyła.

Oryński próbował wydusić z siebie coś pocieszającego, jednak szybko się zmytygował, że byłoby to daremne. Postanowił, że potowarzyszy klientowi w milczeniu przez te kilkanaście minut, które pozostały do ogłoszenia wyroku.

Szlezynghier oddychał nierówno i głośno. Rozbieganym wzrokiem patrzył na ludzi w oddali i samochody zatrzymujące się na parkingu po lewej stronie. Nie czuć było od niego alkoholu, choć aplikant nie wątpił, że dobrze by było, gdyby Awit uspokoił się małym drinkiem.

Po chwili mężczyzna obrócił się do Kordiana.

– Wierzycie w to? – zapytał.

Młody prawnik zmarszczył czoło, wbijając oczy w twarz oskarżonego.

– Co masz na myśli?

– To, co Chyłka podniosła w mowie końcowej... wierzycie w to, że Sakrat i Angelika porwali moją córkę?

Szlezynghier szeptał, jakby te słowa sprawiały mu fizyczny ból. W jego oczach Oryński zobaczył cierpienie, które nie miało nic wspólnego z perspektywą spędzenia długich lat za kratkami. Wyraźnie dostrzegał, że to rozpacz po utracie dziecka.

Biznesmen z trudem przełknął ślinę, podczas gdy Kordian milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Chyłka brzmiała, jakby w to wierzyła... – dodał Szlezynghier.

– Może tak jest – odparł chłopak. – Mnie w każdym razie wydaje się to prawdopodobne.

Awit pokiwał głową i już się nie odezwał. Prawniki patrzyli na niego jeszcze przez chwilę, zastanawiając się. Pytania nie wynikały z tego, że Szlezynghier niedowierzał sytuacji – jeśli to nie on był sprawcą, zapewne sam wcześniej poskładał wszystko do kupy. Teraz chciał wiedzieć po prostu, czy ktokolwiek wierzy w jego niewinność.

Gdy protokolantka wyszła na korytarz, by wywołać sprawę, Kordian poklepał klienta po plecach. Marny gest, ale niczego więcej nie mógł mu zaoferować.

– Wierzę, że tego nie zrobiłeś, Awit – dodał, kiedy ruszyli w kierunku otwartych drzwi.

– Obyś nie był jedynym.

Wchodząc na salę, Oryński myślał o tym, że zapewne nie będzie. Przynajmniej jedna osoba ze składu orzekającego musiała dostrzec to, co widzieli prawnicy. Wystarczy jeszcze jedna, a Szlezynghier wyjdzie stąd wolny.

Jakie były szanse? Wydawało mu się, że szala nieznacznie przechylała się na ich korzyść. Widać było to także po minie Aronowicza, który wprawdzie starał się zachowywać pozory, ale gdzieś spod maski obojętności przebijał niepokój.

Weszli na salę, a potem zajęli swoje miejsca. Sędzia przewodnicząca szybko załatwiła kilka kwestii formalnych, a aplikant bez zdziwienia odnotował, że po jej zachowaniu nie sposób niczego wywnioskować. Tym razem to samo można było powiedzieć o pozostałej dwójce – oni również wyglądali jak kamienne posągi.

– Nastąpi teraz ogłoszenie wyroku – powiedziała sędzia. – Proszę wszystkich o powstanie.

Podnieśli się, a Kordianowi przemknęło przez myśl, że jeśli Szlezynghier zostanie uznany za niewinnego, poszukiwania dziewczynki rozpoczną się na nowo. Tym razem śledczy będą działać ze zdwojoną mocą, chcąc naprawić błędy, które popełnili przy wcześniejszym postępowaniu. Może dzięki tej nowej energii trafią na trop Sakrata Tatarnikowa.

Oryński urwał tok myśli i skupił wzrok na sędzi. W przeciwieństwie do wszystkich innych na sali, ona i jej towarzysze siedzieli. Wlepiła wzrok w monitor, wydając się zupełnie nieświadoma, że w jej rękach spoczywa los Awita.

– Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej – zaczęła przewodnicząca. – Dnia dwudziestego czwartego listopada dwa tysiące piętnastego roku. Sąd Apelacyjny w Białymstoku, w drugim wydziale karnym, w składzie: sędzia sądu apelacyjnego Anna Wilnowska i sędziowie Piotr Dobrowolski i Katarzyna Tkacz, przy udziale Zbigniewa Aronowicza, prokuratora prokuratury okręgowej

w Suwałkach, po rozpoznaniu w dniu dwudziestego pierwszego listopada dwa tysiące piętnastego roku sprawy Awita Szlezyngiera, oskarżonego z artykułu sto pięćdziesiątego piątego Kodeksu karnego, z powodu apelacji wniesionej przez obrońcę oskarżonego od wyroku Sądu Okręgowego w Suwałkach...

Kordian przełknął ślinę.

– ...utrzymuje w mocy wyrok w zaskarżonej części, uznając apelację za oczywiście bezzasadną.

Aplikant spuścił wzrok, słysząc, jak Chyłka zakłęła pod nosem. Żadne z nich nie odnotowało już, że Awit został obciążony kosztami postępowania odwoławczego. Na sali pojawiło się dwóch policjantów, którzy stanęli tuż przy miejscach dla publiczności. Szlezyngier obrócił się w ich stronę i Kordian musiał natychmiast do niego doskoczyć, gdyż klient osunął się na nogach.

Wilnowska jak gdyby nigdy nic przeszła do ustnego uzasadnienia wyroku.

– Dowody zgłoszone przez obronę w istocie dowodami nie są – powiedziała bez emocji. – Stanowią jedynie domysły, a część z nich dodatkowo nie została dogłębnie przemyślana. Jako jeden z najważniejszych argumentów podniesiono zakrwawiony pręt, który ktoś rzekomo umieścił na brzegu jeziora. Pominięto jednakże fakt, że na przedmiocie znaleziono odciski palców należące tylko do jednej osoby: oskarżonego. Żadne inne ślady nie świadczyły o tym, by ktokolwiek miał kontakt z ową rzeczą. Podaje to w wątpliwość fakt, że oskarżony jest ofiarą rzekomego spisku. Spisku, który choć nadaje się do mediów, nie powinien nigdy gościć na sali sądowej. Przynajmniej dopóty, dopóki nie istnieją żadne dowody na jego poparcie, a jedynie niejasne domysły.

Joanna znów zakłęła, tym razem głośniej. I tym razem nikt z orzekających jej nie usłyszał.

– W sprawie istnieją dwa dowody, których obronie nie udało się obalić. Po pierwsze, jeden ze świadków widział oskarżonego z dzieckiem w nocy. Trudno mniemać, że zmieniłby swoje zeznanie, gdyby żył. Idąc takim torem, moglibyśmy podać w wątpliwość każdy wyrok, w każdej sprawie. – Wilnowska na moment urwała, ale nie oderwała spojrzenia od monitora. – Drugi dowód to zeznania żony oskarżonego, których wiarygodności również nie zdołano podważyć. Nawet najbardziej sugestywne spekulacje nie mogą mieć ciężaru faktów, stąd trudno uznać, że świadek poświadczył nieprawdę.

Dopiero teraz sędzia podniosła wzrok. Padł prosto na Chyłkę.

– Pozostałe argumenty trudno uznać za wystarczające, by w ogóle zastanawiać się nad powtórny rozpoznaniem sprawy. Pobicie jednego z mieszkańców wioski nie może świadczyć na korzyść jakiegokolwiek tezy, i trudno sądzić, że ma cokolwiek wspólnego ze sprawą, która jest na wokandzie. Podobnie należy traktować zniknięcie Sakrata Taternikowa, w braku jakichkolwiek dowodów świadczących o tym, by miał on coś wspólnego z zaginięciem dziecka.

Joanna zacisnęła mocno usta i świdrowała wzrokiem przewodniczącą. Ta już nie musiała czytywać czegokolwiek z komputera.

– A właśnie na tym opieramy cały proces sądowy – dodała. – Na dowodach. Jakkolwiek retoryka stron mogłaby być przekonująca, nie wolno nam się jej poddać, gdy nie mamy przed sobą faktów. W tym przypadku żadne zdarzenie nie świadczy o tym, że dokonano błędnego ustalenia stanu faktycznego podczas rozpatrywania sprawy w sądzie pierwszej instancji.

Wilnowska perorowała jeszcze przez kilka chwil, ale Oryński nie słyszał już jej słów. Cały czas musiał stać przy Awicie i trzymać go. Biznesmen sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co się dzieje. Patrząc na niego, Kordian nie miał wątpliwości co do dwóch rzeczy: po pierwsze, nie przeżyje pierwszego tygodnia w więzieniu, a po drugie, jest niewinny.

Chyłka stała przed kobietą w recepcji, czekając na wydruk faktury. Mimo że wczorajszy wieczór ona i Oryński zaliczyli do udanych, dzień po rozprawie chcieli jak najprędzej opuścić Białystok. Ich bagaże były już w samochodzie, wystarczyło tylko uregulować rachunek.

Po powrocie do Warszawy czekało ich jeszcze widzenie ze Szlezyngierem. Były biznesmen został osadzony w białoleńskim zakładzie karnym dla odbywających karę po raz pierwszy. Trafiliby pewnie do Białegostoku, gdyby nie to, że tutejsze więzienie przewidziane było dla recydywistów.

Ostatecznie nie miało to wielkiego znaczenia. W jednym i drugim przypadku Awit był narażony na to, że prędzej czy później ktoś go dopadnie. Wprawdzie służba więzienna dbała, by osoby o podwyższonym ryzyku nie przebywały w miejscach, gdzie mogłyby zostać zaatakowane, ale więźniowie jakoś sobie radzili. Tak zwany „ubój dzieciójebców, górników czy innych kiepszczaków” był sprawą honoru.

Kordian czekał na Chyłkę w wozie. Zajęła miejsce za kierownicą, a potem ruszyła spod hotelu z piskiem opon.

– Dobrze, że wróciła ci też forma wyścigowa.

– Jestem żeńską Kubicą.

– Co najmniej – pochwalił ją Oryński, gdy wypadła z podporządkowanej i przecięła dwa pasy. – Klepnąć adres w nawigacji, czy wiesz, jak jechać?

Joanna kiwnęła na duży znak wskazujący na wylotówkę w kierunku Warszawy. Zredukowała bieg i wcisnęła się na drugi pas, między biało-zielony autobus a niewielkiego opla.

– W takim tempie za dwie i pół godziny będziemy na Białoleńce – zauważył Kordian.

– Za dwie godziny – poprawiła go.

Szacunek okazał się trafiony, choć Chyłka musiała przyznać, że pomógł jej niewielki ruch na krajowej ósemce. Było jeszcze zbyt wcześnie, by udać się na widzenie do zakładu karnego, więc zatrzymali się w przydrożnej restauracji po drodze, w Michałowie-Grabinie.

Patrzyli na siebie niepewni, w milczeniu. Żadne z nich nie miało ochoty podejmować trudnego tematu, ale prędzej czy później należało się z nim zmierzyć. Awit spędził noc w więzieniu i kiedy stawią się na miejscu, niewątpliwie zobaczą czarną rozpacz.

– Będzie błagał, żebyśmy go wyciągnęli – odezwała się cicho Joanna, przeglądając menu.

– Domyślam się.

– Ale nigdy nie miałeś okazji widzieć tego na własne oczy.

– Jeszcze nie.

– Więc przygotuj się na gnój.

Prawniczka wiedziała, że aplikant jest gotowy nawet na gorszą przeprawę. Całą teorię wyłożyła mu, gdy prowadzili sprawę Langerera. Nie miał wprawdzie okazji do sprawdzenia tego w praktyce, ale przez rok w kancelarii widział to i owo.

Zjedli niespiesznie, a potem ruszyli na Białoleńkę.

Weszli do sali widzeń o wyznaczonej godzinie, rozejrzeli się i zasiedli przy stoliku. Z automatu wzięli puszkę coli i milkę, a potem położyli je na stole. Czekali tylko chwilę, potem w przejściu pojawił się cały korowód oskarżonych. Kilkunastu mężczyzn weszło do środka, łąpczywie rozglądając się wokół,

jakby każda nowa twarz miała dostarczyć im jakiejś odmiany w szarej egzystencji.

Chyłka rzadko odwiedzała osadzonych. Nie miała ku temu okazji, bo jej klienci zazwyczaj kończyli swoją więzienną przygodę na tymczasowym aresztowaniu, nie trafiali do zakładu karnego.

Tu jednak żaden ze skazańców nie był przelotem. Zawieszali wzrok na jej twarzy, jakby starali się ją zapamiętać na dłużej. Szybko odepchnęła od siebie tę myśl, choć z pewnością była ona trafna. W więzieniach typu zamkniętego widzenia przysługiwały tylko dwa razy w miesiącu – ile było okazji, by zobaczyć kobietę?

Awit snuł się jako ostatni w grupie. Wszedł do pomieszczenia ze wzrokiem wbitym w podłogę i nie zauważyłby prawników, gdyby klawisz mu ich nie wskazał. Szlezyngier podszedł do stolika i usiadł ciężko na metalowym krześle. Potem spojrzął na colę, przez moment się zastanawiał i otworzył puszkę.

Napił się, jakby przynieśli mu najlepszy koniak. Zaraz potem otworzył czekoladę.

– Mamy godzinę – powiedziała Chyłka.

Szlezyngier mruknął coś z pełnymi ustami, a Kordian nachylił się do niego.

– Jeśli potrzebujesz...

Awit spiorunował go wzrokiem, mieląc zbyt duży kawałek czekolady. Nie oderwał spojrzenia od aplikanta, póki nie skończył.

Chyłka spodziewała się zobaczyć załamane go mężczyznę, który nie będzie w stanie powściągnąć łez, tymczasem wydawało jej się, że siedzi przed nimi szalencie. Awit pociągnął łyk coli i z impetem odstawił napój na stół. Trochę rozbryzgnęło się na blacie i strażnik natychmiast ruszył w ich kierunku. Szlezyngier odwrócił się do niego i przeprosił.

– Dziękuję – powiedział do prawników. – Za colę i czekoladę.

– Jeśli potrzebujesz czegoś więcej... – podjął jeszcze raz Oryński i zawiesił znacząco głos.

Biznesmen miał kasy jak lodu, ale na niewiele mogła mu się tutaj zdać, jeśli nie posiadał kanału przerzutowego. Zanim Chyłka i Kordian się tu zjawili, zgodzili się co do tego, że Awitowi trzeba pomóc na wszelkie możliwe sposoby. Jeśli będzie potrzebował wsparcia za murami, dowiedzą się, który z osadzonych chętnie się wzbogaci.

– Nie – powiedział Szlezyngier. – Niczego nie potrzebuję...

Odsunął resztkę czekolady.

– Przynajmniej nie w sprawie odsiadki – dodał. – Poradzę sobie tutaj. Nie jest łatwo, ale... poradzę sobie.

Joanna nie chciała myśleć o tym, jak jej klient spędził pierwszą noc.

Awit pociągnął nosem i rozejrzał się.

– Nazywają mnie dzieciobójcą, wiecie?

Nie odpowiadali, a on obracał na stole pustą puszkę. W końcu zaczerpnął tchu i wyprostował się na krześle. Dopiero teraz prawniczka zobaczyła, że ma przekrwione i zapuchnięte oczy. Mężczyzna spojrzął na nią przelotnie, a potem zawiesił wzrok gdzieś za obrońcami.

– Kiedy wchodziłem do celi, wiedziałem, że będą tam ludzie skazani za podobne przestępstwa – podjął. – Ale pomyliłem się. Jest tam pięć osób, większość to pedofile, nie odebrali nikomu życia. W jakiś chory sposób sądzą... chcą... – Urwał i pokręcił głową. – Jeśli inni więźniowie mają okazję, znęcają się nad nimi, to jasne.

Prawnicy skinęli głowami. Joanna nie chciała słuchać dalszego ciągu, ale nie miała wyboru.

– Muszą jakoś odreagować – dodał Szlezyngier. – W ich przekonaniu ktoś, kto zabił dziecko, jest gorszy od tego, kto je zgwałcił. Może akurat tak się ułożył skład osobowy tej celi... oni... na początku myślałem, że wszystko będzie w porządku, ale w nocy mnie zbudzili.

Potarł nerwowo czoło i znów się rozejrzał.

– Wzięli szczotkę od kibla i skropili mnie nią, a potem trzech mnie trzymało i... – Znów urwał, ale tym razem nie miał zamiaru kontynuować myśli. – Jakoś jednak sobie poradzę – dodał po chwili. – Nikt mnie tu nie zabije.

Chyłka przytaknęła. W takiej sytuacji było jasne, że jeśli Awit straci tutaj życie, to jedynie w wyniku własnego działania.

– Zostały mi trzy lata – odezwał się. – Kiedy mogę starać się o wyjście?

W jego przypadku warunkowe przedterminowe zwolnienie możliwe było po odbyciu połowy kary, jednak Joanna nie była za tym, by Awit robił sobie nadzieje. Raczej trudno było wyobrazić sobie, by sąd przychylił się do takiego wniosku, nawet jeśli Szlezyngier okaże się najbardziej przykładnym więźniem w swoim pawilonie.

– Za półtora roku – powiedziała.

– Ale po twoim głosie wnoszę, że nie mam wielkich szans...

– Wszystko zależy od zachowania – wtrącił Oryński.

Chyłka spojrzała na niego i miała zamiar zaprotestować, jednak ostatecznie zamilkła. Szlezyngier i bez tego zrozumiał, że nie ma powodów, by być optymistą.

– W porządku – odparł. – Trzy lata to nie tak wiele.

Na wolności nie, w więzieniu tyle co wieczność. Normalny człowiek już po dwudziestu czterech godzinach miał serdecznie dosyć. Wysiedzieć cały dzień w kawalerce jest trudno, a co dopiero w niewielkiej celi z kilkoma osobami i kibelem, który jest oddalony od łóżka jedynie o kilka kroków.

– Tymczasem jednak chciałbym, by stosunek obrończy trwał.

– Oczywiście – powiedziała prawniczka. – Będziemy cię bronić, jeśli tylko...

– Jeśli tylko będę płacić rachunek – wszedł jej w słowo. – Zapewniam was, że tak będzie.

– Miałam na myśli raczej to, że zrobimy wszystko, żeby cię wcześniej wyciągnąć. To nie zabójstwo, a nieumyślne spowodowanie śmierci... być może w pewnym momencie uda nam się przekonać sędziego do dozoru elektronicznego. Zobaczymy.

– Dziękuję – odparł Awit z rzeczywistą wdzięcznością. – Nadzieja umiera ostatnia, a przy dobrych prawnikach nie umiera nigdy.

Joanna nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

– I skoro nadal mnie reprezentujecie, wiąże was tajemnica adwokacka.

– Oczywiście.

– Pod żadnym pozorem nie możecie wyjawić tego, o czym rozmawiamy?

Obrońcy spojrzeli po sobie. Nie brzmiało to najlepiej.

– Pod żadnym pozorem – potwierdziła Chyłka. – Musimy zachować dla siebie wszystko, czego się od ciebie dowiemy, i nikt nie może zwolnić nas z obowiązku tajemnicy.

– A, dajmy na to, po piętnastu latach?

– Tajemnica nie może być ograniczona w czasie.

– I nie ma żadnego sposobu, by ktokolwiek coś od was wyciągnął?

Joanna pokręciła głową, czując na sobie zaniepokojone spojrzenie Kordiana.

– Są dwa wyjątki – powiedziała. – Oba określone w ustawie o przeciwdziałaniu terroryzmowi.

Szlezyngier ze świstem wypuścił powietrze i odłamał kawałek czekolady. Potem obrócił resztki do prawników, ale ci się nie skusili.

– O co chodzi, Awit? – zapytał Oryński.

– Nie zabiłem mojej córki – powiedział cicho.

– Tyle sami zdołaliśmy wydedukować – odparła Chyłka.

Pokiwał głową w zadumie.

– Ale twoja teoria także jest błędna – odezwał się po chwili. – Moja żona nie uciekła ze swoim kochankiem, zabierając Nikolę.

Oboje uświadomili sobie, że Szlezyngier nie zamierza urwać tej opowieści w krytycznym momencie. Zrozumieli, że w trakcie tego widzenia wreszcie się dowiedzą, co się stało z dzieckiem. Milczeli, czekając, aż Awit wszystko im opowie.

– Teraz, kiedy sprawa jest zamknięta, muszę wam powiedzieć o pewnych rzeczach.

– Nie krępuj się – syknęła Joanna.

– Potem będę potrzebował, byście coś dla mnie zrobili... a raczej robili to przez trzy kolejne lata, jeśli nie uda się skrócić wyroku.

– Mów, Awit – ponagliła go.

Pochylił się nad stołem, ale nie na tyle, by wzbudzić podejrzliwość klawiszy. Spojrzał najpierw na Oryńskiego, potem na Chyłkę. Zaczerpnął tchu.

– Pozwólcie, że zacznę od początku – podjął. – Tamtej nocy rzeczywiście doszło do przepychanki między mną a Angeliką. Krzyczeliśmy, wyciągaliśmy brudy sprzed lat, oboje sobie pofolgowaliśmy. Popchnąłem ją, ona mnie, a potem... cóż, starczy powiedzieć, że niewiele brakowało, by to zaszło dalej. W porę jednak się opamiętałem, słysząc płacz z pokoiku Nikoli. To otrzeźwiło także Angelę.

Chyłka machinalnie spojrzała na zegarek, obawiając się, że nie zdążą. Czasu jednak było aż nadto.

– Poszliśmy do małej, uspokoiliśmy ją, a przy okazji opadły też nasze emocje. Angelika została w pokoju, ja poszedłem włączyć alarm. Czułem, że będzie chciała wyjść do niego tej nocy, poszukać ukojenia w jego ramionach... i nie miałem zamiaru na to pozwolić. Ostatecznie ja spałem na kanapie w salonie, ona w sypialni. Wypiłem trochę więcej, niż powinienem, ona pewnie też.

Chyłka ściągnęła brwi.

– Więc jak zniknęła Nikola?

– Początkowo sam tego nie rozumiałem. Dopiero gdy... cóż, sprawa stała się jasna, bez trudu poskładałem wszystko w całość. Wy także to zrobicie.

– Co tam się stało? – zapytał Kordian.

– Angelika obudziła mnie rankiem, krzycząc i wymachując rękoma. Złapała mnie za fraki i wyrwała z łóżka, wciąż wrzeszcząc i wyklinając od najgorszych pijusów. Była cała zapłakana i ciągnęła mnie w kierunku drzwi. Kazała wyłączyć alarm, drąc mi się prosto do ucha, że Nikola zniknęła. Twierdziła, że okno dachowe jest otwarte, a dziecka nie ma.

Chyłka machinalnie sięgnęła po czekoladę.

– Wyłączyłem alarm, a ona natychmiast wybiegła z domu, wołając ją – kontynuował Szlezyngier. – Ja potrzebowałem chwili, by zrozumieć, co się stało. Puściłem się pędem do pokoju dziecięcego, a gdy tam jej nie znalazłem, popędziłem na górę. To wtedy Angelika musiała wrócić i zabrać Nikolę.

– Co? – wyrwało się Oryńskiemu.

– Nie wiem, gdzie Angela ją ukryła, ale możliwości miała kilka. Kuchnia, drugi pokój... gdziekolwiek poza salonem, jej pokoikiem i strychem.

Awit na moment zawiesił głos, patrząc na prawników, jakby starał się ocenić, czy dają wiarę jego słowom. Mówił z takim spokojem i przekonaniem, że Chyłka nie miała co do tego wątpliwości.

– Sakrat Tatarnikow czekał nieopodal – ciągnął dalej skazaniec. – Odebrał dziecko, a Angela szybko wróciła do domu. Zawołała mnie, żebym dołączył do niej w poszukiwaniach, więc szybko to zrobiłem. Wówczas nie miałem powodów, by jej nie wierzyć... przynajmniej jeśli chodziło o dziecko. I wówczas zamierzała zrobić dokładnie to, co sugerowałeś – dodał, patrząc na Joannę. – Chciała zagarnąć moją fortunę, a potem dożyć swoich dni gdzieś w ciepłych krajach z Sakratem i naszą córką... to znaczy, jego córką.

– To twoje dziecko, Awit – odezwał się Kordian. – Nikt ci tego nie odbierze.

Więziń potaknął.

– Taternikow miał spędzić z nią kilka dni, ukrywając się najpierw na ambonie, potem w jakimś miejscu poza miastem. Dla Nikoli miała to być wycieczka z wujkiem, Angela zadbała o to, by nasza córka była gotowa na to... porwanie.

Spuścił wzrok i głos mu się załamał.

– Angelika była przekonana, że Sakrat kocha ją bezgranicznie. Tak jak ona jego. Pomyliła się.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – odezwał się Kordian.

– Że Taternikow skorzystał z okazji. Miał dziecko, nie zostawił żadnych śladów i przynajmniej przez dwa tygodnie miał pewność, że nikt nie rzuci na niego cienia podejrzeń. Angela miała spodziewać się pierwszych wiadomości dopiero po jakimś czasie.

– Więc...

– Tak, porwał Nikolę dla okupu – potwierdził Szlezyngier. – Angelika okantowała mnie, a Sakrat ją.

– Co stało się dalej? – dopytał Oryński.

– Początkowo Sakrat milczał, realizując dokładnie to, co sobie zamierzył. Choć może nie powinienem używać liczby pojedynczej, bo pomysłodawców było więcej.

– Ekiel?

– On tylko pomagał – odparł biznesmen. – Sakrat był dla niego jak syn, więc nie zawahał się, gdy ten poprosił go o pomoc. Taternikow powiedział mu, że to jego dziecko i że zamierza zabrać je od obcego mężczyzny, który je wychowuje. Antoni zgodził się skłamać, że widział mnie w nocy z córką nad jeziorem. Potem pomógł Sakratowi zniknąć, ale przypuszczam, że w pewnym momencie musiał uznać, iż to wszystko zaszło za daleko. Gdy zaczął się buntować, Białorusin się go pozbył. I nie był to pierwszy człowiek, którego zabił.

– Kto z nim współdziałał? – zapytała Chyłka.

– Jego były pracodawca, Wito.

Kordian zamarł.

– Ułożyli ten plan razem, wychodząc z założenia, że dzięki niemu staną się bogaci jak nigdy. Koniec z przemytem, ryzykiem i jakąkolwiek robotą. Dzięki moim pieniądząom mogli stać się krezusami. I stali się.

– Ale...

– Nie mogłem wpłacić im całej kwoty od razu – dodał Szlezyngier. – Banki mają ustawowy obowiązek rejestrowania kwot powyżej piętnastu tysięcy euro, czyli jakichś sześćdziesięciu dwóch tysięcy złotych. I nawet nie muszą wtedy zgłaszać tego fiskusowi. Obowiązek powstaje dopiero, gdy zachodzi podejrzenie co do legalności transakcji.

– Musiałeś płacić im w ratach...

– I robiłem to przez ostatnie miesiące – powiedział Awit. – Zakładałem nowe konta i przerzucałem tam środki z różnych innych banków. Myliłem tropy, jak tylko się dało, a wszystko to robiłem on-line. Gdyby ktoś prześledził historię przepływów gotówki, miałyby niemały problem z połapaniem się, gdzie, co i skąd się wzięło. Wpłacałem na zagraniczne lokaty, potem zamieniałem te lokaty na zakup akcji, przelewałem do innego kraju...

– I po to były nocne spotkania z Witem – zauważyła Joanna.

– Tak. Za każdym razem dawałem mu dostęp do odpowiednich kont.

– Ile zapłaciłeś w ten sposób?

– Przez te dwa miesiące? – zapytał ciężko. – Więcej niż uczciwie w życiu zarobiłem.

Żadne z prawników tego nie skomentowało. Biorąc pod uwagę, że Wito zainkasował także pieniądze

od nich za rzekome poszukiwania, przemytnik ubił życiowy interes.

– W zamian otrzymałem gwarancję, że mojej córce włos z głowy nie spadnie i że spędzi wakacje z wujkiem.

Joanna zaprzeczyła ruchem głowy.

– Oszalałeś... – powiedziała.

– Nie – zaoponował stanowczo. – Był to jedyny sposób, by dziecko było bezpieczne.

– A Angelika? – wtrącił Oryński, zanim Chyłka zdążyła się odezwać. – Kiedy zorientowała się, że Sakrat ją wystawił?

– Zbyt późno. Najpierw dotarli do mnie. Dogadaliśmy się, ale warunek był taki, że Angelika musi odejść wolna.

Prawniczkę to zdziwiło. Tatarnikowi ani Wito nie mieli żadnego interesu w tym, by Angela pozostała niewinna. Naraz jednak zrozumiała.

– To nie był ich warunek, a twój – powiedziała.

– Oczywiście. Musiałem mieć pewność, że Nikola będzie bezpieczna. Jak lepiej to osiągnąć, niż z pomocą matki? – zapytał i zaczerpnął tchu. – Wiele złego mogę o niej powiedzieć, ale nie odmówię jej tego, że na swój wynaturzony sposób kocha moją córkę. I to stanowiło dla mnie gwarancję jej bezpieczeństwa.

– Gdzie jest teraz Nikola? – zapytał Kordian.

– Nie wiem.

Joanna przeczesała włosy, odgarniając grzywkę na bok.

– Będą ją przetrzymywać przez trzy lata? – zapytała. – Jak to sobie wyobrażasz?

– Nie, wypuszczą ją wcześniej.

– Skąd ta pewność?

– Inaczej Angelika nie przekaże im reszty kwoty.

– Ona ma teraz dostęp do kont?

Szlezyngier uśmiechnął się cierpko.

– Nie miałem innego wyjścia – powiedział. – Tylko w ten sposób mogę zapewnić córce bezpieczeństwo.

– A sobie wolność – wtrącił aplikant.

– Tak. Kiedy sprawa wyjdzie na jaw, wniesiecie kasację. Wyrok zostanie obalony, a ja opuszczę więzienie.

– Do tego czasu zdążysz tu zgnić – zauważyła cicho Chyłka. – Poza tym zostaniesz oskarżony o malwersacje finansowe.

– Doprawdy?

– Tak – odparła. – Szczególnie że ustawa o przeciwdziałaniu terroryzmowi, o której ci wspomniałam w kontekście tajemnicy adwokackiej, dotyczy także prania brudnych pieniędzy.

Szlezyngier niemal poderwał się z krzesła.

– Co takiego?

– Tajemnica w takiej sytuacji nas nie obowiązuje.

Awit nie wytrzymał. Krzyknął, zrywając się ze swojego miejsca. Zanim jednak zdążył sformułować swoje groźby, funkcjonariusze służby więziennej natychmiast do niego dopadli. Skrępowali mu ręce za plecami i ku uciesze reszty zgromadzonych poprowadzili mężczyznę do wyjścia. Biznesmen wrzeszczał, odgrajając się swoim obrońcom.

Jeden z więźniów spojrział na Chyłkę z obojętnością.

– Czego się kolo, kurwa, spodziewał? – zapytał. – Że prawnicy go nie wydymają?

Kordian wszedł za Joanną do jej gabinetu i zamknął drzwi. Prawniczka stanęła przy oknie, uchyliła je, a potem wyciągnęła paczkę marlboro. Zapaliwszy jednego, rzuciła ją przez ramię Oryńskiemu.

– Kaplica – podsumował, podpalając sobie.

– Kaplica byłaby, gdybyśmy mieli związane ręce. Nie mamy.

Usiadł przed biurkiem i podsunął sobie popielniczkę.

– No nie wiem – odparł po chwili. – Pod względem prawnym to co najmniej wątpliwe. A pod względem moralnym...

Urwał, gdyż Joanna obróciła się do niego i zgromiła go wzrokiem.

– Mam w dupie względy moralne – oznajmiła. – Tym sukinsynom należy się sprawiedliwość.

– Ostatnim razem jak sprawdzałem, nie byliśmy od wymierzania sprawiedliwości, tylko od bronienia klientów. Chyba nawet moja własna patronka próbowała wbić mi to do głowy.

Chyłka usiadła po drugiej stronie biurka i otworzyła laptopa.

– Jak to sobie wyobrażasz? – zapytał.

– Zwyczajnie. Złożę zawiadomienie do prokuratury, a potem Tatarnikow i Wito pójdą siedzieć. Dziewczynka wróci do ojca, a matka zostanie pozbawiona praw rodzicielskich.

Zasadniczo trudno było z tym polemizować, uznał Kordian. Pod względem prawnym najpewniej wyglądałoby to dokładnie tak, jak opisała to Joanna. Problem polegał na tym, że nawet jeśli istniała jakaś furtka, w sposób oczywisty działali wbrew woli swojego klienta. I mogli zaszkodzić nie tylko jemu.

– Istnieje niebezpieczeństwo, że skrzywdzą dziecko – odezwał się, gdy Chyłka szukała odpowiedniego druku w komputerze.

– Nie, jeśli nie będą wiedzieć, co nadciąga.

– Nie mamy co do tego pewności.

Podniosła wzrok znad monitora i posłała mu długie spojrzenie. Sugerowało, że nadmiernie się przejmuje – i może rzeczywiście tak było. Jeśli organy ścigania zadziałają w porę, Nikoli nic nie powinno grozić.

– A co z Awitem? – zapytał Oryński, gdy drukarka poszła w ruch.

– Co ma być? – odburknęła Chyłka. – Przemodelują mu dupę jeszcze kilka razy w więzieniu, a potem wyjdzie na wolność. Złożymy kasację i szybko załatwimy tę sprawę, a sędzia przewodniczący z okręgowego będzie mógł pożegnać się z wielką karierą.

Podniosła się i podeszła do drukarki. Oryński również wstał. Zbliżył się do Chyłki, a potem zatrzymał o krok od niej. Obróciła się do niego i przez krótką chwilę patrzyli na siebie, jakby oboje poszukiwali wsparcia.

– To wbrew wszystkiemu, czego mnie uczyłaś – powiedział.

– Goń się, Zordon.

– Pomijam fakt, że to wątpliwy sposób na uchylenie tajemnicy adwokackiej – dodał. – Ale przede wszystkim niezgodny z wolą naszego klienta.

– Więc co mamy zrobić? – zapytała, przysuwając się jeszcze kawałek. – Olać sprawę i pozwolić dziecku przebywać z jakimś zwyrodnialcem, który zamordował już dwie osoby? Czy może liczyć na to,

że matka się nią zaopiekuje?

– Uważam...

– Nasz obowiązek wobec klienta każe dążyć do stanu, który jest dla niego najkorzystniejszy pod względem prawnym – ciągnęła. – Jeśli mamy to osiągnąć, działając wbrew jego woli, trudno.

– Ale...

– Cięży na nas ustawowy obowiązek działania na korzyść klienta – ucięła. – Musimy mieć na względzie jego interes prawny, a nie jakikolwiek inny. I to do nas należy ocena tego, co nim jest.

Przez moment milczeli, stojąc tak blisko siebie, że Kordian zaczynał czuć się upojony jej zapachem. Przełknął ślinę, karcąc się w myśli. Zrobił krok w tył, a potem usiadł z powrotem przed biurkiem.

– Nie możemy tego zrobić – powiedział.

– Nie? To obserwuj uważnie.

– Nie możesz decydować za klienta, Chyłka.

– Mogę, jeśli w grę wchodzi terroryzm albo pranie brudnych pieniędzy.

Kordian wiedział, że w każdej innej sytuacji Joanna broniłaby tajemnicy adwokackiej jak lew. Nieraz wspominała o tym, że artykuł sto osiemdziesiąty, paragraf drugi KPK, pozwalający na obejście tajemnicy, jest karygodny i jak najszybciej powinien zostać uchylony. W tym przypadku jednak emocje wzięły górę. Chciała wyrwać to dziecko Sakratowi – i trudno było jej się dziwić. Problem polegał na tym, że tym samym mogła pogrzebać swoją karierę.

Kordian nie miał zamiaru jej na to pozwolić.

– Awit nie wyprał żadnych pieniędzy – powiedział i zwiesił głowę.

– Co ty pieprzysz?

– Nie zrobił niczego nielegalnego.

– Bzdura.

Obrócił się przez ramię. Chyłka podpisywała właśnie doniesienie, pochylając się nad szafką z aktami.

– Jedyńm jego przewinieniem jest to, że nie zgłosił darowizny.

Podniosła powoli wzrok i wyprostowała się.

– Nikt mu nie broni przekazać tych kwot Sakratowi i Witowi – ciągnął pewnym tonem Oryński. – Mógł im zapłacić, ile mu się żywnie podobało. I nic nam do tego. Jedyne, co interesuje państwo, to podatek. O ile mnie pamięć nie myli, jest tam skala trzystopniowa, aż do dwudziestu procent. I jeśli Szlezyngier nie zapłacił fiskusowi, to nic nam do tego. Nie mamy prawa tego ujawniać.

Chyłka zbliżyła się i popatrzyła na niego z góry.

– Mylisz się – odparła. – To żadna darowizna, tylko działanie sprzeczne z zasadami współżycia społecznego.

– Zwał, jak zwał. Nie możesz tego ujawnić.

Przez kilka chwil milczeli, patrząc na siebie, jakby oceniali się pod kątem potencjalnych przeciwników, a nie sojuszników.

– Chroni go tajemnica, Chyłka.

– Nie sądzę.

– Nie wyprał brudnych pieniędzy, nie planuje aktu terrorystycznego.

– Ale ktoś inny pierze.

– Nie wiesz tego – zaoponował stanowczo. – Nie masz dostępu do tych kont, nie wiesz na pewno, co się stało z tymi środkami. Jedyńm dowodem, jaki masz, jest to, co powiedział ci klient. Klient, który znajduje się w sytuacji zagrożenia i może nie myśleć trzeźwo.

Wiedział, że te argumenty powinny do niej trafić. Mimo to sprawiała wrażenie, jakby nie dopuszczała innej wersji niż ta, którą sama przyjęła.

– Wyjdź z mojego biura – rzuciła.

Zawahał się, zaskoczony tonem, którego nigdy jeszcze nie słyszał. Jej uszczypliwości zawsze podszyte były sympatią; ale nie tym razem. Podniósł się, a potem bez słowa skierował do wyjścia. Kiedy zamknął za sobą drzwi, przypuszczał, że przemówił patronce do rozsądku.

Nie wiedział tylko, czy powinien być z siebie dumny, czy wręcz przeciwnie. Zachował się tak, jak wymagały tego ustawy i regulamin samorządu zawodowego, ale ile miało to wspólnego z tym, jak powinien postąpić?

Nie miał pewności, jaką decyzję ostatecznie podejmie Chyłka, jednak po kilku dniach wszystko stało się jasne. Nie złożyła zawiadomienia do prokuratury i szerokim łukiem omijała Kordiana na korytarzach Skylight. Nie próbował zaradzić sytuacji, wychodząc z założenia, że odezwie się do niego dopiero wówczas, kiedy sama tego zechce. Joanna nie należała do osób, na które łatwo było wpłynąć – z tym jednym wyjątkiem, gdy przekonał ją, że nie ma prawa złamać tajemnicy adwokackiej.

Kiedy pewnego dnia weszła do jego gabinetu bez pytania, był zaskoczony.

Z impetem położyła przed nim pismo. Zerknął na nie, a potem zerwał się z krzesła.

– Nie – powiedział. – Ustaliliśmy, że...

– Niczego nie ustaliliśmy.

– Nie masz prawa tego robić, Chyłka.

Obróciła się bez słowa i skierowała do wyjścia. Ruszył za nią.

– Złóż to, a razem z tym pismem ja składam wypowiedzenie – powiedział.

Zatrzymała się przed drzwiami i obejrzała na niego przez ramię.

– Nie będę pracował z osobą, która ma w dupie wszystkie zasady tego zawodu.

– Świetnie – odpowiedziała. – I lepiej szybko składaj to wypowiedzenie, zanim się rozmyślisz.

– Nie rozmyślę.

– Nie? Nie zatrzyma cię perspektywa wielotysięcznych zarobków? – zapytała, obracając się ku niemu.

– Taki z ciebie idealista, Zordon?

– Nie idealista, ale...

– Zobaczymy – ucięła, a potem wyszła na korytarz.

Chyłka potrzebowała kilku dni, by podjąć ostateczną decyzję. Wystarczyło jednak, że na nowo wszystko przemyślała, a wiedziała już, że nie ma innego wyjścia. Sakrat Tatarnikow nie miał zamiaru wypuszczać dziewczynki – nawet jeśli otrzyma całą zapłatę. Nie miał ku temu żadnego dobrego powodu, a dodatkowo pograżyłby tym swoją ukochaną. Joanna przypuszczała, że z Angeliką nadal łączy go uczucie. Być może wciąż działali razem, a ona nigdy nie została oszukana – być może była to wersja przygotowana dla Szlezyngiera, by ten chętniej przystał na ich warunki gry.

Kordian miał rację, mówiąc, że nie doszło do prania brudnych pieniędzy. Przynajmniej nie przez Awita. Chyłka uruchomiła swoje kontakty w Urzędzie Skarbowym, a potem nakierowała urzędników na transakcje firmy logistycznej. Szybko odkryto, że środki przekazywane przez Szlezyngiera były potem na różne sposoby wprowadzane do legalnego obrotu, co wyczerpywało znamiona przestępstwa. Joanna była w tym zakresie zwolniona z obowiązku utrzymania tajemnicy adwokackiej.

Umówiła się na spotkanie z Aronowiczem, a potem dokładnie opisała mu wszystko, co się wydarzyło. W efekcie sprawa została przekazana prokuraturze okręgowej w Warszawie. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

Witold T. był śledzony aż do momentu, gdy doprowadził agentów Centralnego Biura Śledczego do niewielkiego domu w okolicach Ustki, gdzie ukrywał się Sakrat Tatarnikow. Oddział uzbrojonych funkcjonariuszy wyważył drzwi i wpadł do środka, odnajdując tam nie tylko Białorusina, ale także dziecko.

Dwóch mężczyzn zostało oskarżonych o uprowadzenie małoletniej, a Awita oczyszczono z zarzutów. Jego żona podzieliła los swojego kochanka, trafiając do zakładu karnego dla kobiet w Łodzi.

Chyłka musiała uznać, że podjęła dobrą decyzję. Tym bardziej, że Oryński nie złożył zapowiadanego wypowiedzenia. Obawiała się tego, znając jego upór, ale zdrowy rozsądek przeważył. Trudno było zresztą spodziewać się, że zaryzykuje całą swoją karierę, by bronić zasad rządzących polską palestrą. Zbyt często je naginano, by ktokolwiek podejmował się takiej misji. Mimo to aplikant unikał Joanny jak ognia, nie rzucając jej nawet przelotnego spojrzenia na korytarzu.

Dzień po skazaniu trójki porywaczy Joanna minęła zamknięte drzwi jego gabinetu i z rozrzewnieniem pomyślała o kilku dniach spędzonych w Białymstoku. Wiedziała, że jej i Kordianowi trudno będzie wrócić do dawnej zażyłości.

Minęła jego biuro i podążyła na koniec korytarza. Zapukała do ostatniego gabinetu.

– Wejść – powiedział Artur Żelazny.

Nacisnęła klamkę i popchnęła drzwi. Przekraczając próg, wiedziała dokładnie, po co została wezwana przez szefa.

– Nawet nie siadaj – powiedział.

Podeszła do biurka i spojrzała na plik kartek, który jej podsunął.

– Za porozumieniem stron – oznajmił Stary.

– Rozumiem.

– Nie będziesz robiła problemów?

– Nie.

– Mam nadzieję, że rozumiesz – dodał, ale w jego tonie nie było żalu. – Żaden klient nie chce prawniczki, która może zdradzić jego tajemnice.

Chyłka była tego świadoma już w chwili, gdy decydowała się na obejście tajemnicy adwokackiej. Pewnie nikomu nie przeszłoby przez myśl wyrzucenie jej z małej kancelarii, ale Żelazny & McVay brali tylko bogatych klientów. A tacy zazwyczaj mieli coś na sumieniu. Nikt nie będzie ryzykował, powierzając jej swoją sprawę.

Joanna podpisała papiery, a potem zabrała kopie i skierowała się do wyjścia.

– Powodzenia – rzucił Żelazny.

Zignorowała go i wyszła na korytarz. Jak zawsze panował tu tłok. Przebijając się przez prawniczy rozgardiasz, wiedziała, że będzie jej tego brakowało jak tlenu. To było jej środowisko naturalne.

Przeszła obok biura Oryńskiego i przemknęło jej przez myśl, by się pożegnać. Nie miał pojęcia, że zostanie zwolniona, inaczej z pewnością by się odezwał. Sądził pewnie, że w jej obronie stanie Harry McVay. I może tak by się stało, gdyby tylko Brytyjczyk wiedział o tym, że dziś był jej ostatni dzień w firmie. Ponieważ jednak rozwiązanie stosunku pracy nastąpiło za porozumieniem stron, drugi z imiennych partnerów nie musiał go informować.

Chyłka zwolniła przy drzwiach Kordiana, zawahała się, ale potem znów przyspieszyła kroku. Szybko spakowała swoje rzeczy, po czym zjechała windą na dół i przeszła na parking Złotych Tarasów.

Położyła pudło ze swoimi rzeczami na siedzeniu pasażera i włączyła Iron Maiden. Przy refrenie z *Afraid To Shoot Strangers* wyprowadziła iks piątkę na ulicę.

Posłowie

Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane, ale jak zwykle starałem się trzymać litery prawa i nie odbiegać od niej, jeśli nie było to konieczne dla rozwoju fabuły. Pozwoliłem sobie jednak na kilka odstępstw – ot, choćby w składzie sądu okręgowego. Mam nadzieję, że nie uraziłem tym ani ustawodawcy, ani teoretyków, ani praktyków.

Zaginięcie pisałem jeszcze w poprzednim stanie prawnym, przed lipcem 2015 roku. Teraz rozprawy wyglądają trochę inaczej, mają bardziej kontradyktoryjny charakter – prokurator stawia tezy, obrońca stara się je obalić, a sędzia jest klasycznym arbitrem i nie wychodzi poza tę rolę.

Ale mniejsza o sprawy normatywne. Czas na podziękowania.

Książka nigdy nie powstałaby, gdyby nie Czytelnicy. Fakt, że tak spodobała Wam się *Kasacja*, sprawił, że zasiadłem do pisania jej kontynuacji. A kiedy tylko skończę posłowie, zabiorę się za kolejną część, bo Chyłka ani Zordon nie mają zamiaru czekać.

To Wam zatem należą się w pierwszej kolejności podziękowania.

Dziękuję także:

- Dagmarze, która wciąż toleruje moje własne, systematyczne zaginięcia podczas pracy nad książkami;
- prof. dr. hab. Janowi Wawrzyniakowi, dzięki któremu sam mogę postawić „dr” przed nazwiskiem;
- Monice, która w Czwartej Stronie odpowiada za... cóż, właściwie za wszystko, co ze mną związane (często jej współczuję);
- Piotrowi, najlepszemu marketingowemu magikowi, oraz całej ekipie z Czwartej Strony (jesteście świetni);
- Pani Karolinie, nieustrudzonej redaktorce, która w trosce o Wasze dobro usuwała z tej książki wszelkie moje głupoty;
- Rodzicom, którzy wciągnęli mnie w czytelniczy świat.

Co będzie dalej? Zobaczymy.

Ale przypuszczam, że Chyłka nie pozostanie długo bezrobotna...

Remigiusz Mróz
Opole, 8 stycznia – 9 lutego 2015 roku

Manipulacje, intrygi i bezwzględny, ale też fascynujący prawniczy świat...

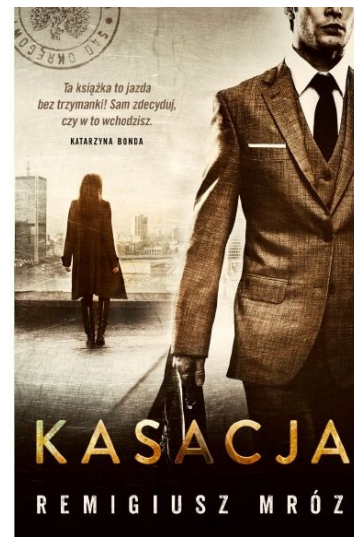
Syn biznesmena zostaje oskarżony o zabicie dwóch osób. Sprawa wydaje się oczywista. Potencjalny winowajca spędza bowiem 10 dni zamknięty w swoim mieszkaniu z ciałami ofiar.

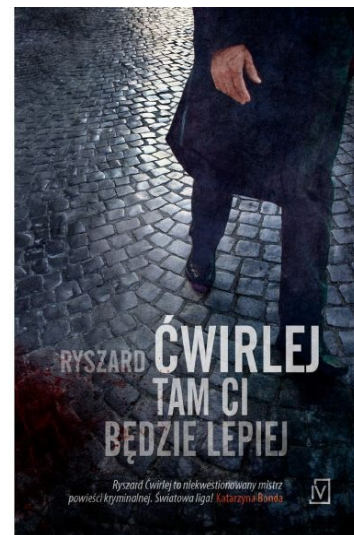
Sprawę prowadzi Joanna Chyłka, pracująca dla bezwzględnej, warszawskiej korporacji. Nieprzebiegająca w środkach prawniczka, która zrobi wszystko, by odnieść zwycięstwo w batalii sądowej. Pomaga jej młody, zafascynowany przełożoną, aplikant Kordian Oryński. Czy jednak wspólnie zdołają doprowadzić sprawę do szczęśliwego finału?

Tymczasem ich klient zdaje się prowadzić własną grę, której reguły zna tylko on sam. Nie przyznaje się do winy, ale też nie zaprzecza, że jest mordercą.

Ta książka to jazda bez trzymanki! Mróz nie da ci odetchnąć. Napięcie, zwroty akcji, dynamiczne tempo. Chwyci cię za gardło i nie puści, aż do zakończenia. Sam zdecyduj, czy w to wchodzisz.
Katarzyna Bonda

Remigiusz Mróz udowadnia, że i w Polsce może powstać znakomity, trzymający w napięciu thriller prawniczy, którego nie powstydziliby się John Grisham. Ryszard Ćwirlej





Poznań, początek 1924 roku. Mieszkańcami miasta wstrząsa fala brutalnych morderstw. Z rąk nieznanego sprawcy giną prostytutki. Śledztwo prowadzą komisarz Antoni Fischer oraz jego zastępca Albin Siewierski. Ten pierwszy to dystyngowany i elokwentny oficer najpierw pruskiej, a potem polskiej armii, przystojny trzydziestokilkulatek, znany ze swojego roztropnego i przemyślanego działania, który ponad wszystko ceni sobie poznański sznyt. Ten drugi, to pochodzący z Kongresówki jegomość, dla którego najważniejsze są szybkie efekty pracy, blichtr i brylantyna. I choć reprezentują zupełnie inne wartości, muszą połączyć siły, żeby złapać bezwzględnego zabójcę.

W międzywojennym Poznaniu, gdzie niemal w każdej bocznej uliczce czają się drobni złodziejaskowie, ale też zwyrodniali mordercy, trudno utrzymać mores i ład. W mieście, które mimo wszystko szczyli się tradycją pruskiego porządku i mieszczańskiej stabilizacji, dochodzi do serii bestialskich morderstw. A jakby tego było mało – śledztwo utrudniają bolszewiccy szpiedzy. Czy zatem uda się powstrzymać mordercę?

Tam Ci będzie lepiej to początek nowej, fascynującej serii autora znanego dotychczas z powieści noemilicyjnych, która odsłoni zupełnie inne, mroczniejsze oblicze Poznania.

Ryszard Ćwirlej to niekwestionowany mistrz powieści kryminalnej. Światowa liga! Katarzyna Bonda.

W dzielnicach czerwonych latarni ginie mężczyzna. Zabójca jest bezlitosny. Pozbawia swoją ofiarę serca, które parę godzin później zostaje dostarczone rodzinie przez kuriera. Następne dni przynoszą kolejne ofiary. Giną zawsze mężczyźni.

Helen Grace myślała, że po swoim ostatnim śledztwie przeżyła już wszystko, co najgorsze. Nie sądziła, że wkrótce znów będzie musiała stawić czoło seryjnemu mordercy oraz własnym traumom i lękom...

„Cykl o Helen Grace to przykład powieści, które włączają w żyły czytelnika tyle adrenaliny, serwują taką ilość bodźców, że aż trudno złapać oddech. Krótkie zdania, krótkie rozdziały, cios za ciosem, tylko podkreślają fabularne tempo. Arlidge to pisarz, który świetnie łączy kryminalne ‘wow!’ z dobrym warsztatem. I drugi tom jest tego najlepszym dowodem.”

Monika Długa, God save the book



Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Posłowie](#)

[Reklamy](#)